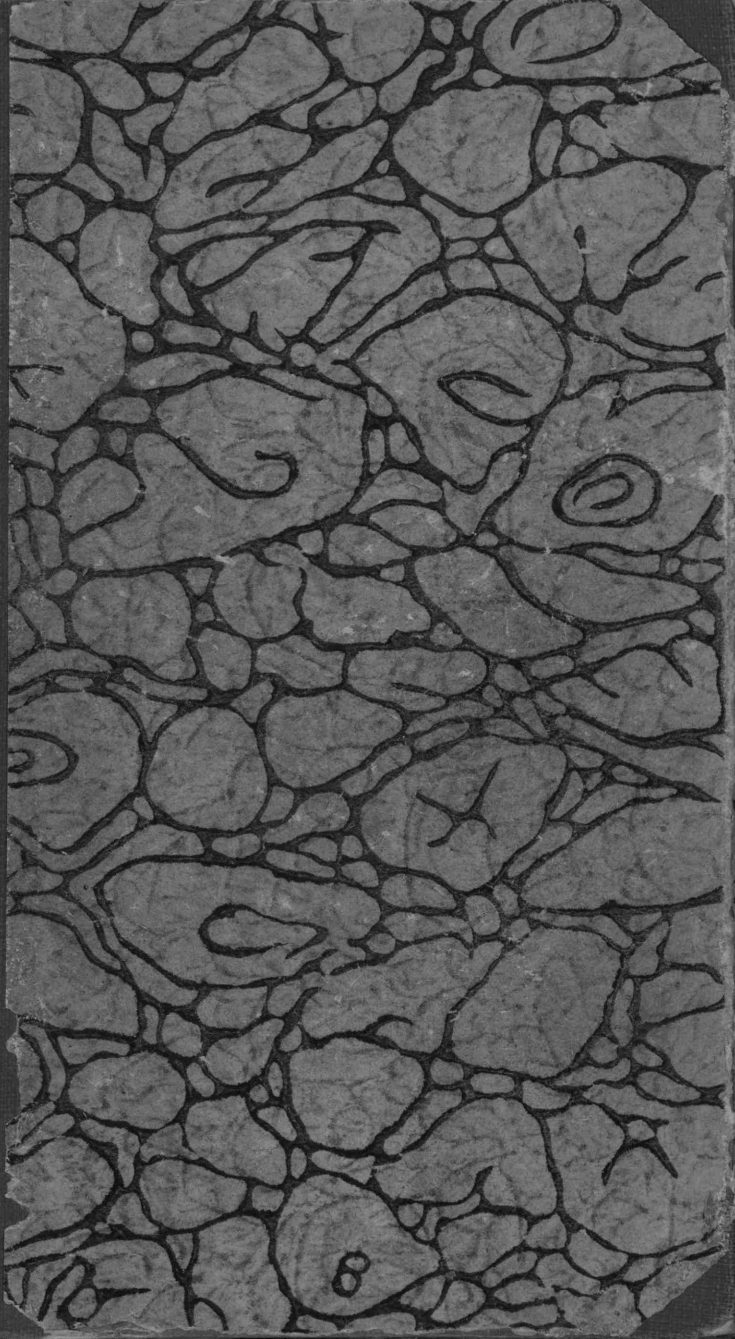




PRAWDY I BAJKI.

NOWOŚCI LITERACKIE.

Adam Krechowiecki.



Prawdy i Bajki.



Z portretem autora.

WARSZAWA—1911.

Wydawnictwo księgarni St. Sadowskiego

ul. Złota № 1.



884(091)"/1822/1863 + 884-311.2)

884(091)"/1819 + 884-3

Redaktor Stanisław Sadowski.

Wydawcy: Stanisław i Wiktoria Sadowscy.

Odpowiedzialny za redakcję we Lwowie K. Pełowski.



1911 1021

M

D
225.9.115

CZĘŚĆ PIERWSZA.

BOHDAN ZALESKI
O SOBIE I WSPÓŁCZESNYCH.

I.

Jeżeli do zrozumienia ducha utworów poety, potrzeba poznania jego kraju rodzinnego, odetchnięcia tem powietrzem, jakim on żył, — to o ileż bardziej do takiego zrozumienia służą jego własne listy, jego notatki, pisane dorywczo, pod wrażeniem chwili, jego poufne zwierzenia się przed przyjaciółmi. — Jeżeli nadto listy te mają cechę zupełnej szczerości, jeżeli przy pisaniu ich, nigdy tej szczerości nie mąciła myśl, że kiedykolwiek mogą być ogłoszone drukiem, stają się one nieocenionym dokumentem, niewyczerpanem źródłem dla historyka literatury, — są jasnym promieniem, rozświetlającym niedostę-

pne zkaład gębie ducha, myśli i twórczości poety.

Taki charakter, bezwzględnej szczerości mają listy Bohdana Zaleskiego, wydane niedawno we Lwowie w kilku sporych tomach. Całość olbrzymia, zebrana z niemałym móżem przez syna poety, który lat wiele w miłości synowskiej poświęcił na to, aby zebrać rozproszone po świecie listy ojca i oddać je Ojczyźnie, do której należą, — bo każde w nich słowo i myśl każda drgają wielką ku niej miłością, tchną nieprzemóżną do niej tęsknotą. Wydawnictwo to daje nam całkowity wizerunek poety, jego myśli i uczuć, jego walk, marzeń i tęsknot, i słusznie powiedzieć można, że Bohdan, którego śmiertelne szczątki spoczywają na dalekim paryskim cmentarzu Montmartre, powrócił także na Ojczyznę łono, a powrócił duchem czystym, promiennym, wyższym może w natchnieniu, niż go dotąd wyobrażaliśmy sobie.

Ogromnego materiału, zawartego w tej korespondencji w jednym szkicu spożytkować oczywiście niepodobna, choćby w tym tylko kierunku, jaki zaznaczyłem sobie. Na to potrzebaby całego szeregu wykładów, aby wykazać jak Zaleski pojmował zadanie poety, jak się do jego spełnienia gotował, jakie zajmował stanowisko wobec prądów i walk emigra-

cyjnych i wobec Towiańszczyzny, co sądził sam o sobie i swoich współczesnych. A była to epoka, obfitująca w wielkie lub niepospolite talenty i niepospolite charaktery. Oprócz Mickiewicza, który nad wszystkim i nad wszystkimi góruje, który geniuszem swym i wpływem całą tę epokę wypełnia, są tam Krasiński i Słowacki, Garczyński i Malczewski i Goszczyński i Pol, Rzewuski, Korzeniewski, Michał Grabowski i Kraszewski, Trentowski, Cieszkowski i Libelt, Lenartowicz, Deotyma i Norwid — i wielu, wielu innych, większych i mniejszych, takich, którzy już podówczas działali i byli znani i takich, którzy dopiero pierwsze stawiali kroki. O każdym z nich jest w tej korespondencji wzmianka, jest sąd, są uwagi. A wszystko to na tle bardzo nieraz bolesnych, ale i bardzo barwnych i ciekawych wypadków dziejowych, oraz wewnętrznych walk, swarów i dążeń emigracyjnych; wszystko żywo i głęboko odczute, a przeniknione tą „poojczystą i porodziinną tęsknotą“, o której Bohdan nieustannie mówi. Wśród tych wypadków osobne a wybitne miejsce zajmuje Towiańszczyzna, owa — jak się w jednej ze swych notatek Bohdan wyraża — „najniebezpieczniejsza herezja“, pleniąca się bujnie na gruncie owej „poojczystej tęsknoty“, na gruncie usposobienia religijno-

cno nalegać na Bohdana i domagać się nowych wierszy, gdyż poeta tłómaczy się przed nim, dlaczego tworzyć teraz nie może i określa warunki, wśród których mógłby pisać: Potrzeba mu swobodnego stanu duszy, nie przerywanej samotności, długiego zapoznania się i niejako zamieszkania w przeszłości... Tego wszystkiego mieć nie może, więc musiał pożegnać się z „kochanką młodości, z Poezją“... Usposobienie to „antypoetyckie“ z pewną domieszką goryczy, trwa dłużej, bo w rok niemal potem, na ponowne nalegania Witwickiego, odpowiada: „Co prawisz o autorstwie, o druku? Koniecznymże warunkiem dla twoich przyjaciół ma być fabrykowanie książek? Nie mógłbyś kochać przynajmniej jednego tylko dla pięknych oczu i czułego serca? Nie darmo zapewne tyle czytam, uczę się i myślę; może być, iż kiedyś wykiuruje się na jakiegokolwiek prozaika, lecz daj mi pokój z poezją!“

Bardzo być może, iż oprócz innych powodów wpłynęła na to usposobienie także, przeczytana przypadkiem, ostra krytyka jego pierwszych poezji. Wprawdzie w liście do Witwickiego z 1827 r. Bohdan zapewnia, że oprócz cnoty narodowej, zwanej lenistwem, odznacza się także najzupełniejszą obojętnością na pociski krytyczne, ale cały ton tego

listu zaprzecza tym zapewnieniom. Zdarzyło się bowiem, że w roku 1827, jadąc na Szląsk, przebywszy piaski Piotrkowskie i Sieradzkie lasy, stanął Bohdan na nocleg na poczcie w pewnej wsi, położonej na weselszych wieluńskich błoniach. Wieczorem, dla zabicia czasu, przerzuca kilkadziesiąt numerów „Gazety korespondenta Warsz. i Zagr.“ i znajduje tam ze starej daty recenzję, którą „bardzo nierozsądną“ nazywa, — krytykę wiersza Witwickiego, a przytem dla siebie „smaczny upominek“. Krytykę tę podpisał jakiś 70-letni starzec z Lubelskiego. I cóż na to poeta? „Ja“ — odpowiada — „nic, niech piszą!“ Za lat pacholecych sądził, że mu będzie gorzko, gdy go jaki krytyk wyburczy... A tymczasem, teraz, surowo naganionemu, nie jest ani gorzko, ani słodko, — zupełnie dobrze jadł, pił i śmiał się, dopóki nie zasnął. „Mój Stefanie — zapewnia Witwickiego, — wszystkie recenzje, to głupstwa!“

A jednak strzał nie chybił i gorycz mimowoli przejawia się w tymże samym liście. O tym 70-letnim krytyku swoim powiada ironicznie: „Winszuję mu!“, a na widok kwitnącego Szląska dziękuje Bogu, że już nie jest w kraju „barbarzyńskim“, że tu przecież ludzie czytają i wiedzą, co jest Ukraina.— Bo ambicja poety, jakkolwiek dotknięta, cier-

pi tu jednak mniej, niż miłość dla Ukrainy, dla tych sześciu milionów ludzi, którzy mieli długo swój byt, prawa, obyczaje, pieśni, swoich bohaterów i dziejopisów, — których przeto Hajdamakami zwać nie można!... I chociaż chwali się raz jeszcze swoją obojętnością, to wszakże czuje obowiązek obrony tej ziemi, na której urodził się i którą ukochał, — i zapowiada odpowiedź, gdyby „stary Lublinianin“ raz jeszcze „gromnił“ o hajdamakach. Gotuje już nawet rys historyczny, tudzież o obyczajach, zwyczajach i pieśniach ludu ukraińskiego, — tam znajdzie sposobność do wyłajania — „nikezemników“.

Ten ostatni wyraz najlepiej charakteryzuje mniemaną obojętność młodego poety na pociski krytyków i wyjaśnia, dlaczego i w następnych latach wyrzekał się „autorstwa i druku“, dlaczego wołał do Witwickiego; „daj mi spokój z poezją“ i myślał zostać „jakimkolwiek prozaikiem“. Nie chce też wyciągać rąk do sławy, która mu obrzydła, pragnie ustąpić wszystko ludziom, byle mu dali pokój i wyznaje, że jest niekontent ze swoich „wierszydeł“ ¹⁾. Jednemu też Witwickiemu spowiada się z tego, jak pojmuje i odczuwa poezję. Inaczej niż wszyscy, Ona dla niego

¹⁾ Do Stef. Witw. z Sochaczewa 1 grudnia 1828.

nie jest namiętnością chwały, ale jakimś wrodzonym, bezinteresownym uczuciem, jak u kogo pobożność lub dobroczynność; z tego uczucia nie potrzebuje robić parady. Określając usposobienie swoje powiada, że od kiedy siebie zapamięta był fantastycznym i romansowem dziecięciem, potem romansowym i fantastycznym młodzieńcem i teraz — mając już lat 27 — mimo doświadczenia i tylu pogrzebanych nadziei, pozostaje zawsze jednakowym. Szamocącemu się w prochu, poezja sokolich skrzydeł użycza, jak czarno-księskie przyzma na pochmurne, nagie i bezcelne dni sieje blask świetny idealnych omamień i promieni się wszystkimi barwami tęczy“. Błogo mu w śnie oczarowania, nie chce się cucić; pragnie owszem żyć, jak żył dotąd bez troski o sławę i bez obawy o sąd potomnych. ¹⁾

Na to usposobienie, pełne melancholji, wpływała niewątpliwie już także podówczas tęsknota do rodzinnej Ukrainy. Miała ona inną jeszcze barwę, niż później w dniach tułactwa, ale istniała i nie była bez pewnej goryczy, którą rodziło wspomnienie opuszczonego dzieciństwa. W liście do siostry, p. Antoniny Linowskiej (r. 1826), użala się Bohdan,

¹⁾ Do Stef. Witw. z Sochaczewa 8 kwietnia 1829.

że bliskiej rodziny swej nie zna i przez nią nie jest znany, że rodzina ta ma inny sposób myślenia, że zatem on więcej udziela się obcym niż swoim. Ma przybraną matkę i siostry, które go najserdeczniej kochają. Charakter swój nazywa melancholijnym i smutnym, co sprawia, że chociaż mu pod względem materialnym na niczem nie zbywa, to wszakże moralnie cierpi i cierpi więcej, niż kto inny; winna zaś temu matka - natura, która synkowi swojemu dała więcej potrzeb i — kaprysów.

W tem badaniu powodów ówczesnego usposobienia poety, nie można pominąć i nie-szczęśliwej miłości. Kochał się podówczas Bohdan, tak namiętnie, że byłby — jak wyznaje — skończył może samobójstwem, gdyby nie wiara i nie mądrość, która mu szepnęła: „porzuć niewierną!“ Porzucił, ale jest jeszcze w rozstroju i obawia się, że się znów w tej samej rozkocha, bo ona jest bardzo niebezpieczna: „ma sto przymiotów przy pięknych oczach i pocałunkach“. Była to zapewne owa panna Róża, o której wspomina Nehring w swojej rozprawce o młodych latach Bohdana ¹⁾, owa czarodziejka, która we-

¹⁾ „Z młodych lat B. Z.“ Bibl. Warsz. sierpień 1887, str. 178 i n.

dle opowiadania Odyńca śpiewała jak słowik, zwana w pierwszych pieśniach przejrzyście Rozyną, a w późniejszych wydaniach, dykretnie Zoryną.

Najtrwalszem wszakże uczuciem, pochłaniającem wszystkie inne, jest miłość stron rodzinnych. Z usposobienia bezsilnego, bezwładnego, gdy w ponurem milczeniu jest mu i ciężko i nudno, gdy nie może napisać ani jednego wiersza, gdy dusza jego potrzebuje gwałtem jakiegoś niemożliwego w życiu spokoju,—gdy blask, woń, barwa, wszystkie dziwy ponikły i zamierzchły przed oczyma poetyckiej jego duszy,—z usposobienia tego wyrrywają go nagle listy od rodzeństwa. W jednej chwili cały świat młodości otacza go czarnoksiężskim kołem, wszystkie myśli i uczucia poczynają promienieć; po nad sobą widzi poeta jasne, błękitne niebo Ukrainy, pod sobą zielone, szumiące jej stopy i upaja się wirem tych najrozkoszniejszych i nasmutniejszych obrazów. Nawet w błękitnym świecie fantazyi nie było mu nigdy tak błogo, jak po otrzymaniu wieści z Ukrainy ¹⁾.

Taki to obraz usposobienia, myśli i uczuć poety dają nam listy jego z epoki przedre-

¹⁾ Do Stefana Witwickiego z Sochaczewa, d. 23 marca 1830.

wolucyjnej to jest do r. 1830. A cóż wówczas stworzył? Niewątpliwie najwdzięczniejsze, pełne barwy i uroku pieśni, których typem i koroną są „Rusałki“. I oto jesteśmy przy ich narodzinach.

W r. 1828 żąda Odyniec od Bohdana wierszy do swego almanachu „Melitele“. Poeta przygotował „Rusałki“, lecz zmuszony wyjechać z Sochaczewa—„dyabeł wie — pisze — gdzie i po co“—zostawia rękopis „najzacniejszej osobie“ dla odesłania Odyńcowi do Warszawy. Tymczasem owa „najzacniejsza osoba“ wyjechała nagle, a rękopis zawieruszył się. Ztąd gwałt, narzekania Odyńca, wymówki Witwickiego, wielkie rozgoryczenie Bohdana. „Niech Odyniec drukuje almanach bezemnie! woła—niech drukuje, ale wyproś mnie z niego Stefanie! Na miłość Boską, uwolnij mnie od almanachu!“

Ale Witwicki, który przyjaciół swoich wcale nie uwalniał od pracy twórczej, owszem, był względem nich prawdziwym „naganiem literackim“,—pocieszył rozgrzaskanego poetę, a ten podziękował za pocieszenie, siadł i w noc grudniową 1828 r. przepisał z brulionu „Rusałki“. Odsyłając je Odyńcowi, powierza tę pracę swoją szczególniejszej opiece Witwickiego, prosząc go, aby napisał do „Rusalek“ krótkie objaśnienie i zaznaczył po-

między innemi, że fantazja ta i inne w tym rodzaju, mają być arabeskami przy większym historycznym obrazie. Witwicki przesłał Bohdanowi w odpowiedzi szczegółową krytykę pojedynczych strof i wyrażen, chwalać bardzo całość. Poecie krytyka ta podobała się niezmiernie, dziękuje za nią przyjacielowi z wylaniem i wszystkie niemal jego krytyczne uwagi uwzględnia. Odyniec przysłał mu także swoją krytykę, ale ta zgoliła inne wywołała wrażenie. Zgadza się wprawdzie Bohdan na zmianę jednego wiersza, ale przed Witwickim nie tai swej do Odyńca niechęci. Drwi z niego i chociaż jest smutny, śmieje się najserdeczniej z jego zarozumiałości. Jako curiosum posyła Witwickiemu bilecik Odyńca, w którym tenże żądał, aby Bohdan przysłał mu „co narodowego“, a to dla współzawodniczenia z Mickiewiczem i z nim — Odyńcem! — Te współzawodniczące „narodowe“ wiersze miały być wydrukowane w osobnym, uprzywilejowanym oddziale Meliteli. Propozycja ta tak ubawiła Bohdana, że siadł i napisał dumkę Kozaka, naigrawającego się z brata Litwina. „Żałuję—pisze—że jej nie skończyłem, bo ma koloryt prawdziwie narodowy. Ale lepiej może się stało, bo byłby się obraził Odyniec“. Jest jednak przekonany i gotów jak Anglik pójść w zakład, że

dziesięć balad Odyńca mniej będą narodowe, niż dziesięć jego wierszy. Przypomina Witwickiemu, jak on Odyńcowi radził, aby nie szedł w zawody z Mickiewiczem. „Ja — dodaje — bez dumy powiedzieć mogę, że się go w moim rodzaju nie obawiam, choćby pokradł najpiękniejsze pomysły z Waltera Scotta i Moora“. Siebie zaś nazywa w tym liście Bohdan „dziedzicem obyczajów i dziejów ukraińskich“, pieśni ludu są jego naturalną puścizną i tem się tłumaczy, dlaczego w dumie o „Damianie Wiśniowieckim“ nie zaznaczył, że strofka: „U sąsiada ładna żona“ wzięta z pieśni ludu.

Oprócz „Rusalek“ była podówczas, — to jest w końcu 1828 r., — napisana znaczniejsza część innej fantazji p. t. „Kwiat paproci“, a poeta spodziewa się, że tej koloryt i uczucie będą daleko świetniejsze. Wiadomo jednak, że ów „Kwiat paproci“ nigdy nie był ukończony i jako fragment znalazł dopiero pomieszczenie w „Dziłach pośmiertnych“ ¹⁾.

Przytem poeta nie ustaje w studjach i pracy. Czyta Reja, Górnickiego, wczytuje się w obcych poetów, zwłaszcza Byrona, którego musi uwielbiać bardzo, gdyż na określenie chwilowego swego smutku, używa raz

¹⁾ Tom 1, str. 160.

takiego wyrażenia: „dziś nie byłbym w stanie myśleć nawet o poezjach Byrona ¹⁾“. Nie brak mu też planów do przyszłych większych poematów. W początkach 1829 r. zabiera się do pisania utworu, w którym działać mają wielki Konaszewicz, sławny Daniłowicz i sturczony Bohdan Chmielnicki, przytem wiele innych jeszcze historycznych osób, a między niemi trzy ładne siostry w haremie Giraja. „Poema to — pisze Zaleski — ma być okropnie czułe, wojenne i dziwaczne“. W liście bez daty, ale z tegoż prawdopodobnie roku, donosi Witwickiemu, że właśnie pisał scenę do dramatu Corregio.

Nawiasem tu wspomnę, a rzecz zaiste godna uwagi, że nawet w starości marzył Zaleski o napisaniu dramatu. Pośród listów jego, znajduje się notatka, bez daty, ale niewątpliwie pochodząca z lat późnych, pod tytułem „Fata Morgana“, a w niej jest taki ustęp:

„Roi mi się dramat w głowie. Kilka bodaj dramatów zazębionych jeden o drugi duchem i treścią, z dziejów polskich dawniejszych i nowszych.... Nigdy jeszcze nie próbował się z Muzą tragiczną. Widzi mi się,

¹⁾ Do Stefana Witwickiego z Sochaczewa d. 1 grudnia 1828.

że duch mój stęzał, a więc łącniej mu ochronić się od liryzmu, który go całkiem opanowywał przed laty“. Szekspirowskie, Szyllerowskie, Goethowskie pojęcia o sztuce przystępniejsze są dziś dla niego. „Uczucie — powiada — skryształilo się, — to można zeń coś wyciosać“.

Ale tytuł dany owej notatce: „Fata Morgana“, okazał się właściwym. Do wykonania tych rojeń nigdy nie przyszło i dramat nie został napisany.

Wracając wszakże do czasów pierwszych, przedrewolucyjnych, przedewszystkiem zwrócić wypada uwagę na rys charakterystyczny, że właśnie w epoce, w której odbywa się wielki ruch literacki, kiedy „klasyczne cyklopy kują potężne na romantyków gromy“, kiedy nawet spokojny i rozważny Witwicki nie usuwa się od tej walki i pisze rozprawę o Reputacji autorów za życia, — Zaleski pozostaje i chce pozostać na uboczu, chociaż z ciekawością śledzi ruch. Już w początkach 1827 r. pisze z Rawy do Odyńca, prosząc go, by nie szczędził odludkowi wiadomości o tem, co się dzieje na burzliwym literackim świecie? Czy się co przecież ustala? Nie ma snadź sam zupełnej wiary w zwycięztwo, bo zapy-

Miejska Biblioteka Publiczna

w Białymstoku

tuje dalej: czy zawsze ta sama anarchia? jakie przemagają mniemania? która nareszcie sekta panuje? A pytając tak o wszystko, znowu się cieszy, że natura obdarowała go wysokim stopniem obojętności.... Zapewne nie będzie walczył pod sztandarami żadnego stronnictwa, chce jednak znać wszystkie okoliczności, bo kto wie, czy mu nie przyjdzie kiedy być historykiem obecnej reformy literackiej, historykiem tem bezstronniejszym, że sam nie działa czynnie, ale czujnie baczy na wszystko i wszystkich.

Ale oto w początkach 1829 roku padł grom. W petersburskiem wydaniu Poezycji swoich, Mickiewicz umieścił jako Przedmowę, rozprawę „O krytykach i recenzentach warszawskich“. Wzmianka w niej o Bohdanie niezmiernie pochwalna, bo stawiająca go w szeregu z Burnsem, Herderem, Goethem, W. Scottem, pochlebiła mu niezmiernie, ale treść i ton musiały przerazić; nazywa ją bowiem „śmiałą napaścią“, a przypuszczając, że to artykuł Witwickiego o Reputacji i Mrozińskiego odpowiedź na Recenzję, podały myśl Mickiewiczowi do „tego ataku“, prosi Witwickiego, aby swoją egidą zasłonił romantyków przed gromami klasycznych cyklopów i doniósł mu, co on o tej Przedmowie sądzi i co o niej myśli Brodziński. Wszakże widocznie

Adam Krechowiecki. „Prawdy i bajki“.

2.



i sam poruszony jest do tego stopnia, że nawet przypuszcza, iż kto wie, może i on „po kozacku wpadnie klasykom we flankę“, chociaż pewnie nie sam, lecz „w powszechnem zamieszaniu“.

W tem usuwaniu się od wiru walki, w tej chęci pozostawania na uboczu, aby, być kiedyś „bezpstronnym historykiem“ jest rys znamienny usposobienia Bohdana, które go rzadko kiedy i w dalszem życiu opuszcza, czy to wówczas, gdy wezwany z Beaune przez Mickiewicza, wierszem „Słowiczku mój, a leć a piej“, wpada w Paryżu w sam odmęt Towiańszczyzny, czy wtedy, gdy usuwa się od wręczenia Mickiewiczowi pamiątkowego puharu w dniu 1 stycznia 1841 r. i woli „siedzieć cicho w Fontainebleau“.

Wszakże od czasu ukazania się owej rozprawy „O krytykach i recenzentach warszawskich“ podziw i zachwyt Bohdana dla Mickiewicza widocznie się wzmagają. „Sonety“ odczytuje kilkakrotnie, widzi w nich najjaśniej „wniosłe, jego własne pojęcie miłości, które mu niegdyś „Dziady“ natchnęło“. Lecz przede wszystkim zachwyca się „Krymskimi“, które za jedyne w literaturze europejskiej uważa; podziwia piękność myśli, „bajroński“ charakter pielgrzyma, obrazy o kolorycie prawdziwie wschodnim. „Gdybyś nie wie-

dział—pisze do Odyńca—ile szacuję i kocham Adama, posłałbym ci świetny panegiryk jego talentu, tyle mnie dzisiaj zachwyca“. Co się tyczy owych pierwszych kilku „Sonetów“, na które tak utyskiwał Mochnacki, i które też sam Bohdan nazywa chwilowem zapomnieniem się poety, radzi on poświęcić je bez ratunku na pastwę klasykom, bo dla wielbicieli talentu Mickiewicza wystarczą same już „Krymskie“. A chociaż ciekawy jest z jakiego stanowiska osądzi je Mochnacki, to wnet dorzuca: „Na nic tu estetyka, to świat wcale nowy!“

W r. 1828 ukazał się „Wallenrod“ i już 30 marca t. r. pisze Bohdan, że czytał poemat razy najmniej dziesięć od deski do deski. Nazywa go „arcydziełem“, chociaż ubolewa, że Adam brał często za dobrą monetę urojenia autora rozprawy o Prozodji polskiej, Królikowskiego, mianowicie co do jednozgłoskowych wyrazów, z kąd wynika czasem chropowatość, czasem wątpliwość a niekiedy i zupełnie fałszywa miara. Akcent i prozodja rzeczy wcale różne. „Ale — dodaje — nasz wielki, kochany poeta nie dosyć zastanowił się nad tą różnicą“. W tymże roku, w kwietniu, Zaleski pisząc do Lelewela, powiada, że nie może nasycić się Wallenrodem, nazywa go znowu „arcydziełem“ i wyraża ciekawość,

jakie o nim mają zdanie Koźmian i Osiński. W miesiąc później z niepokojem zapytuje Witwickiego, dlaczego o Wallenrodzie tak głucho, pisze do Wrocławia w sprawie tłómaczenia poematu i radzi Witwickiemu, aby posłał do Lipska parę z niego wyjątków. Dopiero znacznie później, w końcu r. 1832 pisząc do Nabelaka, przyznać musiał Bohdan, że sam Mickiewicz najmniej Wallenroda ceni i sprzeciwia się tłómaczeniu tego poematu.

Z rozsianych w tych początkowych listach sądów o współczesnych, znajdujemy jeszcze krytyczne uwagi o „Tobiaszu“ Witwickiego, o „Anieli“ Korzeniowskiego, oraz wzmianki, zresztą, ujemne, o Bernatowiczu i Skarbkcu. Treść „Tobiasza“ wydaje mu się arcywznością i chwali wybór przedmiotu, ale co do wykonania czyni zarzuty, widzi konieczność zmiany wielu wierszy, które albo niejasno malują uczucia, albo są słabe, bez kolorytu i prozaiczne. ¹⁾ Wogóle Witwicki, jako poeta, nie ma u Bohdana uznania. Jakkolwiek bardzo kochany i bardzo wielbiony jako człowiek, jest on, zdaniem jego, w poezjach swoich za mało indywidualny, jest biernym naśladowcą, a nawet gorzej, bo „drapieżcą“

¹⁾ Do Stefana Witwickiego z Sochaczewa 4 listopada 1828.

takim samym jak Odynec, i—trudno to dzisiaj wymówić—Słowacki!

Natomiast krytyczne sądy Witwickiego mają zawsze u Bohdana ogromne znaczenie. Artykuł jego o Reputacji autorów za ich życia, bardzo mu się podobał; twierdzi, że określa on z wielką prawdą i dowcipem charakter poezji i pisarzy, i że tego rodzaju ogólne uwagi byłyby wielce pożyteczne dla literatury polskiej, stokroć pożyteczniejsze, od niegrzecznych i stronniczych sarkau, jakich pełno. Spodziewa się, że ten artykuł na głowach Koźmiana, Morawskiego i t. d. wywrze wrażenie, bo to jakby sąd potomności, objawiony im za życia ¹⁾. Również podobała mu się Witwickiego recenzja prób Korzeniowskiego; nazywa ją krytyką wyższą, w duchu nowych pojęć i radzi przyjacielowi szczerze, aby rozszerzał i upowszechniał prawdziwe wyobrażenia o sztuce; widzi w Witwickim wysoki w tym kierunku talent, głęboki i rozległy umysł krytyka. — Co się jednak tyczy szczegółowych zdań o „Anieli“ Korzeniowskiego, Bohdan różni się z Witwickim. Chwali bardzo charakterystykę niektórych osób, występujących w tym utworze, a piąty akt, który Witwickiemu wydał się zbyt cennym,

²⁾ Do tegoż z Sochaczewa 27 maja 1828.

dowodzi, zdaniem Bohdana, wielkiego talentu autora, podnosi bowiem tragiczność czwartej odsłony,—co Korzeniowskiego najwięcej zbliża do Szekspira, a odróżnia „Aniele“ od „Kabały“ Szyllera.

Na tem wyczerpałem poniekąd w zakresłonym kierunku, materiał zawarty w „Korespondencji“ od r. 1825 do 1830 to jest w epoce przedrewolucyjnej. W połączeniu z tem, co już ogłoszone było, co pisali o młodych latach Bohdana, Nehring, Tretyak, p. N. w *Przeglądzie Polskim* z r. 1887, p. Duchieńska, Zawadzki w monografii Nabelaka, Mazanowski i inni, — listy te dają dość już dokładny obraz usposobienia, poglądów i charakteru piewcy ukraińskiego w latach młodości.

Uspokojenie skłonne do smutku, wynikające ze wspomnień opuszczonego dzieciństwa, a potem z „antypoetyckiego sposobu życia“, z niemiłych nauczycielskich zajęć a po części może i z zawodu doznanego w miłości;—poglądy bardzo poważne i wysokie na powołanie poety, na konieczność kształcenia umysłu; pragnienie nieuchwytnie wielkiej samotności i spokoju, niechęć do brania czynnego udziału w polemikach literackich, wreszcie wielka serdeczność i szczerść w stosunkach przyjacielskich, zwłaszcza z Wi-

twickim, obok skłonności do „kaprysów“, o których sam Bohdan powiada, że i najpiękniejsza kobieta więcej ich od niego mieć nie może ¹⁾ — oto wizerunek wewnętrzny naszedo poety w tej epoce. Nie ma w nim jeszcze owej „nierozwiewnej“ melancholii, owych „smutków i tęsknot pojęzycznych“, na które później Bohdan ciągle się żali. Jest tęsknota do Ukrainy, są marzenia o stepach, kurhanach, ale to tęsknota i marzenia człowieka, który mógłby jeszcze na tę Ukrainę wrócić, który wie, że chociaż pożegnał nie wczora, ale jutro może jeszcze obaczyć ukochane swe stepy. — Wiemy ząadnąd, że właśnie w tej epoce Bohdan, na serdeczne i usilne nalegania przyjaciół, miał nawet zamiar wrócić na Ukrainę ²⁾.

Nie wrócił. — A wkrótce stało się tak, że powrócić nie mógł, że między nim a Ukrainą i Polską rozwarła się nieprzebyta przepaść. Nadszedł krwawy rok 1830, a po nim „wiek męski, wiek kłeski“, — cały długi szereg dni tułactwa. — I odtąd rozpoczyna się

¹⁾ Do Stef. Witwickiego z Sochaczewa 8 kwietnia 1829.

²⁾ Nehring, „Z młodych lat Bohdana“ „Bibl. Warsz.“ sierpień 1887, str. 178 i n.

dziwna rachuba czasu. — Tyle a tyle lat — pisze nieraz potem Bohdan — tęsknię do Ukrainy, a tyle — (o lat dwanaście mniej), — do Polski! — I ta liczba lat ciągle się zwiększa, nie przynosząc ulgi, aż urywa się wreszcie u grobu.

II.

Szereg listów Bohdana już porewolucyjnych, na emigracji pisanych, rozpoczyna się w zbiorze naszym od r. 1832 i ciągnie się nieprzerwanie aż do lat ostatnich. — Tu muszę postępować większymi jeszcze krokami, aby przebiegając tę długą drogę, choć mimochodem wskazać to, co w tej podróży przez życie poety najpiękniejsze lub najbardziej charakterystyczne.

A listy te, nie tylko na to życie jasne rzucają światło, nie tylko na życie, prace, działanie poetów i pisarzy współczesnych, — są one także nieocenionem źródłem do dziejów Emigracji, tak trudnych dziś jeszcze do

ocenienia, tak zmaconych wewnętrzną nieraz w niej waśnią, a najgorzej obłędem Towianizmu, który dotknął i ogarnął najwyższe umysły. Listy te wyprowadzają na jaw postacie albo wcale nieznane, albo znane mało, albo zapomniane, które jednak dzieje te w sobie streszczają, bo są ich wytworem, są dziećmi owej „poojczystej tęsknoty“, ze wszystkimi z niej wynikającymi błędami i upadkami, ale też z tym niezwykłym, czasem nie do pojęcia wysokim, nastrojem ducha. Do tej spłoszonej i rozproszonej gromady wygnańców woła najprzód Bogdan Jański, ów „łowca dusz dla Chrystusa“, rozplómienny na wskrós duchem Bożym, — woła do nich: „Ofiarować się nam a wprzód uświęcić!“ I oto zbiega się ku niemu gromadka tych, którym ciążył srodze „kostur tułacki“. Więc przezywają ten kostur „pielgrzymским“, zawiązują się jakoby w osobny stan i dłoń w dłoń, rozśpiewani w duszy, poczynają z astralnego rąbka wiary „prząść na przepaskę polską, na tęczę nowego przymierza z Bogiem“. Gromadka zrazu nieliczna: obok Jańskiego, Witwicki Stefan, Bohdan Zaleski, O. Florjan Topolski, obecny ciągle wśród nich myślą, duchem, słowem, Kazimierz Brodziński, a wreszcie ułowiony przez Jańskiego, kędyś na bruku paryskim,

Adam Celiński. Nikt prawie o nim dziś nie wie, mało kto słyszał. A jednak to twórca „Pięciu Hymnów”—poezji jak powiada Bohdan,—najszczerszego i najszerszego natchnienia, pełnej czystości, mocy, sforności w duchu, treści i rytmie! — Kto zna jego „Śpiew Łabędzi“ albo uroczą fantazję „Sen“, pełny grozy poemat p. t. „Szatan i jego pokusy“, albo rzeczywiste, zdaniem Bohdana, „wieszczby“ o „Napoleonie“ i „Rozumie Polskim“. i wiele, wiele innych?... Losy zaś tego człowieka, krótkie, a tak wymowne treścią, że w nich odzwierciadlają się całe dzieje tej dziwnej epoki, wszystkie jej ułudy, wszystkie wierzenia i nadzieje, wszystkie zawody i błędy i cała nędza, ale zarazem wielka, niepojęta prawie dziś dla nas moc i nastrój ducha. Urodzony w pierwszych latach XIX. stulecia, kędyś opodal brzegów jeziora Świtez, wcześniej po ojcu sierota, wychowywany zrazu w klasztorze Augustjanów, potem w Bazylikańskiej szkole, — kędy zaprzyjaźnił się z Wysockim, późniejszym generałem,—a wreszcie w Krzemieńcu, Celiński, od lat najmłodszych waha się między powołaniem kapłańskim, a głosem pobudki wojennej. Rozstrzyga o tem Warszawa, dokąd podążył na Uniwersytet, i rok 1830. Pragnie wziąć udział w walce, ale jakieś fatum staje mu ciągle

na przeszkodzie; do powstania należy, lecz nie może uczestniczyć w żadnej bitwie. Noc Belwederska zastaje go chorego obłożnie; na wieść jednak o wybuchu, wraz z Wysockim pada na kolana i modli się. Spieszy do Gwardji honorowej a potem wchodzi do legii Litewsko-Wołyńskiej, lecz w bitwie Grochowskiej walczyć nie może, bo pułk jego jeszcze nie uformowany! Potem chce iść za Dwernickim na Wołyń,—Umiński nie pozwala, — więc wnosi prośbę do Czartoryskiego, aby mu dał misję na Wołyń i otrzymuje nominację na oficera i list do Chrzanowskiego, do Zamościa. Ale Chrzanowski nie ufa młodzikowi, zaledwie 20 lat liczącemu, więc Celiński zaciąga się do strzelców celnych Grotusa. Lecz i tu stać musi beczynnem pod Tomaszowem, gdy pod Ostrołęką wrze bitwa. Spragniony walki, zrzuca oficerskie odznaki i jako prosty żołnierz zaciąga się do czwartego pułku, prosząc tylko o to, aby był postawiony na pierwszą linię bojową. Prośbę z podziwem uwzględnia generał Pawłowski i Celiński zdaje się być bliski celu. Lecz pierwszego dnia, na mustrze, rzuca się na niego pies i kasa w ramię. Zamiast w ogień bitwy, Celiński iść musi do szpitala i tam leży aż do wzięcia Warszawy. Chory, omdlewający fizycznie, a zbolący i rozgoryczony w duchu,

uchodzi z wojskiem do Płocka, a tu na widok rozpraszaającego się i zdemoralizowanego żołnierstwa, utraciwszy nadzieję, traci wiarę w miłosierdzie Boże. Poczyna bluźnić myślą, wypiera się wiary młodzieńczej, ale na wieść, że Karol Różycki bije się kędyś w górach Świętokrzyskich, tam śpieszy. Oczywiście i tu zawód i rozpoczyna się tułaczka. — Tułaczka zrazu pełna błędów i upadków. Już w roku 1831 we Lwowie, popełnia cały szereg dziwactw, płacze się w jakąś romansową historję, lecz wezwany przez matkę, śpieszy ku niej nad granicę, kędy otrzymuje od niej błogosławieństwo, mały krzyżyk i obrazek Matki Boskiej. Wzmoczony na duchu, jedzie do Szwajcarji. Ognista jego, pełna niepokoju natura, pociąga go jednak znowu do szaleństw: rozwija się w nim nałóg karciański, resztę pieniędzy traci, a wreszcie traci i pobożne od matki pamiątki, — ktoś mu je wykrada. Tu, pod Zurychem przebywa sześć miesięcy w zupełnym upadku moralnym, tu wciągają go do Karbonarjuszów i jako materjalny i moralny nędzarz przybywa wreszcie Celiński w końcu 1833 r. do Paryża. Tam zrazu nic się nie zmienia. Otaczają go ludzie źli i złe wpływy; niewiara rozplenia się w duszy a nałóg karciański pociąga w przepaść. Dopiero w roku następnym zbliża się Celiński

do znanego sobie jeszcze z Warszawy Zaleskiego i zawiera przyjaźń z Jańskim, który postanawia ocalić tę zboląłą, zbłąkaną na tułactwie duszę. Rok cały trwa ten proces duchowy i Celiński wychodzi z niego przeobrażonym zupełnie, czystym jak łąza, gotowym do najwyższych poświęceń. Rozmiał się on — powiada Bohdan — w prawdzie Krzyża, która jest oraz bohaterstwem.

I oto pod koniec lata 1835 r. wychodzi on z Paryża pieszo, bez grosza przy duszy, idzie, jako wyznawca i apostoł, nawracać innych Polaków, rozproszonych po Francji. A w tych koloniach polskich było podówczas źle, źle bardzo. „Stara waśń — powiada Bohdan — wszczęta ongi nad Wisłą, w boleściach tułackich rozgorzała do zapamiętałości...” wybuchł tam pożar pogańskiego całopalenia. Celiński idzie tak od miasta do miasta, od jednego polskiego domu do drugiego i nienawidzącym się a rozjątrzoną głosi obowiązek zgody i miłości. Po drodze, nieraz zgłodniały i na śmierć znużony, szuka wytchnienia po kościołach i kaplicach; wspomagają go i zaopatrują czasem Siostry Miłosierdzia. Raz pod Orleanem osłabł tak z głodu, że upadł na gościńcu, w błoto, i byłby zginął, gdyby nie wygrzebana z błota kosturem pięciofrankówka. To cud! — pomyślał —

i podążył dalej; przyjmowany rozmaicie, często z niechęcią, zawsze z niedowierzaniem. Nie rozumiano tej jego pielgrzymki, dziwiono się jego żarliwym modlitwom, ciągłym spowiedziom i komunjom. Pytano: co zacz jest? „Przychodzę od waszych bogobojnych praoców, których misję chrześcijańską radzi nie radzi spełnić musimy, albo zginie Polska, zginie tem okropniej, że przez samobójstwo!... Najskuteczniejszy sposób służenia Ojczyźnie to pojednanie się między sobą, a potem z Bogiem i Kościołem“. W ten sposób przez wiele dni i przez wiele miesięcy od rana do wieczora spełniał Celiński w niezwykłym, wyjątkowem podnieceniu ducha, swoją apostołską misję. Z jakim rezultatem? Nawracał—świadczy Bohdan — nieraz całe gromady, niestety, na krótko, „bo duch czasu pędził gdzieindziej: pędził w ciemnik namiętności politycznych“. Tak przeszedł, ten szczególny apostoł, całą niemal Francję, aż znalazł się strudzony już i chory w ustronnem prowancekum Lunel. Tu postanawia przebyć czas dłuższy w skupieniu, gotując się do stanu duchownego, tu układa i rozsyła w różne strony plan utworzenia „Rycerskiego Zakonu“; plan powiada Bohdan — natchniony i przeważnego znaczenia dla Polski; tu wśród obcych zjeżdżają sobie miano „Świętego Polaka“, a ta-

ką miłość, że gdy począł coraz bardziej zapadać na zdrowiu, Lunelczycy oblegli go prośbami, aby się ratował i skłoniwszy do wyjazdu do głośnego podówczas Montpellier, z płaczem, gromadnie odprowadzili za miasto i obdarowali tułacza, prosząc o błogosławieństwo.—W Montpellier znajduje Celiński troskliwą opiekę w dr. Hipolicie Terleckim, a jakby wywdzięczając mu się za to, umacnia chwiejnego w wierze i poddaje mu myśl zostania księdzem. Wkrótce jednak potem umarł Celiński, dnia 8 grudnia 1837 r. — Umarł jak święty, improwizując po cichu — mówi Bohdan — do ostatniego tchu, coś o Bogu i o Polsce — śpiewał hymn, górnej prorockiej treści, w słowach już niesklejnych, rozwiwnych.—Pozostałe po nim poezje, przesłał Bohdan w roku 1850 wraz z obszernym listem, opisującym dzieje Celińskiego, Janowi Koźmianowi, który miał je ogłosić drukiem w *Przeglądzie Poznańskim*. Ale dziwny los! Jak Celiński za życia nie mógł nigdy znaleźć się w ogniu bitwy, chociaż tego tak pragnął, tak i po śmierci, poezje jego nie miały nigdy doczekać się druku i ognia krytyki. Rękopis wraz z owym listem Bohdana, mającym służyć za przedmowę, zaginął. O Celińskim jest dłuższa wzmianka w I. tomie X. Smolikowskiego „Hist. Zgrom.

Zmartwychwstania Pańskiego“, lecz najważniejszym źródłem przechowana kopia listu Zaleskiego do Jana Koźmiana, ogłoszona w II. tomie Korespondencji.

Celiński rozpoczynając swą pielgrzymkę apostołską przestał tworzyć poezję. Lękał się snadź szatana pychy, który łatwo wciela się w poetę, a o tem wcieleniu on sam tak mówi: — Szatan:

Rozbiera serce, aby szło w wyrazy,
Umarza życie, aby szło w obrazy,
Wielbi naturę, a zbija z jej drogi;
Mówiąc o Bogu, błogosławi bogi,
Woła „Wolności!“—zna sztylet mirtowy,
Zadaje rany, ale tylko słowy...
Dziś tem straszniejszy, że światło zwodnicze
W najponętniejsze przystroił oblicze,
On dziś Poeta!...

To może jedyne słowo Celińskiego — słowo nie bez głębszego znaczenia—jedyne, które ocalało w liście Bohdana.

Ciekawe jest, co o poezjach Celińskiego pisze Zaleski. Są one, zdaniem jego, pełne męskiej siły, patryjotyczne, to religijne; wysokiego polotu w mniejszych ustępach, słabną w większych, wszędzie jednak noszą piętno „namaszczenia“. Celiński rzucał pełną garścią „słowa co żyją i myśli co goreją“. Pier-

wszy pochop ku wieszczaniu wziął on z Mickiewicza, ale rychło sam się wzmógł i Zaleski nazywa go przesłańcem „Ery prorockiej“ w piśmiennictwie polskim. Co jednak najbardziej zdumiewa i jak powiada Bohdan, „niepokoi“ w tych wierszach, to dziwne powinowactwo duchowe Celińskiego z Towiańskim i autorem „Przedświtu“, o których za życia „świętego Polaka“ nie było jeszcze wieści. Pojęcia o Napoleonie i o posłannictwie Polski, także same u niego, co i u tych późniejszych i jakoby żywcem z pism ich wzięte. „Jest to—dodaje Bohdan—prawdziwe jak rachunek i dziwne jak mara“. Podobieństwo to musiało być rzeczywiście uderzające, gdyż i w innym liście do Jana Koźmiana, także z roku 1850, zaznacza Bohdan, że przysłano mu z Rzymu kilka arkuszy mistyczno-fantastycznego poematu, jakoby pióra Celińskiego, lecz on waha się z oddaniem tego poematu do druku, a waha się dla tego, że „wyrażenia i wyrazy są całkiem Zygmunto-we, jak „świetlana“, „anielenie“ i t. p. Bohdan dodaje, że tegoż samego zdania jest i ks. Hieronim Kajsiewicz.

Celiński żył krótko, bo w chwili śmierci nie miał jeszcze lat trzydziestu, a jednak jakże pełne to życie! Pełne smutków i cierpień, pełne nadziei i zawodów, pełne zboczeń,

upadków i bohaterskich wysiłków, pełne wreszcie wysokiego poświęcenia i niezwykłych uniesień duchowych. Wpatrzywszy się w tę wątłą postać „świętego Polaka“, w tego, jak go Bohdan nazywa „bohatera krzyżowej legendy emigranckiej“, poczynamy lepiej pojmować i czasy te i ludzi, mieniających się „rozesłańcami“, a zrozumiawszy, łatwiej nam wiele błędów i obłądów przebaczyć, wiele niezwykłych cnót podziwiać i ukochać!—¹⁾).

Pierwsze czasy tułactwa, które Celińskie-go popchnęły w przepaść moralnego upadku, opromieniła Bohdanowi Zaleskiemu wielka, osobista z Mickiewiczem przyjaźń. W jesieni 1832 r. w Paryżu spędza z nim sam na sam wieczory, „Kochamy się—woła—jak rodzeni bracia... Drogi, nieoszacowany nasz Adam! Jak świat wielki, cudowny poeta i człowiek!“ Przygotowywało się wówczas wydanie 4 tomu edycji paryskiej Poezji Mickiewicza, przygotowywało się w wielkiej tajemnicy, do której przypuszczone były tylko trzy osoby, a w tej liczbie Bohdan, z czego on widocznie jest dumny i z radością zaznacza, że w podarunku na pamiątkę dał mu Adam

¹⁾ Trzy listy Bohdana do Jana Koźmiana i notatka Jańskiego o Celińskim.

własnoręczny swój rękopis 3-ciej części „Dziadów“, które czyta w zachwycie na klęczkach. — To — woła w liście do Nabelaka, — prawdziwa narodowa epopeja, która w obszernych ramach żywot narodu i wszystkie światy poetyckie obejmie, olbrzymie, oryginalne poema, coś na kształt „Divina Comedia“ nasza, — genialne szekspirowskie sceny!

Z zachwytych tych budzą go niemiłe ciągle swary emigranckie, oraz walka wszystkich przeciw wszystkim. Pułaski i demokraci biją na Lelewela, Czartoryski i arystokraci na Lelewela i demokratów, wojskowi na wszystkich, wszyscy na wojskowych, każdy chce swój kształt rządu zaprowadzić w Polsce, której niema! W tym rozgwarze nomiętnym, znużony „politykowaniem i komitetowaniem“, sesjami sejmowymi, na których, jak pisze, „gryziem się i kłócim“ przestaje Bohdan szacować nawet tych, których zasługi zkadinał uznaje i coraz ściślej tuli się do wielkiego Adama. Żyje zresztą jak pustelnik wśród „poojczystych, porodzinnych, pomiłośnych pamiątek“ i tworzy pieśni, które — zwierza się Nabelakowi—jak wody strumienia, w miarę swego łożyska, płytkie, to głębokie, mętne, to jasne, odbijają atoli coś z blasku i barwy

nieba i okolic, przez które płyną i dźwięczą¹⁾. W owych to rozmowach, sam na sam prowadzonych z Mickiewiczem, musieli obaj poruszać swary i niesnaski wśród emigracji, która, wedle wyrażenia Bohdana, wydaje się światu „jak piekielna, stużeczna żmija“ musieli też szukać lekarstwa na te „najojbrzydliwsze głupstwa“. Tam to, pod wpływem Adama, zrodziło się w Zaleskim przekonanie o misji, czy roli, jaką ma odegrać wśród narodów „Polska męczeńska“, tam wśród tych rozmów rodziły się myśli, że tułacze polscy powinni utworzyć „zakon orężny“, myśli, które potem ujął w plan nawrócony Adam Celiński; tam prawdopodobnie powstał pomysł „Ksiąg Narodu i Pielgrzymstwa Polskiego“, których wyjście oznacza Bohdan na dzień 4 grudnia 1832 r.; a które nazywa wyborną nauką dla ogółu tułaczów, co się myśłą poprawić; tam wreszcie zakiełkowała myśl utworzenia związku, któryby przykazania Boże słowy i uczynkami wypełniał, — związku Braci Zjednoczonych, który też w rocznicę powstania, w 1833 r. przyszedł do skutku²⁾.

1) List do Ludwika Nabelaka z Paryża 3 listopada 1832 r.

2) „Odezwa“ z 29 listopada 1832 r.

Musiąło być jednak Bohdanowi nieraz bardzo duszno w Paryżu, bo już w końcu 1832 r., marzy, aby uciec z Adamem do Szwajcarji, a gdy to nie przyszło do skutku, wynosi się do Sèvres i tam wśród ciszy ściga „nierozwiewne widma“ z lat młodszych. — W tymże czasie dochodzi go wieść, że Stefan Garczyński bardzo chory. Przeczuwa, że Garczyński umrze, i w swej miłości dla Mickiewicza, wiedząc o jego przywiązaniu do Garczyńskiego, lęka się, że śmierć ta, to nieubłagane fatum, wywoła wielką „zawieruchę i rozstrojenie“ w całej zbytnio czulej i drażliwej organizacji Adama. Nie zwłócząc tedy, jedzie do Avignon, aby spełnić chrześcijański obowiązek, bo z drużyny Adama jest najmłodniejszy, a w swej naturze kozackiej czuje powołanie na pocieszyciela; chce więc czuwać nad Adamem i pielęgnować jak najstaranniej. — Ale w Avignon nie zastał już Garczyńskiego przy życiu; nie zastał też i Adama, z którym rozminął się kędyś w drodze, a ztąd smutek i „nierozwiewna melancholja“.

Bohdan Garczyńskiego osobiście nie znał, ale cenił go wysoko. Twierdził o nim, że „sny fantazji maluje on niekiedy lepiej niż Mickiewicz, mianowicie zaś dziwne metafizyczne zjawiska ducha ludzkiego“. On miał duszę i du-

sze niepospolitą, a są miejsca w jego „Wacławie“, którychby się nie powstydział i największy poeta. Wszystko to on jednak — zdaniem Bohdana — zawdzięcza Mickiewiczowi, który swym błogim wpływem uczynił go poetą, a wychodowanego na poezji i filozofii niemieckiej panteistę, nawrócił na katolika. Odtąd zbratał się Garczyński z Mickiewiczem tak ściśle, iż stał się do niego podobnym jak brat do brata, jak uczeń do nauczyciela; nie był jednak prostym naśladowcą, owym „pstrym drapieżcą“ jak Odyniec, Witwicki, — chociaż — dodaje Bohdan — pozostanie na zawsze pośledniejszym pisarzem, bo nosił na sobie „cudzy kubrak“, kusy i nieco wypłowiały.¹⁾

W tej epoce, — epoce powstania „Pana Tadeusza“ aż do 1840 r. znajdujemy w korespondencji naszej dorywcze tylko wzmianki o Mickiewiczu i jego epopei. I tak z końcem 1833 roku donosi Bohdan Kajsiwiczowi, że „Adam choruje, ale kropi „Pana Tadeusza“. W czerwcu następnego roku, pisze do Kajsiwicza, że „Pan Tadeusz“ wyszedł na koniec z druku, ale nie tak prędko pójdzie jeszcze w obieg, bo Jełowicki czeka, aż egzemplarze

dojdą do Polski; zapowiada też Nabelakowi że mu napisze obszernie o „Panu Tadeuszu“. Sądu tego wszakże nie znajdujemy i niema ani śladu owych uniesień, jakie towarzyszyły narodziom „Dziadów“. Bohdan, który, „Sonekami“ a nawet „Wallenrodem“ tak się zachwycał, o „Panu Tadeuszu“ zachowuje dziwne w tych właśnie latach, milczenie. — Przypuszczać by można, że nastrój tego poematu mniej odpowiadał usposobieniu ukraińskiego piewcy i jego nierozwiewnej melancholii. — Natomiast po przyjacielsku troszczy się, że Adam wybrał u Jełowickiego wszystkie za „Tadeusza“ pieniądze i że jest „goły“. — Żali się też, że trudno z nim się spotkać. — A zgadnijcie, dlaczego? — pisze do Kajsiwicza. — Oto wstyd, zgroza! Żeni się! — Bohdan nie rad jest z tego związku. Celina Szymanowska, powiada, ma być wprawdzie młoda, piękna i miła, ale... podobno nic nie ma, a znacie Adama; będzie więc żył w okropnych kłopotach... Dalibóg, że ledwo nie, płacze!

Z końcem roku 1835, opuszcza Bohdan Paryż i Sèvres, wyjeżdża do Strasburga, ztamtąd do Molsheim, a wreszcie do ustronnego, prowancckiego Endoume. Wszędzie tam jest „więcej z Bogiem, mniej z ludźmi a zresztą jednaki“, ciągle żyje gdzieś za siedmiu góra-

¹⁾ Do Ludwika Nabelaka z Sèvres dnia 27 lutego 1834.

mi, za siedmiu morzami, w kraju „kazki“, zwierciadlanym, błękitnym... I pisze poemat, który go upaja, jak dobre wino. Będzie on—powiada—najściślej historyczny i chrześcijański. Czasy i miejsca odbijają się tam, jak w zwierciadle... brzmieć w nim będą przeciągłe dźwięki, jak nuta stepowa.¹⁾ W liście do Mickiewicza pisanym z Molsheim w połowie r. 1836 donosi z radością, że „kropi i kropi“ wiersze, jakby mu szpunt ze łba wystrzelił, rymuje okwiciej niż przez wiek cały, okwiciej niż Adam w Dreźnie. Poemat jego przedstawiać ma wesele i smutek narodu; wiara i miłość wsiąkają tam, jak gąbka i zapachną na miłą. Tu też wymyka mu się z pod pióra mimowolnie zestawienie z „Panem Tadeuszem“ wprawdzie tylko co do objętości. Poemat jego miał być obszerniejszy. I jeszcze raz przychodzi mu na myśl podobne zestawienie, w liście do Karola Wodzińskiego, w którym pisze, że skoro poemat ukończy, pośpieszy do Paryża, aby drukować go w 4 tomach; chce bić 4—5 tysięcy egzemplarzy na papierze jak „Tadeusz“.—O tym poemacie swoim czyni on ciągle wzmianki, aż po rok

1) Do Karola Wodzińskiego ze Strasburga 28 stycznia 1836 roku.

1840. Poeta cieszy się, że jego Duch-Ptak, dotąd pisklę, teraz już skrzydlaty, rozwija lot daleko, wysoko, widzi coraz jaśniej i szerzej. Coraz też mniej ceni to, co tworzył dawniej; rapsody i drobiazgi wrzucił nawet do pieca, że z nich zaledwie kilka świstków ocalał towarzysz jego, brat-przyjaciół, Józef Zaleski.¹⁾ — Ale nagle poeta poczuł się „nie swój“, lot ducha zwicznął w inną stronę i żali się, że poematu swego skończyć nie może. Nie skończył go nigdy. Owa w sercu wypieszczona „Duma Złota“, która miała być już nie pyłkiem, proszącym w oczy publiczności, ale całą „bryłą złotą“²⁾, ukazała się dopiero w wydaniu „Dzieł Pośmiertnych“, jako fragment, a ten w niczem nie ziścił wielkich nadziei poety.

W każdym jednak razie czas przebyty w Alzacyi i w ukochanem przez Bohdana Endoume, okazał się rzeczywiście najpłodniejszym w tym okresie życia. Wśród serdecznych smutków, które go opanowały, w zawierzeniu owej „Dumy Złotej“, którą główną

1) Do Edwarda Odyńca z Molsheim 2 września 1836 roku.

2) Do Karola Wodzińskiego z Molsheim 6 września 1836 roku.

pracą nazywa, tworzy w jesieni 1836 r. „Przy grywkę do Nowej Poezji“—„Ducha od Stepu“. Miała to być uwertura do wielkiej opery, suma jej dźwięków, jakby mapa krain poetyckich *à vol d'oiseau*¹⁾. W krótkiej notatce wyjaśnia nam też poeta znaczenie „Ducha od Stepu“. Jestto poemat mistyczny, osnuty na poczuciu, czy zapamiętaniu innego gdzieś żywota, czasów skrzydlatych, spędzonych w okolicy nocnej bytu, pełnej cudów i tajemnic.

Oprócz tego wywiązał się Bohdan z danej niegdyś Brodzińskiemu obietnicy z dawnego, jak powiada, długu i przetłumaczył „Pieśni Serbskie“,²⁾ wreszcie w jesieni roku 1838 wraca do Sèvres, przesiedla się do Fontainebleau i tu w roku następnym kończy „Potrzebę Zbaraską“, o której donosi Mickiewiczowi, że jest w niej prawda poetycka i coś bardzo ukraińskiego. „Będzie to mój majstersztik—powiada dwukrotnie—majster-

1) Do tegoż z Marsylii 9 stycznia 1837 r.

2) Nie będzie tu może od rzeczy nadmienić, że zmarły ex-król serbski Milan znał poezję Bohdana mianowicie przekład „Pieśni serbskich“. Posłał mu je ze Lwowa, na życzenie ówczesnego ministra Bogicewicza, w r. 1887 p. Władysław Gubrynowicz i otrzymał od tegoż ministra, w imieniu Milana, podziękowanie.

sztik wężu i staroświecczynny. Jeżeli poemat ten, zupełnie już wtedy skończony i niewątpliwie piękny, który wydany w owym czasie, byłby silne wywarł wrażenie, nie został jednak wówczas wydrukowany i dopiero w „Dziłach Pośmiertnych“ pomieszczenie znalazł, — to w znacznej części przypisać należy wstrętowi Bohdana do „autorstwa i druku“, o czym kilkakrotnie wspomina. Zachęcany przez wszystkich, a zwłaszcza przez Mickiewicza, który mówi mu, że dumek jego na klęczkach słuchać należy,¹⁾ waha się ciągle i dopiero w r. 1839, ulegając namowom Adama, odważa się ostatecznie na drukowanie swoich wierszy w Poznaniu albo Wrocławiu, przeznaczając do tej edycji oprócz poezji lirycznych, dumek i szumek, także „Przenajświętszą Rodzinę“.

Samego siebie nie jest wszakże nigdy pewny i tylko chwilami nabiera otuchy, gdy słucha pochwał Mickiewicza, lub marzy o szerokim locie Ducha-Ptaka i swoim „majstersztiku“. Częściej jednak cieszy się, że się nie kwapił z drukowaniem dawnych swoich, jak je nazywa „bredni“,²⁾ a młodego i jeszcze

1) Do Sew. Goszcz. z Fontainebleau 31 grudnia 1838 r.

2) Do A. Mickiewicza z Molsheim 31 lipca 1836 r.

podówczas nieznanego sobie Lucjana Siemieńskiego prosi w r. 1840, aby nie wierzył literackim plotkom i nie wiele spodziewał się po jego tece, bo on „tylko ładajakie pta-ctwo, dumki a szumki z polowania przynosi“¹⁾. Dla współczesnych jednak pisarzy jest on prawie zawsze pełen wyrozumiałości a nawet zachwytu. I nie tylko unosi się nad Malczewskiego „Marją“, nie tylko powiada, że poemat ten „to prawdziwy, zwierciadlący się obraz jego duszy, serca i charakteru“ a gniewa się na Bielowskiego za jego biografię poety, zwąc ją „nędzną, pedancką, a nawet nieprzyzwoitą“;²⁾ — nie tylko humanistego Nerona, Sew. Goszczyńskiego, zwie „genialnym druhem“, który w poezji swej jest jak wiatr ukraiński, syczący stu żądlami i grzechoczący dębami po borze — a woła do niego po kozacku: „Aleś ty czort! kopnij się z kopyta, to dościgniesz mnie, gdzie tam wyprzedzisz wszystkich!“ —³⁾ on dla znacznie od siebie młodszych poetów znajduje słowa uznania. Najzdolniejszymi z nich nazywa: Ko-

¹⁾ Do L. Siemieńskiego z Fontainebleau 4 lutego 1840.

²⁾ Do L. Nabelaka z Sèvres 27 lutego 1834.

³⁾ Listy do Sew. Goszcz. z Molsheim 21 stycznia 1839 i z Sèvres 15 września 1838.

toniego, Jezierskiego, Krausego, Grozę, Sakowicza, ciesząc się, że i on „pater familias“, bo to sami Ukraińcy!¹⁾ Lucyanowi Siemieńskiemu pochwał i zachęty nie szczędzi. Jego „Trąby w Dnieprze“ zagrały mu w uszach i sercu prawdziwie po czarnoksiężsku. Od razu umiłował i pieśń i piewce²⁾. I „Trzy Wieszczy“ podobały mu się bardzo; czyni wprawdzie pewne zastrzeżenia krytyczne, zarzuca reminiscencje z Malczewskiego i Goszczyńskiego, ale chwali styl świeży, śliczny i łatwy, dykcję rozmaitą i prostą. „To mąż — powiada o Siemieńskim — (a może dopiero chłopię) niepowszednich zdolności, a co wysmienitsza, niepowszednia dusza“³⁾.

Na prace literackie Michała Grabowskiego spogląda z wielkiem zajęciem i uznaniem. „Zuch nasz Michał!“ woła niejednokrotnie. Wraz z Mickiewiczem nie może się dość nacieszyć jego rozumem i dyplomatyczną przebiegłością; nazywa go przewybornym pisarzem, który czuje i myśli doskonale, a trapi się tem tylko, że Grabowski pisze zawsze

¹⁾ Do A. Mickiewicza z Endoume 29 czerwca 1838.

²⁾ Do L. Siem. z Fontainebleau 1 kwietnia 1839.

³⁾ Do Sew. Goszcz. z Fontainebleau 1 kwietnia 1839.

z „moskiewska po francusku..“ W lot też i całem sercem chwytą każdą wieść o Grabowskim, każdym powodzeniem się cieszy, a boleje, gdy nadchodzić poczynają o nim wieści smutne i głosy potępienia.... Boleje, często broni, a nigdy nie potępia. Bo on w przyjaźni jest dziwnie stały i wierny. O swoich, zwłaszcza humanśkich kolegach ciągle w listach wspomina, troszczy się ich losem, dopytuje się troskliwie nawet o tych, których lat kilkadziesiąt nie widział. W jednym liście do Nabelaka z roku 1832 charakteryzuje on siebie i swój stosunek względem przyjaciół. Ma on na sobie podwójną skórę — poety i ukraińca, więc jest żywy, fantastyczny, dziwaczny i często bierze na kiel, jak brat koń tabunowy. Kocha przyjaciół swoich po swojemu, płomiennie, bo przyjaźń jest u niego namiętnością; biada więc i jemu i tym przyjaciołom, jeżeli coś nieczystego spostrzeże! „Mam osobne — pisze — prorockie uczucie prawdy i wszystkie zmysły przez poezję jak instrument ograne, tak, że dźwięk, woń, barwę czuję pod palcami ręki“. To też uwagi jego nie ujdzie najdrobniejszy szczegół: słabsze uściśnienie ręki, gra fizjonomii, promień nieco ukośny oczu, wyraz ust, brzmienie głosu. Że ta autocharakterystyka i szczerza i wierna, na to wiele

możnaby przytoczyć dowodów. To wrażliwe i drażliwe usposobienie poety wyjaśnia nam wiele epizodów, rzuca też światło na jego stosunek z Grabowskim. Wierny w przyjaźni dla niego od lat dziecinnych do grobu, cieszący się serdecznie jego pracą i literacką działalnością, broniący szczerości jego intencji nawet wówczas, gdy głos powszechny obwiniać go począł, nie dzielił wszakże Bohdan zapatrywań i poglądów Grabowskiego, a przy osobistym z nim zetknięciu się w roku 1828 i później w połowie 1830, musiał snadź poczuć ów obcy sobie „dźwięk, woń i barwę“, to coś, co „nieczystem“ nazywa, — i bardzo zresztą kochanemu przyjacielowi swemu okazał chłód, a nawet lekceważenie, na które Grabowski w liście się skarży. W roku 1830 przed wybuchem powstania, przyjaciele nawet bez pożegnania się rozstali ¹⁾. Ale po śmierci Grabowskiego, gdy jeden ze wspólnych przyjaciół i kolegów humanśkich wydał w Galicji wspomnienie o jego życiu i pismach, ²⁾ czyta je z rozrzewnieniem, nazywa pamię-

¹⁾ Nehring l. c.

²⁾ „Wiadomość o życiu i pismach M. Grabowskiego“. Kraków. 1868 przez Jana Krechowieckiego.

tnikiem przyjacielskim, uznaniem niezaprzeczonych zdolności i zasług kochanego Michała. On — powiada w liście do tegoż wspólnego przyjaciela, — on inaczej od nas usiłował działać dla sprawy. Chciał w ogniu piórka złościć i nie wrócił. Każdy z nas kochał Boga i Polskę, każdy z nas służył Bogu i Polsce, jak umiał, to miejmy otuchę, że odpuszczone nam będą winy, popełnione w krewkości ludzkiej. Sąd o życiu i piśmach Michała wyda kiedyś potomność zwykle bezstronniejsza i sprawiedliwsza niż spółcześni ¹⁾.

W obec tych dziwnie łagodnych, zawsze wyrozumiałych sądów, jaskrawo odbija bezwzględna surowość dla Słowackiego. Aby tę surowość zrozumieć, trzeba mieć na pamięci wysokie pojęcie, jakie miał Bohdan o zadaniu i obowiązkach poety. W jednej nawet notatce Bohdana, już z lat późniejszych, znajdujemy rodzaj podziału poetów na cztery kategorie, czyli stopnie potęgi ducha: Duch poety przysposobiony jest od początku ku widzeniu i wiedzeniu rzeczy Bożych. Bóg spełnia cud, zdejmując niejako łuskę z jego oczu i daje mu widzieć w przestrzeni, co ma ziścić się w cza-

¹⁾ List do Jana Krechowieckiego, z Paryża 19 maja 1869.

sie. Ale teraz potrzeba, aby ów poeta sam począł działać, aby się oczyszczał. Ten, który posiadał pokorę, prostotę i czystość, który wiodł żywot na pustyni, kędy wolę, uczucia i myśl pojednał, zestroił w Bogu, ten stał się niejako naczyniem Bożej nieskończoności, stanął na najwyższym szczeblu poetyckiego natchnienia, — to Prorok, to żywy głos Boga i ludu. Drugi stopień, to wieszcz, mąż rozumny, rozmyślny, pojmujący Boga i lud, pan przedmiotu i formy pieśni swojej, ostrzem leący w świat duchowy, boski, ale nie tak uduchowiony, nie tak oczyszczony, jak prorok. Trzeci stopień, to piewca-poeta, żywy głos narodowości jakiegoś ludu, który miłuje lud ten, bierze zeń myśli żywotne i gorejące słowa. Taki piewca-poeta, jakkolwiek niższy od proroka, może być pożytecznym a nawet wielkim, jeżeli misję Bożą swego ludu głosi w pieśniach. Biada mu — woła Bohdan — jeżeli rozbrzmiewa w nich natura jego ziemską, zwierzęcą; biada mu jeśli rozmiłuje się w sztuce, ubóstwi sztukę, bo wówczas spada na stopień ostatni, — staje się tylko sztukmistrzem, a więc mniej niż pospolitym piewcą ¹⁾.

¹⁾ Notatka ta ogłoszona w tomie II. „Korespondencji“.

Mając takie stopniowanie na uwadze, zrozumimy dlaczego sąd Bohdana o Słowackim był tak bardzo surowy. On go mienił tylko mistrzem formy,—sztukmistrzem, który „puszy się jak indyk, lecz ani śpiewać, ani latać nie umie.“ W poezjach jego widzi naśladownictwo; „wszystko cudze i ladaco“. W pierwszych poezjach aż do Lambra błyszczało jeszcze—powiada Bohdan—jakieś pożyczone bajrońskie światelko, „potem już tylko kopci knotem dymiącym.“ W „Kordjanie“ widzi Zaleski naśladownictwo to „Dziadów“, to „Wacława“ i pokradzione żywcem na wzór Garczyńskiego tyrady z Goethego. „Dajmy mu już czysty pokój!“ woła ¹⁾).

O tych pierwszych czasach, w których Bohdan widział jeszcze w Słowackim „bajrońskie światelko“ wspomina także poeta nasz w małej notatce bez daty. Zaznacza w niej, że poznał się ze Słowackim u Witwickiego w Warszawie około jesieni 1829 r.—Juljusz był wtedy młodziuchny, bardzo ładny i entuzjasta. Czytał im z ogniem swoje poezje i rękopis zostawił dla poczynienia uwag. W r. 1830, widywał się Bohdan ze Słowackim często u znajomych, w ogrodach publicznych,

¹⁾ Do L. Nabelaka z Sèvres dnia 27 lutego 1834.

w alejach, gdzie literaci schodzili się gromadnie. „Juljusz—pisze Bohdan—żył całkiem w świecie poetyckim, śnił jeno o wierszach. My starsi śniliśmy już o czem innem.“—Notatka ta, zamieszczona w II. tomie „Korespondencji“—nie wiem, dlaczego pod rokiem 1844,—zdaje mi się pochodzić z późniejszych czasów; może napisana była pod wrażeniem wieści o śmierci Juljusza, technie bowiem niezwykłą łagodnością i odbija tonem od wszystkiego, co kiedykolwiek Bohdan wyrzekł o Słowackim. Jeszcze w r. 1841 powiada on o „Beniowskim“, że chociaż to najlepsze, co Słowacki napisał, chociaż jest tu ogromna fantazja, a oktawy lepsze niż samego Ariosta, chociaż wierszowanie i świetne i żwawe, język giętki i czysty, — lecz w całości brak serca i woni poetyckiej. „Słowacki—dodaje—wpadł na swój rodzaj i dlatego został od razu znamenitnym pisarzem, wątpię czy poetą... W nic nie wierzy, niktogo nie miłuje, niczego się nie spodziewa. „Nie-nawiść jego Muza, a ja brzydkie — Bogiem“. Nawet w obrazach narodowych obyczajów, widzi Bohdan gorączkowy stan duszy i woła: „Pozorna to narodowość, — gdzie mu do Soplicy!“ ¹⁾). Takich ujemnych, a nawet ostrych

¹⁾ Do Lucjana Siemieńskiego z 7 maja 1841 z Beaune.

wzmianek o Juljuszu znajdujemy wiele w „Korespondencji“. I być inaczej nie mogło, bo Zaleski twórcę „Beniowskiego“ zaliczył do kategorii najniższej:—poetów-sztukmistrzów...

O Krasińskim, którego Bohdan krótko znał w Rzymie, nie wiele znajdujemy wzmianek. Z pewną ironją mówi o nim Zaleski: „to zawsze rewelator“, filozofję jego podejrzewa o nieprawowierność, a osoba poety razi go „pańskością“. Wszakże w dzienniczku swym pod datą 27 lutego 1859, wyczytawszy w *Le Constitutionnel* wiadomość o śmierci Krasińskiego, zapisuje to z rozczuleniem w duszy i modli się. „Był to genialny człowiek — dodaje — dobry Polak i podobno nawrócony do prawowierności. Żal się Boże! — woła ze smutkiem — w niczem nam Polakom się nie szczęści! Wszelka znamienitość krócej niż gdziein-dziej świeci u nas ¹⁾“.

Kreśląc te słowa, pełne żalu, myślał zapewne Bohdan ze łzami w duszy i o swym ukochanym Adamie Mickiewiczu, którego stawiał na najwyższym szczeblu poetyckiego natchnienia, bo on „napępiał serca miłością“ ²⁾

¹⁾ Wyjątek z dzienniczka.

²⁾ Do S. Goszczyńskiego z Fontainebleau dnia 30 grudnia 1840 r.

Niegdyś na wieść o słynnej jego Improwizacji, ogłoszonej u Januszkiewicza w święto Bożego Narodzenia, Bohdan płakał z radości. Improwizację tę nazywał wspaniałą, świętą, czuł, że Adamowi zgotował Bóg wielką w Polsce misję, spodziewał się cudu, czegoś nowego i wołał do Adama: „Pójdę, o pójdę za tobą!“ ¹⁾. — I chciał iść; wahał się! Zrazu „podejrzewał“ — jak sam powiada, — że Towiański jest prawdziwym prorokiem ²⁾. Pod wpływem pójczyściej tęsknoty, wyglądał cudu, skłonny był w cud uwierzyć, choćby narzędziem jego był Towiański; chwycił w lot wieści z Rzymu o nawróceniu się Ratisbona i mnichu ojcu Bernardzie, który podobnie jak Towiański wieścił wielkie i nagłe przemiany ³⁾. Chciał iść za Adamem, lecz po za granicę dogmatu nie poszedł; w nowe Objawienie nie chciał i nie mógł uwierzyć.

Odbывa się jednak podówczas w duszy jego wielka, niewysłowiona tragedia; nawołują go przyjaciele przy Proroku Towiańskim, głosząc „nowe czyny i nowe przeznaczenia“,

¹⁾ Do Adama Mickiewicza z Fontainebleau dnia 29 grudnia 1840 r.

²⁾ Notatka. Kor. T. I. str. 264.

³⁾ Do ks. Hubego w Rzymie z Fontainebleau dnia 23 lutego 1842 r.

pociąga ku nim serce, kusi usposobienie roz-
tęsknione, religijno-mistyczne, kusi fantazja
poetycka.—I w tej rozterce duchowej, ucieka
Bohdan w lutym 1843 r. do Endoume, do
owego dzikiego i cichego ustronia, kędy on-
gi, przed laty, było mu tak błogo, gdzie do-
świadczał najserdeczniejszych natchnień. Tam
na pustyni, wobec nieogarnionego, błękitnego
morza, które płasza ku brzegom z dawnym
rozgłosem, długo i gorzko płacze, — a potem
w dawnej altance swojej, kreśli rzewną mo-
dlitwę: „Marjo opiekunko sierot! Niech Anio-
łowie twoi strzegą kroków moich, bo nie wiem
gdzie głowę już przytulić. Smutno mi, strasz-
no spoglądać w przyszłość. Idzież Chrystus,
czy Antychryst? Cudu! cudu! abym
poznał, uszanował Prawdę“¹⁾).

Opiekunka sierot wysłuchiwała modlitwy.
Bohdan nie odstąpił Prawdy i czcił ją do
końca. Z Endoume jedzie do Cività Vecchia
i do Rzymu, a 23 maja 1843 r. (nie w 1842
jak dotąd mniemano) jest już w Smyrnie,
jako pielgrzym do Ziemi Świętej. W jesieni
tegoż roku wraca z pielgrzymki, odbywa jesz-
cze rekolekcje w klasztorze Trapistów i już
zupełnie rozjaśnia mu się w duszy. Kocha

¹⁾ Not. z dnia 10 lutego 1843.

zawsze Adama i nie zrywa z nim zupełnie
stosunków, nie zrywa też przyjaźni z Gosz-
czyńskim i Karolem Różyckim, ale w wie-
rze jest już niezachwiany. Na widok obłędu
swych najlepszych przyjaciół „serce ściska
mu się w płacz“, ale ma siłę potępić błędy,
miłując zawsze ludzi. Pozostaje wierny swoim
ideałom, miłości Polski i Ukrainy i miłości
ludu. Bo on ten lud kochał całą duszą, —
co zwłaszcza w czasach obecnych z tem więk-
szym naciskiem podnieść należy, — kochał lud,
lecz obawiał się dla niego złych wpływów,
fałszywej oświaty. „Sewerynie! — wołał do
Goszczyńskiego — nie przyjdziecie wy nigdy
do ładu z ludem, póki nie uszanujecie jego
wiary i nie rozniecicie wielkiej miłości w Chry-
stusie“¹⁾

Bohdan za młodu pisał o sobie, że nie
wyciąga rąk do sławy, a w starości późnej
zaznaczył w notatce, że nie przecenia zby-
tnio swej poetyckiej sławy, która tętni gdzieś
za nim, a wydaje mu się jak przelotna ku-
rzawa i wrzawa, co osiadła na drodze wio-
śnianych ongi wyścigów... Nie zazdrościł też
nigdy tryumfów współzawodnikom, co go
prześcignęli, owszem przyklaskiwał im z ca-

¹⁾ Z Beaune 12 sierpnia 1184.

łego serca, w uczuciu chluby narodowej.¹⁾ I nie dowierzał zbyt Mickiewiczowi, który go nazywał „słowikiem“. Upatrywał raczej w sobie podobieństwo do skowronka, który kocha się w poranku wiosnianym. On jak skowronek lubi bujać pod niebiosami i spada rychło na ziemię rodzinną, między rodzinne zboża i trawy; jak skowronek powtarza codzień to samo, ani się zniechęca, ani łąje na Opatrzność, rad, wesół póki wiosny i pogody.²⁾

Ale przeminęła wiosna. Już w późnej starości, w listach do jednego z najdawniejszych przyjaciół, jeszcze humanistycznych, — kreślonych w zmierzchu życia, w melancholijnym ciemniku marzeń pogrzebanych, przypomina czasem Zaleski to zaranie ich wiosny, bujne jej kwiecie, uczucia i myśli, które nie związały się na owoc. „Żał się Boże — pisze — pięknych zapalów i szarów! Niesprzyjała pogoda w całej Polsce i z siejby Tomasza Zana lichy został się plon! ³⁾— Weterani z roku 1831, wykolejeni z nowych prądów, po któ-

¹⁾ Notatka.

²⁾ Notatka bez daty, ogłoszona w Tomie II. Ko- resp.

³⁾ Do Jana Krechowieckiego z Paryża 19 maja 1869.—

rych pędzą młodsze pokolenia, módlmy się jeno o błogosławieństwo Boże dla nich, o błogosławieństwo na lepszą dolę i na skuteczniejszą służbę św. Kościołowi i Ojczyźnie... Tyle już naszego, bracie, na ziemi!.. Smutno kończy się wiek XIX, nie tak zgoła, jak wróżyliśmy między sobą za młodu. Potomkowie atoli ujrzą bodaj uiszczone nadzieje wieszczów narodu¹⁾.

Z taką niezłomną wiarą i z taką nadzieją zamykał poeta oczy na spoczynek wieczny w obcym cichem Villepreux, w roku, który, wedle jego tułackiej rachuby był 55 rokiem tęsknoty do Ojczyzny-Polski a 67 rokiem tęsknoty do Mateczyny-Ukrainy.

W takiej to szacie gorącej wiary a prawdziwie gołębiej prostoty ukazuje się nam Bohdan w swoich szczerych, serdecznych listach. W listach tych jaśniej w pełni przed nami ta postać, promienna nie tylko poetyckim natchnieniem, ale wielką niezłomnością zasad i ducha.

U mogiły ukraińskiego piewcy mogłem oto podnieść zaledwie kilka piórek, które go

¹⁾ Do tegoż z Paryża 19 grudnia 1877 i z 17 czerwca 1878.

niegdyś ku niebu wznosiły; piórek czystych, nieskalanych, jak czystą i nieskalaną była cała jego dusza. — A za to, że był takim, że wytrwał niezłomnie, należy mu się od tej Ojczyzny, do której tak tęsknił, od narodu, który tak kochał, od tej ziemi, która w garść ściśnięta „krwią ciecze i łzami płacze“, — należy mu się od nas wszystkich nie tylko po dziw, lecz wielka miłość i ogromna cześć.

U Bohdana Zaleskiego.

Villepreux - Les Clayes! Villepreux - Les Clayes!

Po tylu latach słyszę jeszcze wyraźnie przeciągle, jednostajne brzmienie głosu konduktorów, wywołujących nazwisko stacji szczególniejszego dla mnie znaczenia. Miałem oto za chwilę poznać i powitać tego, którego imię słyszałem od lat dzieciennych, wspominane w rodzicielskim domu z niezwykłą miłością, którego własnoręczny odpis „Pyłków“ widziałem przechowywany ze czcią jak relikwja, którego postać, chociaż nigdy osobiście nie widziana, była mi znana tak dobrze, nie tylko z wizerunków, lecz jeszcze lepiej z opowiadań ś. p. ojca mego.

W świetle tych opowiadań nie mogłem sobie wyobrazić Bohdana Zaleskiego inaczej, tylko wątłym, jasnowłosym chłopaczkiem, ta-

kim, jakim był w szkole bazylińskiej w Humanu, a potem pięknym, urodziwym młodzieńcem o marzących oczach. Innym bo też nie znał go i nie pamiętał mój ojciec; część tę dzieciństwa sielskiego, część młodości górnej spędzili razem... a potem wiek męski, wiek klęski—rozdzielił ich na zawsze. Lata mijały, przyszła starość, rozdzielała ich zawsze ogromna przestrzeń, ale łączyła nierozdzielnie głęboka przyjaźń, wspólność myśli i uczuć—związek jakby rodzinny. W ówczesnych bowiem „romantycznych“ duszach takie było pojęcie przyjaźni, o którym daremnieby mówić dzisiejszemu pokoleniu; pojęcie, stawiające na równi ze związkiem pokrewieństwa, jeśli nie wyżej, uczucie przyjaźni z własnej woli i wyboru powzięte, i obowiązujące do ciągłej o sobie pamięci, do podziału wszelkich trosk i radości. Była wielka siła pamięci w tych romantycznych sercach.

Myślałem właśnie o tem, dojeżdżając omnibusem ze stacji kolei żelaznej Villepreux, do miejsciny tej nazwy i willi, w której mieszkał sędziwy poeta. Myślałem, że siła tej przyjaźni i pamięci musiała być wielka, skoro oto bez żadnego wysiłku przeszła na drugie pokolenie. Przyjęty w Paryżu z braterską czułością przez młodych Djonizego i Ka-

rola Zaleskich, jechałem teraz do ich czcigodnego ojca z tem uczuciem, że jadę do najbliższego rodzinnego domu.

Dzień był ciepły, nieco mroczny wczesnej jesieni (1887 r.) Zająłem miejsce na wyżynie omnibusu, aby lepiej widzieć wszystko i okiem biedz naprzód, razem z myślą ku siedzibie poety.

Okolica równa, jednostajna; droga wije się wśród pól uprawnych, w oddali widać wstęgę siną lasu, a bliżej, po stronie prawej, park duży, otaczający zapewne jakąś większą rezydencję. Obok mnie na ławeczce usiadł jakiś rolnik w bluzie i, pykając z krótkiej fajeczki, ciągle coś rozprawia. Ale ja go nie słucham, wpatrzony w dal, kędy już ukazują się domki i dworki miejsciny. A otóż i willa napoty zasłonią drzewami. Poznaję ją, odczuwam sercem.

U furtki dostrzegam postać niewielką, a krępą, z długą siwą brodą. Stoi, patrząc na zbliżający się omnibus i trzyma za rękę dziewczątko małe. To on! to czcigodny poeta stepu, lirnik ukraiński i mała wnuczka jego, sierotka, Bohdana, dziecko nieżyjącej już podówczas córki jego Józefy i na równi z synami ukochanego zięcia, dr. Aleksandra Okińczyca.

Omnibus się zatrzymał, a ja w tejże chwili byłem przy tym czcigodnym starcu, pochylony do jego ręki, w jego serdecznem objęciu, czując na swoim czole i twarzy jego gorące pocałunki. Nie zdołałem opisać tej chwili. Było w niej więcej milczenia niż słów, więcej wpatrywania się w siebie, niż zapytań.

Czułem na sobie bystre, przenikliwe spojrzenie jasnych, a pełnych blasku oczu Bohdana, śledzące zapewne w mojej twarzy rysów podobieństwa z tym od pół niemal wieku pożegnanym druhem, którego w listach zawsze swym „Jasiem humańskim“ nazywał...

A ja, do głębi wzruszony, nie mogłem oczu oderwać od tego oblicza, którego piękne, wyraziste rysy siwizna starości przyoblekła w dziwny majestat, w patryarszą powagę.

Nadbiegł dr. Aleksander Okińczyc, ukochany przez wszystkich, którzy go znali, przez swoich i obcych, uosobienie szlachetności uczuć, miły, serdeczny a rozumny. Powitał mnie jak brata, chociaż obaj nie wiedzieliśmy jeszcze, że niebawem połączyć nas mają bliskie związki powinowactwa.

— Oto mój syn starszy, a zarówno z innymi ukochany—rzekł Bohdan.—Spotkaliśmy

się tu, pokumali i pokochali „na czużyni“... On z Litwy, a ja, hen, od stepów ¹⁾.

Zamilkł starzec wzruszony. Brwi duże, nastrzępione zsunęły się nad oczyma, których blask przyćmiła mgła łzawa, sprowadzona wspomnieniem nigdy niezatartem stepów „pożegnanych nie wczora“ i świeższem — boleśnej straty ukochanej córki.

Weszliśmy do wnętrza domu. Niewielki, ale wygodny; urządzony skromnie, ale dostatnio. Wszędzie zaś duch dziwnie pogodny, duch spokoju, z odcieniem rzewnego smutku, artyzmu i poezji. Na ścianach w salonie porozwieszane obrazy, i wizerunki Bohdana: obok fortepianu, na stalugach rozpoczęty szkic, pendzla Okińczyca, który w wolnych od zajęć chwilach z zapalem oddawał się malarstwu.

Rozpoczęła się rozmowa, zrazu „niesklejona“, jakby powiedział Bohdan, przerywana często wesołym szczebiotem Bohci. Wkrótce wszakże ożywiła się ta rozmowa. Poeta zatonał we wspomnieniach dzieciństwa. Z ży-

¹⁾ Aleksander Aksak-Okińczyc, z powiatu Nowogrodzkiego, ożeniony 1-o v. z Józefą Zaleską, 2-o v. z Anną Krechowicką. Zmarł na niedługo przed Bohdanem. Śmierć ta była ostatnim ciosem, jaki życie zadało czującemu głęboko sercu poety.

wością młodzieńczą wypytywać mnie się począł o ojca mego: czy się bardzo postarzał? czy osiwał? czy zapuścił „w pas“ brodę, jak on?... A w usposobieniu czy się nie zmienił? czy zawsze skłonny do marzycielskich rojeń?

Opowiadałem wszystko szczegółowo, jak mogłem i umiałem, a Bohdan słuchał z namiętnością, przenikając mnie wzrokiem błyszczących oczu. Czasami przerywał i sam zaczynał mówić z młodzieńczą werwą, gestykulując żywo, przyczem miał zwyczaj uderzać palcami o dłoń.

— Ojca twego pamiętam, jakbym go wczoraj pożegnał... pamiętam wątłym chłopczkiem w humańskiej szkole... razem z Sewerynem (Goszczyńskim) i Michałem (Grabowskim). Hej, hej, co się nam naówczas nie śniło!... Twemu ojcu dogadzała bardzo i pieściła go matka. Raz w raz przychodziły z Leszczynówki od pani Podkomorzyny ¹⁾ jakieś przesyłki, przysmaki... Jeszcze teraz mam smak w ustach pewnych pierożków z konfiturami... Były wyborne... już potem nigdy takich nie jadłem...

¹⁾ Paulina z Wielobyckich Krechowicka, podkomorzyna humańska i zwinogrodzka, matka Jana.

Uśmiechnął się Bohdan.

— Potem jadałem inne, może lepsze, ale smaczniejszych nigdy!... Po każdej takiej przesyłce następowała koleżeńska uczta... Rozprawialiśmy, wiedliśmy dysputy, układaliśmy różne plany prac literackich, czytaliśmy wypracowania... „Świeć się, świeć się, wieku młody, śnie na kwiatkach“...

Zamilkł wzruszony, gładząc ręką długą, siwą brodę. A potem znów powracał z lubością do tych wspomnień, które snadź były mu bardzo drogie, skoro utkwiły w pamięci z taką drobiazgowością.

Zarówno jak o tych pierożkach, pamiętał o każdym szczególe, tak o rysach twarzy, jak o znamiennych rysach charakteru młodziutkich swych ówczesnych kolegów. W ogóle Bohdan miał zdumiewającą pamięć ludzi, stosunków, okolic od tylu lat pożegnanych. Mówił o wszystkim niezmiennie żywo, z zapalem, barwnie a z ujmującą prostotą. Była wszakże jedna godzina w dniu, przed wieczorem, w której poeta milknął; godzina dumania, chwila rozmowy z ukochanymi zmarłymi i modlitwy za ich dusze. Na tę godzinę zamykał się Bohdan w swojej sypialni na piętrze i nie wpuszczał do siebie nikogo; wyjmował i odczytywał dawne listy, przeglądał pamiątki, rozmyślał i modlił się. Prze-

żywał codziennie jedną godzinę w dawnym swym świecie, i jeszcze chwilę potem piękna jego twarz zachowywała wyraz rzewnej zadumy.

W ciągu mego pobytu w Villepreux rozmowa schodziła nieraz na Mickiewicza. Zarzucałem Bohdana pytaniami, on odpowiadał na każde szczegółowo, a już w samym sposobie wymawiania imienia Adam, z niezwykłą jakąś uroczystością, przebijało się gorące uwielbienie i wielka cześć, jaką żywił ukraiński poeta dla genialnego swego przyjaciela.

— W sierpniu 1841 roku — mówił — byłem jeszcze w Beaune, i tam już nadchodzić zaczęły do mnie i niepokoić dziwne wieści o Adamie. Wkrótce otrzymałem od niego ów znany wiersz:

„Słowiczku mój, a leć, a piej...”

Treść jego wydała mi się niejasna. Nie mogłem pojąć, dlaczego Adam nazywa poezję pieśnią pożegnalną, skończoną? jakie spełniły się sny? skąd wyszedł głos i jaki stał się cud? Zatrwożyło mnie to niemało. Postanowiłem przekonać się naocznie i z Beaune wyjechałem natychmiast. Z Fontainebleau, gdzie miałem stałe mieszkanie, napisałem do

Adama i przesłałem mu moją wierszowaną odpowiedź na jego wiersz:

„Kto? z jakich stron? w przeczysty ton,
Jak zwierciadlany źródło,
Niewoli słuch?...“

W parę dni potem byłem w Paryżu, u Adama. Powitanie to było niezmiernie serdeczne. Ale zaraz począł mi mówić o „Proroku“ i zapowiedział, że on sam wnet nadejdzie, aby wszystko wyjaśnić i objawić.

Zeszła się tymczasem gromadka najbliższych; przyszedł Goszczyński i Gorecki. W pewnym niepokoju i milczeniu oczekiwaliśmy przybycia „mistrza“. Drzwi się zagnały otworzyły i wszedł. Nie witając się z nami i nikomu nie podawszy ręki, stanął pod kominkiem i zaczął mówić. Postać jego, przyodziana w długi, ciemny surdut, nie uczyniła na mnie wrażenia, a raczej wywarła ujemne. Wydała mi się bardzo pospolitą. A to co mówił, wierzącego w Objawienie Boże przekonać chyba nie mogło. Była to znana już później dokładnie jego nauka o przechodzeniu dusz, wypowiedziana stylem napuszonym, pełnym górnolotnych i niejasnych frazesów, tonem zimnym, bez zapachu. Uważałem jednak, że inni, a szczególnie Adam, słuchali tego wykładu z napięciem, w uro-

czystem skupieniu. Ja zaś coraz bardziej chłodziłem i zupełnie już obojętnie doczekałem się końca wykładu.

Towiański zaś, skończywszy tak samo, jak przy wejściu, bez ukłonu i bez pożegnania wyszedł.

Ale teraz wstał Adam i, zajmując miejsce „Proroka“ przy kominku, począł mówić.

Mówił w natchnieniu, z porywającym zapalem. Nie rozprowadzał i nie objaśniał teorii „Mistrza“; mówił o wzniosłej idei miłości bliźniego, o obowiązku wzajemnego wspierania się i ścisłego skupienia. Gorącem a podniosłym słowem poruszył nas do głębi, zapalił, rozczył. Gdy skończył, rzuciliśmy się ku niemu, ściskali a całowali ze łzami. Ja zaś spytałem go z cicha:

— Adamie, wierzysz-że ty zawsze w Chrystusa?

Za całą odpowiedź rzekł mi on:

— Jeżeli chcesz, jutro rano przystąpimy razem do Stołu Pańskiego.

A zwracając się do Goreckiego, dodał:

— Zmów teraz z nami Ojciec nasz.

Uklękliśmy wszyscy, a Gorecki począł w głos odmawiać Modlitwę Pańską. Ozwąło się szlochaniem, płakaliśmy wszyscy wielkimi, rzewnymi łzami.

— Bo wy młodzi — kończył Bohdan — nawet pojęcia mieć nie możecie, jak Gorecki odmawiał Ojciec nasz. W jego ustach ta pełna prostoty modlitwa nabierała dziwnego znaczenia; był to wielki hymn wiary, nadziei i miłości, skruchy, żalu i przebaczenia...

Zamilkł starzec, głęboko wzruszony, a ja wyczekawszy chwilę, nie chcąc tracić sposobności zdobycia jeszcze więcej szczegółów o tych ludziach tak wielkich duchem, o tych czasach tak odrębnych od naszych, zacząłem znowu rzucać pytania. Między innymi pytałem: czy i w jakim stopniu Towianizm wpłynął na stosunki osobiste Adama z Bohdanem? czy nie wywołał pewnej rozterki, jak to się stało z Witwickim?

Była chwila milczenia. Ale wnet Bohdan ruchem ręki zaprzeczył, a potem głosem stanowczym rzekł:

— Nie! Adam był zawsze jednakowo dobry dla mnie... Raz pamiętam, wszedłem do kościoła, w którym odbywało się nabożeństwo żałobne za duszę jednego z adeptów nowej doktryny. Ujrzałem Adama opartego o filar, pogrążonego w zadumie. Zbliżyłem się, chcąc go powitać. Ale on ani spojrział na mnie i na pozdrowienie nie odpowiedział. Zrobiło mi się tak ciężko na ser-

cu, że nie mogąc się wstrzymać, wybiegłem z kościoła. Szedłem szybko, wzburzony przez ulicę des Champs, gdy wtem postyszałem za sobą przyspieszone kroki i wołania:

— Bohdanie! Bohdanie!

Odwróciłem się i ujrzałem Adama idącego ku mnie z otwartymi ramionami:

— Daruj mi! daruj!... — mówił zdyszany — ale nie mogło być inaczej... tak być musiało...

Ścisnął mnie z niewymowną czułością i rozrzewnieniem. Bo w tym wielkim człowieku było wielkie i pełne dobroci serce.

Na takich to rozmowach mijały godziny... A dziś, po latach tylu, wydaje mi się to wszystko jak sen uroczy. Sen, w którym jasno, wyraźnie, w majestacie patryarszej powagi promienieje śliczna postać sędziwego poety. Z jego błogosławieństwem odjechałem wkrótce potem na dalszy trud życia...

A dziś? a teraz?

Świat omamień mych pomału
Niknie z lekką mar drużyną;
Coraz rzadsze dni zapалу
I łzy czucia rzadziej płyną!...

Dworek w Villepreux pusty. Na cmentarzu tamtejszym mogiła Aleksandra Okińczyca, a na cmentarzu paryskim Montmartre, otoczone powszechną czcią ziomeków, spoczywają zwłoki Bohdana... Zostało żywe w sercu wspomnienie.

Kartki z dziejów polskiego tułactwa.

Rok 1835/6.

I.

Dziwnego wrażenia doznaje się w dobie obecnej, czytając relacje piśmienne lub listy wychodźców polskich, rozproszonych we Francji po r. 1831. Odkrywają nam one tajniki serc, nieraz zrozpaczonych, zbłąkanych nawet, goryczą przesiąkniętych, zatroskanych o chleb powszedni, rozdzielonych zawiścią stronnictwa, ale zarazem niezwykle skłonnych do najszlachetniejszych porywów i poświęceń.

Śluszenie też Lubomir Gadon w dziele swem o Emigracji Polskiej ¹⁾ zaznacza, że jeśli pomimo rozprężenia, rozterek i waśni, Emigracja nie obróciła się w nicość, nie znikła jako całość, to dlatego, że była w niej siła wyższa, która ją mimo wszystko spajała.

Podstawę tej siły stanowiła głównie niewzruszona wierność dla myśli ojczystej, miłość Ojczyzny do najwyższego spotęgowana stopnia. A cementem spajającym w danej chwili poważnione nawet i rozterką polityczną rozdzielone umysły, było tkwiące głęboko w duszach tułaczów uczucie braterstwa. Wobec cierpiących „braci“ znikła waśń wszelka. Ztąd też samolubnych rysów niezmiernie mało w wewnętrznych dziejach polskiego wychodźstwa.

Na podłożu tęsknoty za krajem ojczystym, zawiedzionych nadziei, rozczarowań, troski o chleb codzienny, krzewiły się natomiast inne wady, nieodłączne od natury ludzkiej. Rodziły się szalone pomysły: „Bodajby przyszło namówić naszych do konfederacji,—pisał emigrant Adam Celiński z zakładu w Agen, w początkach roku 1836,—do zawiązania jej pod otwartem niebem, do wzgardzenia żółdem i rzucenia się—o, tak na wolę Bożą! Jest tu kilku ludzi determinowanych, znajdzie się jaki to w tym, to w owym zakładzie. Kilku ludzi zaimponuje masie,—musi iść. Gdzie? tam na Północ, ku Polsce żórawim instynktem“ ¹⁾.

¹⁾ *Lubomir Gadon*. „Emigracja Polska“ Tom. III. str. 292. 293.

¹⁾ List do Bohdana Jańskiego w manuskrypcie.

Przerzucano się też z jednej ostateczności w drugą: z wielkich nadziei do krańcowej rozpacz, z zupełnej bezbożności wpadano w mistyczną ekstazę.

Przemiany te polskiej duszy tułaczey najlepiej zaobserwować się dadzą w minjaturowym odbiciu emigranckiego życia, w którymkolwiek z tak zwanych Zakładów. — Zakłady te, utworzone na wzór organizowanych przez Napoleona I *dépôts des prisonniers de guerre*, miały zrazu charakter wojskowy i pozostawały pod kierunkiem Rad, pochodzących z wyborów. Z czasem zacierał się charakter wojskowy, rozluźniała karność a natomiast wielka polityka ogarniała żadne zajęcia umysły, rozróżnione i rozgoryczone serca. Na wzór paryski tworzyły się kluby i stronnictwa. „Leleweliści“ wiedli bój z „lambecistami“, arystokracja z demokracją, tworzyły się łóże wolnomularskie, węglarskie Wenty, kapituły, namioty. — Rozprzężenie staje się niemal zupełne.

Lecz równocześnie następuje reakcja. Sztandar religijnego skupienia, prostoty w życiu, wywiesza Bogdan Jański, prawdziwy, rzecz można, Apostoł Emigracji. W r. 1835 zawiązuje on „Bractwo służby narodowej“, wznosząc je po nad wszelkie stronnictwa i właśnie polityczne, aby było „strojem w rozstroju“.

W około tego „Bractwa“ i w rok potem założonego „Domku“, gromadzą się tacy ludzie jak: Mickiewicz, Bohdan i Józef Zalescy, Witwicki, Wielogłowski, Plater... Skromny, ubożuchny „Domek“ zaczyna rozsiewać najpiękniejsze promienie. A Jański, sam ubogi, zarabiając lekcjami, prowadzi gospodarstwo „Domku“, zwątpiałych krzepi, uboższych wspomaga, dostarcza książek, chorych pielęgnuje, umarłych grzebie. A nie zapomina przytem o Zakładach; wysyła tam „nawróconych“ przez siebie „braci“, aby z kolei krzepili na duchu, godzili i „nawracali“ innych.

Było to niewątpliwie trudnem, często niepodobnem do skutecznienia zadaniem, — brano się jednak do tego z niezmiernym zapalem i wywoływano nieraz wzniosłe porywy, które znów pojąć trudno bez głębszego wniknięcia w tajniki tych dusz tułaczey, prześlaskniętych goryczą i tęsknotą.

W Agen, starożytnem miasteczku w departamencie Lot et Garonne, mieścił się jeden z emigranckich zakładów, mniej może liczny od takich, jak w Avignon lub Besançon, lecz nie mniej burzliwy i poważniony. Jak wszędzie tak i tu zaciętą walkę prowadzi tak zw: „demokracja“ z tak zw: „arystokracją“, i tu są „kapituły“ i „wenty“ karbonarskie i tu także działają członkowie łóże wolnomu-

larskich. — Z końcem roku 1835 znajdujemy tu między innymi kapitana Leona Przecławskiego, poetę Celińskiego Adama i młodszego od nich Józefa Kłosowicza, odznaczającego się niezwykłą odwagą. W kampanji 1830 r. licząc zaledwie lat 17, jako kadet kaliski zdobył trzy krzyże; w bitwie pod Ostrołęką prowadził bataljon do ataku, a stracił w niej ojca i dwu braci ¹⁾.

I oto taki młodzieniaszek, bez życiowego doświadczenia, z sercem pełnem zapału a rozdartem podwójną żalobą, po straconych nadziejach narodowych i po najbliższych sobie istotach na ziemi, pozbawiony wszelkiego kierunku, rzucony jest od razu, nagle, na obcą ziemię, w wir walk i waśni emigracyjnych. Im większy był zapał, tem sroższe teraz rozczarowanie, tem boleśnieszce odczucie sieroctwa i opuszczenia na obczyźnie; im mniej doświadczenia, tem więcej zaufania we własne siły, tem większa skłonność do wyzywania niebezpieczeństw, przerastających te siły, i do zupełnego zwątpienia w razie porażki. — Z krótkich wzmianek, jakie spotykamy w listach współczesnych, wnosić można, że ów

¹⁾ Z listu Adama Celińskiego do Bogdana Jańskiego 11 grudnia 1835. Mss.

dzielny kadet kaliski, zaszedł rzeczywiście w pierwszych latach emigracji na sam brzeg przepaści zatracenia. Poczęto go lekceważyć, a wreszcie gardzić nim, „potrącać“, jak się w jednym z listów wyraża Celiński. Przytułił go wreszcie w zakładzie w Agen, starszy od niego wiekiem, kapitan Leon Przecławski. Znacznie rozważniejszy, choć sam nie dość jeszcze wówczas zrównoważony, Przecławski już w r. 1835 ulegał wpływom Jańskiego, a z natury skłonny był do wiary w nadzwyczajności. Ta wiara płynęła zrazu z poczucia własnej siły, która mogła, zdaniem jego, przełamywać największe przeszkody, stojące na drodze szalonym nawet przedsięwzięciom. Następnie stała się wiarą w bożą Opatrzność. „Ja—pisał do Bogdana Jańskiego w r. 1835 ¹⁾ z własnych moich i rewolucyjnych poświęceń się, później w emigracji już robionych wypraw, mam wiele doświadczenia; ja rzeczy niepodobne, nawet *warjackie*, przy Opatrzności Boga robiłem; dosyć ci powiem, z bronią w rękę trzy razy przez armję rossyjską byłem z Warszawy w Połędzie. Nikt nie chciał wierzyć oczom swoim; miano mnie i Wołowicza za zgubionych. Jednak przy łasce,

¹⁾ Mss.

choć *dawniej nam niewidomei*, żyjemy, a ktoż powie, jakie jest dalsze przeznaczenie moje...

W najściślejszej przyjaźni z Przecławskim żył Adam Celiński. Urodzony w r. 1809, uczeń liceum Krzemienieckiego i Warszawskiego Uniwersytetu, znany był wśród współczesnych jako pełen talentu poeta. Postać ta, niezmiernie interesująca i oryginalna, zasługiwałaby na osobne studjum, któreby jednak przekroczyć musiało znacznie ramy niniejszego fragmentu. Na razie nadmienię tylko, że poezje Celińskiego, całkowicie przygotowane do druku, dziwnym trafem, zaginęły bez śladu. Z małych urywków, jakie się dochowały, trudno wyrobić sobie sąd o całości. Zdaniem wszakże Bohdana Zaleskiego, Celiński był niepospolitym lirykiem; w poezjach jego górował pierwiastek wyższy, mistyczny a opromieniało je gorące uczucie patriotyczne ¹⁾. Rzecz przytem dziwna: tworzone na długo przed pojawieniem się Towiańskiego, tchnęły jakby jego duchem. „Goszczyński i Różycki, pisze Bohdan Zaleski do ks. Kajsiwicza, — którym czytałem kilka kawałków Celińskiego, nie mogą się wy-

¹⁾ Koresp. Bohdana Zaleskiego Tom 2. str. 153—166.

dziwić, krzyczą, że prorok, ale zwichnął się“.

Na prawdę całe życie Celińskiego, jak wielu z tego pokolenia, było zwichnięte. W powstaniu marzyciel, pragnący życie oddać za Ojczyznę, na tułactwie zrozpaczony rozbitek, w Szwajcarji karbonarjusz, na paryskim bruku nędzarz, opanowany szaleem gry karcianej, niedowiarek, szyszczący z religji, głośno bluźniący Boga. „Adam, zapisuje o nim w swym dzienniku Bogdan Jański, — w opętaniu apostazuje“ ¹⁾.

I oto Jański mocą wpływu, jakie na otoczenie swe wywierał, podnosi go i wyrwa z tej toni moralnego upadku. Pokrzepiony na duchu, wyprawia się Celiński z Paryża do Agen, — pielgrzymuje tam pieszo, niemal o żebranym chlebie i przybywa na miejsce w połowie listopada 1835 r., Przecławski, sam nędzarz, przyjmuje go z otwartemi rękami, i we trzech z Kłosowiczem postanawiają prowadzić dzieło Jańskiego w zakładzie ażeńskim, to jest godzić, jednoczyć, „nawracać“ powaśnionych i nie wierzących „naszyńców“, jak nazywali swych współtułaczy.

¹⁾ Historia Zgrom. Zmartwychwstania Pańskiego. Tom I. str. 44.

Zbliżała się piąta rocznica wybuchu powstania a więc najlepsza sposobność do rozpoczęcia dzieła zjednoczenia. Przeclawski i Celiński postanawiają dać przedewszystkiem jawny dowód swej wiary i z rana w dniu 29 listopada odbyć spowiedź i przyjąć publicznie komunję św. Nie przyszło im to bez wysiłku. Celiński sam wyznaje w liście do Jańskiego, że Przeclawski bez niego a on bez Przeclawskiego nie byłby się na to zdobył. O Kłosowiczu w tej sprawie zrazu nie było mowy, jakkolwiek bowiem pozostawał on już pod wpływem Przeclawskiego, do praktyk religijnych nie był jeszcze skłonny. Przeważył szale—sen. Oto na tydzień przed rocznicą, ukazał mu się w nocy, we śnie, cień ojca, poległego pod Ostrołęką. Uczyniło to na nim piorunujące wrażenie. „Trzeba go było widzieć—pisze Celiński—aby uwierzyć; trzeba było widzieć tego nowego Hamleta, jego wzrok obłąkany; dwa razy padł u nas na ziemię. Dla jednych śmiech, dla drugich zgorznienie. Ale w nas najżywszą obudził czułość. Wzięliśmy go zaraz do modlitwy; kląkł z nami i zaczął się modlić i razem z nami dał się namówić do spowiedzi“.

W zakładzie czyniono tymczasem przygotowania do obchodu rocznicy, a raczej do dwu obchodów, bo „naszyńcy“ w zakładzie

ażeńskim podzielili się na dwa obozy. Przeclawski i Celiński otrzymali zaproszenia od obu partji i oba zaproszenia przyjęli, dając i tu i tam oznaczoną składkę, w zamiarze pojednania zwaśnionych. A przedewszystkiem udają się do przebywającego w zakładzie księdza Jasieńskiego, z prośbą, by po nabożeństwie odczytał w głos modlitwę z „Ksiąg Pielgrzymstwa“, na co ksiądz Jasieński przystał.

Sam opis obchodu przytaczam dosłownie z listu Celińskiego do Bogdana Jańskiego z d. 11 grudnia 1835 ¹⁾:

„Nadchodzi dzień 29-go. Spowiadamy się we trzech, klęczymy publicznie całą mszę i komunikujemy. Kościół był napełniony ludem; nasi byli niemal wszyscy, a kiedy X. Jasieński uroczyście zaśpiewał „Panie Boże Wszemogący“ do głębi wzruszyły się nasze wnętrzości. Ci nawet, co się głośno powiadają materialistami i ateuszami, wzruszenia wstrzymać nie mogli. W tej chwili święta Polskość zwyciężyła marne doktryny. Spowiedź nasza niemałe zrobiła wrażenie na umysłach. Krok to z naszej strony, nie chwając się, heroiczny. Jeden tylko się znalazł, co nie

¹⁾ Mss.

mógł udusić w sobie śmiechu, ale nas potem uniżenie przepraszał. Pobłogosławił Bóg dniowi temu; mimo wielkich trudności udało się nam pogodzić obie strony. Połączyli się tedy wszyscy Polacy tutejsi razem, w domu Ratowicza; muzyka uderzyła „Jeszcze Polska nie zginęła!“, rzucili się jedni drugim w objęcia; nastąpiła zupełna zgoda i jednomyślność. Ja miałem mowę; mówiłem z natchnienia, z zapalem; nie wahałem się wytknąć prawd ostrych. Ksiądz mi dziękował, że się ujął za religją, a jako demokrata, że z uniesieniem mówił za ludem. Leon (Przeclawski) miał mi tylko za złe, że zanadto zuchwale bronił szlachty naszej. Wszystko jednak uszło i najlepiej było przyjęte. Kilku Francuzów obecnych, z zapalem ściskając mnie za rękę mówiło: *j'ai tout compris!* Jeden z nich, Basse, uczony adwokat, przetłumaczył wiersz naszego Mickiewicza „Do Matki Polki“ i deklamował nam. Drugi Jasmin, poeta gaskoński, prawdziwy trubadur z nad brzegów Garony, improwizował nam z gitarą w rękę,—słowem wszystko poszło przedziwnie. Wyraźny to palec boży. Jakto, spowiadać się i komunikować publicznie i zamiast tytułu świętoszków, zamiast pogardy, znaleźć zwiększony szacunek i potrafić połączyć zwaśnionych, to-cuda prawdziwe!... Baliśmy się je-

dnak, aby ta zgoda patryjotyczna nie była chwilowa i z jutrem jak dym nie uleciała. Próżna obawa, wszystko dotąd idzie pocziwie. Cztery dni temu zeszliśmy się dla zawiazania ogólnego zgromadzenia. Jednomyślnością wybrany zostałem sekretarzem. Wybrano nadto pięciu komisarzy do zredagowania ustawy porządkowej, wszystkie akta z obu stron, akta kłótni, obmowisk i głupstw publicznie spalono. — Na przyszłą niedzielę t. j. 20 grudnia, uporządkuję się i wydamy odezwę do całej emigracji, aby w duchu cnotliwym, polskim wyrwała się z odrętwienia. Zaprosimy naprzd do współdziałania wszystkie sąsiednie zakłady, a wpłyniemy na to, ja z Leonem, aby wyrwać się z niepotrzebnych form sejmowych, a wszystko robić i mówić po prostu, z dobrą wiarą“.

Celiński po tem niezwykłym powodzeniu w Agen i po zorganizowaniu w jedną całość rozdzielonego przed tem zakładu, był najlepszej myśli i pełen zapалу. „Gdyby nie nasz niedostatek—pisze w tymże liście—tobyśmy oblecieli pobliskie zakłady, naprzd do Tuluzy, gdzie mamy dobrze znajomych“.

Niestety, niedostatek nie dozwalał się ruszyć a doskwierał boleśnie. Pomimo to myśl o sprawie ogólnej, o sprawie zjednoczenia rzeszy tułaczey, odrywając uwagę od

trosk osobistych, zaprzętała wyłącznie obu przyjaciół. Celiński, stosując się do uchwały zgromadzenia, wypracował odezwę do całej emigracji. Ale z tem niemało było kłopotu. Przedstawiona zgromadzeniu, odezwa uległa licznym zmianom i skróceniom. Wszakże Celiński jest zadowolony, przewiduje, że odezwa wywoła dużo wrzawy; jest śmiała, może nawet za śmiała „ale na wskroś polska i katolicka, chociaż o katolicyzmie i wyrazu niema“.

Odezwa ta była gorącem, płomiennem wezwaniem do zjednoczenia się w związku, opartym na miłości bliźniego. „Zwiążmy się—woła ona—nie czczemi formami, ale najuroczystsze słowem, że w Polsce naszej nie wolno będzie być nikomu niewolnikiem, ani swemu ani przychodniowi, nikomu głodnym, nikomu opuszczonym, nikomu ciemnym i nieumiejętnym... Słowo takiego związku będzie słowem zbawienia, mieczem całej ludzkości... Żeby się to stało musimy sobie odpuścić nasze winy tak prywatne, jak i publiczne, tak tajemne, jako i jawne. Musi nastąpić w Emigracji powszechne przebaczenie; to przebaczenie będzie naszym rozgrzeszeniem... Winni są i niezmiernie winni ci, co rządzą w naszej Rewolucji, ale mądrość wieczna ich broni, mówiąc: ślepi są wodzami ślepych.

Wszyscyśmy mniej więcej byli ślepi, oni musieli być ślepy mi naszą ślepotą... Ocknijmyż się nareszcie, aby potomność, sypiąc kwiaty na mogiły Grochowa, Ostrołęki, nie uznała nas za wyrodných i nie osądziła raczej za wyrzutków kraju, niżeli za mężów wybranych przez Opatrzność do jego wyswobodzenia. Pisząc: wybranych przez Opatrzność, nie piszemy dla próżnej okraszy stylu, lecz piszemy powagą wielkiego Sejmu, który na uwieńczenie i uwiecznienie swego dzieła, postanowił wyraźnem prawem wzniesć kościół Opatrzności, kosztem całego narodu, składką dobrowolną mieszkańców bez różnicy stanów. To akt podnoszący narodowość naszą do godności religijnej... Wyrzekł tym aktem wielki Sejm w duchu, co nam przysłało wyrzec jawnie w imię narodowej jedności: niema u nas arystokratów, ani demokratów, niema panów, ani chłopów,—wszyscyśmy Polakami! Tak wyrzec mamy i powstać jako mąż jeden, jako jeden Polak, jako człowiek Opatrzności“¹⁾.

Tak marzyli i takie wypowiadali uczucia biedni tułacze nasi, zagnani losem nad brzegi

¹⁾ Z listu Adama Celińskiego do Bogdana Jańskiego 28 stycznia 1836. mss.

Garonny. Celiński jeszcze potem marzył o zawiązaniu „Zakonu Rycerskiego“ i rozsyłał na wsze strony płomienne odezwy do „braci“ wraz z projektem owego zakonu ¹⁾. Nie przyniosły one rzeczywistego rezultatu, ale nie przebrzmiewały bez echa, budząc szlachetne uczucia w skołatanych duszach współbraci.

Do urzeczywistnienia myśli zabrakło środków, wreszcie sił i życia. W niespełna dwa lata potem, z końcem grudnia 1837. Celiński już nie żył.

Kto chce poznać dokładnie duszę własnego Narodu, ten winien mieć czujne ucho na jej drgnienia w oddalonej nawet przeszłości i z nich czerpać wskazówki na chwilę obecną. Dlatego—i to echo, wydobywające się z pożółkłych listów i papierów dawnych tułaczów polskich, powinno być słyszane tam wszędzie, gdzie troszczą się o losy Narodu w chwili obecnej i o jego drogi w przyszłości...

¹⁾ „Koresp. Bohdana Zaleskiego I. c.

II.

(Pięć listów Juljana Klaczki do J. Bohdana Zaleskiego ¹⁾).

Na drugą połowę roku 1849 przypada termin przyjazdu J. Klaczki do Paryża. Przybywał z Berlina, zkąd mu wyjechać kazano, gdy się wydało, iż jest autorem broszury p. t. *Die Deutschen Hegemonen* (patrz Ferd. Hoesicka „Juljan Klaczko“ str. 52, 53). We wrześniu tego roku był już nad Sekwaną, w tym miesiącu bowiem pisze Bohdan Zaleski do Jana Koźmiana: „Widuję także Klaczkę. Spodobał mi się: bystry, pracowity, pisuje dziarsko, a czuje i myśli po polsku. Myślę z nim wejść w ściślejszą zażyłość“. (Koresp. J. B. Zaleskiego. Tom II. str. 128). Zaży-

¹⁾ Listy te zostały mi łaskawie udzielone przez syna Bohdana, p. Dyonizego Zaleskiego.

łość ta stawiała się też coraz ściślejszą. Bohdan zainteresował się szczerze młodym, bo zaledwie lat 24 podówczas liczącym doktorem filozofii, który pomimo swych studyów i świetnie już rozpoczętej publicystycznej kariery, znalazł się w niezmiernie przykrem położeniu na paryskim bruku. — Na to położenie swoje żali się wyraźnie Klaczko w liście do Bohdana, nie mającym daty, lecz niewątpliwie pochodzącym z pierwszych czasów paryskich. Z listu tego okazuje się, że Bohdan nie szczędził znakomitemu młodzieńcowi i rad i wskazówek, a odrazu obudził w nim zupełne zaufanie, ośmielające do czynienia „litewskiego zajazdu“ na dobroć swoją i uprzejmość.

List ten brzmi:

Szanowny Rodaku! Nieodpisałem Panu na list ostatni, bo nie chciałem napróżno Pana korespondencją obciążać, — że z prawdziwą wdzięcznością przyjąłem rady i objaśnienia, Pan zapewne nie wątpi. Piszę teraz, chociaż nie bez pewnego wstydu, że taki prawdziwy litewski zajazd robię na dobroć i uprzejmość Pana.

Położenie moje się w niczem nie zmieniło, czyli raczej znacznie się pogorszyło, bo czas jest może największym tu na ziemi dla biednych lichwiarzem, zwłaszcza, że tam,

gdzie niema ani procentów, ani kapitału, gryzie w serce i mózg. Dowiedziałem się, że w tych dniach P. Branicki powrócił do Paryża; donoszę Panu o tem, bo może życzliwość Pana znajdzie w tem zdarzeniu jakiś punkt Archimedowy, z którego bym mógł — nie świat, broń Boże! — ale mój skromniutki mikrokosmik poruszyć z błota, w które temi czasy zagrzało. Pan mnie już dosyć poznał, abyś nie wątpił, że mi chodzi tylko o uczciwe i godziwe zatrudnienie, nie zaś o jałmużnę pod jakimkolwiek by ją chciano ukryć mianem. Jeśliby P. Branicki przez swoje stosunki i wpływy mógł dla mnie jakie zatrudnienie znaleźć, jeślibyś Pan swoim wpływem mógł go dla mnie w sposób nieubliżający dla mnie zainteresować wielceby mnie to ucieszyło.

Daruj Pan, daruj, że z taką natarczywością śmiem Panu zawierzać moje troski i widoki, i racz zachować i nadal swoje względy dla uniżonego.

Juljana Klaczki.

Następny list Klaczki nosi już datę wyrażną 11 lipca 1850 i świadczy, że pomimo przykrego materialnego położenia młody uczony nie ustawał w pracy. Czyni studia nad

poezyą polską. Chce poznać utwory Garczyńskiego i zbadać pisma warszawskie, które zajmowały się polską szkołą romantyczną w latach 1825—1836. List ten adresowany do Fontainebleau, gdzie Bohdan podówczas przebywał i dokąd Klaczko byłby chętnie sam podażył, aby poecie wręczyć „całego Gervinusa“ (o Szekspirze), gdyby nie pewna przyczyna, „o której wstyd mówić“. Przyczyną tą był niewątpliwie dotkliwy brak środków materialnych. Wprawdzie pułkownik Kamiński (wskutek interwencji Bohdana) proponował mu lekcye, — ale to jeszcze rzecz niepewna.

11 lipca 1850, 12 Rue Villedo.

Szanowny Panie!

Racz Pan tylko to swojej dobroci i uprzejmości przypisać, że śmiem naprzykrzać się Panu tym bilecikiem.

Mam dwie prośby: nie mogę dostać tu nigdzie Garczyńskiego, który mi niezbędnie potrzebny. Nie byłbyś Pan tak dobry pożyczyc mi go na dni kilka tylko? ksiądz Duński, któremu zarazem serdeczne załączam ukłony, nie odmówiłby przywiezienia tego pisemka do Paryża.

Wielebys mnie Pan zobowiązał, gdybys mi raczył napisać, jakie pisma Warszawskie

między 1825—1836 najbardziej się zajmowały szkołą naszą romantyczną. Możebym je w Bibliotece Polskiej znalazł.

Mam całego Gerwinusa (o Szekspirze) i mogę go Panu przysłać, jeśli mi drogę wskażesz; chętniebym go sam Panu wręczył, gdyby nie pewna przyczyna, o której wstyd mówić.

P. Pułkownik Kamiński, u którego byłem przed tygodniem w interesie emigracyjnym, proponował mi lekcye. Czy Panu rekomendacyę zawdzięczam? Dotychczas jednak nic jeszcze pewnego.

Z winnem uszanowaniem i szczerem ukłonem dla całej Szanownej rodziny.

Klaczko.

Trzeci list, bez daty, pisany jednak niewątpliwie w roku 1851, świadczy, iż pozycja Klaczki nie poprawiała się wcale, a to nawet tak dalece, że zmusiła go do prośby o pożyczkę 100 fr. na spłacenie długu zaciągniętego u niewymienionego przyjaciela. List ten świadczy również o ścisłych stosunkach, jakie łączyły Klaczkę z Bohdanem, który nie tylko szukał dla niego zajęcia, mogącego mu dać środki do życia, ale nadto oświadczał mu się sam z gotowością pożyczki. W ostatnim ustępie tego listu jest wzmianka o nadziei zostania stałym korespondentem berlińskiej

National Ztg., co byłoby „dobrym punktem oparcia“. Czy nadzieja ta ziściła się? — nie wiemy. W każdym razie wartoby rzecz tę zbadać i przekonać się, czy owe zamierzone współpracownictwo Kłaczkowski nie pozostawiło na szpaltach tej gazety takich skarbów, jakie przechowywały się w rocznikach *Deutsche Ztg.* Gervinusa, z lat poprzednich.

Wspomniany list następującej jest osnowy:

Szanowny Panie!

Pełen zaufania do dobroci i wyrozumiałości Pana, udaję się teraz z prośbą bardzo uciążliwą. Kolega, z którym razem mieszkam i który mi w ostatnich czasach dopomagał pożyczkami, których całość blisko 100 franków wynosi, otrzymał wczoraj nagle wezwanie do Ems, gdzie się ma z familią zobaczyć. Musi w niedzielę wyjechać i mieć zwróconą pożyczoną mi sumę. Gotowość, z jaką mi się Pan już nieraz w tej mierze oświadczał, a z drugiej strony pewność, którą mam, że będę w stanie tę sumę Panu w jaknajkrótszym czasie (połowę nawet może już i w tym miesiącu) zwrócić, dodają mi śmiałości do wezwania pomocy Pańskiej i otuchy, że mi odmówioną nie będzie.

Gdyby nie nagłość i nieodwołalność wypadku, nigdybym, racz mi Pan uwierzyć,

nie był śmiały o tyle stać się uciążliwym. W obecnem jednak rzeczy położeniu muszę wyznać, że przychyłając się do mej prośby, Szanowny Pan by mi prawdziwe wyrządził dobrodziejstwo.

Mam widoki pozostania stałym korespondentem *Gazety Narodowej Berlińskiej*. Toby już było dobrym punktem oparcia.

Śmiem już z góry dziękować i załączyć wyraz prawdziwego szacunku i wdzięczności.

Juljan Klaczko.

12 rue Villedo. Hotel Lillois.

Że Bohdan pośpieszył z pożyczką i że Klaczko najsumienniejsz uiszczal się z długu, chociaż częściami, świadczy list następny z 27 września 1851. Klaczko powiada w nim że chciał ową kwotę sam doręczyć w Fontainebleau, lecz wstrzymał się z odwiedzinami poety, dowiedział się bowiem, że Bohdan ma u siebie tak „drogiego gościa“, że mu wobec tego ani chwili czasu zajmować sobą nie śmie. Kto był tym tak „drogim gościem?“ Domyślać się można, że Adam Mickiewicz, który w tych właśnie czasach bawił w Fontainebleau blisko cały miesiąc. „Nabłakaliśmy się z nim po lesie, nagawędziliśmy się co niemiara, — pisze Zaleski do Goszczyńskiego d. 18 września 1851 roku. —

„Z tem wszystkim — dodaje — dawnej harmonji między sobą nie wskrzesiliśmy“,

Oto, co pisze Klaczko:

Paryż, 27 września 1851

12 rue Villedo, près de la rue St. Anne.

Szanowny Pan raczy wybaczyć, że znów się odzywam. Chciałbym Panu zwrócić pierwszą kwotę łaskawie pożyczonej mi summy, t. j. 50 franków. Myślałem udać się do Fontainebleau i kilka chwil w tak drogiem mi towarzystwie przy tej sposobności przepędzić. Ale doniósł mi P. Królikowski, że Pan masz teraz gościa tak drogiego, że nawet chwil kilka sobą zająć bym już nie śmiał. Udaję się więc listownie z prośbą, abyś mi Pan raczył wskazać drogę, którą by te 50 fr. rąk Pana prędko i niemylnie dojść mogły.

Przyjmij Pan zaręczenie wysokiego szacunku i szczerzej wdzięczności.

Klaczko.

Piąty list bez daty, niewątpliwie najbardziej znamienity, uderza przede wszystkim serdecznością tonu. Gdy pierwszy stylizowany był do „Szanownego Rodaka“, ten czwarty odwołuje się do „Szanownego i drogiego Pana Bohdana“, a kończy się wyznaniem „kornej miłości“. Brzmi on:

Szanowny i drogi Panie Bohdanie.

Pospieszam z przesłaniem broszurki. Nie zrażaj się Pan, na Boga, cierpkością kilku słów — uważaj na rzecz. Powodowała mną sama i najszczerza chęć prawdy — bolała mnie czarna niesprawiedliwość i niewdzięczność. Z tej trochę czarnej hipokreny czerpałem i słowa mi spadały w kroplach gęstych ale czystych.

Racz przyjąć wyraz prawdziwego szacunku i kornej miłości.

Klaczko.

O jaką broszurę tu idzie? z jakiego to czarnego źródła natchnienia czerpał Klaczko, że mu słowa „spadły w kroplach gęstych?“.

Wiadomo, że w lutym 1854 wydał Klaczko broszurę polemiczną p. t. „O szkole narodowej polskiej w Batignolles pod Paryżem“. Była to cięta odpowiedź na broszurę p. Juliusza Jedlińskiego, w której tenże napadał zjadliwie na cały zarząd batignolskiej szkoły, nie szczędząc ani założyciela jej Gałęzowskiego, ani członków rady, chociaż do ich grona należał Mickiewicz (Hoesick: „Julian Klaczko“ str. 60 i n.). Odpowiedź Klaczki ironią i argumentami druzgocząca przeciwnika, tem jednak grzeszyła, że za wystąpienie Jedlińskiego, czyniła odpowiedzialnym, jego pro-

tektora, Władysława Zamoyskiego. Czuł to snąć sam Klaczko, gdy prosił Bohdana, by nie zrażał się cierpkością słów, wywołanych czarną niesprawiedliwością ludzi.—To poczucie świadczy najlepiej o szlachetności intencji autora, którym zawsze w ciągu całego życia powodowała „najszczerza chęć prawdy“ i ona jedynie kierowała nim nawet w gorących polemicznych zapasach.

Na tej podstawie ustalić możemy i datę powyższego listu. Jest nią niewątpliwie data ukazania się broszury (luty 1854), którą widocznie zaraz po jej wyjściu autor przysłał Bohdanowi.

Na tem się kończą będące w naszym posiadaniu listy Klaczki do Bohdana. Mamy jeszcze krótki bilecik bez daty, adresowany: „Monsieur Bohdan Zaleski à Fontainebleau“, w którym Klaczko poleca Bohdanowi „dobrego swego przyjaciela“ p. Zygmunta Grudzińskiego z księstwa Poznańskiego, brata generałowej Chłapowskiej, „krewnego zatem naszego Koźmiana“.

Stosunki jednak wzajemne nie skończyły się na tem, czego dowodem liczne wzmianki w listach Bohdana. O ile z tonu tych wzmianek wnioskować można nie były one jednak zawsze równe, chociaż ze strony Bohdana

nacechowane zawsze szczerem uznaniem dla niepospolitego talentu Klaczki.

W końcu roku 1861 objawia się wśród Emigracji paryskiej żywszy ruch. W listopadzie przybywa do Paryża Kraszewski, udziela tam wybitniejszym emigrantom objaśnień o stronnictwach warszawskich i projektach organizacji w kraju, mówi z ogniem i „w sposób wielce budujący“. Z narady z nim wychodzi Bohdan Zaleski zadowolony i ochoczy „do wspólnej roboty patryotów polskich“. (Koresp. J. B. Zaleskiego. Tom. 3. str. 85)—Wkrótce też nadesłał Kraszewski w manuskrypcie, napisaną w Brukseli polityczną broszurę. Nadesłał ją, prosząc o „wydanie sądu“. Oceniali ją Bohdan i Edward Żeligowski, niegdyś redaktor *Słowa* w Petersburgu, którego zdanie wielce było poważane wśród emigracji. Każdy z nich przesłał autorowi swoje uwagi, które Kraszewski po części uwzględnił i odesłał „nieco“, jak powiada Bohdan, poprawiony manuskrypt do druku w Paryżu.—Na tę broszurę Kraszewskiego, która ukazała się w druku z początkiem 1862 odpowiedział Bronisław Zaleski, bawiący podówczas w Hyères, odpierając ataki Kraszewskiego na p. Andrzeja Zamoyskiego i na duchowieństwo. „Pisemko“ Bronisława Zaleskiego drukowało się również w Paryżu w wiel-

kiej tajemnicy. Bohdan zaniósł manuskrypt Karolowi Królikowskiemu i polecił szczególnej opiece znajomemu zecerowi, z tem, aby rękopisu nie pokazywał nikomu a druk przyspieszał. Obie broszurki wyszły bezimiennie i obie zajęły mocno emigranckie umysły, silniej w tym czasie rozbudzone. Już z końcem roku 1861 rozpoczęły się usiłowania ku zjednoczeniu wychodźstwa. Zawiązał się nawet „Komitet tymczasowy jednoczącej się Emigracji w Paryżu“, który jednak od razu w drukowanych okólnikach przyznał sobie atrybucje wysoce polityczne. Nadaremnie Bohdan Zaleski w liście do tego komitetu wzywał do przybrania roli skromniejszej, do wyrzeczenia się przemawiania w imieniu narodu, negocjowania z gabinetami i t. p. Zdaniem Bohdana komitet ten powinien był wystąpić jako „Agencja do interesów polskich za granicą, a właściwie do zawiadowania funduszami krajowymi na rzecz sprawy i w porozumieniu ze Zwierzchnością warszawską“ (l. c. str. 87). Niebawem też, bo już 10 marca 1862 skarży się Bohdan Bronisławowi Zaleskiemu, że „żał się Boże tych zachodów!“ Trzy komitety pracują nad „zjednoczeniem“ i z kraju nadchodzą rozkazy ku wzajemnemu porozumieniu się ogółu w celu utworzenia w Paryżu komisji skarbowej, ale

nadaremnie. „Wysłańcy — pisze dalej Bohdan — wzięli się niezgrabnie do rzeczy. Zamiast od razu postawić u steru funduszków dwóch lub trzech ludzi zamożnych i specjalnych, powołali do komisji dziesiątek emerytów z dwóch skrajnych stronnictw, zostawiając przytem przewagę „Lampercistom“ (Hôtel Lambert, Czartoryskich), którzy wcisnęli się w całej swojej sile, bo nawet z Kalinką i Klaczką. Oczywiście demokraci pierchnęli natychmiast...“ (str. 91).

Zaznaczyć tu wypada, że Bohdan Zaleski, po wystąpieniu z „Towarzystwa demokratycznego“ w r. 1836, nie należał odtąd do żadnej partji w Emigracji, stał po nad niemi, mając swoje odrębne idee i swój pogląd na rzeczy, któryby nazwać można „katolicko-demokratycznym“. Usiłował jednoczyć, ale do żadnego z owych „trzech komitetów“ należeć nie chciał. W tej jednak uwadze o „Lampercistach“, których siłę widzi w Kalince i Klacze, nie odczuwa się sympatji do ich stronnictwa. Uśmiecha się też dobrodusznie opisując Bronisławowi Zaleskiemu, jaka to mozaika imion w pierwszej liście przystępujących do Stowarzyszenia podatkowego, gdzie figuruje obok księżnej Anny Czartoryskiej, Klaczki i Kalinki — Ludwik Mierosławski!

W tym czasie nastąpiła snąć przerwa w ich osobistych stosunkach wzajemnych, bo oto w lutym 1863 pisze Bohdan do Kraszewskiego: „O Klaczcze głuche jeno mam posłuchy, że po staremu dziwaczy“. (l. c. str. 114).

Nie zmniejszyło to snąć jednak uznania, jakie miał Bohdan dla Klaczki. Gdy bowiem w początkach roku 1867 chodziło o urządzenie odsłonięcia pomnika na grobie Mickiewicza w Montmorency, pisze Bohdan do Bronisława Zaleskiego dnia 8 stycznia 1867 r.: „Stanęło wczoraj na tem, że familja zająć się ma urządzeniem uroczystości inauguracyjnej wspólnie z nami, przyjaciółmi i wielbicielemi... Idzie głównie o mówców. Adam, wieszcz ludu, a więc *par excellence* mąż narodowy... Godzi się, aby obok głosów rówieśników Adama usłyszano głosy i młodszych pokoleń... Z młodszego pokolenia wyznaje, że nikogo nie znam godniejszego od Klaczki. Posiada rzadki dar słowa i wiele lat studjował pisma Adama. Co mówił ongi o młodziku Adam, nie tyczy się dzisiaj męża dojrzałego i poważnego publicysty i estetyka uznanej wziętości“. (Kor. T. IV. str. 2, 3).

Powyższy ustęp listu dowodzi, że Mickiewicz ujemnie zrazu wyrażał się o młodym Klaczcze. Ten sąd ujemny, który zapewne nie

był tajemnicą dla Klaczki, nie wpłynął wszakże na uwielbienie tego ostatniego dla naszego Wieszczka, uwielbienie, jakiemu dał wyraz w pierwszej swej polskiej pracy krytycznej o „Lenorze“ Bürgera i „Ucieczce“ Mickiewiczowskiej (1853), dalej w rozprawie o „Sonetach krymskich“, w zabiegach około wydania zbiorowego dzieł i korespondencji Mickiewicza, a wreszcie w świetnych wykładach o Adamie w sali *Cercle des sociétés savantes* w Paryżu (1858) „Szkoda, że go nie słuchasz — pisze o tych wykładach Zygmunt Krasiński do Adama Solтана — podskoczyłoby ci serce“ (Hoesick „Juljan Klaczko“ str. 111).

Że Klaczko miał wyjątkowy dar wymowy, to rzecz powszechnie znana. Zachwyca się tą wymową i Bohdan Zaleski, gdy pisząc do p. Felicji Iwanowskiej o obchodzie w Paryżu dnia 3 maja 1868, dodaje: „na zebraniu Polaków Klaczko improwizował prześliczne rzeczy o ś. p. Wł. Zamoyskim“, (l. c. str. 88).

W parę lat później opuścił Klaczko Paryż. „Niedawno — pisze Bohdan w marcu 1870 r. — wyjechał Klaczko do Wiednia na swoje dygnitarstwo przy Beuście. Odjechał zdaje się w dobrem usposobieniu, z obietni-

cami pracowania dla Kościoła i dla Polski“, (l. c. str. 177).

Wiadomo, jak się zakończył ten epizod politycznego i parlamentarnego działania w życiu Klaczki i nie tu miejsce mówić o tem. W r. 1874 osiedla się on znowu na stałe w Paryżu i tu niebawem ponosi ciężką stratę przez śmierć przyjaciela, Eustachego Januszkiewicza. Od lat wielu łączyła ich ścisła zażyłość i wspólna praca nad zbiorowem wydaniem dzieł Adama Mickiewicza, łączył ich gorący kult dla Wieszcza. Wspólnie, i nie bez trudności zbierali rozpieczętowane listy Adama i pamiątki po nim. Jeszcze w roku 1869 w liście do Ignacego Domeyki wspomina Bohdan, jakto „przed laty kilkunastu — zatem wnet po śmierci Adama — kusili go o te świętości Klaczko i Januszkiewicz“. Nie przychodziło im to łatwo, bo Bohdan na te „kuszenia“ odpowiedział: „Skoro ducha wielkiego mistrza ma w posiadaniu już Naród, to nie szkodzi, że o skarbie serca jego, dowie się nieco później (l. c. str. 131).

Śmierć takiego przyjaciela i współpracownika głęboko dotknęła Klaczkę i wnet wysłał do *Czasu* wspomnienie pozgonne, w którym dał wierny wizerunek zmarłego i jego zasług. W tym jednak nekrologu, pisząc

o stosunkach Januszkiewicza z Mickiewiczem, przyznał pierwszemu, na podstawie widocznie błędnych opowiadań, znaczny wpływ na wydawnictwo „Pana Tadeusza“, przyczem dotknął w sposób dość bezwzględny pamięci Stefana Witwickiego, który miał być „korektorem“, a właściwie „katem“ naszej epopei narodowej.

Poruszyło to niezmiernie Bohdana. I jakkolwiek sędziwy, bo ósmy krzyżyk dźwigający na barkach, porywa się do pióra, aby błędy prostować. Pisze o tem z żalem do pani Felicji Iwanowskiej: (24 października 1874). „Od kilku dni obarczony jestem pilną pracą. Klaczko, rozgłośny estetyk i publicysta, w nekrologu E. Januszkiewicza, podrukował niesłychane fałsze i niebylice o „Panu Tadeuszu“ Mickiewicza, z obelgami na ś. p. Witwickiego. Otóż muszę wystąpić w obronie moich przyjaciół i aby dać świadectwo prawdzie, skreślić dzieje pisania i druku „Pana Tadeusza“, dzieje dużo zamierzchłe w pamięci po upłynionych 40-leciech. Potrzebuję wielkiego natężenia umysłu przy szperaniu w starych papierach z epoki Tadeuszowskiej. Praca ta zabierze mi jeszcze kilka dni“... (Kor. Tom. V. str. 103).

Poeta spieszył snąć bardzo z tą pracą, bo olbrzymi, znany list Bohdana do Władysława Mickiewicza, streszczający dwuletnie dzieje tworzenia „Pana Tadeusza“, nosi datę ostatnich dni października 1874 r. Prostuje w nim Bohdan trzy twierdzenia Klaczki: 1-o że Mickiewicz podczas pisania i drukowania „Pana Tadeusza“ nie mieszkał w Saint-Germain, lecz przy ul. Saint-Nicolas d'Antin, a później de Seine; 2-o że Eustachy Januszkiewicz nie miał najmniejszego udziału w nakładztwie i wydawnictwie wiekopomnego poematu, bo wydał go Aleksander Jełowicki, podówczas poseł hajsyński; wreszcie 3-o, że Witwicki nie był ani korektorem, ani cenzorem, a tembardziej katem „ukochanego swego „Pana Tadeusza“. Tyle tylko przyznaje Bohdan, że gdy Adam zachęcał rymujących swoich przyjaciół, aby przynosili luźne rapsody szlacheckie, które on wcieli do swej powieści na pamiątkę przyjacielskich stosunków na emigracji, — stało się tym sposobem, „że kilkadziesiąt wierszy Witwickiego zostało w opisie matecznika wplecionych tak zgrabnie, że dziś zaledwie je kto rozróżnić zdoła“. Adam z piórem w ręku, sam czytał rękopis, a gdy uczuwał zmęczenie, odsuwał go Witwickiemu, albo Bohdanowi. Zdarzało się też, że

czasem jakąś uwagę — bo tego sam się domagał — uznawał za słuszną, a wówczas własnoręcznie mazał, lub podkreślał do poprawki. Zaręcza jednak Bohdan, że „żaden z nas nie mazał w „Panu Tadeuszu“, a tem bardziej nie mazał Witwicki, który Adama zwał zawsze „Napoleonem poetów“ w znaczeniu wyższości jego ponad współczesnymi kolegami“.

Przy wspomnieniach tych „drabując w papierach nieboszczyków“, aby po latach czterdziestu przypomnieć sobie dokładnie minione wydarzenia — serce mdlało sędziwemu pocięciu — jak sam pisze — wśród tych rozpamiętywań o młodszych, milszych latach.

...Och dni te, dni szczęścia i chwały,
Obwinięły się jesienny liść i gdzieś powiały...

A sprawa sama, „sprawa prawdy i sprawiedliwości“, musiała Bohdanowi mocno ciążyć na sercu, skoro wspomina o niej nieustannie w listach do Felicji Iwanowskiej, do dr. Feliksa Michałowskiego, do Bronisława Zaleskiego, a nawet w blisko rok potem, bo 29 września 1875 r. do Ignacego Domeyki (Kor. Tom V. str. 165). Prostowanie błędnych relacji o tych swoich najser-

deczniejszych, o Adamie i Stefanie, uważał sobie sędziwy bard ukraiński za obowiązek święty. Taka była w nim przeogromna cześć dla Adama, takie wielkie odczucie przyjaźni względem Witwickiego Stefana.

O Klacze w dalszych jego Listach nie znajdujemy już wzmianki.

III.

Teodor Rutkowski.

Przyszły historyk literatury współczesnej, przyszły badacz zwyczajów naszych i uczuć będzie miał o tyle trudniejsze zadanie, że zabraknie mu jednego z najważniejszych świadków naszego życia, pracy i myśli, — tych obszernych, pełnych wynurzeń listów, jakich stosy zostawili po sobie ojcowie nasi. My dziś listów piszemy mało, albo nie piszemy ich wcale, prawie zaś nigdy dla wymiany myśli lub wrażeń. A jakaż to skarbnica materiałów, jak pełny obraz literacki i społeczny daje nieraz zbiór takich korespondencji, — że tu wspomnimy wydane niedawno w pięciu tomach listy Bohdana Zaleskiego lub Andrzeja Koźmiana?

Oprócz drukowanych, ileż to jeszcze po świecie wcale nieogłoszonych takich listów, tych świadków najwiarogodniejszych nie tylko myśli i uczuć piszących, lecz ówczesnego życia, prac i usiłowań. — Wygrzebuje też

nierzadko list taki zapomniane lub zgola ogółowi dzisiejszemu nieznane imię człowieka, którego młodość bujną i górną stłumiły burze, a wiek klęski zagnał na obczyznę i pogrążył w zapomnienia fali.

Wymienione np. nazwisko Teodora Rutkowskiego nie obudzi dziś pewno żadnego wrażenia, a luźne o nim wzmianki we wspomnianych listach Bohdana, drukiem ogłoszonych, nie dają obrazu, czem było to dawno zagasłe i zgola już zapomniane istnienie.

A jednak było to istnienie pełne przygód i burz, pełne szlachetnych marzeń i pięknych porywów, pełne poświęceń i tułaczkiej nędzy, — to jakby cały romantyzm epoki wcielony w życie jednego człowieka od młodości aż do grobu.

Pamięć tego człowieka wskrzesił list dotąd niedrukowany Bohdana Zaleskiego, udzielony mi łaskawie przez syna poety, Dyonizego. — List ten podaję w całości poniżej.

Teodor Rutkowski, rodem z Ukrainy, był znacznie młodszy od Bohdana Zaleskiego i Seweryna Goszczyńskiego. Udziału w powstaniu z r. 1831 zdaje się nie brał, był bowiem za młody, a w r. 1835 przebywał jeszcze w kraju i stał się tam bohaterem niezwykłej przygody.

Grasował podówczas w górnych powiatach Podola słynny opryszek Ustym Karmańuk, zwykle Karmelukiem zwany. Grasował on tam oddawna, bo od lat dwudziestu kilku, z przerwami, które spędził w ciężkich robotach na Syberji, zkąd zawsze umknąć potrafił. Niezwykły to był zbrodniarz i niezwykle wytrwały. Mając lat 42 kijów wziął przeszło cztery tysiące, knutów wytrzymał 227, a w swej wędrówce na Sybir i z powrotem o głodzie, chłódzie i pieszku, przebył 15.000 wiorst, prowadząc ciągle hulaszce i awanturnicze życie. Imię jego przeszło do pieśni gminnej, śpiewanej na Syberji i na Podolu, której autorem miał być sam Karmeluk. Literat rossyjski Maksimow wziął tę pieśń za tło do opowieści całkowicie bajecznej a usiłującej idealizować opryszka, który występuje tam jako mściciel krzywd rzekomo mu przez „pana“ wyrządzonych, i jako obrońca podobnie uciśnionych włościan. W rzeczywistości zaś było całkowicie inaczej. Straszny ten rozbójnik faktycznie stał się właśnie powodem zubożenia ludności włościańskiej, na której głównie zaciężyły straty majątkowe, wynoszące kilkaset tysięcy rubli. Z powodu ciągłych napadów bandy Karmeluka i zupełnego braku bezpieczeństwa życia i mienia, przeszło 20.000 ludzi musiało kraj

opuścić. Tak rzecz przedstawia, oparty na aktach sądowych, dr. Antoni J. w swej barwnej opowieści p. t. „Opryszek“ („Gawędy z przeszłości“ Tom I. str. 133 i n.), do której też odsyłamy ciekawego tych niezwykłych dziejów czytelnika.

Dzieje te obchodzą nas o tyle, o ile wzięt w nich przypadkowy a stanowczy udział Teodor Rutkowski. W jesieni 1835 r. przebywał on na Podolu i znalazł się w dworku niejakiego p. Chłopickiego, dzierżawcy połowy wsi Karaczyniec w łatyczowskim powiecie, szczęśliwego ojca kilku córek, o jedną z których zabiegał młodzieńki podówczas Teodor Rutkowski. Panienki, przerażone wieściami o wyprawach zbójcekich Karmeluka, który w tych okolicach grasował i bezpośrednio groził napadem na dwór sąsiedni p. Wolańskiego, właściciela drugiej połowy Karaczyniec, zaczęły w obecności młodzieńca narzekać, że w kraju niema dzielnej młodzieży, skoro taki Karmeluk bezkarnie napadać, grabić i zabijać może. Rutkowski, podrażniony w ambicji, zobowiązał się schwytać opryszka. Nie pomogły późniejsze przedstawiania i zakłęcia, bo zamiar wydawał się prawdziwym szaleństwem, — młodzieniec postanowił zorganizować przeciw opryszkowi wyprawę. Udało mu się też zwerbować pięciu ochotników

ze służby dworskiej i folwarcznej i cała ta gromadka, uzbrojona w dwie strzelby, pałasz i kije, podążyła późnym wieczorem do chaty Olany, zdradzieckiej kochanki Karmeluka. Oczekiwano długo w ukryciu i śmiertelnej trwodze; oczekiwano niemal do rana. Wreszcie przybył Karmeluk i wszedł do sieni. Po kilku słowach zamienionych ze struchlałą kochanką, spostrzegł wnet kryjącego się w kącie Rutkowskiego z wymierzoną lufą strzelby. Karmeluk podniósł rękę z pistoletem, lecz nie zdążył wystrzelić. Uprzedził go Rutkowski. Widząc się opuszczonym przez towarzyszy wyprawy, którzy na widok Karmeluka w przerażeniu umknęli, dał ognia i położył słynnego opryszka trupem na miejscu.

Całe to przejście opisuje ze szczegółami dr. Antoni J., dodając wreszcie, że Rutkowski (którego mylnie Rudkowskim nazywa) po ukończonem śledztwie uwolniony, kraj na zawsze opuścił, nie uzyskawszy jednak ręki panny Chłopickiej, która za kogo innego za mąż poszła.

W rzeczywistości Rutkowski nie zaraz po tej przygodzie wyjechał z kraju. Opuścić go musiał, zawikłany w sprawę Konarskiego w r. 1838 i to zapewne stało się powodem zerwania zamierzonego, a tak romantyczną

i krwawą przygodą zaznaczonego związku z panną Chłopicką.

Sprawa, czyli tak zwany spisek Konarskiego, który tylu katastrof rodzinnych stał się powodem, wycisnął też swe piętno na całej egzystencji dalszej Rutkowskiego. Gdziekolwiek odtąd usłyszał hasło wolności, czy w kraju, czy zagranicą, tam spieszył; walczył na rozmaitych polach, a w r. 1863 podążył do kraju i brał udział w powstaniu. Powrócił na emigrację, do Paryża, pełen rozczarowania. „Świeżo przybył z kraju Rutkowski, — pisze Bohdan Zaleski do pani Felicji Iwanowskiej dnia 28 czerwca 1864. — Nashuchałem się relacji, że serce boli. Ty-le tam było dobrego i złego, złego wszakże więcej!” (Koresp. J. B. Zaleskiego Tom III, str. 152).

Już to Rutkowski optymistą, zdaje się, nigdy nie był. Na świat patrzył przez jakąś mgłę mistyczno-smętną. W epoce romantycznej pisywał także wiersze, które drukował często pod własnym nazwiskiem, często pod pseudonimem „Bończa”. Śladów tych ostatnich odszukać nie mogłem. Mam jednak przed sobą utwór wierszowany Teodora Rutkowskiego p. t. „Narodowa Modlitwa”, wydany w r. 1861 w Paryżu (drukarnia L. Martinet). Nie świadczy on wprawdzie o wyso-

kim polocie poetyckim, jest wszakże dowodem gorących uczuć patriotycznych, i pełen jest owego mistyczno-religijnego nastroju. Jestto jakby amplifikacja słów Modlitwy Pańskiej. Poeta wzywa Ojca wolności i miłosierdzia, by dopomógł zwalczyć „niewidomego wroga”, który jest nieprzyjacielem „Krzyża i wolności”. Wróg ten straci wówczas siłę, „gdy możni—knieie—ubodzy—bogaci, będą mieć jedną wiarę i sumienie”. Nazywa to poeta „niepokalanem Ojczyzny poczęciem”, wspomina dalej o „dniu Lutego” „co stanął Polsce gwiazdą i kotwicą” i porównywa naród polski do nawróconego łotra który, że uległ podszeptom niewidomego wroga, zawisnął na krzyżu, lecz skruszony, czeka wsparcia Chrystusa.

Charakterystyczną cechą tej „Modlitwy narodowej” jest to, że autor nie przyrównywa losów Polski do męki Chrystusowej, przeciwnie wyznaje otwarcie i z pokorą że:

„nasze kajdany
Niedola, męki, sromota i blizny,
Krew i łzy nasze, wszystkie serca rany...
Są zasłużoną przez nas Panie karą...
Za zgubne nasze rozterki niskości,
Za coraz cięższe nasze nieprawości,
Za kamień serca i za myśli harde,
Za faryzejską dla bliźnich pogardę...

Adam Krechowicki. „Prawdy i Bajki”.

Z bólu — woła dalej poeta — rodzi się czystość ducha, hart woli i dzielność, — więc za wszystkie „rany narodu“ on dziękuje Bogu, bo oto teraz „pieczęć zaklęcia z ojczyzny naszej Twoje strąca ramię“ i z „z piekielnego wyrwani objęcia nosim na czole Syna Twego znamię“ — „jestestwem całem rwie my się do nieba i gdy świat cały urąga Bożej wszechmocy, jedyna Polska „wierzy w Bóże na ziemi królowanie“. Dawniej, przed wiekami, naród polski był sługą Bożej Woli, stał się jej wykonawcą na ziemi, Bożym „chlebowodawcą“ pośród narodów. Ale pomyślność zabiła w nim skrucę, wziął rozbrat z Wolą Bożą, stał się poganinem a wolą swoją zaszedł aż do piekła. Teraz jednak chrztem krwi i ognia obmył się z plam swoich, „chrześcijańskim ruchem“ w niebo się wznosi i stanie znów na wyżynach, jeśli Bóg da mu swoją Wolę, a serce i myśli jego wznie się tak wysoko, by stały się tęczą nowego przymierza, „Latarnią Pańską u świata przystani, dla zabłąkanych wędrowców otchłani“. Poeta pragnie, by lud polski, „ten Lewita ludów“, czynami pisał praw Bożych księgę i objawił światu potęgę Słowa, w chwili gdy Bóg w nowe wszedł z nim przymierze i do nowego wezwał go Rycerstwa.

Przytoczyłem niektóre wybitniejsze ustępy z owej „Modlitwy narodowej“, aby wykazać, że ten Rutkowskiego w uczuciach silny, w formie dość nieudolny, poemat, schodzi się w głównej swej myśli z ostatnim głosem Seweryna Goszczyńskiego, z jego „Posłaniem do Polski“, napisanem w pierwszych, dniach 1856 r. pod wpływem ówczesnych wypadków, a wydanem w Paryżu dopiero w 1869 r. Tak w przedmowie, jak i w samym poemacie Goszczyński wyznaje także, że staliśmy się „niewierni Bogu“, że naród nasz rozluźnił swój związek z Duchem wyższym, a przeto upadł, powstać zaś może jedynie przez zjednoczenie się z Wolą Bożą. Polska ma się teraz pierwsza oczyścić z „niskości, z przeszłości brudów“, bo ona ma przed światem obliczem odkryć „wyższy zakon Boski“ i „ogniwem widomem błysnąć wśród tego łańcucha, który łączy wyższe światy ducha; ona ma być „najszczerzą prawd Bożych księgą“, rzeką Bożej Woli, „gwiazdą“ prowadzącą innych ku ostoje.

Pominąwszy siłę wyrazu, która w „Posłaniu do Polski“ olbrzymieje w końcowej „Modlitwie wieszczą“ w taką potęgę, jaką mieć może jęk wydobywający się z piersi rycerza, nie nawykłej do łkania, — oba poematy z jednakich — jak się okazuje — wy-

płynęły uczuć, pod jednym zrodzone były wpływem. A raczej: Rutkowski czuł i pisał pod wpływem Goszczyńskiego, pod wpływem snąć im obu wspólnym — Towianizmu.

Że między Goszczyńskim a Rutkowskim była ścisła zażyłość, dowodzą tego wzmianki w „Korespondencji“ Bohdana Zaleskiego. Bohdan kilkakrotnie pisząc do Goszczyńskiego, udziela za jego pośrednictwem Rutkowskiemu wiadomości o krewnych jego br. Taubowej i Rościszewskiej (List z 26 stycznia 1846 Kor. tom 2 str. 46.) lub każe mu go pozdrowić (l. c. str. 151.). A w 1872 pisząc do Goszczyńskiego już do Lwowa, donosi mu o „rumianym“ Rutkowskim, że chorował ciężko, bez nadziei prawie wyzdrowienia, ale młodszy od nas, wbrew Eskulapom, doprawdy cudem podźwignął się na nogi“. (Kor. J. B. Z. tom 5 str. 39).

Przypuszczać można, że owa ciężka choroba Rutkowskiego, o której Bohdan donosi, wywołana była ciosem, który boleśnie odbił się w sercu „szermierza wolności“. Tym ciosem był pogrom Francji w r. 1870/1. Rutkowski, wierny głoszonemu podówczas „braterstwu“ Polaków z Francuzami, zrośnięty z Francją życiem emigranckiem na jej ziemi w ciągu lat kilkudziesięciu, jakkolwiek niemłody, brał czynny udział w tej okropnej

wojnie, zakończonej tragedją sedańską; brał w niej udział, odczuwając w sobie — jak sam powiada — „znamiona podwójnej narodowości tułaczów polskich“. Po katastrofie złożył oręż a chwycił za pióro i wystosował trzy listy „polityczne“ do króla Wiktora Emanuela, do ambasadora angielskiego w Paryżu lorda Lyons i do Wiktora Hugo. W liście do Wiktora Emanuela, datowanym w Zurychu 23 Października 1870 r., w słowach pełnych zapału i istotnej siły, wskazuje mu obowiązek interwencji dla ratowania Francji; ambasadora angielskiego wzywa w liście pisanym 4 lutego 1871 z Mollans (Dpt. de la Drôme), by skłonił Anglję do niedopuszczenia rozbioru Francji przez oderwanie Alzacji i Lotaryngji, wreszcie w liście do Wiktora Hugo, pisanym w czasie Komuny, z Paryża d. 19 marca 1871, domaga się, aby wieszcz narodowy, potężnem swem słowem powstrzymał szerzącą się w kraju anarchję i zażegnał burzę Komuny, Listy te, ogłoszone zostały w „Sobótce“, piśmie zbiorowem, wydanem we Lwowie ku uczczeniu jubileuszu Seweryna Goszczyńskiego w r. 1875. Przekładu tych listów dokonał sam autor i opatrzył przedmową, datowaną z Paryża 10 listopada 1874, przedmową pod wielu względami znamionną. Świadczy ona przedewszystkiem — jak i sa-

me listy — o gorących a szlachetnych uczuciach piszącego, wobec których niepodobna nie uchylić czoła, jest wszakże również dowodem, że jeszcze i wówczas tkwił w nim głęboko wpływ Towianizmu. „Niema przypadków, — pisze Rutkowski w przedmowie — wszystko, co się zdarza, jest wynikiem przyczyn, mających swoje źródło w duchu“. Słowa listu do ambasadora Lyonsa — pisze dalej — „są z ducha i odzywają się do ducha“. A w liście samym jest taki ustęp: „Będzie temu lat 14, miałem przerażające widzenie, w skutek którego ostrzegłem cesarza Napoleona, że idzie fałszywą drogą i że go nie minie straszna kara Boża, jeśli nie opuści manowca. Przepowiednia moja sprawdziła się co do joty. Dziś ostrzegam Anglię“. — Wogóle list ten jest pełen groźnych zapowiedzi. Wojnę prusko-francuską nazywa Rutkowski „kotłem Bożego gniewu“, *la cuve de la colère divine*, i wieści „zgrzybiałemu światu“ straszne kataklizmy: „Czuć już — woła — podziemne wstrząśnienia, chwieją się w posadach stare kolumny podtrzymujące spróchniałą budowę przeszłości. Uragan Boży brzemienno gromowymi wichrami, rozwija już swoje płomienne skrzydła“.

Jakkolwiekby kto chciał dzisiaj zapatrywać się na te listy i osądzać ich stronę polityczną, nikt bez szczerzego wzruszenia odczytać ich nie potrafi, tyle w nich siły i prawdziwego uczucia, tyle w nich poetycznego polotu, stokroć więcej niż w rymowanym utworze, który powyżej przytoczyłem. Są one nadto dokumentem, świadczącym, że za gościnność udzieloną wychodźcom naszym przez Francję, nie pozostali oni niewdzięcznymi, że za nią wymownym czynem się odplacali i że głoszone przez nich „braterstwo“ nie było czczym frazesem.

Na tych listach zakończył, zdaje się Rutkowski „bojowanie“ swoje. Ale z biegiem lat potęgowała się w nim tęsknota za krajem i ta sama miłość Ukrainy, która tak żywym tętnem biła zawsze w sercu Bohdana Zaleskiego, pomimo tyloletniego oddalenia. Ślad tego znajdujemy w liście Bohdana, nigdzie dotąd niedrukowanym, a pisanym do Rutkowskiego z Paryża w początkach roku 1881. List ten, ze wszech miar ciekawy, który podajemy poniżej w całości, wspomina o nowym poetyckim utworze Rutkowskiego — niewątpliwie ostatnim — p. t. „Poranek majowy“, który autor przesłał Bohdanowi. Sędziwy bard ukraiński nazywa ten utwór „niewołącym wierszykiem“, który ma

wiele „świeżości i woni miejscowej“. Potrącony w strunę zawsze tkliwą, przypomina sobie Bohdan to, co śpiewał o Ukrainie i przytacza z lubością wiersz Szewczenki „Weczir“. Szewczenkę nazywa „naszym Sybirakiem“, i powiada, że ilekroć jest smutny i stroskany, przypomina sobie te zwrotki Szewczenki, rozpogadza się i gotów „uderzyć mu do wtóru“.

Jakże dziwnie brzmią te słowa, taką techną miłością, wobec dzisiejszych rozdźwięków!...

Ów „Poranek majowy“ Rutkowskiego, Bohdanowi przesłany, znany mi nie jest. Niewątpliwie był to ostatni jęk stęsknionego serca, gdyż Rutkowski w parę tygodni po dacie listu Bohdana, d. 2 lutego 1881 w Paryżu zakończył to życie, zaiste dziwne, rozpoczęte w młodzieńczych latach krwawą awanturą ze słynnym opryskiem, pełne walk i rycerskich zapasów w wieku męskim, pełne nędzy tułaczey, poetycznych uniesień, poświęceń i uczuć szlachetnych, których wyrazem są trzy listy „polityczne“, a zakończone westchnieniem do ukochanej Ukrainy... Jest to jedna z postaci, wynurzających się ku nam z tłumu dawnego polskiego wychodźstwa, którego dzieje wewnętrzne czekają jeszcze pełnego zobrazowania. Wspomnienie niniej-

sze, to drobny rys tylko, lecz ornamentem niepospolitym jest następujący list Bohdana.

Do Pana Teodora Rutkowskiego
rue Cardinet 87 — Batignolles
w Paryżu.

Villepreux (Seine et Oise) 14 stycznia 1881 r.

Kochany Panie Teodorze, podczas zimy jestem już wierutnym niedołągą, bo niedowidzam zgoła w pochmurne, zamglone dnie. Długo ślepałem, zanim zdołałem przeczytać uprzejmy twój list i niewolący wierszyk. Okrom tego, roztargniony byłem kłopotami domowymi i przejażdżkami do Wersalu i do Paryża; zamierzałem nawet osobiste odwiedziny na rue Cardinet.

Nawzajem, Panie Teodorze, przesyłam życzenia z pod serca: „Szczastja, zdrowja na Nowyj Rik. Rody Boże żyto, pszenyciu i wsia-ku pasznyciu!“ — Gorące słowa twego listu rozrzewniły mnie i błogo rozmarzyły o Ukrainie. Zestarzeliśmy się i zmarnieliśmy na czużyni, ale za łaską bożą na dnie serc naszych gore z nicz lechicki, to jest rodowita wiara, miłość, nadzieja, rodowita cześć wszelkiego dobra i piękna. Złe jest na świecie i będzie bodaj gorzej. Francuzi nas zawiedli szkaradnie. Prawdy społeczne wsze-

dy są w poniewierce. Ale módlmy się i nieupadajmy na duchu. „Większy jest Pan Bóg niż Pan Rymsza“. Cieszę się, że lubujesz się w samotności, jako prawy stepowiec. Samotność to nasza piastunka i karmicielka i mistrzyni. W tem to uczuciu śpiewałem ongi:

„U nas inaczej. Miłość i tęsknota
„To jak dwie prządky naszego żywota,
„Boże mój, Boże! łzami modłę Ciebie
„Jak umrę, daj mi Ukrainę w Niebie“.

Rzucam tu, Panie Teodorze, jeno ogólniki, bo na rozwinięcie ich braknie mi na razie wzroku. Ćmi się ciągle w oczach a więc i w myśli.

„Poranek Majowy“ twój, Panie Teodorze, udał ci się wyśmienicie. Wiele w nim świeżości, barwy i woni miejscowej. Już to my Ukraińcy posiadamy osobny zmysł ku odwzorowywaniu natury. Znasz zapewne wierszyk Tarasa Szewczenki do Bronisława Zaleskiego napisany w Orenburgu pod tytułem: „Weczir“ (majowy). Sybirakowi naszemu objawiła się tam Ukraina w pełni poetyckiego natchnienia:

„Sadok wysznemyj koło chaty —
„Chruszczy nad wyszniamy hudut —
„Płuhatory z płuhamy idut.

„I maty choce nauczaty,
„Ta sołowejko nedaje.
„Pokłała maty koło chaty
„Małenkich ditoczok swoich
„Sama usnuła koło ich —
„Zatychło wse, tilko diwczata
„Ta sołowejko niezatych. —

Ile razy jestem smutny lub stroskany, to przypominam sobie te zwrotki Szewczenki, rozpogadzam się odrazu, gotów uderzyć mu do wtóru.

Drogi Panie Teodorze, jak będziesz pisał do Karola Taube,¹⁾ pozdrów go najserdeczniej odemnie. Łączą mnie z jego rodziną dawne i miłe wspomnienia. Stryjowi jego, (którego nie wiem czy pamiętasz), zawdzięczałem pierwsze moje nocje o Goethem, Szyllerze i literaturze niemieckiej. Był on dziwak trochę, ale miał złote serce i umysł wysoki, wykształcony. Niestety, nie umiał dobrze po polsku.

Kiedyś, Panie Teodorze, poszlę, lub przywiozę obszerną opowieść o Karmaniku

¹⁾ Rodzina baronów Taube, z Kurlandji, osiedlona na Ukrainie. Z nich Karol i Gustaw znani z gorących uczuć patriotycznych.

i o twojej z nim przygodzie, napisaną przez dr. Rolle. Radbym wiedzieć, czy osnowana jest na prawdzie i wiarygodna? Dr. Rolle, uczeń i naśladowca Szajnochy, używa dziś wielkiej wziętości w nowej literaturze polskiej. Zapytaj o Rolle Józefa Gałęzowskiego, który kolegował z nim kiedyś w szkołach. Józef Gałęzowski, jak tobie, Panie Teodorze, tak mnie zarówno jest sympatyczny, najsympatyczniejszy bodaj w całej młodszej generacji emigracyjnej, światły, a skromny i usłużny. A jakoż zacna Pani Amelia¹⁾ i Wicia?²⁾ To istne nasze ukraińskie przylepki.

Ściskam bratnią twoją dłoń
stary zemlak

J. B. Zaleski.

Milej żonie twojej łącznie powinno uklony.
Obyś wyczytać umiał bazgranie ślepca.

B. Z.

¹⁾ Amelia Gałęzowska.

²⁾ Wiktoria z Gałęzowskich Lipkowska. Teodor Rutkowski, który przez czas pewien był profesorem ortografii w polskiej szkole batignolskiej, uczył ją tego przedmiotu.

Do Historji Filaretów.

W Warszawskich Uniwersyteckich Wiadomościach za rok 1897 w zeszytach VIII i IX.¹⁾ ogłosił p. Teodor Wierzbowski dwa dokumenty, odnoszące się do historji Filaretów, mianowicie: oryginalny raport senatora Nowosilcowa, złożony Wielkiemu Księciu Konstantemu, z obszernem przedstawieniem toku śledztwa i jego rezultatów, a prócz tego spis Filaretów, obejmujący 166 nazwisk, zatem najobszerniejszy z dotychczas znanych: dr. Szeliga bowiem w pracy swej p. t. *Proces Filaretów w Wilnie*²⁾ podaje listę niekompletną obejmującą 105 nazwisk, a w roz-

¹⁾ Варшавскія университетскія Извѣстія 1897. VIII. str. 3—32, IX. s.r. 33—94.

²⁾ Archiwum do dziejów liter. i oświaty tom VI. 1890. str. 244.

prawie p. t. *Kilka słów o Filomatach i Filaretach*¹⁾ wymienia 113.

Raport Nowosilcowa jest niezmiernie szczegółowy, a obejmuje nie tylko proces Filaretów, lecz w pierwszej swej części przedstawia historję dwóch towarzystw młodzieży szkolnej w Świsłoczy, mianowicie zaś: „Towarzystwa naukowego“, które istniało tylko przez trzy miesiące roku 1819, i „Towarzystwa Moralnego“, zawiązanego w tymże roku przez uczniów 6-tej klasy gimnazjalnej, które istniało do 20 lipca 1820 r. Druga część raportu odnosi się wyłącznie do towarzystwa wileńskiego Filaretów i będących z niem w związku towarzystw Promienistych i Filomatów.

Każdego czytelnika owego sprawozdania Nowosilcowa przedewszystkiem uderzyć musi niezwykła jego drobiazgowość. Czytając obszerny ten elaborat przyjąć musi każdemu na myśl, że panu senatorowi nie chodziło zapewne o pociągnięcie do odpowiedzialności i o ukaranie młodzieńców za zawiązywanie tajnych i nie tajnych towarzystw, ile raczej o wykazanie, że duch buntowniczy i konspiracyjny panuje wśród uczącej się młodzieży, o skompromitowanie dotychczasowego ku-

¹⁾ Przewodnik nauk. i lit. 1899. str. 727, 728, 729.

ratora księcia Czartoryskiego i całego zarządu szkolnego, który ów duch rzekomo pokrywa, toleruje a nawet opieką otacza. Po ogłoszeniu tak ważnych dokumentów jak te, które są zawarte w przytoczonej powyżej pracy dr. Szeligi, oraz w pracy Z. Wasilewskiego¹⁾ zamiar ten Nowosilcowa nie mógł być dla nikogo tajemnicą. Dokumentów tych nie mógł mieć jeszcze pod ręką Zdzisław Horodyński, gdy pisząc w r. 1883 o Towarzystwie Szubrawców²⁾ przyznawał, że „podejrzliwość rządu rosyjskiego względem Filaretów i Filomatów była, o ile się zdaje, po części uzasadniona“. Dziś wobec prawdy wynikającej jasno z ogłoszonych dokumentów urzędowych, nic już pod tym względem „zdawać“ się nie może i Horodyński byłby z pewnością cofnął swe powątpiewające słowa. Raport Nowosilcowa stwierdza też w zupełności tę prawdę; stwierdza dobitnie, że podejrzliwość rządu rosyjskiego nie była wcale uzasadniona w celu i działaniu Stowarzyszeń młodzieży, lecz wynikała z tendencji,

¹⁾ Arch. do dziejów lit. i ośw. tom IX. 1897. „Promieniści, Filareci i Zorzanie“ wyd. Z. Wasilewski str. 136—267.

²⁾ Towarzystwo Szubrawców, Lwów 1883., str. 6.

dużącej do zniszczenia Uniwersytetu i zagarnięcia pod swój wpływ wyłączny szkół okręgu wileńskiego. Przeczuwał to doskonale książę kurator Czartoryski, gdy w liście do Jana Śniadeckiego¹⁾ jeszcze 3 (15) września 1822 r. pisał: „Czasy teraźniejsze nie są łatwe; i wymagają więcej niż kiedy, aby w zgromadzeniach uczących przy prawdziwej gorliwości, roztropność i prawdziwa jedność panowały“. Domagał się też książę kurator w tymże liście ufności dla siebie, gdyż on „jeżeli w swoim postępowaniu nie zawsze życzynego skutku dostąpi, to przynajmniej zawsze większemu złemu stara się zapobiegać, a jeżeli wielu osobom często przykrym się wydaje, dzieje się to jedynie aby wszystkim gorzej nie było. „Wśród spotykanych zawał i trudności—pisze książę dalej—kroki moje, z których ani mogę, ani winienem się tłómaczyć, za jedyny cel mają uchronienie wstrząśnień edukacji publicznej“.

Raport Nowosilcowa jest najlepszym dowodem, że książę kurator wiedział więcej i widział lepiej niż inni; wyjaśnia on dobit-

¹⁾ Michał Baliński: „Pamiętniki o Janie Śniadeckim“ Wilno 1865. tom I. str. 860, 871.

nie, co to było, owo, „większe zło“, którego się Czartoryski obawiał, niebawem bowiem nastały czasy, w których wszystkim „stało się gorzej“ i nastąpiło owo „wstrząśnienie edukacji publicznej“. Do tego wstrząśnienia dążył i na nie czyhał Mikołaj Mikołajewicz Nowosilcow.

Pan Teodor Wierzbowski raport senatora wystudjować mógł dobrze i dokładnie poznać jego charakter, sam bowiem oświadcza w przedmowie¹⁾ że zna dwie jego formy: redakcję w brulionie (Wileńska publ. Biblioteka, B. XIX. 8.) „całkowicie pisaną ręką Nowosilcowa, chociaż nie kompletną, brakuje w niej ostatniej kartki i kilku środkowych) i oryginał (archiwum Ministerstwa Narod. Oświaty, № 130262), podpisany przez Nowosilcowa i przedstawiony przez niego W. Ks. Konstantemu. Słusznie też p. Wierzbowski powiada, że pomimo aktów ogłoszonych w pracach dr. Szeligi i Zygm. Wasilewskiego, strona „dokumentarna“ sprawy filareckiej nie jest wyczerpana, że ów raport Nowosilcowa, który w całości pierwszy ogłasza,

¹⁾ Вapш. Универс. Изв. 1897. VIII K'istorii tajnych obščezestw i kpyžkow sredi litewsko-polskoj molydyezhi w 1818—1823. Predisłowie str. 1. 2.

wraz ze spisem nazwisk Filaretów, ma doniosłe znaczenie, gdyż to wszystko co dotąd o towarzystwach wiadomo, dopełnia wielu cennymi szczegółami. Niepodobna wszakże zgodzić się na twierdzenie p. Wierzbowskiego, że raport Nowosilcowa, zawierający *résumé* śledztwa, którem senator sam kierował, ma tem samem taki charakter, który winien uchylać możebność tendencyjnego przedstawienia sprawy. P. Wierzbowski twierdzi dalej, jakoby elaborat ów „jasno i konsekwentnie“ wyłuszczał sprawę, a w końcu wyraża nadzieję, iż dokument ten przyczyni się „do bardziej krytycznego i beznamietnego poglądu na kwestję, której dotyczy i na ludzi, którzy w tej sprawie czynną odegrali rolę“.

Słowami temi, krótko a wymownie zaświadczył p. Wierzbowski, iż w poglądzie na sprawę Filaretów, pomimo ogłoszonych w r. 1890 i 1897 dokumentów, nie zszedł ani trochę ze stanowiska, jakie zajął w r. 1888, gdy pisząc o tymże przedmiocie ¹⁾ usiłował rzucić cień na charakter Zana i Mickiewicza i udowodnić,

¹⁾ T. Wierzbowski; Mickiewicz w Wilnie i Kownie. Bibliot. Warszawska Kwiecień 1888.

że wieści o cierpieniach Filaretów w więzieniu były przesadzone lub zgoła zmyślone.

Rzecz zaiste dziwna! P. Wierzbowski nie tylko nie zwraca uwagi na treść ogłoszonych dokumentów, chociaż prace dr. Szeligi i Wasilewskiego wymienia, lecz podając sam dokument, potwierdzający najdobitniej poprzednie akta, usiłuje uchylć od elaboratu Nowosilcowa nawet cień tendencyjności!

Podaję ów raport w przekładzie z rosyjskiego, o ile być może dosłownym, zachowując nawet niezbyt wykwinny styl jego urzędowy; czytelnik sam osądzi, czy urzędowy jego charakter „uchyla możebność tendencyjnego przedstawienia sprawy“, czy jest „jasny i konsekwentny“ i o ile przyczynia się do „krytycznego i beznamietnego poglądu na kwestję i na ludzi“.—Zwróć tylko uwagę na kilka szczegółów.

Wiadomo, jakie były rezultaty działalności Nowosilcowa na Litwie: pięciu studentów z piątej klasy gimnazjum wileńskiego za napisy na tablicy o Konstytucji 3 maja, (z którą to sprawą połączono sprawę napisów na murze dominikańskiego klasztoru, widocznie nie polską a prawdopodobnie prowokacyjną ręką rosyjską kreślonych) skazano w aresztanckie rotty. Tak samo poszło

w żołdacy sześciu uczniów szkoły w Krożach za utworzenie Związku „Czarnych braci“. Dalej, kilku uczniów ze szkoły kiejdańskiej, — wskutek swawolnego wybryku syna rektora tej szkoły Molesona, — za jakieś kartki poprzylepiane na ulicach, poszło do kopalń Nerczyńskich lub w żołdacy; szkołę zamknięto a wychowankom jej zabroniono wstępu do innych zakładów naukowych. Ten sam los — aresztanckie rotę — spotkał uczniów szkoły kowieńskiej za wierszyki ubliżające W. Ks. Konstantemu. Nie lepiej wyszli uczniowie szkoły w Poniewieżu, którzy za karteczki wspominające o Konstytucji, przewiezieni w kajdanach do Wilna, skazani zostali w żołdacy.

Rezultat ten zachęcił p. senatora; więc poszedł dalej. W roku 1823 dowiedziawszy się, że przed czterema laty (1819) zawiązało się było wśród uczniów szóstej klasy świstockiego gimnazjum towarzystwo dla wspólnej nauki i zabawy, które wnet po ukończeniu nauk rozwiązane zostało, nakazał surowe śledztwo. Owych byłych uczniów, po tylu latach, ścigano w różnych stronach Litwy, przewieziono do Wilna, więziono — gdy zaś nie można było dowieść im winy, skazano na opłacenie kosztów procesu, a przełożonych

szkoły usunięto ¹⁾. Tak samo tu, chociaż nie zdołano udowodnić winy, jak i w Kiejdanach, skrupiło się ostatecznie na samej szkole, — następowało „jasno i konsekwentnie“ owo wstrząśnienie edukacji publicznej, które już w r. 1822 przewidywał książę kurator.

Rzeczywiście też „jasnym i konsekwentnym“ — wedle słów p. Wierzbowskiego, — jest Nowosilcow, gdy przytaczając drobiazgowo rezultaty śledztwa przez siebie przeprowadzonego, niedwuznacznie wskazuje w swym raporcie na niedostateczność pierwszych dochodzeń co do Promienistych, nakazanych przez „byłego“ księcia kuratora.

Czartoryski jeszcze w r. 1821 wobec zajść i wypadków w uniwersytetach zagranicznych, wobec powszechnej chęci tworzenia związków tajnych, w zaleceniu sekretne, danem rektorowi Malewskiemu, przestrzegał, aby „zacna młodzież całego wileńskiego wydziału, zalecająca się zawsze karnością i uszanowaniem dla władzy“ nie dała się porwać prądowi; nakazywał wielką czujność, aby chronić się nawet „wszelkiego pozoru“ i w ten sposób „zabezpieczyć uniwersytet, szkoły i samych uczniów od bardzo nieprzyjemnych, grozić im mogących wypadków“.

¹⁾ Dr. Szeliga: Proces Fil. w Wilnie. Arch. do dz. lit. i ośw. VI. str. 221, 222.

Ale książę kurator dbały o byt instytucji naukowych, a z drugiej strony znający dobrze i kochający ową zacną młodzież, zalecał w temże piśmie rektorowi wielką ostrożność w postępowaniu, aby „małym, nieznaczącym, odosobnionym i przypadkowym uczynkom, przez niełagodne, głośnie lub raptowne skarcenie, nie dawać, wzrostu i wagi“. ¹⁾

Inaczej Nowosilcow. Jemu bynajmniej nie idzie o ostrożność w postępowaniu, on przeciwnie nie nieznaczącym i odosobnionym uczynkom pragnie nadać wzrost i wagę, on będzie pociągać najmłodszych, wygrzebywać dawno zapomniane fakta, nadawać im dowolną barwę, dziecinnyim zabawom podsuwać występne tendencje.

Znane dokładnie jest tło i duch epoki, w której rozegrała się historia Filaretów. W całej Europie powstało mnóstwo tajnych towarzystw, wśród których naczelne miejsce zajmowało Wolnomularstwo, powszechnie a nawet przez rząd rossyjski tolerowane i otaczane nieraz bardzo względną opieką. Wiedziała o tem dobrze młodzież wileńska a zwłaszcza ta zacna i karna, o której pisał Czartoryski, a na której czele stał Zan. Skupić się pod

¹⁾ Tamże str. 223, 224.

hasłem nauki i moralności, odepchnąć zle prądy, to było zadaniem tego najszlachetniejszego wśród szlachetnych. To była obrona całej młodzieży uniwersyteckiej od wpływu tajnych towarzystw i ich agentów, którzy, jak świadczy Domejko ¹⁾ poczynali bałamucić nieostrożnych. Tenże sam wiarogodny świadek opowiada, że wkrótce po zawiązaniu towarzystwa Filaretów, powstał w Wilnie i zaczął pociągać młodzież tajemny klub, z całym aparatem czarnych izb, trupich głów, sztyletów, oznak, przysiąg i ceremonji. Jedynie zabiegom Filomatów a pośrednictwem Domejki i Teodora Łozińskiego zawdzięczyć należy, iż klub ten, zakrawający już na karbonarstwo, sam przez się wkrótce rozwiązał się bez oporu. Tak samo stało się z propagandą sekretną niejakiego Ogińskiego.

Te już dwa fakta świadczą wymownie, jaka była działalność i cele Filaretów. Nowosilcow, który tak drobiazgowo przeprowadzał śledztwo, który wiedział co robili uczniowie gimnazjalni w Świsłoczy w r. 1819, co robił Zan, będąc dzieckiem w Mołodecznie, nie mógł oczywiście nie wiedzieć o owym tajemnym klubie, powstałym niemal równocześnie z Filaretami, albo o propagandzie

¹⁾ Filareci i Filomaci. Poznań 1862 str. 18,

Ogińskiego — nie wspomniał jednak o tem ani słówkiem w swym raporcie, w którym sprzecznie z faktami i oczywistą prawdą, sprzecznie z wyraźnem brzmieniem ustaw filareckich, wykluczających wszelkie tendencje polityczne, a nawet religijne dyskusje, usiłuje udowodnić, że celem Filaretów jedynym i wyłącznym było — odbudowanie Polski! Wiedział Nowosilcow dobrze, że sam fakt odkrycia tajnego stowarzyszenia młodzieży, mającego tylko na celu naukę, w epoce konspiracyjnych ruchów, nie mógłby wystarczyć do stanowczego potępienia młodzieży i zachwiania edukacją publiczną. Do tego potrzeba mu było nadać towarzystwu barwę polityczną, wrogą rządowi i dopiął celu na podstawie nikczemnych zeznań Jankowskiego. — Nie zwraca wcale pan senator uwagi, że delator w zeznaniach swych nieraz się płacze; nie osłabia to bynajmniej jego zaufania, że Jankowski kilkakrotnie przy konfrontacjach z Jentzem i Rukiewiczem, musiał osłabiać lub cofać swoje oskarżenia, że musiał przyznać, iż on o tem lub owem wiedział tylko „ze słyszenia“. Reasumując cały przebieg procesu, p. senator powołuje się na te zeznania, które sam sztucznie oświecił, jak na niewzruszone i zupełnie wiarogodne świadectwo! Dla niego, to, co wyrzekł

Jankowski, „przejęty skrucą“, jest zarówno święte, jak niczem nie poparte twierdzenie oberpolicmajstra petersburskiego. Podobają się owemu panu oberpolicmajstrowi scharytetyzować aresztowanego w sprawie filareckiej Konstantego Zaleskiego, jako „wolnomysłnego człowieka“. Zapytany na czem ten zarzut opiera, p. oberpolicmajster odrzekł, że już nie pamięta (!) na jakiej podstawie wyciągnął wniosek o „wolnomysłności obwinionego. To jednak wcale nie przeszkadza Nowosilcowowi, w raporcie, mającym, zdaniem p. Wierzbowskiego, taki charakter, „który winien uchylać możebność tendencyjnego przedstawienia sprawy“—powoływać się na oskarżenie p. oberpolicmajstra, jako niewzruszone!

W ten sam „bezsronny“ sposób raport Nowosilcowa zestawia inne oskarżenia. Wiersze Zana, pochodzące z pierwszej młodości, zarówno jak brulion mowy Suzina, natchnione w tej epoce sławą Napoleona I. są podniesione jako okoliczności obciążające, które mają świadczyć o przewrotnym sposobie myślenia. Nie lękając się komizmu, Nowosilcow pisze ze zgrozą: Suzin sławi Napoleona za wskrzeszenie b. Księstwa Warszawskiego! czem okazują więcej przywiązania do Napoleona niż do Rossji! Nadaremnie tłómaczą się obwinieni,

że podówczas, gdy te rzeczy były pisane, zapisał dla Napoleona był powszechny, nadaremnie Zan wyjaśnia, że słowa odczytane w jego papierach o oswobodzeniu kraju, odnosiły się do Grecji; napróżno inny Filaret, Michalewicz, zaręcza, że słowa jego użyte w liście do ks. Brodowicza o Włoszech i Niemczech, były zaczerpnięte z ówczesnych dziennikarskich doniesień. Nadaremnie wreszcie Zan i inni Filareci, wszystkie wykroczenia pojedynczych członków, przypisują ich własnemu usposobieniu i przekonaniu. Nowosilcow wszystkie wyrażenia lub zdania, przejęte duchem narodowym lub odnoszące się do polityki, kładzie na karb ducha panującego w towarzystwie, ducha konspiracyjnego. A konspiracją jest u niego wszystko, co potrąca o wypadki współczesne, lub nie pełza w wiernopoddających pokłonach. Jeżeli Michalewicz wspomina o Włoszech w swym liście, to sam ten fakt, iż zajmuje się zaszły mi tam wypadkami, dowodzi szkodliwego wpływu filareckiego towarzystwa. Jeżeli Filaret Makowiecki objawia uczucia polskie, to także towarzystwo temu winno, gdyż Makowieckiego dziad był radcą stanu a ojciec prezesem „grażdańskiej pałaty“, wnuk zatem radcy a syn prezesa powinien był czuć się zupełnym Rossjaninem! Zauważyć tu jeszcze

należy, że p. senator, w „bezzstronnym“ swoim raporcie, popiera oskarżenie znalezionymi wierszami, których nigdy nie wygłoszono i nie pokazywano nikomu! Tak się np. miała rzecz ze wspomnianym Makowieckim, a także z jakąś odą pisaną przez Koczalskiego ucznia świsłockiej szkoły, na cześć ks. Józefa Poniatowskiego, jeszcze w r. 1818. Już to samo, że uczniowie Polacy, myślą po polsku, że uczą się polskich dziejów, że rozpamiętywują dzieje sławnych mężów polskich, jest w oczach Nowosilcowa niezmiernie karygodne. Oni — powiada ze zgrozą — nazywają ojczyzną nie Rossję, lecz „polskie gubernie“! Już sama wzmianka w prawidłach filareckich o przywiązaniu do kraju, wystarcza p. senatorowi, aby orzec, iż to towarzystwo miało cel polityczny. Gorszy się też ogromnie, że każdy nowo przyjęty do Filaretów, w składanem przyrzeczeniu, iż dotrzyma ustaw towarzystwa, zobowiązywał się słowem „Polaka“. — Z jakiegoż powodu — zapytuje na serjo Nowosilcow, wspominać o Polakach, gdy oni wszyscy są poddanymi rosyjskiego Państwa! — Nie rozbraja to wcale p. senatora, że ci, których mianem przestępców piętnuje, to młodzieńcy po większej części znakomitych zdolności, cisi, skromni, pracowici, — on by chciał, aby każdy z nich zapomniał przedewszyst-

kiem, że jest Polakiem, aby wyrzekł się tradycji; on by chciał zdławić w nich poczucie narodowości, jakkolwiek w szkolnych podręcznikach uczono jeszcze podówczas o „świętej miłości kochanej Ojczyzny“. Zaiste p. senator w „bezstronności“ swej przekracza czasem granice — zdrowego rozsądku!

Na takich to dowodach, sztucznie złożonych, opiera się „bezstronny“ raport Nowosilcowa, na takich podstawach oparł on cały gmach oskarżenia, którego cel aż nazbyt widoczny w tych słowach senatora: „Jeżeli wina przestępców wzrosła do tego stopnia (!) jaki śledztwo wykazuje, to jedynie dzięki niedbalstwu i pobłażliwości wyższej zwierzchności uniwersyteckiej“. Oto cel całego działania. P. senator zapowiada Wielk. Księciu osobne w tym względzie doniesienie. Zanim jednak zabierze się do „wstrząśnięcia edukacji publicznej“, musi p. senator uporać się wprzód z owymi „przestępcami“. — Zakończenie raportu jest arcydziełem hipokryzji. P. senator widocznie nie był pewny swego, pomimo tak sztucznie zebranego materiału oskarżającego; lękał się braku dowodów, chwiejnych nieraz zeznań Jankowskiego, rozmaitych sprzeczności, które pogodzić się starał własną argu-

mentacją. Kto wie, coby się z tem wszystkim stać mogło, gdyby sprawa poszła przed sądy? Nowosilcow wiedział dobrze, jaki duch pobłażania panował podówczas, nawet w najwyższych sferach, dla towarzystw tajnych, zwłaszcza dla masonerii. Nie chciał więc ryzykować i narażać tej sprawy, która miała zakończyć proponowaną przez niego reformę Uniwersytetu, upragnionem usunięciem Lelewela, Daniłowicza, Gołuchowskiego ze stanowisk profesorów. Nowosilcow tedy przypada „do stóp“ W. Księcia i po faryzeuszowsku „prosi ze łzami“ o łaskę dla nieszczęśliwych młodzieńców, aby nie byli oddawani „nieugiętej surowości“ sądu, lecz aby sam p. senator, na podstawie przez siebie przeprowadzonego śledztwa, mógł ferować wyrok! I tak się stało: wszystkie wnioski Nowosilcowa przyjęto. Najdzielniejsi z młodzieży filareckiej, po odsiedzeniu kary więzienia, mieli zdolności swe i prace ponieść do oddalonych gubernii rosyjskich, a Uniwersytet wileński, pozbawiony najcelniejszych sił profesorских, miał być poddany pod wpływ Nowosilcowa i jego kreatur! Piekielny, zaiste, plan! W pierwszorzędnej instytucji naukowej, zagasić światło, zgnieść narodowego ducha, a tych wszystkich, których ten duch wychowywał, a którzy mogliby rozkrzewiać go dalej,

wywieźć daleko po za granice kraju, i zmusić ich, aby pracę swą i siły umysłowe poświęcili na usługę „jedynej ich ojczyzny, rosyjskiego państwa!“ W tym celu nie szczędzi Nowosilcow usiłowań, aby swój „bezzstronny“ raport uczynić jak najwymowniej-
szym; w zapale oddaje nawet uznanie tym młodzieńcom, których przestępcami mianował; podnosi wysoko ich uzdolnienie a nawet roztkliwia się nad „jękiem boleści“ tylu rodzin, które widzą w skazańcach podpórę swą i chlubę!

I wygrał p. senator sprawę. Stało się za-
dość jego woli i piekielny plan we wszyst-
kich szczegółach spełniony! Rozpoczęła się
epoka rozproszenia najdzielniejszych sił mło-
dzieży polskiej po olbrzymiej przestrzeni im-
perium od Białego do Aralskiego morza...

Jeżeli raport Nowosilcowa jest pod tym
względem szczytem hipokryzji, ciekawym
dokumentem złości ludzkiej, to niewątpliwie
jest on zarazem niezmiernej wagi aktem,
uzupełniającym w wielu szczegółach to, co nam
już wiadomo z dokumentów dotychczas ogło-
szonych. Stwierdza on niezbiecie tendencję
i cel ostateczny procesu, kierowanego wpra-
wną ręką senatora, a pamięci Filaretów, ich
działalności, pracom i zamiarom wystawia
bezwiednie niepożyty pomnik. Zwłaszcza

postać Zana, któremu p. senator poświęca
główną uwagę, staje przed nami w całym
blasku nieporównanej zacności i niezłomno-
ści charakteru, od czasu pierwszej młodości,
od szkoły w Mołodecznie i zabaw niemal dzie-
cinnych, od pierwszych prac, zagrzewających
umysły młodzieży do cnoty i nauki, aż do
tej chwili, gdy pragnął poświęcić się dla in-
nych i całą winę przyjmował na siebie. Ob-
ciążył go p. senator najcięższymi zarzutami
i wymierzył najwyższą karę, ale blasku, jaki
bije od tej postaci, przyćmić nie zdołał,
a przyznać musiał, iż otaczała ją miłość
i cześć powszechna.

Jeszcze pod jednym względem „bezzstron-
ny“ raport Nowosilcowa stwierdza prawdę,
którą przytłumić pragnął sam p. Wierzbow-
ski¹⁾ usiłując dowieść, jakoby podania o su-
rowości, z jaką przeprowadzono śledztwo
i traktowano Filaretów, były przesadzone
a nawet zmyślane. Do wymownych świa-
dectw, jak zażalenia uczniów Uniwersytetu:
Januszeńskiego, Bergiella, Chodasiewicza²⁾

¹⁾ Ob. Wierzbowski Teodor. „Mickiewicz w Wil-
nie i Kownie“. Biblioteka Warszawska. 1888.

²⁾ Dr. Szeliga. „Proces Filaretów w Wilnie“.
Arch. do dziejów lit. i oświaty. Tom VI. str. 235,
236, 237.

jak niemniej wymowny list Stefana Zana do rektora Twardowskiego ¹⁾, przybywa nam jeszcze świadectwo, chyba przez p. Wierzbowskiego niepodejrzywane, w raporcie Nowosilcowa. Gdy wspomniane wyżej listy i zażalenia świadczą, iż p. policmajster Szłykow zarówno jak jego sekretarze, Szkulcecki i Królikowski, oraz sowiernik Ławrynowicz, nakłaniali studentów groźbami i grubiańskimi słowami do zeznawania nieprawdy, dyktowali sami kłamane zeznania i aresztem zniewalali do zatwierdzania kłamstwa, że owych nielelnich „przestępców“ trzymano w zimnych i wilgotnych kaźniach, a odmawiano pierwszych potrzeb do życia; — to raport Nowosilcowa dowodzi, że sam p. senator postępował nieinaczej. Oto, aby zmusić Adama Suzina do przyznania się, że należał do towarzystwa Filaretów, wziął go, jak sam zeznaje, pod „ciężki areszt“ a groził mu w razie oporu pozbawieniem szlachectwa i jeszcze surowszą karą. Pozbawienie szlachectwa, wiadomo co znaczyło, — to niemal pozbawienie wszelkich praw ludzkich, a jeszcze surowsza kara, to może nawet ciężkie roboty! I to wszystko za to, że w papierach Suzina zna-

¹⁾ Tamże str. 247:

lezione „brulion“ protokołu z posiedzenia Filaretów! P. senator nie wahał się powiedzieć, iż napisanie tego protokołu zasługuje samo przez się na taką karę!

W ten sposób wymusiwszy zeznania, p. senator ułożył swój „bezstronny“ raport, w którym do uzasadnienia winy studentów i wymierzenia kary wystarcza mu, według słów wieszczą, „śląd dowodu, cień śladu, choćby cieniów cienie“.

Jestto niewątpliwie dokument wielkiej wagi, ale nie w tem znaczeniu, jakiego mu chciał nadać p. Wierzbowski. Raport Nowosilcowa po wieczne czasy świadczyć będzie, w jaki sposób i jakimi środkami rząd rossyjski „jasno i konsekwentnie“ dążył, za pomocą swoich kreatur, do zachwiania podstaw wychowania publicznego w prowincjach polskich, jak znęcał się i prześladował tych, którzy zasługą, pracą i zdolnościami narodowi polskiemu zaszczyt i światło przynosili. W takim rozumieniu zgodzić się można ze słowami p. Wierzbowskiego, że ogłoszone przez niego dokumenty przyczyniają się w wysokiej mierze do ustalenia poglądu prawdziwie krytycznego tak na sprawę Filaretów, jak i na ludzi, którzy w niej udział mieli.

Sprawa to czysta, a ludzie rzeczywiście „promienni“.

Przypatrmy się teraz tym dokumentom:

I.

Raport Senatora Nowosilcowa.

Jego Cesarskiej Wysokości Cesarzewiczowi
i Wielkiemu Księżciu Konstantemu Pawłowiczowi.

*Rzeczywistego Tajnego
Radcy Senatora Nowosilcowa
Raport.*

Wasza Cesarska Wysokość poleceniem z dnia 28 czerwca 1823 do № 712, raczył rozkazać mi, abym udał się do Wilna, dla przeprowadzenia uzupełniającego śledztwa, z powodu napisów ¹⁾ jakie pojawiły się dnia

¹⁾ Napisy te były: „Vivat niech żyje konstytucja 3 maja,” jak słodkie wspomnienie dla nas rodaków,—z dopiskiem drobnym: „lecz nie ma kto-by się o nią dopomniał“. Sprawa o te napisy ciągnęła się długo: zakończona skazaniem pięciu uczniów gimnazjum wil. w sołdaty. — Patrz Archiwum do dziejów literat. i ośw. w Polsce tom VI. Proces Filaretów w Wilnie“. Dr. Szeliga, str. 180—222. „Żywot Adama Mickiewicza“ opow. Wład. Mickiewicz tom I. str. 133 i in.

3 maja na desce szkolnej w 5 klasie wileńskiego gimnazjum i innych na ścianach dominikańskiego klasztoru, ¹⁾ a zarazem dla zbadania sprawy ucznia wileńskiego Uniwersytetu Massalskiego, ²⁾ który wobec policmajstra w Wilnie oświadczył, że jest liberałem i przeciwnikiem monarchicznej władzy. O pierwszych dwóch okolicznościach miałem szczęście najuniżeniej donieść Waszej Cesarskiej Wysokości w raporcie z 11 sierpnia zeszłego roku do Nr. 1060 i w tych sprawach nastąpiło już rozstrzygnięcie Waszej Wysokości,

¹⁾ Napis ten, pochodzący widocznie nie z polskiej ręki brzmiał: „Niech żyje Konstytucja 3. Maja. Śmierć Dispotam. Daj Boże, gdyby się to sprawdziło“. — Tamże.

²⁾ Massalski Józef, mieszkał u prof. Becu, był nauczycielem Słowackiego, twierdził, że ma uczynić ważne zeznania W. Ks. Konstantemu; dostawiony do Warszawy tłumaczył się, że użył tego wybiegu, aby się dostać bezpłatnie do Warszawy, chce bowiem wstąpić do wojska. W. Ks. kazał go zaliczyć do prostych szeregowców. Papiery przy nim wówczas znalezione, dały powód do procesu Filaretów. Należał do błękitnego grona. Dr. Szeliga. „O Filomatach i Filaretach“ Przewodnik nauk. i lit. r. 1889. str. 725 — 726. Żywot A. M. op. Wł. M. tom I. str. 150, 151. — Odyniec: Wspomnienia z przeszłości 258, — 275.

zarówno jak i co do ucznia Massalskiego. Lecz wdrożone w jego sprawie dochodzenia dały pierwszy powód do niniejszego śledztwa. Dowiedziawszy się wówczas między innemi od brata jego, Massalskiego Tomasza, że Józef Massalski był w związku z uczniami Uniwersytetu Janem Jankowskim¹⁾, Edwardem Odyńcem, Wernikowskim²⁾ i innymi i że oni zgromadzając się, zajmowali się czytaniem i układaniem wierszy, poleciłem policmajstrowi wileńskiemu, aby zabrał ich papiery i chociaż oni — było to bowiem w czasie wakacji, rozjechali się. lecz pozostałe tu w ich mieszkaniach niektóre papiery były zabrane i mnie dostawione.

Odkrycie pierwszego Świsłockiego Towarzystwa pod nazwą Naukowego. Utworzenie jego i działanie. W papierach ucznia Jana Jankowskiego znaleziono wówczas protokół zgromadzeń towarzystwa, utworzonego wśród uczniów świsłockiego gimnazjum. Protokół ten był spisany w październiku 1819

¹⁾ Syn Gabryela, księdza unickiego.

²⁾ Jan Wiernikowski należał do Promienistych gdzie miał przydomek Pindar i piastował godność Podkanclerzego. Filolog i orientalista; był nauczycielem gimn. w Symbirsku, potem prof. jęz. wschodnich w uniwersytecie kazańskim.

r. i ma następujący napis: „Miłośnicy nauk i ojczystej literatury zamierzili wspólnymi siłami udoskonalać język ojczysty i wzmacniać rozwój polskiej retoryki, a w tem przedsięwzięciu wydało się odpowiedniem celowi i pożytecznem pisać rozprawy o różnych przedmiotach i wnosić je do tego protokołu“. W ułożeniu protokołu i wciąganiu do niego 8 mów brali udział następujący uczniowie świsłockiego gimnazjum 6-tej klasy: 1. Dyonizy Szłajewski,¹⁾ 2. Jan Jankowski, 3. Franciszek Eichler,²⁾ 4. Antoni Konachowicz, 5. Tomasz Kraskowski,³⁾ 6. Lu-

¹⁾ Dr. Szeliga: Proces Filar. w Wilnie, Archiwum dla hist. lit. i t. d. str. 244. wymienia go w spisie Filaretów, zowiąc Szolajewskim. Tamże str. 318. Wyrok. Eliasza Ostaszewski w swem Silva Rerum mss. częściowo wydanem przez E. Helleniusza („Wspomnienia Polskich czasów“ tom 2. str. 239) nazywa go Szolajewskim. Aresztowany, siedział u Bazylianów pod Nr. 5. Tamże. Wład. Mickiewicz „Żywot“ t. I. str. XXVII. zwie go Szłajewskim.

²⁾ Więziony w procesie Filaretów w tak zw. „pałacu“. Wład. Mick. „Żywot“ t. I. str. XXVI.

³⁾ Więziony w czasie procesu u Franciszków. Wład. Mick. „Żywot“ t. I. XXVII. i t. 2. III. IV.

dwik Małachowski, 7. Kazimierz Małachowski i 8. Aloizy Kierpożycki. ¹⁾

Z treści tych mów okazywało się, że w świsłockiem gimnazjum utworzyło się wśród uczniów towarzystwo pod nazwą naukowego czyli nauczającego, którego przewodniczącym był jeden z wyż wzmiankowanych uczniów, Dyonizy Szłajewski, wspomniane zaś rozprawy czyli mowy zawierały patryjotyczne myśli w polskim duchu, wspomnienia o sławnych mężach byłej Polski, wpajanie chęci naśladowania ich ku sławie Ojczyzny i przestrzeganie, aby w towarzystwie zachowano jednomyślność, równość, tajemnicę i posłuszeństwo dla przełożenstwa szkoły.

Prócz tego znaleziono w papierach ucznia Szłajewskiego, list Wiktora Heltmana ²⁾ z 26 grudnia 1819 r. pisany z Warszawy do brata, byłego ucznia świsłockiego gimnazjum

¹⁾ Zapewne Kiernożycki. Leon Kiernożycki wykazany w spisie uczniów uniwersytetu wil. z r. 1820/21, na oddziale medycznym. Z. Wasilewski „Promieniści, Filareci i Zorzanie“. Archiwum dla hist. lit. i t. d. tom IX. str. 201.

²⁾ Podpis Wiktora Heltmana znajduje się na odezwie Komitetu centralnego, wydanej w Paryżu w imieniu demokracji polskiej 31 marca 1848 a wzywającej do składek na rzecz Polaków. Wład. Mick. „Żywot“ tom IV. str. 61.

Józefa Heltmana, ¹⁾ z dodatkiem projektu organizacji wspomnianego towarzystwa. W liście tym Wiktor Heltman, ciesząc się z utworzenia towarzystwa, zaleca bratu swemu, jako członkowi tego towarzystwa, aby wyżwspomniany projekt zakomunikował swoim kolegom; w liście zaś pisze między innemi:

„Jak miło mi widzieć te źródła przyszłej oświaty narodu, to dążenie i popęd do nauk które jedne tylko szczęście, swobodę i wolność powrócić nam mogą. Jeżeli kiedykolwiek, to niewątpliwie teraz, w tych dla narodu naszego nieszczęśliwych okolicznościach, połączyć się powinny oddalone części narodu wzajemnym węzłem przyjaźni, nauk i powszechnego dobra. Niech ożywia jeden duch obywateli jednej ojczyzny, chociaż nie jednego kraju, a w razie potrzeby będą oni umieli połączyć siły, albowiem zjednoczyli serca i umysły swoje. Na tych to, z pozoru słabych podstawach, może wznieść się trwałe narodowe szczęście istnienie, którego żadna siła zniszczyć nie zdoła. Nie było jeszcze takiego tyrana, któryby mógł zwyciężyć preko-

¹⁾ Więziony w czasie procesu u Dominikanów, l. c. tom. 1, XXVIII.

nie lub zniszczyć duch narodowy. Powinniśmy dokładać wszelkich sił dla wpojenia jednomyślności, miłości ojczyzny i oświaty, które tyle dobrego i tyle przyjemności w ogólnem pożyciu przynoszą“.

Projekt ustawy ułożony przez tegoż Wiktora Heltmanna a wzmiankowany powyżej, składa się z 7 rozdziałów i 30 artykułów; w nich powiedziano między innemi: „cel towarzystwa polega jedynie na wzajemnem oświecaniu się“. Towarzystwo składa się z członków rzeczywistych, członków korespondentów, członków honorowych i członków kandydatów. Obowiązki członków rzeczywistych są następujące: „napisać raz na tydzień rozprawę i oddać ją towarzystwu dla krytycznego rozpatrzenia; starać się zbierać wiadomości literackie lub odnoszące się do pomyślności narodowej i komunikować je kolegom na posiedzeniach; także zdawać krótko sprawę z przeczytanych książek z własnymi uwagami, wreszcie być obecnym na każdym posiedzeniu członków towarzystwa, w wypadku zaś nieodzownej nieobecności zawiadomić o tem prezesa“.

Członkami korespondentami są ci, którzy byli rzeczywistymi członkami, lecz opuścili już szkołę. Obowiązki ich polegają na tem, ażeby w ciągu każdego kwartału przysyłałi

swoje rozprawy, lub przynajmniej znosili się z towarzystwem, odpowiadali na jego wezwania, a w razie przybycia do Świsłoczy bywali na posiedzeniach.

Honorowymi członkami nazywają się te osoby, które radami swemi dopomagają towarzystwu; obowiązani są wszelkimi sposobami przyczyniać się do jego powodzenia.

Członkami kandydatami nazywają się ci, którzy mając ochotę do nauk, nie są jeszcze przygotowani do prac towarzystwa; oni obowiązani, jak można najczęściej znajdować się na posiedzeniach i uczyć się tych ćwiczeń, jakie są przedmiotem towarzystwa.

Dalsze rozdziały ustanawiają: obowiązki prezesa towarzystwa i sekretarza, którzy wybierani są na nowo po upływie każdych dwóch miesięcy; porządek na posiedzeniach, rozpatrywanie rozpraw i sposób wyboru członków i urzędników. W rozdziale zaś o obowiązkach prezesa powiedziano i to, że każdy wybrany na to stanowisko, ma wygłosić w towarzystwie mowę, w której dziękując za wyrządzony mu zaszczyt, winien w szczególności wpajać w słuchaczy miłość ojczyzny i zachowanie ducha narodowego.

Oprócz tego w papierach prezesa towarzystwa, Szłajewskiego, znaleziono wiele wierszy i mów, pełnych patryotycznych myśli

polских, a także list ojca Jankowskiego do syna, w którym ojciec, zawiadamiając go o aresztowaniu w Warszawie wyżwspomnianego Wiktora Heltmana za wolnomyślne utwory, zaleca synowi. aby unikał podobnych postępów i ażeby zdolności umysłu i pióra nie używał do jakichkolwiek przeciwnych wiernopoddančym uczuciom, utworów. Nadto znaleziono w papierach Jankowskiego wiersze w brulionie i książkę, zawierającą w rękopisie wiersze własnego jego utworu, jedne z patryotycznymi w polskim duchu, a inne z ubliżającymi dla obecnego Rządu wyrażeniami, z liczby których to wierszy miałem szczęście ważniejsze przedstawić Waszej Cesarskiej Wysokości, przy doniesieniu z 13 października ubiegłego roku.

Widząc w wyżwspomnianych utworach haniebny sposób myślenia, rozpowszechniający się wśród uczniów świsłockiego gimnazjum, a przytem mając na uwadze, że kierował nimi w takich pojęciach Wiktor Heltman, który za podobne intrygi i usiłowania, oddany został jako szeregowiec w służbę wojskową, wydałem natychmiast rozporządzenie, ażeby Eichler i Jankowski, którzy w tym czasie z Wilna na wakacje wyjechali, a także Józef Heltman i Tomasz Kraskowski byli natychmiast dostawieni, dla przedsięwzięcia

śledztwa w sprawie tego towarzystwa; równocześnie zakomunikowałem list Wiktora Heltmana dowódcy litewskiego oddzielnego korpusu, p. generał-porucznikowi Dowre z prośbą ażeby nakazał odebrać od szeregowca Heltmana, co do wszystkich okoliczności w liście tym zawartych, zeznania na punkta będące przedmiotem dochodzenia.

A gdy tymczasem zbliżała się pora, w której, w sierpniu zeszłego roku, musiałem jechać do Warszawy, przeto uprosiwszy poprzednio zezwolenia Waszej Cesarskiej Wysokości, wyjechałem z Wilna, pozostawiając tu tajną komisję, złożoną z dwóch członków: wileńskiego policmajstra radcy stanu Szłykowa i radcy rządu gubernialnego Ławrynowicza, dla dalszego prowadzenia rozpoczętego śledztwa¹⁾, o czem miałem szczęście donieść W. Ces. Wys. w raporcie z 11-go sierpnia Nr. 1052.

¹⁾ Do tej komisji śledczej powołał również Nowosilcow, w razie potrzeby“ rektora Twardowskiego. Co do aktów tej sprawy i teroryzmu, jaki wywierano, patrz Dr. Szeliga „Proces Filaretów w Wilnie“. Arch. dla hist. lit. tom VI. od str. 229—245, a także Zygmunt Wasilewski: „Promieniści, Filareci i Zorzanie“. Arch. do dz. lit. i t. d. tom IX str. 162 i n.

Gdy następnie wspomniani uczniowie stawieni byli przed wyznaczoną tajną komisją, to z zeznań ich okazało się, iż rzeczzone towarzystwo związane było z końcem 1819 r. i że w jego organizacji brali udział wszyscy w ogóle uczniowie świsłockiego gimnazjum 6 klasy, a mianowicie: 1. Dyonizy Szlajewski, prezes towarzystwa, 2. Grzegorz Waszczyłowicz, sekretarz, 3. Jan Jankowski, 4. Tomasz Krasowski, 5. Ludwik Małachowski, 5. Kazimierz Małachowski, 7. Antoni Konachowicz, 8. Franciszek Eichler, 9. Aloizy Kierpożycki (*sic!*), 10. Józef Przybylski, 11. Seweryn Rajuniec, 12. Józef Heltman, 13. Erazm Pokroszyński, 14. Paweł Ciepliński, 15. Zygmunt Kryński.

Założenie tego towarzystwa spowodował wspomniany Wiktor Heltman, który w r. 1819 napisał do brata swego Józefa, uczącego się wówczas w 6 klasie świsłockiego gimnazjum, że nie jest dostatecznem kształceniem swego umysłu w jednej teorji, lecz należy umieć wyklądać swoje myśli i wyjaśniać je na papierze, że tego inaczej osiągnąć nie można, jak tylko przez częste wspólne w tem ćwiczenie i krytyczne rozpamiętywanie utworów innych, dlatego też radził przedstawić to innym uczniom 6 klasy, aby oni dla wzajemnego doskonalenia się w retoryce i kształ-

cenia się w stylu, utworzyli towarzystwo, a w tym celu obiecywał im przysłać ustawy.

Józef Heltman pismo brata zakomunikował swoim kolegom i oni, zgadzając się na projekt, utworzyli pod przewodnictwem Szlajewskiego wspomniane powyżej towarzystwo. Gdy zaś Józef Heltman doniósł o tem swemu bratu, ten przysłał mu, przy drugim wyżej już wspomnianym liście, projekt ustawy, który następnie odczytany był przez Szlajewskiego na posiedzeniu towarzystwa. — Ponieważ projekt ten, wedle ich zeznań, w wielu ustępach nie odpowiadał wrzekomo zamierzonemu przez nich celowi, zaproponowano przeto, aby niektóre ustępy przerobić a inne pozostawić w mocy, lecz tego nie doprowadzono do skutku, gdyż wkrótce i samo towarzystwo upadło.

Wszyscy oni w zeznaniach swoich twierdzą, że przy zakładaniu tego towarzystwa nie miano nic więcej na celu, jak doskonalenie się w retoryce i pięknym stylu polskim.

Towarzystwo to, jak oni zeznają, istniało tylko trzy miesiące, ażeby zaś dłużej trwało, nie okazuje się nigdzie i z niczego, a nawet i wspomniany protokół, do którego wpisane były ich mowy, odczytywane na posiedzeniach, potwierdza to ich zeznanie, gdyż pierw-

sza mowa zapisana w nim 21 października a ostatnia 20 listopada 1819 r.

Posiedzenia ich odbywały się w klasie, gdzie wykładane były lekcje, i trwały tylko pół godziny do przybycia do klasy nauczyciela. Wszyscy oni twierdzą, że przełożństwo szkolne o tem ich towarzystwie nie wiedziało, i że w mowach zalecano zachowanie tajemnicy dlatego, że oni między sobą przestrzegali obyczajności i złe postęпки karčili, nie chcieli przeto tego wydawać nauczycielom.

Co się tyczy wyrażen w polskim patryotycznym duchu, znajdujących się w mowach prezesa towarzystwa Szlajewskiego i członków Eichlera i Jankowskiego, jakoteż zbioru różnych w podobnym duchu pisanych wierszy Szlajewskiego i Jankowskiego, wyjaśniają to oni w sposób następujący:

Szlajewski powiada, że słowa, używane w mowie przez niego, a mianowicie, że „naależy ubolewać nad nieszczęściami, udręczającymi polski naród, które stały się powodem jego upadku“, zamieszczone były przez niego w tym zamiarze, ażeby na tym przykładzie pokazać swoim współpracownikom, że jeżeli skutkiem zepsucia obyczajów upadają narody, to tembardziej zginąć może człowiek prywatny, i natchnąć ich ochotą do naśladowania

znakomitych przodków, którzy, zadając śmierć i zgubę swoim nieprzyjaciółom, cześć dla siebie tem zdobywali. Myśli te zaś zrodziły się w nim dlatego, że wówczas wykładano w 6 klasie polską historję, a wiersze i mowy, znalezione między jego papierami, wypisał on z ksiąg i perjodycznych pism i u swoich kolegów, kształcąc się w retoryce i literaturze.

Eichler zeznaje, że wygłosił mowę, zawierającą niewłaściwe myśli w polskim duchu, wraz ze wspomnieniem starożytnej sławy polskiego narodu, bez wszelkiego złego zamiaru a jedynie dla dogodzenia swoim kolegom, ażeby tem zniszczyć w nich pogardę i nieprzyjaźń ku sobie, jako cudzoziemcowi, a zdobyć ich poważanie; w przeciwnym bowiem razie mogli byli mu szkodzić i pozbawić, jak mniemał, opieki przełożństwa.

Jankowski twierdzi, że wszystkie jego potwarcze przeciw rządowi wiersze, pisane były bez wszelkiego powodu, i że on dopuścił się przestępstwa dlatego, gdyż był przejęty takimi myślami przez czytanie różnych podobnych do jego wierszy utworów, jakie się pojawiły w 1812 roku.

Nakoniec szeregowiec Heltman co do wspomnianego świsłockiego towarzystwa, między innemi powiedział: „Widząc, jak niebezpiecz-

nem jest istnienie towarzystwa w Warszawie pod czujnem okiem Rządu, chciałem uczynić małą próbę na prowincji i wybrałem na to Świsłocz, jako miasto, w którym wychowywałem się, lecz nie znając tam nikogo przed kim mógłbym się zwierzyć, zamierzyłem założyć tam naprzód towarzystwo naukowe, przyzwyczaić młodzież do łączenia się w towarzystwa a z czasem rozszerzyć w niem swoje prawidła i zamiary; pragnąc urzeczywistnić takie przedsięwzięcie napisałem do brata mego Józefa list, w którym przedstawiłem mu pożytek z nauk wynikający, radziłem mu przykładać się do nich, a jako sposób własnego ukształcenia się, przedstawiłem mu projekt założenia towarzystwa, którego członkowie zgromadziliby się i czytali własne utwory i poprawiali je wspólnem staraniem. W odpowiedzi na list mój otrzymałem zawiadomienie o wykonaniu moich propozycji. Utworzone towarzystwo, złożone z osób mi nieznanych (z wyjątkiem tylko Zielińskiego starszego), było takim, jak proponowano w projekcie: całkowicie naukowe, publiczne i nie zawierające w sobie nic złego. Lecz pragnąc, jak można najrychlej, przyspieszyć rozbudzenie w niem ducha narodowego, napisałem do brata list drugi, w którym zbłąkane pojęcie moje skierowało się ku niedorzeczno-

ściom; dołączyłem do niego ustawy, które odnosiły się do wewnętrznej organizacji towarzystwa i (o ile przypomnieć sobie mogę) nie zawierały w sobie nic złego. Towarzystwo to winno było być zawsze publicznem i naukowem; chciałem tylko, ażeby duch, który ja w nim zaszcześcić starałem się, był tajny i to chciałem osiągnąć za pośrednictwem mego listu. Od czasu zaś napisania tego listu, nie miałem już żadnej wiadomości ani o towarzystwie, ani o jego członkach.

To zeznanie Heltmana, wyjaśniające w dostateczny sposób pochodzenie i cel świsłockiego towarzystwa, miałem szczęście przedstawić Waszej Ces. Wysokości przy raporcie z 20 sierpnia ubiegłego 1823 r. do Nr. 1320.

Odkrycie drugiego w Świsłoczy towarzystwa pod nazwą Moralnego; działanie jego i rozwiązanie. W toku dochodzeń co do tego towarzystwa, prezes jego Szłajewski i członkowie Eichler i Jankowski zeznali między innymi, że w Świsłoczy było jeszcze drugie towarzystwo, utworzone przez uczniów tejże 6 klasy, którzy skończyli wszystkie wykładane w niej nauki, zajmowali się przy gimnazjum świsłockiem obowiązkami guwernerów, czyli domowych nauczycieli młodszych uczniów. Wszyscy niżej wspomniani członko-

wie towarzystwa zbierali się w pewne oznaczone dni, przybrani w czarne odzienia, a do tego towarzystwa należeli mianowicie: 1. Jakób Abramowicz,¹⁾ prezes towarzystwa, 2. Ignacy Koczalski, sekretarz towarzystwa, 3. Tadeusz Zieliński,²⁾ 4. Mikołaj Zabięło,³⁾ 5. Andrzej Korhanowicz⁴⁾.

Stosownie do wydanego przezemnie rozporządzenia, dostawiono z ich liczby do Wilna Abramowicza, Koczalskiego i Zielińskiego. Z otrzymanych w tajnej śledczej komisji zeznań ich, okazuje się, że oni po ukończeniu nauk, wykładanych w gimnazjum świstockiem, zajmując się wówczas obowiązkami guwernerów, mieli czas swobodny i ażeby go napróżno nie tracić, postanowili dla udoskonalenia się w czystym polskim stylu, zajmować się rozmaitemi wypracowaniami i w tym celu, we wrześniu czy październiku 1819 r.

¹⁾ Późniejszy Filaret. Więziony u Bernardynów. Wład. Mick. „Żywot“ 1. XXVII.

²⁾ W procesie Filaretów więziony u Franciszkanów l. c. XXVIII.

³⁾ W Wspomina o nim Domejko: „Filareci i Filomaci“ str. 28. Patrz także Z. Wasilewski: „Promieniści Filareci i Zorzanie“ Archiw. dla hist. lit. i t. d. tom IX. str. 164 i n.

⁴⁾ Korczanowicz. Z. Wasilewski „Promieniści, Fil. i Zorz. Arch. dla hist. lit. i t. d. tom IX. str. 164

utworzyli towarzystwo pod nazwą Moralnego, wybrawszy prezesem Abramowicza a sekretarzem Koczalskiego.

W papierach Abramowicza znaleziono ułożone przez niego 14 stycznia 1820 r. ustawy, podpisane przez wszystkich członków, w których między innemi przepisane są następujące pravidła:

Każdy z członków powinien na posiedzeniach zachowywać się cicho i skromnie, jak tego wymaga cel zgromadzenia i po kolei, raz w tydzień, odczytać o jakimkolwiek przedmiocie rzecz, obejmującą nie mniej od dwóch arkuszy.

Posiedzenie odbywa się w każdą środę, w mieszkaniu tego, na kogo przypada mieć odczyt, od 2 do 4 godziny. Wszystkie odczyty, po rozpatrzeniu przez członków, mają być wpisane w osobną protokolarną księgę, przechowywaną u sekretarza.

W dalszych artykułach ustawy oznaczona jest odpowiedzialność członków, którzy nie wypełniają swoich zobowiązań a zalecono każdemu członkowi, by postępował uczciwie, i przyzwoicie.

Towarzystwo to istniało w Świsłoczy do lipca 1820 r. jak to okazuje się z zeznań członków i z patentów w języku łacińskim, wydawanych każdemu członkowi a opatrzo-

nych podpisami innych spółczłonków. Jednakże członkowie, jak okazuje się z ich korespondencji, nazywali się i dalej w listach między sobą członkami moralnego towarzystwa, dla przypomnienia, jak zeznają, przyjacielskiego swego związku.

Patenty owe wydawano z motto: *Virtus amicitiam gignit et continet*, to jest, cnota przyjaźń rodzi i utrzymuje. W samym zaś patencie wyrażone jest w imieniu towarzystwa uznanie za wypełnienie włożonych obowiązków.

Towarzystwo miało dwa protokoły, jeden dla wpisywania czytanych na posiedzeniach wypracowań, a drugi z opisem zajęć towarzystwa na posiedzeniach, lecz oba przez prezesa Abramowicza zniszczone, a to z powodu (jak on wyjaśnia), że wyszedłszy ze szkoły i zdobywszy na świecie więcej doświadczenia, przyszedł do przekonania, iż dziecinne w szkole ćwiczenia, mogące ściągnąć na niego odpowiedzialność, nie zasługują na to, aby je przechowywać.

Wszyscy członkowie towarzystwa przybywali na posiedzenia w czarnym ubraniu, ażeby nadać zgromadzeniom więcej wagi. Ten odrębny ubiór zwrócił pod koniec istnienia towarzystwa uwagę przełożństwa gimnazjalnego i ściągnął na nich podejrzenie, z któ-

rego to powodu poszli oni wszyscy ze swoimi protokołami do dyrektora świsłockiego gimnazjum, Krusińskiego, który wysłuchawszy ich objaśnień, powiedział im, aby nie używali czarnych ubrań i zganił ich za to, że bez jego wiedzy założyli takie towarzystwo, wszakże o tem zdarzeniu i wykryciu, władzy uniwersyteckiej nie doniósł.

Pomiędzy papierami prezesa towarzystwa Abramowicza i sekretarza Koczalskiego, znaleziono w bruljonie mowy ich, utwory, czytane na posiedzeniach i wiersze. We własnych mowach Abramowicza niema nic nagannego, a wśród wierszy znaleziono odezwę do francuskiego narodu, zawierającą w sobie ubliżające Francuzom szkalowania za to, że zdradzili Napoleona. Abramowicz tłumaczył się, że te wiersze nie są przez niego ułożone, że je odpisał w 1813 roku, ale nie pamięta od kogo. Natomiast w mowach sekretarza Koczalskiego znajdują się ustępy, znamionujące niewłaściwy jego sposób myślenia, jak na przykład: „Po co władcom świata rządzić ogromnemi państwami i podbijać z nienasyconą chciwością nowe państwa, gdy sami sobie rozkazywać nie umieją.“ W innem zaś miejscu, rozumując o mocy ducha, postawił na przykład Napoleona Bonapartego. Oprócz tego znaleziono u niego

wiersze, napisane przez niego w 1818 r. jeszcze przed utworzeniem towarzystwa, w których on, sławiąc Józefa Poniatowskiego, wyraził się między innymi: „Niejednokrotnie doznał mężnej twojej prawicy moskwicin, gdy ujrzał ciebie nad brzegami Wołgi, gdy zniszczyłeś wspaniałą jego stolicę, lub kiedy pod Możajskiem błagał ciebie o pokój“. Koczalski w przedmiocie tych wierszy tłumaczy się, że w 1818 roku, w maju, gdy uczył się jeszcze w świsłockim gimnazjum, nauczyciel Puszkarzewicz polecił napisać jako zadanie wiersze na pochwałę jakiegokolwiek bohatera. On więc ułożył wspomniane wiersze i przeczytał je w klasie i oddał nauczycielowi do rozpatrzenia, przyczem zeznaje, że pomieścił w nich nierozsądnie nieprzyzwoite wyrażenia, w wyjaśnieniu czego tłumaczy się małoletnością i tem, że myślą jego nie było obrażać a nadać swoim utworom większe znaczenie, stawiając na przykład wielkich mężów, że zresztą on nietylko nie jest zwolennikiem Napoleona, lecz nienawidzi go za tyle klęsk, ściągniętych przez niego na tułszy kraj w czasie ostatniej wojny.

Wnosząc z oskarżenia Koczalskiego, że nauczyciel świsłockiego gimnazjum, Puszkarzewicz, nie zwraca uwagi na godne potępienia wypracowania uczniów, i chcąc przeko-

nać się, czy ze strony przełożenia szkolnego w Świsłoczy niema skłonności do napawania młodzieży podobnemi myślami, poleciłem rektorowi wileńskiego uniwersytetu, Twardowskiemu, zażądać od nauczyciela Puszkarzewicza objaśnień i zabrać ze świsłockiego gimnazjum z lat 1818, 1819 i 1820 wszystkie księgi, w które, wedle zaprowadzonego porządku, wpisane są różnorodne wypracowania uczniów, na zadane przez nauczycieli retoryki tematy. W wykonaniu tego wysłany był do Świsłoczy sekretarz uniwersyteckiego zarządu Mierzejewski, który zaraz po przybyciu zabrał wszystkie wspomniane księgi a nawet i wszystkie wypracowania w zeszytach. Przedstawione mi je, lecz nie znalazło się w nich nic uwagi godnego w przedmiocie wyżej wzmiankowanym. Oprócz licznych moralnych wypracowań, opisane tam są także życie i działanie niektórych polskich królów i sławnych mężów, jako to: Żółkiewskiego, o spaleniu Moskwy za Dymitra Samozwańca, Zamojskiego, Tarnowskiego, Lwa Sapiehy, Kołłątaja, jednego z najczynniejszych rewolucjonistów w 1793 r. i t. d. Nauczyciel zaś Puszkarzewicz tłumaczył się, iż on rzeczywiście zadał uczniom napisanie wierszy, nie oznaczając przytem żadnego przedmiotu i że wskutek tego Koczalski napisał wspomnianą pochwał-

na ode na cześć księcia Poniatowskiego; gdy zaś on, Puszkarzewicz, zauważył w tej odzie niewłaściwe myśli, zganil je, zwrócił ode Koczalskiemu i nie pozwolił wciągnąć jej do księgi, do której wpisywano wypracowania uczniów. Dla zapobieżenia zaś, aby poezja nie pociągała młodych umysłów do nieprzyzwoitych i nagannych utworów, zakazał od tego czasu układać wierszy, starając się sam odciągać uczniów od nieprzyzwoitych rozumowań.

Odkrycie w Wilnie tajnego towarzystwa Filaretów. Po skończeniu dochodzeń co do członków wyżej wspomnianych towarzystw, istniejących wśród uczniów świsłockiego gimnazjum, gdy je rozpatrywała, następnie wskutek zeznań Jankowskiego ¹⁾, który tłómacząc się w sprawie znalezionych w jego papierach

¹⁾ Sprowadzony z Warszawy do Wilna 2. września 1823 r., osadzony w tak zw. pałacu, w nikczemnym zeznaniu, złożonym 22. paźd. t. r. i następnych wydał towarzystwo Filaretów na pastwę Nowosilcowa. Zeznanie to, zaczynające się od słów: „Stawając przed Wami JW. Urzędnicy“..., pełne napuszonych frazesów i nikczemnego płaszczenia się (jak n. p. „Zbrodniarz ze skruszonym sercem i upokorzonem czołem“...) przytoczone jest całe u Z. Wasilewskiego: „Promieniści, Fil. i Zorz.“ Archiwum dla hist. lit. itd., tom IX. str. 166 i n.

wierszy ¹⁾ jego własnej kompozycji i przyznając się tylko do szalonego pokuszenia, które wodziło jego piórem przy pisaniu ich, widocznie zatajał wszystkie inne okoliczności, mogące na kogokolwiek ściągnąć podejrzenie, i pokrywał wszystkie swoje zeznania samymi kłamliwymi, a nawet ze zdrowym rozsądkiem niezgodnymi wymysłami, — uznałem za potrzebne na samym protokole jego zeznań wypisać co do każdego punktu swoje uwagi i polecić komisji, aby go ponownie przesłuchała i zgoła nie zadawała się takimi odpowiedziami, które zawierają w sobie albo jawne kłamstwo, albo sprzeciwiają się poprzednim jego zeznaniom, albo znanym już szczegółom sprawy. Komisja, przystąpiwszy do tego nowego badania, przekonywała go, że wszystkie jego zapierania się i wykręty są bezpożyteczne, pokazywała mu moje uwagi i zdecydowała się w końcu dać mu do przeczytania szczere zeznanie kanoniera Wiktora Heltmana. Na to Jankowski, zmieszawszy się, zadrżał i omal nie zemdlał, potem zebra-

¹⁾ Ostre artykuły przeciw ross. rządowi i jaskrawo skandaliczne wiersze o carowej Katarzynie Dr. Ludwik Finkel: Z pamiętników Ottona Śliźnia. Pamiętnik tow. lit. im. Ad. Mickiewicza, 1888 str. 226

wszy siły, oświadczył, że on wszystko wyjawia na piśmie ¹⁾).

Wówczas żałując swego zapierania się, że dotychczas tał prawdę, ufając w miłosierdzie Cesarza, zeznał on, że pod przewodnictwem Tomasza Zana, z jawnie istniejącego wśród studentów wileńskich, a potem zamkniętego towarzystwa Promienistych, utworzyło się w 1819 roku tajne towarzystwo pod nazwą Filaretów (miłośników cnoty) i że głównym tego towarzystwa zadaniem było połączenie ogólnych sił, ażeby odbudować Polskę w poprzednim jej blasku. Takie zamysły opierały się na tem, aby rozszerzyć towarzystwo

¹⁾ Ślizień tak charakteryzuje Jankowskiego: „Jankowski przy łatwości pisania kostycznych wierszy, był pełen gorączkowego jadu i złośliwej żółci, a wszystkiemu w sobie dawał pozór patryotycznego zapału; lubił swą deklamacją się popisywać, na posiedzeniach czytywał lub deklamował burzliwe i jadowite swe prace, tak, że w końcu rada filarecka zabroniła mu stanowczo ze swymi odczytami na posiedzeniach występować, za co się wielce zrazu oburzył i kolegów o słabe tchórzostwo obwiniął a gdy przyszło do rzeczy, on jeden tylko od razu stchórzył i wszystko bojaźliwie wyśpiewał. Zwykle tak się dzieje z krzykaczami.“ Pam. tow. lit. im. A. Mick. 1888, str. 226.

w miarę możliwości, po pierwsze, przez przyłączanie od czasu do czasu większej liczby członków, których sposób myślenia, duch i wrodzone albo nabyte zdolności starano się rozpoznać; po drugie, przez usilne staranie, aby rozszerzać i zakładać podobne związki wszędzie, gdzieby okoliczności temu sprzyjały. Dalej zeznał on, że towarzystwo to dzieliło się na 7 gron, biorących swoje nazwy od kolorów, i że każde grono miało swego prezesa i przewodnika, radcę i sekretarza, zbierając się na osobne posiedzenia, na których zwykle zajmowano się czytaniem wypracowań członków i wierszy, przekładano projekty ustaw towarzystwa i przyjmowano nowych członków; наконец, że w krzemienieckim liceum, za staraniem prezydenta towarzystwa Zana, rozszerzono je (towarzystwo) za pośrednictwem tamtejszego nauczyciela, filareckiego członka-korespondenta, Jentza ¹⁾, czego wszakże Jankowski nie był zupełnie

¹⁾ Karol Jentz, więziony u Bosych; Wład. Mickiewicz: „Żywot“ t. I. str. XXVII. Był nauczycielem fizyki w liceum krzemienieckim, potem profesorem uniwersytetu w Wilnie; kosztem uniwersytetu wysłany za granicę, umarł młodo w Paryżu. E. Heleniusz: „Wspomnienia polskich czasów“, tom II. str. 233.

pewny, lecz powoływał się na samego Zana, oznajmiając przy tem, że do towarzystwa Filaretów należało wszystkiego około 150 ludzi, z liczby których trzydziestu członków w tymże samym czasie przypomniał sobie i wymienił¹⁾.

Pa tak ważnych zeznaniach Jankowskiego, kazałem miejskiej policji aresztować prezydenta towarzystwa Zana i innych członków, znajdujących się w Wilnie, a po nauczyciela krzemienieckiej szkoły, Jentza, posłałem umyślnego policyjnego urzędnika, poleciwszy mu zabrać u Jentza wszystkie jego papiery i odstawić wraz z nim do Wilna.

O zeznaniu Jankowskiego i przedsięwziętych przezemnie przedwstępnych krokach miałem szczęście donieść W. Ces. Wysokości w raporcie z 24, października 1823 roku, prosząc o decyzję, czy nie byłoby odpowiedniem, ażeby oprócz tych, co do których okazało się potrzeba sprowadzenia ich do Wilna dla przeprowadzenia z nimi śledztwa, wszystkich innych pozostawić pod aresztem lub

²⁾ Wymienił w zeznaniu z 22 paźd. 33. W następem z 23 paźd. wydał 24; w dalszem z 2 listopada 29. — Z. Wasilewski: „Promieniści, Filareci i Zorzanie“. Archiwum do dziejów liter. i ośw., tom IX. str. 168, 160, 171, 185.

pod surowym policyjnym nadzorem w tych guberniach, gdzie który z nich znajdować się będzie, na co miałem zaszczyt otrzymać rozkaz W. Ces. Wysokości z 27 października nr. 1338, ażeby dla dogodności i rychłego przeprowadzenia tego śledztwa zebrać wszystkie dotyczące osoby w Wilnie i trzymać ich w klasztorach pod strażą.

Tymczasem dostawiono do Wilna wspomnianego nauczyciela krzemienieckiego liceum Jentza, który na postawione mu pytania tłómaczył się, że nigdy do żadnego towarzystwa nie należał i nie był członkiem - korespondentem filareckiego towarzystwa, a tylko uczeń wileńskiego uniwersytetu, Antoni Kamiński¹⁾, przedstawił mu, czy nie życzyłby on sobie przyłączyć się do Promienistych, lecz on, Jentz, wyjeżdżając wówczas z Wilna, na to się nie zgodził. — Wskutek tej sprzeczności skonfrontowano go z Jankowskim, przyczem Jentz pozostał przy poprzedniem swoim zeznaniu, a Jankowski wyjaśnił, że on nigdy osobiście nie znał Jentza,

³⁾ Kamiński Antoni należał do Promienistych, gdzie piastował godność skarbnika; więziony w procesie Filaretów u Bernardynów. Władysław Mickiewicz: „Żywot“ t. I str. VI i XXVII.

wykazał go pomiędzy członkami filareckiego towarzystwa tylko ze słyszenia i jako jego korespondenta w Krzemieńcu; zresztą nie widział go nigdy na posiedzeniach. Na zapytanie zaś, gdzie i od kogo on, Jankowski, słyszał, że Jentz był członkiem-korespondentem towarzystwa Filaretów, rozszerzając je i w Krzemieńcu, wyjaśnił Jankowski, że na jednym z filareckich posiedzeń, przed jego rozpoczęciem, gdy był zajęty zwykłą rozmową, czy przeglądaniem protokołu ćwiczeń związku, zasłyszał następujące słowa: „Mówią, że prezydentowi towarzystwa wiadomo o utworzeniu w Krzemieńcu jakiegoś towarzystwa, któremu będą posłane filareckie ustawy, żeby uorganizowało się wedle tegoż samego porządku“; a gdy ktoś zapytał, kto będzie miał o to towarzystwo staranie, wymieniony był Jentz, z dodatkiem, że on jest towarzystwa członkiem-korespondentem i jemu, być może, będzie poruczone wprowadzenie tego przedsięwzięcia w życie. Z tego to powodu, on, Jankowski, zamieścił Jentza, w spisie członków towarzystwa Filaretów, lecz ponieważ on wcale nie zwracał na to uwagi, przeto nie pamięta, na którym posiedzeniu i jakie osoby prowadziły ową rozmowę i z pewnością nie wie, czy było utworzone w Krzemieńcu towarzystwo, czy Jentz był człon-

kiem-korespondentem i czy sprawował opiekę nad krzemienieckim związkiem. Do tego Jankowski dodał, że wyżej wspomnianej rozmowy nie wymyślił i przytoczył zupełnie tak, jak mógł sobie przypomnieć.

Nie widząc w tem zeznaniu Jankowskiego przekonania dowodami popartego i nie dostrzegłszy także w zeznaniach prezydenta Zana i innych Filaretów, potwierdzenia tego, ażeby Jentz do Filaretów należał, lub miał zlecone sobie zaprowadzenie w Krzemieńcu jakiegokolwiek towarzystwa, nie znalazłszy również w zabranych u niego książkach nie godnego uwagi, poleciłem uwolnić Jentza z aresztu i pozwolić mu powrócić do obywatelstwa.

Podobnie Jankowski w uzupełniającej indagacji oświadczył między innemi, że słyszał, lecz na pewno twierdzić nie może, iż jakoby mieszkający około Białegostoku Rukiewicz ¹⁾ należał do towarzystwa Filaretów

1) Rukiewicz Michał więziony w Wilnie u Franciszkanów. Wład. Mickiewicz: „Żywot“, tom I str. XXVIII. — Był zamieszany w r. 1827 w proces z powodu związku tajnego „Przyjaciół wojskowych“, „Zgodnych braci i Zorzan“ i wymieniany jako główna sprężyna tych związków. Z. Wasilewski. „Promieniści, Filareci i Zorzanie“, Arch. do dziej. lit. i ośw. t. IX str. 214 i nast.

i usiłował zaprowadzić tam podobne towarzystwo, lecz czy tak było rzeczywiście i czy zawiązało się towarzystwo, co do tego odwoływał się Jankowski do innych Filaretów, więcej niż on tych spraw świadomych. Wedle badania wszystkich Filaretów, przeprowadzonego przez komisję śledczą, tylko siedmiu zeznało, że Rukiewicz należał do towarzystwa. Gdy zaś Rukiewicz został przystawiony do Wilna, oświadczył on, iż do żadnego towarzystwa nie należał, a był tylko za miastem trzy razy na przechadzce, we wsi Hrybyszach z Promienistymi, potem 1 lipca 1820 r. z Wilna wyjechał i o Filaretach zgoła nic nie wie. Wskutek takiej sprzeczności w zeznaniach, skonfrontowano go z Jankowskim i innymi obwiniającymi go Filaretami, przy czem Rukiewicz pozostał przy pierwszym zeznaniu, a Jankowski rzekł, iż on rzeczywiście nie wie, czy Rukiewicz miał zamiar utworzyć podobne do Filaretów towarzystwo i czy zamiar jego przyprowadzono do skutku, a słyszał to tylko mimochodem, lecz gdzie i od kogo mianowicie, tego nie pamięta; Rukiewicza zaś zamieścił w pierwszym zeznaniu swoim w liczbie Filaretów dlatego, że widział go kilkakrotnie na posiedzeniach, lecz kto wówczas był przewodnikiem i kto mianowicie z członków znajdował się na posie-

dzeniach, tego nie pamięta. Innych zaś siedmiu Filaretów, którzy zeznali przeciw Rukiewiczowi, wyjaśniło, że obwiniali go o należenie do towarzystwa Filaretów dlatego, iż widzieli go na przechadzkach między Promienistymi, z których liczni weszli później do towarzystwa Filaretów; inni zeznali, że obwinili go tylko ze słyszenia, gdyż nie widzieli go nigdy na filareckich posiedzeniach, wszyscy zaś jednomyślnie twierdzą, że nigdy nie słyszeli, ażeby Rukiewicz miał zamiar zaprowadzić jakiekolwiek towarzystwo w Białymstoku a ponieważ oprócz tego z poszukiwań w uniwersyteckich spisach okazało się, że Rukiewicz skończywszy nauki w uniwersytecie, w ostatnich dniach czerwca 1820 r. z Wilna wyjechał, a towarzystwo Filaretów założone zostało w 1820 r. w październiku, zatem już po wyjeździe Rukiewicza, przeto nie znajdując w zeznaniu Jankowskiego podstawy, kazałem Rukiewicza uwolnić z aresztu, tem bardziej, że i w zabranych u niego papierach nie podejrzanego nie znaleziono.

W dalszym ciągu tego procesu dostawiono do Wilna wskutek mego zażądania, opar tego na wyżej wzmiankowanym rozkazie W. Ces. Wysokości z 27 października, członków filareckiego towarzystwa, mieszkających w różnych guberniach, a także w St. Peters-

burgu, w Warszawie i za granicą. Z ich łącznych zeznań ułożono spis wszystkich Filaretów, dołączony tu pod literą A. i zawierający tylko 166 osób. Wskutek wydanych przezemnie wówczas rozporządzeń, sprowadzono do Wilna 85 osób, z której to liczby każdy trzymany był w klasztorach w osobnej celi, pod surową wojskową wartą, a prezydent towarzystwa trzymany był i jeszcze jest trzymany w więziennym zamku. Inni zaś, odszukani pod koniec obecnego śledztwa, byli wybadywani w komisji bez zatrzymania w areszcie, tylko każdy z nich obo wiązał się na piśmie, że do rozstrzygnięcia sprawy nigdzie nie wydadli się z miasta i o tem, o co będzie badany i co na pytania odpowiedział, nikomu objaśnień nie da. Jednakże miejsce pobytu niektórych członków nawet dotychczas nie zostało wykryte, pomimo starań policji i przeprowadzonej z różnemi władzami korespondencji; lecz nie widzę potrzeby ich szukać, gdyż działanie ich w towarzystwie nie okazuje się ważnem, a całą sprawę Filaretów i bez badania ich wprowadzono na jaw. Po ściągnięciu zaś zeznań ze wszystkich osobiście obecnych członków towarzystwa, okazało się, że z liczby posądzonych rzeczywiście należało do towarzystwa 108; proponowanych było do przy-

jęcia, lecz nie wstąpiło lub wcale nie należało 27, wreszcie nie odszukano do śledztwa 31, a stosownie do takiego rozróżnienia przyłącza się trzy spisy imienne pod B., C. i D.¹⁾

Założeniu towarzystwa Filaretów odpowiadały pod pewnym względem dwa poprzednie związki, czyli towarzystwa, istniejące wśród uczniów wileńskiego uniwersytetu. Z tych jedno było tajne pod nazwą Filomatów, a drugie jawne pod nazwą Promienistych, czyli zebranie przyjaciół pożytecznej zabawy.

Towarzystwo Filomatów powstało z końcem 1817 lub w początku 1818 r. Istniało ono do założenia towarzystwa Filaretów, a składali je: 1. Józef Jeżewski²⁾; 2. Franci-

1) Patrz II. „Spis Imienny“.

2) Więziony u Dominikanów, prezes Filomatów. Na posiedzeniach Filaretów czytał rozprawy: „O tragikach greckich“ i „O oryginalności w pismach“ Nauczyciel greckiego języka na uniwersytecie w Moskwie. Tam wydał *Odyseę* i w roku 1829 wezwany został na zwyczajnego profesora literatury greckiej na uniwersytecie kazańskim. Wład. Mickiewicz „*Żywot*“ tom I str. 251, 289, 355. XXVIII, XXXV.

szek Malewski¹⁾; 3. Tomasz Zan; 4. Kazimierz Piasecki²⁾; 5. Józef Kowalewski³⁾; 6. Jan Czeczot⁴⁾; 7. Adam Mickiewicz; 8. Teodor Ło-

¹⁾ Należał do Promienistych z przydomkiem Franc. Semenowicz, syn rektora uniwersytetu wil., magister prawa, później urzędnik w ces. kancelarii przybocznej w Petersburgu, dyrektor dawnej metryki litewskiej, założyciel i redaktor „Tygodnika Petersburskiego“.

²⁾ Należał do Promienistych z przydomkiem „Długi“ z godnością Podskarbiego. Więziony u Franciszkanów. Wład. Mickiewicz: „Żywot“, tom I, str. VI., XXVI., XXVIII.

³⁾ Już w r. 1823 był nauczycielem języka łacińskiego i greckiego w gimnazjum wileńskim. Po procesie udał się do Kazania, a potem do Irkucka dla uczenia się języków: sanskryckiego, mongolskiego; mandżurskiego i in. Następnie profesor uniwersytetu w Kazaniu, członek Akad. umiej. w Petersburgu. Od r. 1862 dziekan wydziału filologicznego Szkoły głównej w Warszawie. Znany orjentalista, autor wielu dzieł naukowych.

⁴⁾ Więziony u Franciszkanów. Po procesie udał się do Orenburga; następnie był bibliotekarzem w Szczorsach u Adama Chreptowicza. Wydał „Piosnki wieśniacze“ (Wilno 1836, tamże 1844, 1845, 1846), „Pieśni ziemiańskie“ 1845. Umarł w 1847 r.

ziński¹⁾; 9. Wincenty Budrewicz²⁾; 10 Ignacy Domejko³⁾; 11. Onufry Pietraszkiewicz⁴⁾; 12. Jan Sobolewski⁵⁾.

Cel towarzystwa był naukowy, a dzieliło się ono na dwa oddziały: 1) literacki i 2) nauk matematycznych i fizycznych.

¹⁾ Należał do Promienistych z przydomkiem „Szeroki“ z godnością marszałka wielkiego. Wyślany do Wołogdy, był w gimnazjum tamtejszem nauczycielem matematyki i tamże umarł. (Oprócz wyżej przytoczonych źródeł patrz „Wspomnienia polskich czasów“ E. Heleniusza, wyjątki z Silva Rerum Eliasza Ostaszewskiego, tom II. str. 291).

²⁾ Matematyk; Mickiewicz przypisał mu balladę, Trzech Budrysów“. Był to oryginał, powszechnie jednak kochany a znany ze swego roztargnienia. Ign. Domejko: „Filareci i Filomaci“ str. 8, 9.

³⁾ Należał do Filomatów i Promienistych, gdzie był „szambelanem“. Więziony u Bazylianów. Późniejszy rektor uniwersytetu w Chili.

⁴⁾ Sekretarz tow. Filomatów. W tow. Promienistych utrzymywał kancelarię związku. Miał przydomek J. Nufr. Towarzyszył Daszkiewiczowi, zesłanemu do Moskwy, i zwłoki jego sprowadził do Wilna. Domejko: „Filareci i Filom.“ str. 4, 28.

⁵⁾ Znany fizyk i matematyk. Więziony u Bazylianów. Umarł pierwszy z Filaretów na wygnaniu w głębi Rosyi w r. 1829, sprawując służbę inżyniera przy wodnej komunikacji, l. c. str. 8. Koresp. Adama Mickiewicza, t. I-str. 51.

Każdy oddział, istniejący pod przewodnictwem jednego z członków, ku temu wybranego, odbywał posiedzenie raz albo dwa razy na tydzień. Ustaw towarzystwa u żadnego z członków nie znaleziono, lecz z zeznań założyciela Tomasza Zana, dość zgodnych z zeznaniami innych jego towarzyszy, okazuje się, że na posiedzeniach oddziałów czytane i rozpatrywane były wypracowania i tłumaczenia członków w przedmiotach naukowych i że dwa razy na rok odbywały się ogólne posiedzenia obu oddziałów, na których pod przewodnictwem Jeżowskiego, zajmowano się czytaniem wypracowań, rozpatrzonych już na posiedzeniach oddziałów.

W towarzystwie tem była oddzielna dyrekcja, której członkami byli: Jeżowski, jako prezydent, a Mickiewicz, Pietraszkiewicz, Malewski i Zan, po kolei jako sekretarze. Obowiązki dyrekcji polegały na tem, ażeby obmyśleć przedmioty do opracowania członków i nauczać ich wypełniania obowiązków z tem, aby każdy wybrał dla siebie jakąkolwiek naukę, jako główny przedmiot swoich prac.

Oprócz tego, członek tego towarzystwa, Franciszek Malewski, który wykazał jego istnienie, dodał jeszcze i to, że tajemnica którą się oni ogrodzili, służyła tylko do tego, aby nie wstępować do towarzystwa tacy,

którzy nie byliby w stanie odpowiedzieć ich przyjaźni, ani też usilnie starać się o rozszerzenie swoich wiadomości. Towarzystwo to istniało niejako czas długi wśród nich bez wszelkiej organizacji, a gdy potem zaczęli oni, wskutek ogólnych rozważań i porównań, wnikać pilniej we wszystko, to stan publicznych zakładów naukowych wydał im się bardzo oddalonym od tego stopnia doskonałości, na którym powinny one być znajdować się, bacząc na szczodre subwencje Rządu. Większa część lekcji, wykładanych na uniwersytecie, wydawała się im nie odpowiadająca celowi; nie było, ich zdaniem, należytej metody, nie było planu, położenie uczących się zdawało się godnem pożałowania, młodzież traciła bezpowrotnie najdrogocenniejszy czas, a przygotowujący się do nauczycielskiego zawodu, rozpoczynali je bez należytych wiadomości. Wskutek takich obserwacji zrodził się w nich zamiar wszystko to naprawić; kierunek ich umysłu stał się, jak oni wyjaśniają, pedagogicznym; wszystkie ich myśli zwróciły się ku przedmiotom, służącym do nauczania innych, i wszyscy członkowie towarzystwa nie życzyli sobie wybrać innego sposobu życia, jak tylko rozpocząć nauczycielski i profesorski zawód, lecz oczywiście nie wszyscy mogli to osiągnąć. Cho-

ciaż w następstwie towarzystwo to otrzymało bardziej określoną organizację, nie miało wszakże dostatecznej liczby członków, trudno też było pozyskać ich, a przytem nie mieli oni i należytego kierownictwa, aby rojenia swe urzeczywistnić. Myśl podniesienia pomysłności ojczyzny, pod którą to nazwą rozumieli oni gubernie, wchodzące w okręg wileńskiego uniwersytetu, była jak Malewski w dalszym ciągu wyjaśnił, dla swych obszernych rozmiarów bezpożyteczną, albowiem obejmowała udoskonalenie wykładu nauk, rolnictwa, handlu i przemysłu, członkowie zaś ich towarzystwa, chociaż było ich nie wielu i wogóle w liczbie niedostatecznej, wszakże nie wszyscy zostawali nauczycielami i zmuszeni byli zwracać się w różne strony, aby zdobyć środki do życia, dlatego też i towarzystwo ich poczęło chwiać się w swoich posadach,

Towarzystwo Promienistych. Ówczesny uczeń wileńskiego uniwersytetu, kandydat filozofii, Tomasz Zan, pragnąc (jak widać) poznać zdolności i talenty współuczniów, dla połączenia godniejszych w wyżej wzmiankowanym towarzystwie, które, jak zeznał Malewski, nie miało dostatecznej liczby członków, w maju 1820 r. wyjednał u byłego rek-

tora wileńskiego uniwersytetu, Malewskiego, pozwolenie dla uczniów uniwersyteckich chodzenia za miasto na majówki, podobnie jak wedle dawno zaprowadzonego zwyczaju takie przechadzki były w użyciu wśród uczniów gimnazjów i szkół powiatowych. Równocześnie ułożył Zan kilka reguł, przepisujących zachowanie się uczniów na tych przechadzkach, pod nazwą: *15 prawideł dla młodzieńców, należących do zebrania przyjaciół pożytecznej zabawy*. Prawidła te zatwierdził, wraz z zezwoleniem na przechadzki, swoim podpisem rektor Malewski, dodając do swego podpisu uwagę, że zgadza się na nie w nadziei, iż z nich wynikną pożyteczne następstwa i bodziec dla uczniów uniwersytetu do całkowitego wypełnienia wszystkich obowiązków swoich; do czego dorzucił rektor Malewski jeszcze i to, aby na wspomniane przechadzki nie zapraszano nikogo oprócz uczniów uniwersyteckich¹⁾.

Jak w licznych papierach Zana, tak też we wzmiankowanych prawidłach, odnawia się pamięć byłej polskiej ojczyzny, gdyż między

¹⁾ Malewski zatwierdził prawidła 22 maja 1820 r. Zabawy majowe otworzone zostały 6 maja t. r. Wład. Mickiewicz: „Żywot“ t. I. str. V., VI.

innemi moralnemi postanowieniami, powiedziano w punkcie VII: „Kiedy poczujesz przywiązanie do ojczystej ziemi, to możesz być przekonany, żeś uczynił większy krok na drodze udoskonalenia swego serca“, a w VIII. punkcie powiedziano: „Przywiązanie do rodzinnej ziemi polega na tem, aby pragnąć dobra dla współziomków swoich wszelkiego stanu i dla całego narodu w ogóle, zachowywać pożyteczne ojców swoich obyczaje, kochać własny język i kształcić się w nim, mieć na pamięci mężstwo i wielkie czyny przodków i naśladować je w miarę sił swoich i możliwości“¹⁾.

Wskutek pozwolenia rektora, odbyły się trzy ogólne przechadzki uczniów w maju i czerwca 1820 r. Wielu uniwersyteckich uczniów, po poprzednim oznajmieniu Zana, wyszło razem za miasto w pole przed wschodem słońca. Na tych zebraniach, którym przewodniczył Zan, czytane były wyżej wzmiankowane prawidła: uczniowie byli podzieleni wedle podziału nauk, wykładanych na uniwersytecie, każdy oddział nazywał się województwem wedle barwy, a mianowicie: zie-

¹⁾ Porównaj oryginalny tekst tych prawideł. Wład. Mickiewicz: „Żywot“, t. I str., III, IV.

lony, błękitny, granatowy i t. d. — Zabawy ich stanowiły (jak oni twierdzą) czytanie i deklamacje różnych utworów prozą i wierszem, gra w piłkę, śpiewy i spacery. Potem spożywali śniadanie, pili mleko i jedli biały chleb. Na wszystko to zbierano w miarę potrzeby pieniężną składkę. Zajmujący się urządzeniem śniadania nazywali się wojewodami, stolnikami, łowczymi, marszałkami i tym podobnymi tytułami urzędów, istniejących w czasie byłego polskiego rządu. Zebrania te nazwano zebraniem „Promienistych“ (ł u c z e z a r n y c h, od polskiego wyrazu „promień“ to jest słoneczny „łucz“), jedynie, jak twierdzą byli członkowie towarzystwa, przez żart, oparty na tem, że organizator tych spacerów, Tomasz Zan, zajmujący się szczególnie matematycznymi i fizycznymi naukami, teorię łamania się promieni słonecznych wyjaśnił na podstawie własnego swego domniemania¹⁾. Na te zebrania zapraszano oprócz uczniów i niektóre

¹⁾ Patrz Z. Wasilewski: „Promieniści, Filareci i Zorzanie“, — zeznania A. Mickiewicza, Teodora Łozińskiego, Tomasza Zana. Archiwum do dziejów lit. i ośw. t. IX str. 148—157 i n. — Co do tej nazwy patrz także Domejki: „Filareci i Filomaci“, str. 4.

postronne osoby. Rektor Malewski, dowiedziawszy się o tem, zakazał wszelkich takich zebrań i odebrał podpisane przez niego prawidła, surowo upominając Zana, ażeby odtąd żadnych towarzystw wśród uczniów nie było, co oświadczone też każdemu nowo na uniwersytet wstępującemu, przy zapisywaniu go w poczet uczniów. Zan zaś, dowiedziawszy się, że co do wyżej opisanych spacerów rozeszły się różne wieści i gadania, wynikłe z tego, że zabawy były różnorodne, o których każdy uczeń, mówiąc wedle swego o nich pojęcia, dawał powód do dziwnych co do tych zabaw uprzedzeń, osądził za rzecz potrzebną dołączyć do zabaw wzajemną w uczeniu się pomoc i zalecić, aby zachowywano w tajemnicy przedmiot tych zabaw; wskutek czego wziął od 30 czy 40 swoich kolegów pisemne zobowiązanie, iż pragnąc dobrowolnie należeć do przyjacielskiego zebrania, każdy z nich przyrzeka na honor nikomu nie mówić o przedmiotach majowych spacerów.

Pomimo rzeczonego zakazu rektora Malewskiego, ażeby uczniowie uniwersyteccy nie tworzyli żadnych towarzystw, Zan nie przestawał rozmyślać nad przyprowadzeniem do skutku wyżej opisanego zamiaru co do połączenia zabaw z nauką przez utworzenie tajnego związku, który nazwał towarzystwem

Filaretów. Utworzenie jego wyjaśnia on w swoim zeznaniu w sposób następujący:

W czasie opisanych powyżej majówek, nazwanych zebraniem Promienistych, nadarzyła się uczniom uniwersyteckim sposobność bliżej i przyjaźniej z sobą się zaznajomić i poznać potrzeby każdego co do utrzymania się i pomocy w naukach. Świadczona przez chętnych współkolegów pomoc w pieniądzech lub przez wypożyczanie książek była tylko wypadkowa, a pragnieniem Zana było wprowadzić z tego cośkolwiek pożytecznego na prostszych podstawach; znalazłszy prócz tego sposobność, jakto już było wyjaśnione, zmienić przedmiot spacerów i wreszcie zachować w tajemnicy ćwiczenia młodzieży podczas owych przechadzek, dla uchylenia niesprawiedliwych i dziwacznych tłumaczeń i dla uniknięcia zarzutów ze strony leniwych uczniów,—ułożył on we wrześniu 1820 roku, posługując się myślą magistra praw, Franciszka Malewskiego i innych, ustawy dla zorganizowania towarzystwa Filaretów. Gdy ustawy te po zniesieniu towarzystwa zostały przez Zana spalone, przeto Zan w zeznaniu swem spisał z pamięci zawarte w nich artykuły, również jak i ich uzupełnienia, które następnie za zgodą członków były dodawane. Ustawy te składały się z 72 artykułów. Wypisuję z nich

główne artykuły, wyjaśniające cel i istotę towarzystwa.

1. Wzajemna pomoc w potrzebie, w zdobyciu wiadomości i utwierdzeniu się w moralności, aby każdy z pożytkiem mógł być użyty w służbie państwowej, stanowi cel towarzystwa.

2. Przyjaźń, szczerość, skromność, pobłażliwość przy udzielaniu sobie wzajemnych rad i zamiłowanie w pracy, to podstawa towarzystwa. Oprócz tego członkowie w postępowaniu swem winni kierować się wymienionymi wyżej piętnastoma prawidłami, przepisami dla tak zwanych Promienistych.

3. Środkami do osiągnięcia powyższego celu są:

A. Co się tyczy potrzeb utrzymania:

- a) wspomaganie pieniężne,
- b) współdziałanie w staraniach o posady dla tych, którzy ich nie mają;

B. Co się tyczy pomocy w naukach:

- c) powtarzanie pomiędzy sobą kursów uniwersyteckich,
- d) kierowanie w nauce języków i nauk elementarnych,
- e) wypożyczanie książek,
- f) wzajemne ćwiczenie w retoryce;

C. Co się tyczy moralności:

g) wzajemne dogłębne oglądanie i przestrzeganie.

4. Wspomaganie pieniężne odbywa się za pomocą jednorazowych i miesięcznych składek, za pomocą dobrowolnych ofiar a wreszcie sposobem pożyczkowym, w którym to celu ma być utworzony osobny komitet pożyczek.

5. Pomoc w naukach odbywa się za pośrednictwem naukowego komitetu, który postanowi i to, jakie książki zakupić potrzeba, a dla dogodności w wypożyczaniu każdy członek obowiązany jest zakomunikować prezydentowi towarzystwa registr swoich książek.

6. Dla wyżej wyjaśnionych przyczyn, członkowie towarzystwa winni zachowywać w tajemnicy swoje zajęcia w tej nadziei, że jeśli te początkowe przedsięwzięcia przyniosą pożytek, można będzie prosić w swoim czasie zwierzchność uniwersytecką o zatwierdzenie tego towarzystwa, a w tym celu każdy członek, wstępujący do tego towarzystwa, winien podpisać następujące przyrzeczenie:

„Ja N. N., uczeń takiego to wydziału, wstępując dobrowolnie do towarzystwa Filaratów, przyrzekam słowem Polaka i uczciwego człowieka, że ani jednemu koledze, potrzebującemu pomocy, jej nie odmówię, ani

nikomu o istnieniu i o zajęciach towarzystwa nie powiem, i wszystko, co jest przepisane w ustawach, wypełniać zobowiązuję się, w przeciwnym zaś razie mam być poczytany za podłego człowieka, zasługującego na wszelką pogardę¹⁾.

Uwaga. Co się tyczy formy tego przyrzeczenia, wyjaśnił Zan w swoich zeznaniach jeszcze i to, że gdy podpisywał je nowo przyjęty członek, nie należący do polskiej narodowości, to w takim razie zatwierdzał swoje przyrzeczenie imieniem tej narodowości, do której należał; lecz ja winienem tu zauważyć, iż Zan dodał to zapewne dla potwierdzenia tego tłumaczenia, że w duchu towarzystwa nie było zamiaru zachowywać polskiej narodowości, albowiem nikt z innych Filaretów o wyżej wspomnianem rozróżnieniu w przyrzeczeniu, nie zeznał.

7. Prezydent towarzystwa ma prawo odkryć istnienie i działanie towarzystwa, skoro będzie widział, że to jest konieczne i korzystne, nie zdając z tego żadnemu z członków sprawy.

¹⁾ Patrz formę tego zaręczenia podług relacji. Józefa Chodźki. Dr. Szeliga: „Kilka słów o Filomatach i Filaretach“, „Przew. nauk. i lit., rok 1888. str. 720.

8. Wszelkie rozprawiania o religji i polityce, oraz spory, rozmowy i papiery w tych przedmiotach, jako postronne, do nauk uniwersyteckich nie odnoszące się i obce celowi filareckiego zjednoczenia, nigdy w towarzystwie nie mogą być cierpiane.

9. Towarzystwo dzieli się odpowiednio do podziału nauk, wykładanych na uniwersytecie, na cztery oddziały: matematyczno-fizyczny, medyczny, prawniczy i literacki, a każdy oddział na grona (*sojuzy*), których liczba będzie zależeć od liczby członków i woli prezydenta. Komunikacja pomiędzy gronami odbywa się za pośrednictwem członków, wysyłanych na posiedzenia do innych gron, a czynności wszystkich gron jednoczą się w osobie prezydenta towarzystwa, za pośrednictwem radców, którzy wraz z nim składają radczą czyli dozorczą izbę (*palata*).

10. Liczba członków w gronie nie powinna przewyższać 20, a skoro liczba ta dopełni się, prezydent rozdziela grono na dwa i, wedle swego uznania, przeznacza do nich członków. Oprócz tego ma on władzę przenosić członków z jednego grona do drugiego.

11. Urzędnikami towarzystwa są: prezydent, przewodnicy, radcy i sekretarze. Prezydent jest przodującą osobą w towarzystwie, daje kierunek i siłę jego czynnościom i sku-

pia je; on przedstawia projekty i przyjętych zatwierdza, zwija i zakłada grona i przeznaczają do nich członków, troszczy się o sposoby pomocy wszelkiego rodzaju, ma w swej pieczy kasę i z rozchodów pieniędzy zdaje sprawę, używa członków sobie do pomocy i rozporządza powtórzenie naukowych kursów, wyznaczając korepetytorów (którzy z młodszymi studentami powtarzają wykładane przez profesorów kursa); słowem, dokłada najmożliwszych starań o dobro towarzystwa, wchodzi w potrzeby członków, udziela im rad, a w razie pobłądzenia upomina i kłócących się (godzi?).

12. Gdy prezydent wchodzi na posiedzenie grona, wszyscy członkowie wstają ze swoich miejsc, a przewodnik zapytuje go, czy zechce przewodniczyć i ustępuje mu swego miejsca.

13. Podobnie jak prezydent jest pierwszą osobą całego towarzystwa, tak też przewodnicy przodują w swoich gronach. Do obowiązku przewodnika należy: zwoływać na posiedzenie, przewodniczyć na niem, przestrzegać porządku, wyznaczać kolej do czytania wypracowań, udzielać członkom głosu lub zabraniać mówić, jeżeliby kto wychodził z granic porządku i przyzwoitości, witać nowo-przyjętych członków, zbierać składki pienięż-

ne, oznaczać wraz z sekretarzem przedmiot zatrudnień na posiedzeniach, przedstawiać na nich projekty, czuwać nad postępowaniem członków swego grona i w tym przedmiocie znosić się z prezydentem.

14. Obowiązki sekretarza towarzystwa są następujące: Zapisywać w dzienniku wraz z przewodnikiem przedmioty zatrudnień na posiedzeniach, zestawiać spis członków, wnosić do protokołu czynności grona, przyjmować wypracowania, przeznaczone do czytania, lub już przeczytane; wyznaczać członków, którzy mają być obecnymi na posiedzeniach innych gron, zapisywać nazwiska członków, którzy nie byli na posiedzeniu, przygotowywać miejsce do posiedzeń i we wszystkich tych sprawach znosić się z przewodnikiem.

15. Obowiązek radcy jest następujący: zawiadamiać prezydenta towarzystwa na posiedzeniach radczego komitetu o życzeniach członków, o zajęciach i postanowieniach gron a także komunikować gronom przedstawienia i potwierdzenia prezydenta, czuwając nad wypełnieniem przepisanych ustawami prawideł.

16. Prezydent i przewodnicy wybierani są na sześć miesięcy, a radcy i sekretarze na trzy. Każdy urzędnik, po upływie ter-

minu, zdaje sprawę ze swego zakresu. Oprócz tych urzędników, naznacza prezydent sobie do pomocy kasjera, bibliotekarza i korepetytorów, składających komitet naukowy, a każde grono wybiera od siebie członków komitetu pożyczkowego.

17. Obowiązki członków towarzystwa są następujące: bywać na posiedzeniach swego grona, zarówno jak i na tych, na które oni wyznaczeni będą w charakterze delegatów, zachowywać się na posiedzeniach skromnie; bez zezwolenia przewodnika i nie otrzymawszy od niego głosu, nie przemawiać i nie przerywać mowy innego, napisać raz do roku wypracowanie, którego przedmiot byłby zaczerpnięty z nauki, którą członek przedewszystkiem się zajmuje, wpłacać składki pieniężne punktualnie, dowiadywać się o potrzebach swoich współczłonków, przedstawiać i wybierać do towarzystwa członków, rozprawiać o przedłożeniach prezydenta, wybierać urzędników, przestrzegać się wzajemnie przed uchybieniami, odnosić się w swoich potrzebach do prezydenta, wypełniać wszystko, co w ustawach jest przepisane, a nie tylko w towarzystwie, lecz wszędzie i zawsze być wzorowo cnotliwym, pilnym i doskonałym uczniem uniwersytetu.

18. Kandydatami do zajęcia stanowiska prezydenta są ci przewodnicy, którzy jako tacy byli wybrani przez trzy razy z rzędu.

Następujące artykuły ustawy do 34 zawierają tylko ceremoniał przy wyborze urzędników towarzystwa, który odbywa się galkami. Ponieważ w tych artykułach nie niema godnego uwagi, przeto pomija się je tutaj.

34. Członek, wstępując do towarzystwa, wnosi 1 rubla srebrem, a co miesiąca po 15 kopiejek sr.

35. Prezydent ma prawo uwolnić ubogich członków od wszelkich składek.

36. Uczeń, nie przyjęty do towarzystwa przy pierwszym wyborze, może być po upływie dwóch miesięcy znowu przedstawiony do wyboru, w razie zaś nieprzyjęcia może być raz jeszcze przedstawiony po upływie czterech miesięcy; lecz odrzuconego trzy razy nie można już przedstawiać do wyboru.

37. Nie zapisany w poczet uczniów uniwersyteckich (Album), nie może być ani przedstawiony, ani wybierany do towarzystwa; lecz ponieważ jest wielu takich młodych ludzi, którzy, pragnąc nabyć wiadomości, uczęszczają na niektóre uniwersyteckie lekcje, a z powodu zajmowanego przez nich urzędu nie mogą wpisać się do Albumu, to

corocznie zezwala się z ich liczby przedstawić towarzystwu trzech i przyjąć ich.

38. Członek, opuszczający uniwersytet, nie należy już do towarzystwa, lecz jeśli zawód jego i urząd nie są obce naukowemu zajęciom a sam on zechce udzielać pomocy swoim współtowarzyszom, to za zezwoleniem prezydenta może być na posiedzeniach. Wyjeżdżając z Wilna zrywa wszelki stosunek z towarzystwem, lecz po swoim powrocie może, zarówno jak pierwszy, być na posiedzeniach.

39. Członek, który trzy razy nie będzie na posiedzeniu, nie przedstawi stosownie do obowiązku swego wypracowania i nie внесе pieniężnej składki, uważa się za niechęć do towarzystwa i prezydent na doniesienie przewodnika, wzięwszy od niego przyrzeczenie co do zachowania tajemnicy, uwalnia go z towarzystwa, a gdyby on następnie zapragnął znów do niego wstąpić, winien być powtórnie przedstawiony i wybrany.

40. Każde grono w ciągu dwóch tygodni winno odbyć w dniach oznaczonych jedno posiedzenie, a Izba doradcza zbiera się także na posiedzenie w początkach lub przy końcu tych dwóch tygodni.

41. Przedmioty zatrudnień dozorczej Izby są następujące:

- 1) doniesienia radców o czynności gron,
- 2) zatwierdzanie tych czynności przez prezydenta,
- 3) wnioski prezydenta w sprawach naukowych i dobroczynnych,
- 4) rozpatrywanie czynności komitetów naukowego i pożyczkowego,
- 5) rewizja kasy.

Następne artykuły ustawy do 57 zawierają porządek na posiedzeniach gron, prawa wyboru członków do naukowego i pożyczkowego komitetu, oraz ich obowiązki.

58. Sam tylko prezydent ma prawo czynić wnioski, odnoszące się do powszechnego pożytku towarzystwa, a gdyby który z członków dopatrzył potrzebę lub korzyść w uzupełnieniu ustawy i prawideł, winien ustnie lub pisemnie przedstawić to prezydentowi, który, jeśli uzna za godne rozważenia, sam od siebie przedstawi to gronom, celem rozpatrzenia i odpowiedniego postanowienia, lub też pozostawia bez skutku, nie będąc obowiązany wyjaśniać pobudek.

59. Wnioski lub projekty prezydenta przedstawia radca gronu i wyjaśnia zarazem motyw. Przewodnik grona zapytuje po kolei członków swoich i delegatów innych gron,

jakoteż gości, czy nie mają jakich zarzutów przeciw projektowi lub czy aprobuja go. Po czem projekt przyjmowany lub odrzucany jest większością głosów i t. d.

Następujące artykuły ustawy postanawiają, że po zebraniu głosów we wszystkich gronach i po doniesieniu o tem dozorczej Izbie większość głosów już stanowczo zatwierdza lub odrzuca przedłożony projekt, lecz i w tym wypadku prezydent ma prawo wstrzymać wprowadzenie w życie przyjętego przez grona projektu, nie zdając nikomu z tego sprawy.

66. Składki jednorazowe używają się na potrzeby towarzystwa i na zakupno książek, a miesięczne wkładki przeznaczone są jedynie na wspomaganie biednych.

67. Członkowie oddają bibliotekarzowi towarzystwa registr książek, jakie posiadają, a także i książki, które im do ciągłego użytku nie są potrzebne, za co oni korzystać mogą z innych książek, znajdujących się pod zawiadywaniem bibliotekarza, a także z periodycznych wydawnictw, będących własnością towarzystwa.

68. Jeżeli kto z członków lub które z gron, albo komitet naukowy potrzebuje bardzo kosztownej lub rzadkiej księgi, wówczas odnosi

się z tem do prezydenta, który za zgodą gron asygnuje pieniądze na zakupno.

69. Każdy Filaret winien zwracać baczenie nie tylko na własne swoje postęпки, lecz i swoich kolegów i po przyjacielsku ich przestrzegać, a gdyby się nie poprawili, donieść o tem przewodnikowi, aby ich upomniął, gdyby zaś i to nie wpłynęło na ich poprawę, to sam prezydent ich upomina. Nakoniec, gdyby i to nie podziało, to wówczas zawiadamia się o tem uniwersytecką zwierzchność.

70. Przewodnik, który trzy razy na to stanowisko był wybrany, może być obecnym na posiedzeniach Izby dozorczej.

Pozostałe dwa artykuły ustawy, a mianowicie 71 i 72 zawierają postanowienia o archiwum gron i towarzystwa, oraz że ta ustawa winna być zawsze w przechowaniu u prezydenta; ustawę tę odczytuje się na posiedzeniach grona nowoprzyjętym członkom, a w razie tylko koniecznej potrzeby powierza się ją radcy, który, skoro tylko przeminie potrzeba, niezwłocznie zwraca ją prezydentowi.

Zan po ułożeniu tej ustawy, zestawil imienny spis tych Promienistych, którzy podpisali przyrzeczenie zachowywać w tajemnicy ćwiczenia na majowych spacerach, a także uniwersyteckich uczniów, którzy potrzebują pomocy, i tych, którzy chcą im pomagać. Po-

tem wszystkich uczniów, w tym spisie zamieszczonych, podzielił na sześć gron; w trzech zamieścił uczniów, uczących się matematyki i fizyki, w jednym uczących się medycyny, a w dwóch uczących się prawa i literatury. Poczem z końcem września 1820 r. wszystkich uczniów zapisanych w te oddziały, po kolei wzywał do siebie, odczytywał im wyżej wspomnianą ustawę, a oni, zgadzając się na jej przyjęcie, zaraz wybrali sobie przewodników dla swego grona, sekretarzy i radców, samego zaś Zana jednogłośnie zamianowali prezydentem, który i w następnych wyborach zawsze na tem stanowisku się utrzymywał.

Sześć wspomnianych gron dla wzajemnego rozróżnienia otrzymało nazwy:

w oddziale nauk matematycznych: 1. zielone; 2. różowe; 3. amarantowe;

w oddziale medycznym: 4. granatowe;

w oddziale literackim: 5. błękitne;

w oddziale prawnym: 6. białe.

A ponieważ w tem ostatniem gronie przybyło członków po nad oznaczoną liczbę, przeto w kwietniu 1821 roku podzielono je na dwa i nowe grono nazwano: 7. liliowem.

Podobny podział wedle barwy istniał także w towarzystwie Promienistych, z tą różnicą, że w tem ostatniem towarzystwie były

tylko cztery kolory, odpowiednio do czterech oddziałów na uniwersytecie.

Wedle zeznania prezydenta, pieniędzy, wniesionych jednorazowo i miesięcznie, było tylko 295 rubli srebrem, oprócz zaległości, pozostałej u członków towarzystwa. Z tej cyfry, 250 rubli użyto na zakupno książek, papieru, świec i innych rzeczy, a pozostałe 45 rubli, przy rozwiązaniu towarzystwa, rozdano biednym uczniom. O wysokości sumy, dobrowolnie dla biednych ofiarowanej, celem wspomnienia niedostatnich, niema dokładnej wiadomości, gdyż kwoty takie nie były oddawane do ogólnej kasy; lecz pieniądze, z tego źródła płynące, zaraz rozdawano biednym, podług oznaczenia członków.

W bibliotece Filaretów, oprócz różnych ksiąg i pism perjodycznych, nie zasługujących na uwagę, znajdowała się i Konstytucja 3 maja, którą do ogólnej biblioteki dał członek towarzystwa filareckiego, Łoziński. Zapytany w tej sprawie, oświadczył, że jej do niczego więcej nie używano, tylko dla informacji tych członków, którzy uczyli się prawa.

W zakres zajęć towarzystwa wchodziło i to także, aby za pośrednictwem członków, którzy na czas wakacji rozjeżdżali się w różne strony z Wilna, zbierać statystyczne wiadomości.—W tym celu prezydent Zan z wi-

céprezydentem Malewskim ułożyli instrukcję, p. t. Opis geograficzny. W instrukcji tej, chociaż zamieszczone są liczne artykuły z instrukcji, przez Główny Rząd szkół w 1812 r. wydanej, dla zbierania, wedle jej wskazówek, statystycznych wiadomości za pośrednictwem gimnazjów i szkół powiatowych, lecz są artykuły dodane dla Filaretów.

Zwracają one na siebie uwagę, gdyż osnowa ich nie zupełnie odnosi się do statystyki, i tak na str. 3 pod lit. C¹⁾ zamieszczono następujące pytania: „Wiele i w jakich stopniach służy w wojsku szlachty i w których pułkach?“ — „wielu włościan i mieszczan ubyło wskutek poborów w rekruty od 1812 r.“—liczba miejscowego wojska i należących do niego osób obojga płci?—„liczba i rodzaj urzędników koronnych i ziemskich?“; na str. 10 w 1-szym artykule: „gdzie odbywają się wybory urzędników? czy istnieją stronnictwa i intrygi? czy urzędnicy są pilni w wykonywaniu swoich obowiązków? czy sądownictwo wykonywane jest bezstronnie, a przy nadawaniu urzędu czy wpływa zasługa, czy też intryga? czy zachowywana jest narodo-

¹⁾ Patrz dr. Szeliga: Proces Filaretów w Wilnie. Pismo komisji śledczej do rektora uniw. wil. z 27 list. 1823. Arch. do dziej. lit. i ośw. t. VI str. 260.

wość? w czem najbardziej i jakie istnieje przekonanie o prawach własności?“ Co się tyczy wojskowych: „jakie ich obyczaje i jakie zachowanie z niewojskowymi, czyli obywatelami? czy przejęci są dobrym duchem?“ Artykuł III na str. 11 mówiąc o cudzoziemcach: opisać ich charakter, porządki, przesady, ubiór, czy odrębnego rodzaju, czy też zastosowany do zwykłego, w tutejszym kraju używanego, także opisać domowe ich życie, przywiązanie do ziemi, na której żyją, przyczyny, dla których opuścili swoją ojczyznę, czy mają jakie schadzki lub zebrania, albo jaki u nich duch w ogóle i t. d.

Taką instrukcję kasjer towarzystwa, Jan Czeczot, i prezes komitetu pożyczkowego, Jan Jundził, bez aprobaty cenzury wydrukowali tajnie w nocy w wileńskiej bazylikańskiej drukarni, przekupiwszy tam w tym celu zecerów, ponieważ prefekt tej drukarni bez cenzury nie chciał drukować, za co zecerzy i dotyczące osoby pociągnięte już przezemnie zostały, celem osądzenia wedle prawa. W ten sposób wydrukowane egzemplarze instrukcji były rozdawane w 1821 r. przez Czeczota i Malewskiego wszystkim członkom filareckiego towarzystwa, którzy wyjeżdżali na czas wakacji z Wilna; kilka jej egzemplarzy znaleziono u niektórych Filaretów między ich

papierami, a jeden z nich załącza się tu pod l. D.

Autorowie instrukcji, Zan i Malewski, tłumaczą się, że była ona ułożona jedynie w tym zamiarze, aby uczniów uniwersytetu w czasie wakacji zająć czemś pożytecznem i ażeby z zebranych statystycznych wiadomości ułożyć statystykę tutejszego kraju. Przy nakreśleniu tej instrukcji kierowali się oni różnymi utworami tego rodzaju, a przede wszystkim wspomnianą instrukcją Głównego szkół Rządu, a dodane przedmioty zawierają tylko wyciąg w szczegółach tego, co w pierwotnej instrukcji powiedziano w słowach ogólnych, ażeby niedoświadczeni jeszcze młodzi ludzie lepiej to zrozumieć mogli.

Oprócz zwykłych posiedzeń, bywały także u Filaretów ogólne zebrania z powodów imienin prezydenta i przewodników. Zbierali się na nie Filareci za poprzednimi zaproszeniami, w mieszkaniu któregośkolwiek z członków, gdzie schodzili się i na swoje posiedzenia, a czasem w lecie w laskach za miastem. Najznacniejsze takie zebranie odbyło się za miastem, także w lasku, na cześć prezydenta Towarzystwa Zana, któremu ofiarowano wtedy stalowy pierścień z napisem: „Przyjaźń—zasłudze“, a wewnątrz: w Wilnie 1821 r. 29 maja (co oznacza dzień tego zebrania); oprócz tego

uwieńczono wtedy głowę Zana wieńcem z liści dębowych.

Na tym festynie wygłaszano na cześć Zana różne wiersze. Między innymi Filaret Jankowski, łącząc w swoich wierszach terazniejszy Rząd, przedstawiał Zana, jako przyszłego zbawcę ojczyzny. Wiersze te zgubił Jankowski, lecz on sam zeznaje, że były w takim jak powyżej sensie. Tenże Jankowski także na imieninach przewodników, Józefa Kowalewskiego i Mikołaja Malinowskiego, wygłaszał również łącząc Rząd wiersze, zamieszczając w nich różne rojenia o odbudowaniu Polski. Kopje tych wierszy załącza się pod lit. E. i F.

Na tych zebraniach śpiewano różne pieśni, a najwięcej była w użyciu znaleziona w papierach Filareta Kozakiewicza, którą załącza się pod lit. G.

W niej między innemi czytamy:

Po co cudzoziemskie mowy,
My pijem kowieński miód,
Milsza jest pieśń narodowa
I lepszy bratni ród.
Tyś wlażł w steki rzymskich i greckich ksiąg,
Nie dlatego abys gnił,

Lecz abyś weselił się jak Grek
I jak Rzymianin bił¹⁾.

A dalej:

Gdzie przyjaźń i miłość wołają,
Tam bracia, milczcie, milczcie²⁾

.....

¹⁾ P. Wierzbowski w odnośniku do tego wiersza cytuje: „Pieśń Filaretów Adama Mickiewicza“ („Hej, użyjmy żywota). Tymczasem przytoczony w raporcie wiersz różni się znacznie od znanej pieśni Mickiewicza. Brak przedewszystkiem dwóch pierwszych strof: „Hej, użyjmy żywota“. „Hejże do niej wesoło“. Strofy przytoczone tu jako pierwsze podobne są do trzeciej i czwartej strofy pieśni:

Po co tu obce mowy?
Polski pijemy miód:
Lepszy śpiew narodowy
I lepszy bratni ród.

W ksiąg greckich, rzymskich steki
Włazłeś, nie żebyś gnił;
Byś bawił się jak Greki,
A jak Rzymianin bił.

²⁾ Ten dwuwiersz odpowiada końcowym dwom wierszom siódmej strofy pieśni:

Gdzie przyjaźń, miłość woła,
Tam bracia cyt, tam cyt!

Dzisiaj trzeba prawicy.
A jutro praw¹⁾,
Cyrkle, wagi i miary
Używaj dla martwych ciał —
Siłę mierz zamiarami
A nie zamiary siłą,
Bo gdzie się serca palą,
Tam duch cyrklem zapala
A powszechne dobro skalą.
Jednomysłność więcej znaczy niż mnóstwo²⁾.

.....

¹⁾ W tekście Mickiewicza dwa te wiersze są końcowymi strofy piątej, idą zatem przed poprzednimi brzmią zaś:

Dzisiaj trzeba prawicy,
A jutro trzeba praw.

²⁾ Podobne wiersze stanowią 11 i 12 strofkę pieśni Mickiewicza:

Cyrkla, wagi i miary
Do martwych użyj brył:
Mierz siłę na zamiary,
Nie zamiar podług sił!...

Bo gdzie się serca palą,
Cyrklem unieśień duch,
Dobro powszechne skalą,
Jedność większa od dwóch.

Biedaczek Archimed!
Niewiadomo, gdzie się oprze¹⁾,
Niech teraz, gdy zechce dźwignąć świat,
Przeliczy Jego Matematyczna Wielmożność
(Wysokorodje)

Liczbę braci,
I niech powie, że dostateczna²⁾

Dla napisania osobnej filareckiej pieśni
wyznaczony był konkurs, a jako nagrodę za
najlepszą pieśń przyznaczył Łoziński dwa tomy

¹⁾ Te dwa wiersze są końcowymi dziewiątej
strofy, a brzmią:

Archimed był ubogi,
Nie miał gdzie oprzeć stóp.

²⁾ Ostatnie te cztery wiersze są u Mickiewicza
10-tą strofą pieśni:

Dziś, gdy chce ruszać światy,
Jego Newtonska Mość,
Niechaj policzy braty
I niechaj powie, dość!

Tak więc odmienny porządek strof, jak i znacz-
ne — chociażbyśmy przypuścili największą dowol-
ność w tłumaczeniu — różnice w wyrażeniach, do-
wodzą, że wiersz, przytoczony przez Nowosilcowa,
nie jest przekładem pieśni Mickiewicza, przynaj-
mniej nie w tej formie, jaka jest nam obecnie
znana.

z dzieł Niemcewicza. Wielu starało się uło-
żyć taką pieśń, lecz żadnej nie aprobowano;
poczem wszystko było spalone, wskutek cze-
go i treść ich wiadoma nie jest. Jeden tyl-
ko Jankowski, we wszystkich swoich odpo-
wiedziach żałujący zuchwalstwa swego w ukła-
daniu łączących wierszy, zeznał, że między inny-
mi i on przedstawił na konkurs odę na cześć
Filaretów, w której, rojąc o przyszłym szczę-
ściu i oswobodzeniu Polski z niedoli, obwiesz-
czał, że już łączą się młodzieńcy, miłujący
ojczyznę, może nastąpić powstanie i Polska
oswobodzi się.

Towarzystwo Filaretów zakończyło byt
swoj w końcu kwietnia lub w początkach maja
1822 roku. Prezydent Zan wymienia nastę-
pujące powody, które skłoniły do zamknięcia
towarzystwa. Z końcem 1821 r. liczni ko-
repetytorowie i zasobniejsi od innych ucznio-
wie opuścili Wilno, skończywszy kursa,
a skutkiem tego wynikły trudności w udzie-
laniu pomocy biednym kolegom, w uczeniu
się i utrzymaniu. Z tego powodu straciło
towarzystwo tę siłę przyciągającą, którą posia-
dało, jako nowość z początku, a wśród Fila-
retów poczynaly chłódnać szczerłość i gorli-
wość w wypełnianiu obowiązków. W człon-
kach, którzy opuścili uniwersytet i Wilno,
zwłaszcza zaś w Malewskim, utracił, Zan, ja-

ko prezydent, swoich pomocników, a oprócz tego on sam, z powodu niespodziewanej śmierci matki stracił wesołość i ochotę do zajęć. Potrzebował teraz starać się o nauczycielską posadę, aby tem zabezpieczyć sobie utrzymanie, a tymczasem zawezwał go wizytator szkół wileńskiego okręgu, Chodźko, na swego sekretarza, wskutek czego musiał wyjeżdżać z Wilna, do zastąpienia go zaś na stanowisku prezydenta, nie znajdował on wśród kolegów nikogo, któryby posiadał w towarzystwie takie, jak on zaufanie; a chociaż zapobiegając temu, aby przy słabym prezydencie towarzystwo nie odstąpiło od swego celu, uczynił on wniosek, aby uzupełnienie czyli zmiana ustaw filareckich była zawisła od Izby dozorczej i ażeby prezydent bez niej nie przedsiębrał, lecz takiego wniosku towarzystwo nie przyjęło. W tym czasie zamknęło swoją działalność towarzystwo masonów, (którego Zan był członkiem¹⁾), ponieważ rozeszła się wieść, iż Rząd uznał wszystkie tajne towarzystwa za godne potępienia, a ten wypadek zaniepokoił Zana, jako założyciela tajnego towarzystwa Filaretów.—Równocześ-

1) Tego twierdzenia, rzuconego mimochodem, w nawiasie, nie poparł Nowosilcow żadnym dowodem.

nie, założenie jawnego towarzystwa dla wspierania niedostatnich uczniów uniwersyteckich, jako nowość, pociągało ku sobie mnóstwo Filaretów, tembardziej, że w niem i niedostatni Filareci pewniejsze dla utrzymania siebie widzieli zabezpieczenie. Z tych wszystkich pobudek, Zan zdecydował się rozwiązać filareckie towarzystwo, nie wymieniając, zresztą, w akcie czyli obwieszczeniu swem o rozwiązaniu towarzystwa, wszystkich wyżej podanych powodów, dlatego, jak wyjaśnia w zeznaniach, aby roztrząsaniem i zaprzeczeniami filareckich członków co do słuszności tych przyczyn, nie wstrzymać samego rozwiązania; dlatego też przedstawił tylko to, że wszelkie tajne towarzystwo, chociażby tylko w zupełnie niewinnym celu było utworzone, obudza podejrzenie i że jest lub może być śledztwo, czy nie istnieją podobne towarzystwa wśród uczniów uniwersyteckich, a wreszcie, że on sam wyjeżdża z wizytatorem Chodźką, udającym się na wizytację szkół.

Tak wyjaśnia Zan przyczyny, które skłoniły do rozwiązania filareckiego towarzystwa; lecz Jankowski powód tego, o ile mu wiadomo, przypisuje okoliczności, że policja miejska, z okazji oczekiwanego w tym czasie najwyższego przybycia do Wilna Jego Cesarskiej Mości, dla rewizji gwardyjskiego korpu-

su a oprócz tego, wogóle już zwróciła czujną uwagę na czynności i postępowanie mieszkańców w mieście osób, wskutek czego, jak utrzymuje Jankowski, naczelnicy filareckiego towarzystwa, obawiali się, że ono będzie odkryte i zgodzili się między sobą je rozwiązać.

Samo rozwiązanie nastąpiło w sposób następujący. Po spisaniu przez samego Zana wspomnianego aktu w siedmiu egzemplarzach, to jest dla każdego grona po jednym, przywoływał on do siebie pojedynczo przewodników i nie mówiąc im o zamiarze rozwiązania towarzystwa, polecił tylko, aby zawezwali na nadzwyczajne posiedzenie, na oznaczony przez nich jednakowy czas, członków swego grona, a gdy ci się zbiorą, aby oni sami dali mu o tem znać dla otrzymania dalszego polecenia. Gdy zaś, po zgromadzeniu się członków, przewodnicy przybyli do niego z oznajmieniem, on, odczytawszy im wyżej wzmiankowany akt, skłonił ich, aby go podpisali. Poczem przewodnicy, wzięwszy po jednym egzemplarzu aktu, powrócili do gron swoich, odczytali go głośno członkom i zebrawszy ich podpisy, z zobowiązaniem, iż będą zachowywać w tajemnicy istnienie towarzystwa i zaprzestaną wszelkich do niego odnoszących się czynności, przedstawili pod-

pisane tego aktu egzemplarze samemu Zanowi, który je wraz z innymi filareckimi, ze wszystkich gron zebranymi papierami, spalił sam jeden¹⁾ w swem mieszkaniu, gdy wszyscy uczniowie wyszli do klasy, nie mówiąc o tem i następnie nikomu. Ażeby zaś, po tem rozwiązaniu, odnowiły się filareckie schadzki i posiedzenia, tego nie wykazało przeprowadzone śledztwo.

W sprawie zniszczenia filareckich dokumentów, Zan tłumaczy się, że on nie miał na przechowanie ich dogodnego i bezpiecznego miejsca, że protokoły gron nie według jednakowej formy i źle pisane były i że zni-

¹⁾ Inaczej nieco przedstawia spalenie archiwum filareckiego dr. Szeliga w pracy swej p. t. „Kilka słów o Filomatach i Filaretach“. Stać się to miało mianowicie na wyraźne życzenie rektora Malewskiego i wobec delegata uniwersytetu. — Przew. nauk i lit. 1889 str. 725.—Dr. Szeliga oparł się zapewne na świadectwie Domejki, który: pisze „Przezorny tedy Malewski w obawie, aby nie schwytano papierów, zmusił Zana, Pietraszkiewicza i Jeżowskiego do zebrania wszystkich protokołów, statutów filareckich i dokumentów w jedno miejsce, dla spalenia ich wobec delegowanego na to od siebie Płakał jak dziecko p. Pietraszkiewicz, patrząc na płomienie, które pożerały tyle niewinnych rzeczy“... „Filareci i Filomaci list Ignacego Domejki,“ Późna, 1872 str. 23.

szczenie śladów tego towarzystwa, winno było jego zdaniem zniszczyć i zgładzić samo jego istnienie. Przytem przyznaje, że uczynił to porywczo, gdyż jak dodaje, spalone akta mogłyby udowodnić niewinny cel towarzystwa.

Filareci, oprócz Jankowskiego „w zeznaniach swoich twierdzą, że celem ich towarzystwa było jedynie dążenie, ażeby członkowie udoskonalali się w naukach i że przedmioty, odnoszące się do polityki i religji, były im, już z mocy samej ustawy, obce“. Na poparcie tych ich twierdzeń niema dowodów, przeciwnie zaś niektóre okoliczności a także znalezione u Filaretów papiery, przedstawiają cel tego towarzystwa w innym kształcie, albowiem Filaret Jankowski w początkowym swem zeznaniu, jak powiedziano wyżej, oświadczył, że oprócz kształcenia się w naukach, głównym celem tego towarzystwa było: połączenie ogólnych sił, ażeby odbudować Polskę w jej dawnym blasku; w dodatkowym zaś badaniu, na czem on opiera to zeznanie? dodał, że chociaż nie wie, jakie powody były wysunięte na pozór, przy zakładaniu towarzystwa, przystąpił bowiem do niego, gdy już istniało, jednakże w przemówieniach przewodników do nowoprzyjętych członków objawił się zamiar, że po takim ich zjednoczeniu i roz-

szerzeniu związku, można będzie kiedyś, w czasie sprzyjającym pomyśleć o odbudowaniu Polski. Chociaż różne, odnoszące się do nauk wypracowania i książki, czytane na posiedzeniach z krytycznym rozbiorem i wymiana sądów, rozszerzały wiadomości i kształciły umysły członków towarzystwa, przyzwyczajając ich do pożytecznych zajęć, pomimo to jednak, w przemówieniach przewodników, wygłaszanych przy rozmaitych okazjach, zawsze można było zauważać zamiar zaszczipiania w towarzystwie wśród członków zgody, jednomyślności, braterskiej miłości i skłonności do łączenia się w związek, a wszystko to w nadziei odbudowania ojczyzny. Podobne wyrzekania i myśli przeciw Rządowi, w tym ogólnym sensie, że po zawojowaniu w niesprawiedliwy sposób Polski, obchodzono się źle z krajem i mieszkańcami, powtarzali nierzadko i członkowie (których imion zresztą Jankowski nie pamięta). Takie wpływy spowodowały też i Jankowskiego, że na uroczystości na cześć Zana, jak o tem wyżej obszerniej doniesiono, powiedział w ułożonych i wygłoszonych wówczas przez niego wierszach, że jeżeli nastąpi szczęśliwy czas odbudowania Polski, to wówczas, w dziękczynienie za utworzenie Filaretów celem powrócenia ojczyzny, nazwą go (Zana) jej zbawcą.

Przewodnicy gron, wobec tego zeznania Jankowskiego o celu Towarzystwa i rojeniach co do odbudowania Polski, dali przeczące wyjaśnienie, zeznając przy konfrontacji z Jankowskim, co następuje:

Filareci Czeczot i Orlicki, że przyjemnie było wspominać w mowach o przyrodzonym swoim polskim języku, a uczucia serca pociągały nieraz do tego, aby przy tylu ułatwieniach, przez sam Rząd udzielanych, dla zachowania obyczajów i języka polskiego, szukać środków, do udoskonalenia go i w ten sposób uwiecznić pamięć o nim i narodzie, dopóki wola Panujących, która tak troszczy się i sprzyja narodowi polskiemu, nie zwróci się ku zabezpieczeniu jego przyszłego losu. Przy podobnych przypuszczeniach, nigdy nie przychodziło jemu (Czeczotowi?) do głowy, ażeby Filareci powinni byli myśleć o doprowadzeniu ich do skutku, a nawet w wierszach, przez niego pisanych, chociaż ten rodzaj utworów najwięcej daje powodu do pustych i bezzasadnych rojeń, nie podobnego się nie zawierało. A jeśli, ciągnie dalej Czeczot, powszechnie wypowiedane myśli są przeciwne widokom Rządu, to dlaczegóż znajdował on tak wiele nie zakazanych źródeł, z których je czerpał, jak n. p. historia i literatura polska i inne utwory? Oprócz tego,

gdy do powitań nowoprzyjętych członków brakowało materiału, mówiąc o przyjaźni i przykładaniu się do nauk, wówczas zwracał się on do wspomnień o dziejach przodków. Tak będąc za miastem na biesiadzie, w pierwszą niedzielę po Wielkiejnocy, śpiewał on zwykłą na tę uroczystość kościelną pieśń, zaczynającą się od słów: Chrystus zmarłychwstał, przyczem włożył do tej pieśni swoje dwa wiersze: „Powstanie z grobu Sarmata i szkody swoje załata,“ wszakże jak zeznaje, z porady prezydenta Zana, wierszy tych nie odśpiewał. Oprócz tego co powyżej, nigdy nie ubliżającego Rządowi z ust jego nie wyszło. Orlicki tłómaczy się, że w powitaniu nowoprzyjętego do towarzystwa członka, Dominika Chodźki, mówiąc o celu towarzystwa, przedstawiał, że każdy członek towarzystwa obowiązany jest współdziałać w rozszerzaniu nauk, że dla przekonania go o tem, przywodził mu na pamięć z ojczystej historii tych sławnych mężów, którzy własną pracą lub przez zachętę współdziałali w rozszerzaniu nauk, a mówił o tem jedynie dlatego, ażeby skłonić przyjętego członka, by wszelkimi siłami starał się osiągnąć ogólny cel filarecki t. j. udoskonalenia się w naukach, przytaczając mu, jako najskuteczniejszy sposób pociągnięcia młodzieży, przykład znako-

mitych mężów, którzy ze sławą pracowali nad rozkrzewianiem nauk. Podobnie i wiersze jego, wygłaszane na zebraniach z okazji imienin przewodników, nie zawierały nic pa-trjotycznego w duchu polskim, albowiem przedstawiał on w nich czyny wielkich mężów ku naśladowaniu, a czyny występnych ku obrzydzeniu.

Pomimo to, zeznania Jankowskiego o niegodziwym celu towarzystwa Filaretów, potwierdzają jeszcze następujące okoliczności:

1. W mowie, ułożonej przez Filareta Staniśława Makowieckiego, znalezionej w jego papierach, która tu w kopji pod l. J) dołącza się, powiedziano między innemi. „Polityczne wypadki i Rząd, pod którym obecnie znajdujemy się, jasno przekonywają nas, że ścisła przyjaźń i połączenie młodzieży w jedno grono są konieczne, aby w danym razie podać bratnią rękę i łącząc prawicę z prawicą powrócić ojczyźnie jej dawny byt“. Co do tej mowy, tłómaczy się Makowiecki, że przy wprowadzeniu do grona nowego członka, przewodnik witał go, oświadczając mu zadowolenie swoje z powodu pomnożenia członków i przedstawiając, że takie połączenie się młodzieży dopomaga rozszerzeniu nauk i przynosi pożytek państwu, kształcąc oświeconych i cnotliwych urzędników i obywateli. To podało

jemu, Makowieckiemu, będącemu jeszcze w wieku niedojrzałym, pustą myśl napisania wyżej wspomnianej mowy, której nie czytał w gronie i nikomu nie pokazywał, a chociaż oświadczyli koledzy Makowieckiego przy badaniu, że mowa ta na posiedzeniu grona nie była czytana i że oni nigdy o niej nie słyszeli, wszakże jest rzeczą nieprawdopodobną, ażeby Makowiecki, którego zmarły dziad (jak się ze sprawy okazuje) był radcą stanu i 35 lat nieskazitelnie służył Wszechrosyjskiemu Tronowi jako prezes mohilewskiej Izby miejskiej (*graždanskaja palata*), ojciec zaś jego był w rosyjskiej służbie wojskowej a teraz jest prezesem tejże Izby, mógł przejać się w domu rodzicielskim podobnemi, jak w mowie wyrażone, myślami, dlategoż trzeba sądzić, że ten niegodny sposób myślenia wytworzył się w nim w towarzystwie Filaretów, gdyż przedstawione w jego mowie myśli zgadzają się z temi powitaniem przewodników, o których zeznaje Jankowski.

2. W papierach Filareta Adama Suzina znaleziono bruljon protokołu, własną jego ręką pisany, o czynnościach posiedzenia błękitnego grona, odbytego 2 stycznia 1821 r. i to dołączamy pod lit. J); w nim między innemi powiedziano, że na tem posiedzeniu przyjęto do błękitnego grona Jana Jankow-

skiego, że przewodnik grona Cieczot, w przemówieniu powitalnem, wymieniając przyczyny, dla których towarzystwo Filaretów, przedtem pod nazwą Promienistych, przed nikim nie ukrywające się, potem z różnych ważnych powodów, a zwłaszcza z powodu podejrzenia, iż nie sprzyja wszelkim chwalebnym zamiarom Rządu, istnienie swoje tać jest przymuszone, zalecał nowoprzyjętemu członkowi, Jankowskiemu, zachowanie tajemnicy i przedstawił w czarnych barwach tę hańbę, jaka spada na krzywoprzysięzców, naruszających zobowiązanie w ustawach filareckich przepisane.

Wspomniany Suzin przy początkowem badaniu, zapierając się jakoby należał do towarzystwa Filaretów, zeznawał, iż rzeczony protokół mógł on napisać w czasie napadu melancholji, po rozmowie z Jankowskim, jakby w nieprzytomności.

Po doniesieniu o tem Waszej Cesarskiej Wysokości, w raporcie z 8 listopada Nr. 1483, miałem szczęście otrzymać rozkaz z 16 ubiegłego listopada Nr. 1034, że można z pewnością obwinić Suzina o zakamieniały upór, wskutek czego Wasza Wysokość raczył mi polecić wziąć Suzina pod cięższy areszt, wykazać mu, że samo napisanie jego ręką rzeczonego protokołu i z niczem niezgodne za-

pieranie się, są to takie winy, które przy dalszym uporze jego, będą dostateczne, ażeby Wasza Cesarska Wysokość, władzą Najwyżej mu przyznana, nie tylko pozbawił go szlachectwa, lecz postąpił z nim jeszcze surowiej.

To polecenie zostało przedstawione Suzinowi i on złożył przyznanie, tak co do należenia do towarzystwa Filaretów, jak i co do spisania owego protokołu, tłómacząc się przytem, że dlatego nie przyznał się przedtem, iż należał do tego towarzystwa, gdyż był obowiązany jego istnienie zachować w tajemnicy i że oprócz tego, nie przepuszczając, aby u kogokolwiek mogły być znalezione filareckie papiery, mogące wykazać niewinność ich celu, nie ośmiał się odkryć istnienia towarzystwa, ponieważ jego zeznanie byłoby niedostateczne, on bowiem należąc do niego w czasie gdy chorował na melancholję, prawie o wszystkim zapomniał. Do tego dodał jeszcze Suzin, że należąc do zielonego grona, był na jego posiedzeniach, z powodu choroby, tylko trzy razy, a raz na posiedzeniu błękitnego grona, że potem, po kilku dobach, ułożył w mieszkaniu swoim z tego ostatniego posiedzenia wspomniany powyżej protokół w bruljonie, dla zakomunikowania go zielonemu gronu, którego był członkiem,

i że przewodnik Czeczot w powitaniu swem, (o którym jest mowa w tym protokole) wyrażenie: „że towarzystwo Filaretów, dla podejrzenia o niesprzyjanie chwalebnym zamiarom Rządu, istnienie swoje tać jest zmuszone“, odnosił nie do państwowego lecz do uniwersyteckiego rządu (*prawlenie*), który zabronił wszystkim uczniom uniwersyteckim zakładać jakichkolwiek, choćby i naukowych towarzystw, zakazawszy nawet zabaw Promienistych. Na potwierdzenie tego przytacza jeszcze Suzin, że w oryginalnym protokole błękitnego grona wspomniane było mianowicie o uniwersyteckim rządzie, a tylko on, Suzin, w swoim bruljonie protokołu przez pomyłkę wypuścił słowo uniwersytecki, i że ani w wypracowaniach, ani w mowach filareckich nie przeciwnego Rządowi (*Prawicielstwu*) nie słyszał.

Przewodnik Czeczot, jak w odpowiedziach swoich, tak i przy konfrontacji z Jankowskim, który na wspomnianem wyżej posiedzeniu był do towarzystwa przyjęty, tłumaczył się, że w rzeczonem przemówieniu jego nie nie odnosiło się do państwowego rządu (*prawlenie*), a jeżeli on wspomniał o Rządzie, to słowo to odnosiło się do uniwersyteckiego rządu, gdyż tylko jego się obawiali, jako tego, który zakazał zawiązywać towarzystwa.

Wbrew temu Jankowski, w dodatkowym badaniu i przy konfrontacji z wyżej wspomnianym przewodnikiem Czeczotem, zeznał, iż Czeczot właśnie w takim sensie, jak napisano w rzeczonym protokole, witał jego, Jankowskiego.

Zestawiając powyższe o tym protokole zeznania oraz ich zaprzeczenia, z myślą samego protokołu, nie można dać temu wiary, aby Czeczot we wspomnianym swoim protokole (przemówieniu!) nieprzystojne wyrażenia o Rządzie stosował do uniwersyteckiej władzy (*prawlenie*) a nie do teraźniejszego Rządu, (*Prawicielstwa*), albowiem w takim razie powiedziano by było (jak zwykle się mówi), że należy ukrywać istnienie towarzystwa z powodu podejrzeń uniwersyteckiego zarządu (*prawlenia*) a nie Rządu (*Prawicielstwa*); zresztą i samo zeznanie Jankowskiego winno mieć przewagę (?) nad zeznaniami Suzina i Czeczota dlatego, że oni nawet wobec najjaśniejszych dowodów usiłowali jeszcze utaić istnienie towarzystwa, podczas gdy Jankowski odkrył wszystko dostatecznie szczerze i przyznał się nawet do ułożenia niegodziwych wierszy, z czego okazuje się i to, że były cierpiane w tem towarzystwie nagany i łżenia Rządu, co potwierdza także okoliczność, iż Jankowski przed odnalezieniem jeszcze

w papierach Suzina wzmiankowanego powyżej protokołu, mówił przy badaniu swem o podobnych przyganach.

3. Były Filaret Józef Chodźko, który obecnie jest chorążym (*praporszczykiem*) w oddziale kwatermistrzowskim świty Jego Cesarskiej Wysokości i przedstawiony w świadectwie swego naczelnika generał-majora Tene-ra z bardzo dobrej strony, a który nadto okazał się i w zeznaniach swoich dostatecznie szczerym, jak o tem miałem szczęście donieść Waszej Cesarskiej Wysokości d. 16 minionego grudnia Nr. 1789, chociaż twierdzi, podobnie jak inni, że cel towarzystwa Filaretów polegał na zamiarze udoskonalenia się w naukach, jednak dodaje i to, że poeci wśród jego współczłonków, których nazwisk zresztą nie pamięta, w nierozsądnym porywie fantazji, okazywali jawnie duch patryotyczny. Zeznając, zgodnie z innymi, że cel towarzystwa dążył do udoskonalenia się w naukach, dorzucił, iż w mowach przewodnika Czeczota i zastępującego go na tem stanowisku Orlickiego, objawiało się dążenie, aby rozbudzać polską narodowość i miłość do byłej ojczyzny, czego oni, Czeczot i Orlicki, jak widać z przywiedzionych powyżej ich tłómaczeń się, nie odparli; a to także wzmacnia zeznanie Jankowskiego, że nie jedyny cel nau-

kowy zajmował Filaretów; lecz że członkowie tego związku wspomnieniami o byłej polskiej Rzeczypospolitej wywoływali niedorzeczne w niedojrzałych umysłach młodzieży wrażenia.

4. Sam założyciel towarzystwa Filaretów Tomasz Zan, twierdząc w odpowiedziach swych, że celem towarzystwa było tylko dążenie do udoskonalenia się w naukach i że cel ten nie zawierał nic przeciwnego Rządowi, nie mógł jednak zataić tego, iż w początkach utworzenia towarzystwa, nie każdy członek był w stanie ograniczyć się w swych wypracowaniach w tym zakresie, który przepisywał mu cel towarzystwa i że nie każdy urzędnik towarzystwa zdołał z przyzwyczajeniem wypełniać obowiązki swego powołania, albowiem wówczas szli oni rzecz można po omacku i nie mieli jeszcze istotnego pojęcia o obowiązkach obywatela, o ojczyźnie i patryotyzmie. Każdy członek wchodził w towarzystwo z rozmaitem wykształceniem, zależnem od wychowania, sposobu uczenia się, sposobu życia, wieku i wreszcie przyrodzonych zdolności. Znalezione w papierach Filaretów niegodziwe utwory, albo zdaniem Zana, nie mają żadnego związku z towarzystwem, lub zakradły się tam bez wiadomości Zana, a w tych wypadkach win-

ny być uważane jako konsekwencja nie ducha i działań towarzystwa, lecz wykształcenia autora tych utworów, zaćmiewających cel i czynności Filaretów, a jeżeli kto złożył niesprawiedliwe o Filaretach zeznanie, to albo nie pojął istotnego ich celu i nie umiał wypełniać obowiązków dobrego ucznia, a tem samem i Filareta, lub też własne swoje idee pomieszawszy z ideami, w towarzystwie nabytemi, chciał swoje niegodziwe zamysły pokryć oczernieniem towarzystwa. W trzech jego gronach; matematyczno-fizycznym, medycznym i literackim, ćwiczyli się członkowie w przedmiotach, odnoszących się do ich nauk, i nie mieszały w swoich wypracowaniach wspomnień o byłej polskiej ojczyźnie; w dwóch gronach z zakresu nauki prawa, dosyć było członków zajmujących się powszechną historją, a w szczególności polską, lecz oni mogli pisać o Polsce, tylko jako o przedmiocie swych naukowych historycznych studjów; wreszcie w błękitnem gronie znajdowali się po większej części literaci, zajmujący się pisaniem wierszy. W początkach przedmiotami ich poezji mogły być cała przyroda i wszystkie nauki, stosownie do pojęć i wykształcenia każdego z nich, a z tego powodu bardzo często mogły ztąd wynikać nieprzyzwoitości, pochodzące z żywej wyo-

braźni, lecz to rychło zauważono i przedsięwzięto środki dla ukrócenia tego, to jest postanowiono nie przyjmować przypadkowych wierszy zamiast wypracowań, jakie każdy członek, na mocy ustawy winien był przedstawić do rozpatrzenia swoim współczłonkom; a następnie zaś polecono zajmować się przekładami klasycznych obcych utworów. Oprócz tego, czytane były czasem pieśni i balady, ułożone z ludowych opowieści czyli baśni, a także zaczerpnięte z wypadków historii polskiej, lecz i w tem nie przeciwnego Rządowi nie zawierało się. Rzeczywiście w licznych mowach przewodnika Czeczota objawiała się miłość ojczyzny, lecz ona, wedle twierdzenia Zana, nie przekraczała granic dozwolonych, zabawy zaś i biesiady były jakby po za zakresem towarzystwa i nie były ograniczone żadnemi szczególnymi prawidłami i dla tego wówczas każdy objawiał myśli i uczucia swoje swobodniej, lecz i tu nie zdarzyło się jemu, Zanowi, usłyszeć jakiegokolwiek przeciw Rządowi obelgi lub zapalania do nienawiści. Chociaż wiele rękopismów, jak zeznają inni członkowie i jak przyznają sami ich autorowie, zawierały wspomnienia o dawnym blasku Polski, o cnotach, gościnności, szczerości Polaków, o wielkich czynach znakomitych mężów Polski, to wspo-

mnienia te, zdaniem Zana, nie miały wrzekomo nie nieprzystojnego a podobnych myśli wrzekomo ani on, ani towarzystwo nie rozbudzało i rozbudzać nie mogło; lecz one rodzą się w każdym Polaku z czytania polskiej historii, rozmaitych utworów o Polsce i Polakach, a mianowicie z pieśni czyli balad Niemcewicza o czynach sławnych Polaków. Każdy uczeń pamięć o dawnej Polsce przynosi sobą z domu, a tego wszystkiego cenić i wspominać Rząd (o ile jemu, Zanowi, wiadomo i o ile mógł o tem sądzić) nie zabraniał, a skutkiem tego nie mógł on przewidzieć złych z tego następstw, byleby to nie wychodziło z należytych granic; z tego też powodu nie mógł ani tego naganiać, lub też zgół zakazać, lecz gdzie widział sposobność, tam zaraz ostrzegał i upominał. Dalej zeznał Zana, że nie może zaprzeczyć temu, iż znajdował się na imieninach Kowalewskiego i słyszał wygłoszone przez Jankowskiego wiersze, lecz w nich nie było tych obelżywych przeciw Rządowi wyrażań, jakie teraz widzi w przedstawionych mu wierszach Jankowskiego (choć zresztą i Jankowski do nich się przyznaje i Kowalewski potwierdza, że te wiersze były odczytane) i że tylko z tego powodu, iż nie zauważył w Jankowskim niezgadającego się z celem towarzystwa

ducha, nie przypominał mu o jego obowiązkach i niewymawiał, że będąc Filaretem, ośmielił się pisać podobne wiersze i tem niewinnie ściągać zarzuty na towarzystwo. Zresztą, nie może on, Zana, nie widzieć związku wykroczeń Jankowskiego ze swemi własnym wykroczeniami, które wszakże na cel i czynności towarzystwa nie mają żadnego wpływu.

Rozpatrując to tłómaczenie się Zana, jakkolwiek widoczne jest jego najusilniejsze staranie, aby wszystkie, wywiązujące się w toku sprawy niegodziwe czynności i postęпки odsunąć od celu towarzystwa Filaretów i przypisać je błędom żywej fantazji niektórych członków, a także stwierdzić, że istotnym przedmiotem założonego przezeń towarzystwa, było jedynie dążenie do wzajemnego udoskonalenia się w naukach, to zestawiając z tem własne Zana czyny i postęпки, okazuje się, że on pierwszy z liczby Filaretów już w dziecińczych swoich latach był napojony przeciwnymi terażniejszemu Rządowi myślami, a dlatego nie jest prawdopodobnem, ażeby nie miał, stosownie do tych myśli, zamiaru nadać w podobnym duchu kierunku utworzonemu przez siebie towarzystwu Filaretów, jak to okazuje się ze znalezionych u niego własnych jego papierów, a mianowicie:

a) Z pism jego okazało się, że w szkole w Mołodecznie w Mińskiej gubernii, odbywały się jakieś na spacerach gromadne zebrania uczniów, które nazywały się wojskiem Apollina i Marsa. Wyjaśniając to, Zan w zeznaniu swem napisał, że w czasie bytności jego w latach 1813 i 1814 w owej szkole, nazwał on jedną połowę uczniów wojskiem Marsa, której naczelnikiem był uczeń Józef Suchocki, a drugą—Apollina, którą dowodził sam Zan. Wedle tego podziału, stanowili oni oddziały, maszerowali, staczali walki i t. p. Każdy oddział miał swoich naczelników, ażeby zaś te zabawy przynosiły pożytek, to każdemu, który opowiadał pięknie historję któregośkolwiek ze sławnych ludzi, lub o jakimkolwiek bajecznym bogu z mitologii, dawał on imię tego, o którym opowiadał; w ten sposób uczeń Leonard Chodźko nazwany był Epaminondasem a brat Zana, Ignacy—Trytonem, dlatego, że pięknie śpiewał. Spacery te odbywały się zwykle za wiadomością zwierzchności szkolnej, lecz jemu, Zanowi, nie jest wiadomem, czy wiedziała ona o tych podziałach i przezwiskach. Dla napominania i przestrzegania tych uczniów, którzy zawinili swawolą, wyznaczył Zan sędzią wspomnianego Chodźkę, a uczniów, którzy celująco i chwalebnie się sprawowali,

wynagradzał krzyżykami ze złożonego papieru, dając temu znakowi nazwę: krzyże świętej miłości ojczyzny. W wyjaśnieniu tej dewizy, Zan zeznaje, że tego wyrażenia uczyli się uczniowie w klasach, nie rozumiejąc jego znaczenia, albowiem w gramatyce dla I klasy, przez Kopczyńskiego, w przykładach między innymi powiedziano: My urodziliśmy się nie dla siebie samych, jedna część nasza należy do ojczyzny, a druga do przyjaciół. Podobnie i w gramatyce dla 3 klasy, w przykładach, wydrukowano: „Święta miłości kochanej ojczyzny, czują się tylko umysły poczciwe“¹⁾. Dla rzeczonoego wojska Appollina ułożył Zan w 1815 r, marsz wierszami, które dołącza się tu w kopii pod l. K); w nich zaleca się młodzieży, by spieszyła Napoleonowi na pomoc,

b) Tamże w Mołodecznie napisał on i komedję pod tytułem: Stałość w przyjaźni. W niej, w 1-ej i 2-ej scenie stawia on w rzędzie szczęśliwych tych, którzy oddadzą życie za ojczyznę; mówi dalej o nadziei odbudowania Polski na kongresie wie-

¹⁾ W przekładzie Nowosilcowa: „Święta miłości ojczyzny, czują cię tylko serca poczciwe“.

deńskim i t. d. Odpis wspomnianych scen dołącza się do lit. L).

c) Wiersze przez niego, Zana, ułożone d. 5 listopada 1816 r. niby z powodu uwolnienia się Napoleona z wyspy Św. Hele-ny. W tych wierszach pobudza on do spieszenia na pomoc i dodaje mrzonki o odbudowaniu Polski. Odpis dołącza się także pod l. M).

d) Wiersze przez niego w tymże roku napisane; w nich zaleca on, ażeby znający algebrę, chemię, fizykę, astronomję, prawo, języki i chirurgję, użyli wszystkich swych wiadomości ku wyniszczeniu Rossjan. Kopja i tych wierszy przedkłada się również, pod l. N).

e) Wiersze kompozycji Zana, z 16 listopada 1816 r., w których mówi, że równa się z bogami, gdy nastraja swoją lutnie do pieśni o Napoleonie¹⁾).

Zan co do wszystkich swoich utworów tłumaczy się, że zachowywał je do tego czasu jedynie w tym zamiarze, aby przypominać sobie swoją minioną głupotę, ciemnotę,

¹⁾ Patrz Szolkowicz: „O tajnych obszczestwach w uczebnych zawiedzeniach siewierno-zapadnawo kraja pri kniazie Czartoryskom. Warszawa 1870.— Szolkowicz widocznie czerpał wszystkie powyższe szczegóły z raportu Nowosilcowa.

błędy i przestępstwa, na które otworzyły mu się oczy po 1816 r., a które są dowodem szkodliwego wpływu, jaki wywarła na jego młodą wyobraźnię wojna 1812 r., gdy nieprzyjacielskie wojska uzbroiły się przeciw Rossjanom i szły za Napoleonem. Zan twierdzi przytem, że wszystkich tych utworów nikomu nie czytał, a chociaż tu nawet dodaje, jakoby zmienił w następstwie i sposób myślenia, tego niepodobna zauważyć z jego postępów. Znaleziony w jego papierach zeszyt bruljonu, pisanego w 1820 r. pod tytułem: „Świat i miłość“, czyli życie jego, Zana, w którym on zamieszczał wszystkie swoje przejęcia, uczucia i zdania do końca 1823 r. udowadnia rzecz przeciwną, albowiem z zeszytu tego okazuje się, że Zan, wykładając lekcję historii w Wilnie, w pensjonacie Dejbel, mówił młodym pannom o patriotyzmie, za co Dejbel robił mu wyrzuty i zabronił mu to czynić. Okoliczność tę, okazującą się z notatki pisanej własną ręką Zana, potwierdził w zeznaniu swem także Dejbel. Oprócz tego w owym zeszycie, w drugim miejscu powiedziano: Po upływie lat dwudziestu będzie kraj oswobodzony, gdyż są jeszcze Napoleoni“. Wyrażenie to wyjaśnia Zan tem, że panna, w której on się kochał, opowiadała mu, jakoby uśpiona

snem magnetycznym na zapytanie jej o przyszłym losie Grecji, dała wyżej przytoczoną odpowiedź i że on tylko dla skrócenia nie napisał w swoim zeszycie, że zapytanie, zadane śpiącej, odnosiło się do Grecji.

Wyżej wspomniane papiery udowadniają, że sam założyciel towarzystwa Filomatów, Promienistych i Filaretów, Tomasz Zan, był przepełniony duchem polskiego patriotyzmu; a że oprócz tego podobne mrzonki mieli i inni, stwierdza wiceprezydent filareckiego towarzystwa Franciszek Malewski, który przyznając się sam, że był wśród nich najbardziej działającym członkiem, nie utalił wszakże i tego, że duch patriotyczny objawiał się w tem towarzystwie i że wspomnienia o dawnej Polsce zapalały serca wielu, o czem więcej może powiedzieć założyciel tego towarzystwa Tomasz Zan, którego on (w miarę tego, jak się o tem teraz przekonywa) uważa za przewodnika panującej wówczas o narodowości opinii. Przy tem jednak wszystkim — jak twierdzi Malewski — wyżej przedstawione mrzonki nie wynikały z czynności i celu towarzystwa, lecz były rezultatem sposobu myślenia niektórych członków, bez wpływu towarzystwa na to, i pomimo wszystkiego nigdy nie stały się rzeczywistym towarzystwa celem; wobec czego, nawet Jan-

kowski, zeznający jakoby o zamiarach Filaretów odbudowania Polski, nie może powiedzieć, ażeby to było w ustawach towarzystwa, które przeciwnie postanawiały, ażeby przedmioty, odnoszące się do religii i polityki nie wchodziły w zakres zajęć członków. Jakkolwiek zaś on, Malewski, nie może twierdzić, że Filareci wogóle byli wdzięczni Rządowi za udzielone szczodre zasiłki na kształcenie młodzieży, lecz nie było wśród nich, jak on powiada niewdzięczności lub złych zamiarów i gdyby nie urządzone biesiady, to być może, iż nie byłyby się wydarzyły wspomniane niegodziwe wyrzekania i mrzonki skierowane przeciw Rządowi. Cała wina towarzystwa polega tylko w tem, że cierpiało takie nadużycia, że urzędnicy towarzystwa nie powściągali samowolności, nie położyli tamy nadmiernej igraszce wyobraźni. Przytem wszystkim, on, Malewski, tego, w swoim białem gronie, którego przez czas pewien był przewodnikiem, nie zauważył i jeżeli mowy niektórych przewodników zawierały w sobie mrzonki o odbudowaniu Polski, to one wypływały z własnego ich sposobu myślenia, gdyż oni żadnej w tej mierze wskazówki od towarzystwa nie mieli. Nakoniec, Malewski, ganiąc spalenie czytanych na posiedzeniu wypracowań, a także protokołów

z czynności gron i dozorczej Izby, twierdzi jeszcze, że gdyby one zniszczone nie były, wówczas okazałoby się i to, że wszelkie odstępstwa od celu towarzystwa były wyjątkowe i indywidualne, że działania towarzystwa skierowane były ku spokojnym ćwiczeniom w naukach i że w szczególności on, Malewski, nie miał żadnego zamiaru współdziałać w czemkolwiek bądź ku odbudowaniu Polski, że myśl o tem, skoro się w nim zrodziła, wnet nikła, że nie rozsiewał on nienawiści do Rządu z umysłu i nie używał nigdy obrażających wyrażen, nawet myślą nie dotknął się sprężyny, łączącej poddanych z Rządem, że zna on swój błąd, lecz żadne przestępstwo nie dręczy jego sumienia i że podobnie mogłoby stanąć przed trybunałem prawa i całe towarzystwo, gdyby nierozważnie nie było popsło swej sprawy, niszcząc nieskazitelne swoje ślady, wskutek czego ani siebie, ani licznych nieposzlakowanego serca towarzyszy z podejrzenia oczyścić nie może.

Zestawiając zeznanie Jankowskiego o celu wspomnianego towarzystwa Filaretów, z wyjaśnieniami w tymże przedmiocie prezydenta Zana i wiceprezydenta Malewskiego, okazuje się sprzeczność, nie tylko pierwszego z dwoma ostatnimi, lecz i tychże pomiędzy sobą. Jankowski bowiem twierdzi, że cel towarzy-

stwa skierowany był ku odbudowaniu Polski, Malewski zaś zeznaje, że podobna mrzonka, była tylko w duchu niektórych Filaretów, a Zan i o tem, pomimo wyżej przedstawionych dowodów, mówi w bardzo dwuznacznych wyrazach a przeto dla lepszego wyjaśnienia tej okoliczności zarządzono ich konfrontację. Przy niej oświadczył Jankowski, że sprzeczność w tych zeznaniach pochodzi ztąd, że oni z rozmaitych punktów widzenia zapatrują się na cel towarzystwa, gdyż Malewski i Zan sądzą o tym celu wedle początkowego ustanowienia, skłaniającego się ku naukom i doskonaleniu się w nich, on zaś, Jankowski, wedle tych czynności Filaretów, na które patrzył, wstępując w ich towarzystwo. Wówczas ważność przysięgi co do zachowania tajemnicy z całą ścisłością, uczyniła na nim niemałe wrażenie, a jeszcze więcej przeciwnie filareckim ustawom działanie licznych Filaretów i wciskający się polski patriotyzm, podobnie zagłębianie się członków w te mrzonki, do tego stopnia, że dążyli oni bardziej ku złemu, niż ku dobremu; dlatego to on, Jankowski, dzieląc to swoje zdanie z niektórymi Filaretami, sądził do tego czasu, że głównym celem tego towarzystwa było rojenie o odbudowaniu Polski; wszystkie inne czynności towarzystwa uważał

on za pomocnicze do osiągnięcia tego celu a jakkolwiek Malewski i Zan twierdzą, że w tem się myli, to on, Jankowski, nie zaprzeczając temu ich twierdzeniu, powtarza, że zdanie jego o celu towarzystwa nie było bez podstawy, jak to okazało się ze znalezionych papierów. W osobnym zaś do badań swych dodatku, co do własnych jego, Jankowskiego, wierszy, zawierających obelżywe dla Rządu wyrażenia, dorzucił on, że zapał do utworów w podobnym rodzaju wzrastał w nim w miarę tego, jak zauważył, iż podobne utwory podobają się Filaretom, a ponieważ czytanie takich niegodnych utworów nie raz się zdarzyło, lecz powtarzało się ciągle od czasu wstąpienia jego do towarzystwa, aż do rozwiązania, deklamowanie zaś podobnych wierszy przyjmowane było przez członków z zapałem, przeto jemu, Jankowskiemu zdawało się, że aby być doskonałym Filaretem, trzeba najwięcej pisać w tym duchu. Natomiast, Malewski, twierdząc, że zeznanie Jankowskiego o wrzekomo przeciwnym Rządowi celu towarzystwa, opiera się tylko na domysłach, potwierdził poprzednie zeznania swoje w tem, iż rzeczywiście porywy patryjotycznego ducha, wspomnienia o dawnej Polsce i ubolewania nad jej upadkiem, wydały się w ich towarzystwie; sprzeczność zaś

z Zanem w tym przedmiocie ztąd wypływa, że Zan mówi w zeznaniach swoich o celu tego towarzystwa wedle znaczenia i treści filareckich ustaw, nie wyciągając następstw z odstąpienia niektórych członków od przepisanego celu. Nakoniec, tenże Malewski, przekonany przy konfrontacjach dowodami o nadużyciach, jakie się wkradły w ich towarzystwo, w uzupełniającem swoim wyjaśnieniu napisał, że w 1821 r. wyjeżdżając za granicę dla udoskonalenia się w naukach, opuścił towarzystwo i przyjaciół swych, zajmujących się pracami, być może niedozwolonemi, lecz jednakże niewinnemi; gdyż jakkolwiek szli oni ścieżką błędną, lecz przecież nie wpadli na drogę przestępstwa. W listach, które od nich otrzymywał i które zachował w całości, znajdował on nic nie znaczące zawiadomienia o ich powodzeniu i nie dowiadywał się o tych okolicznościach, o których dowiedział się teraz przy konfrontacjach, gdyż nie miał wiadomości o spaleniu filareckich papierów, ani też o zachowaniu się i postępkach młodzieży, zaszłych w czasie nieobecności Malewskiego, z których jedne dają powód do podejrzeń, a drugie stanowią dowody: dlategoż, gdy pisał ostatnie swoje zeznanie, był przekonany, że koledzy jego, idąc za popędem szczerości, złożyli wszystkie dowody

swoich czynności, i że na żądanie Rządu, zdjęto z towarzystwa zasłonę tajemnicy, która je pokrywała; takie zaś jego mniemanie niejednokrotnie skłaniało go do opaczego sądzenia o działaniu samej Komisji Śledczej; lecz teraz widzi on, że działanie to oparte było na niezaprzeczonych dowodach; a z uwagi na to, jakikolwiek by w tej sprawie nie zapadł wyrok sprawiedliwego i miłosiernego Rządu, on, Malewski, co do siebie zapewnia, iż żywo odczuwa dług swój, aby ubolewaniem nad swymi błędami i chwalebnem w przyszłości postępowaniem, zgładzić wykroczenie swoje po za zakres obowiązku, którego już naruszać nie będzie, a jeżeliby mu było dozwolone wstąpić do służby państwowej, to stawiał by się do niej z gorliwością wiernego poddanego i z najwyższą wdzięcznością za okazaną mu łaskę.

Prezydent Zan, odwołując się do swych poprzednich odpowiedzi, dodał jeszcze, że wspomnienia o byłej ojczyźnie mogły tylko wydarzać się w gronie błękitnem i prawniczem, lecz i to w znaczeniu naukowem i odpowiedniem celowi towarzystwa; w każdym razie nie były one wynikiem ogólnego ducha, a oderwane wykroczenia tego rodzaju, które doszły do jego wiadomości, były przez niego napominane i karczone.

Lecz jakkolwiek założyciel tych towarzystw usiłuje uniewinnić cel ich, to jednakże ze znalezionych u Filaretów papierów, okazuje się, że był zaszczerpiony w nich duch niepokojny, jak to widać z listu Filareta Jana Michalewicza, znalezionego w papierach nauczyciela połockiej pijarskiej szkoły, księdza Brodowicza, w którym między innemi powiedziano: „Dawno skończyły się nasze zabawy, nie można o nich nawet pomyśleć; zapewne to samo i u was; wszędzie podejrzenia, nadzór i niesłychane szpiegowstwo. Siedzimy dlatego spokojnie i wyglądamy dobra, które Włochy i Niemcy przynieść nam mają“ i t. d. Jakkolwiek wyżej przytoczone wyrazy Michalewicz tak tłómaczy, iż w liście tym ubolewał on nad zaprzestaniem filareckich zabaw i donosił o mnóstwie szpiegów, nadzorujących postępowanie uczniów ze strony uniwersytetu, o Włoszech zaś i Niemczech wspominał wedle gazeciarskich doniesień, nie odnosząc tego do tutejszego kraju, wszakże już samo zajęcie się jego (*uczastie*, uczestnictwo) wypadkami, zaszłymi we Włoszech, dowodzi, jakim duchem napojony on był w towarzystwie, gdyż podobne myśli nie mogłyby mu przyjść do głowy, gdyby nie był zarażony w towarzystwie szkodliwemi mrzonkami.

Podobnie i mowa znaleziona w papierach Filareta Suzina, w brulionie przez niego samego napisana, okazuje więcej przywiązania do Napoleona, niż do Rossji. W niej sławi on go za wskrzeszenie byłego Księstwa Warszawskiego i za przedsięwzięcie odbudowania Polski, zarazem zaś wyraża skargi na przyłączenie polskiego kraju do Rossji, mówiąc przytem, że i z ustanowieniem teraz Królestwa Polskiego niema żadnego dla Polaków szczęścia. Jakkolwiek Suzin wobec tego wszystkiego, tłumaczy się, iż w 1812 r. będąc jeszcze dzieckiem, nasłuchiwał się od oficerów nieprzyjacielskiego wojska wiele o sławie Napoleona, jak też i o tem, że ten wódz zajmuje się dolą Polaków i dlatego napisał w 1816 r. w duchu w ten sposób w niego wszczepionym, mowę wspomnianą powyżej, dla odparcia utworu niejakiego Bogurskiego, który napisał wiele złego o Napoleonie,—lecz to tłumaczenie się Suzina nie dowodzi jeszcze zmiany w sposobie myślenia o Rossji, gdyż z listu jego do brata, pisanego w 1821 r. widać utyskiwanie, że na Białorusi bardzo mało takich, którzy całkowicie myślą po polsku a wielu oddało się Rossji. Kopja wspomnianej mowy dołącza się pod lit. O.

Prócz tego, z listów byłego rektora wileńskiego uniwersytetu, Malewskiego, do

syna swęgo, wspomnianego powyżej magistra prawa Franciszka Malewskiego, pisanych do niego za granicę, okazuje się, że rektor Malewski, jak w synu swoim tak i w innych uniwersyteckich uczniach, zauważył duch, zakażony niewłaściwymi mrzonkami i pragnąc odwieść od tego swęgo syna, upominał go we wspomnianych swoich listach, ażeby unikał związków z tymi, którzy zakażeni są tak zwanym duchem czasu i nie wstępował do bezmyślnych i niedorzecznych towarzystw, ze słusznych przyczyn przez Rząd niecierpianych, gdyż religja, posłuszeństwo władzom i przepisany porządek, są pierwszemi prawidłami dla młodego człowieka. Pisał on mu także, że zbyteczne podróże po Niemczech są niepotrzebne, albowiem tam pojawił się na uniwersytetach niewłaściwy duch, oznajmiał mu, iż Rząd wileński uniwersytet pilnie dozoruje, aby wśród uczniów uniwersyteckich nie tworzyły się towarzystwa, które zawsze są niedorzeczne, gdyż mieszają się do nich niedojrzałe umysły, „półgłówki“ (wyraz przytoczony po polsku w oryginale), którzy swoimi nierozsądnymi wymysłami zawracają głowy młodym ludziom. Dalej mówi ojciec Malewskiego, że i on miał podobnych kolegów i przyjaciół, a przedewszystkiem należy do tej licz-

by ten, który starszy jest od wszystkich wiekiem, a którego wymysły, chociaż nie są występne, lecz tem niemniej głupie. Zarazem ojciec objawił swoje niezadowolenie, że syn nie był ostrożny w wyborze swych przyjaciół i że trwa z nimi w korespondencji, a przeto zaleca mu unikać wszelkich stosunków z tymi zapalonymi umysłami a raczej starać się przysposobić do tego, aby być pożytecznym sługą Cesarza i Ojczyzny.

Zresztą, sama nawet forma filareckiej przysięgi, czyli przyrzeczenia imieniem Polaka, co do zachowania w tajemnicy istnienia i czynności towarzystwa, potwierdza zeznanie Jankowskiego o celu towarzystwa Filaretów, albowiem z jakiego powodu wspominać o Polakach, gdy oni wszyscy są na równi poddanymi rosyjskiego państwa. Do tego względu przybywa i to, że dwaj byli członkowie towarzystwa Filaretów, którzy uczyli się na wileńskim uniwersytecie a z których pierwszy, mianowicie Dominik Orlicki, służył w 1-ej konno-artyleryjskiej rocie i z Najwyższego rozkazu dostawiony został do śledztwa przez s.-petersburskiego generał-gubernatora Miłoradowicza, — drugi zaś adwokat wileńskich Izb sądowych (*prisutstwiennyh miest*), Kazimierz Piasecki, przekonawszy się o swoim zbłąkaniu, przyznają sami w swych

odповідziach, iż rzeczone towarzystwo, jako tajne i bez wiadomości Rządu utworzone, w każdym razie jest występne, że do niego mogło łatwo wkradać się różne nieprzystojności i nadużycia, i że wreszcie łatwiej mogło ono wywieść członków z granic zdrowym rozsądkiem nakreślonych, niż skierować ich ku kształceniu umysłu i doskonaleniu się w wiadomościach, a przeto uznając w skrusze swoje przestępstwo, ręczą za siebie, iż teraźniejsze ich przekonanie będzie miało wpływ na całe ich życie i posłuży do zgłazdzenia obecnej ich winy.

A. W języku francuskim:

1. Anecdotes intéressantes et secrètes de la Cour de Russie, tirées de ses archives, avec quelques anecdotes particulières sur differens peuples de cet Empire. Publiées par un voyageur, qui a séjourné treize ans en Russie. Tome quatrième. Londres et Paris.

B. Polskie książki:

1. O podziale Polski. Siedm rozmów. Tłomaczenie z francuskiego 1774 r.¹⁾

¹⁾ Pansmouser, Le partage de la Pologne en sept dialogues, Londres 1774. Berlin 1818. Podział Polski w siedmiu rozmowach. Lipsk 1874.

2. Przestroga dla Polski 1790¹⁾).
3. Przyrodzone prawo o związkach przyrodzonych ²⁾).
4. Stary kosmopolita Siark w Sarmacji 1795 r. ³⁾
5. Nadwerezony dom Rzeczypospolitej 1783 r.⁴⁾.
6. O niebezpieczeństwie wagi politycznej od wstąpienia na tron Katarzyny II⁵⁾.
7. Ostatnia przestroga dla Polski⁶⁾.
8. Bunt ukraińskie 1790 r.⁷⁾
9. Kazania Mietelskiego ⁸⁾).

¹⁾ Stanisław Staszic. Przestrogi dla Polski z terazniejszych politycznych związków wypadające. 1790 r.

²⁾ Pan Wierzbowski domyśla się w przyp., że to musiało być dzieło Woltera: O prawie przyrodzonym. Kraków 1798. 1802.

³⁾ J. M. Ossoliński i T. Mostowski. Stary kosmopolita Syrach do konwencji Narodowej w Sarmacji 1795.

⁴⁾ Czapski Franciszek. Dom nadwerezony rzeczypospolitej jakimi materiałami przywrócić 1783.

⁵⁾ Warszawa 1790.

⁶⁾ Kołłątaj Hugo. Warszawa 1790.

⁷⁾ Makulski Franciszek. Bunt ukraińskie czyli Ukraina nad Ukrainą. Warszawa 1790.

⁸⁾ Mietelski Teodor. a) Kazanie o wolności poddanych przez X.... przy ogłoszeniu prawa, nadającego wolność poddanym w Księstwie Warszaw-

Wszystkie te księgi są przeciwne terazniejszemu Rządowi, a jakkolwiek Kozakiewicz, do którego one należą, zeznaje, że otrzymał je po śmierci stryja swego, szambelana Kozakiewicza, i chociaż on i Zan twierdzą, że księzek tych nie czytali, wszakże na to niema dowodu, a z filareckich ustaw wiadomo, że każdy członek winien był udzielać swoich księzek innym do czytania, ząd też wynika podejrzenie, że wyżej wspomniane księgi mogły być w obrocie u wszystkich Filaretów; taki wniosek potwierdza i to, że wspomniane książki znaleziono w mieszkaniu Zana, pod którego zawiadowstwem wedle filareckich ustaw, winna była znajdować się ich biblioteka. Osnowa zaś tych księzek odpowiada pod wielu względami tym rojeniom,

skiem 1808. b) Kazanie o różnych odmianach świata, a szczególnie tych, które się stały. w wieku XVIII w Narodach, Rządach, w charakterze i opinii ludu, w naukach i świetle rozumu, z uwagą nad przyczyną tych odmian i co przedsięwziąć ma rodzaj ludzki, aby wiek nowy był dla niego szczęśliwym, miane przy zaczęciu XIX wieku i obchodzie stóletniej pamiątki założenia Królestwa Polskiego, przez — w Goniądzu 1 stycznia 1801. Za pozwoleniem Rządu i Zwierzchność duchownej w drukarni XX. Bazylianów w Supraślu.

o których mówił Jankowski, określając cel Filaretów.

Na zakończenie powyżej przedstawionego wyjaśnienia początków, rozwoju i czynności wspomnianych towarzystw, uważam za potrzebne dodać, że wiadomości o towarzystwie Promienistych dochodziły i do byłego kuratora wileńskiego uniwersytetu, [księcia Czartoryskiego. On też, w czasie bytności swej w Wilnie 28 kwietnia 1822 roku, polecił profesorowi Bojanusowi, aby złożwszy komitet wraz z profesorami uniwersytetu, teologii Kłagiewiczem i literatury rosyjskiej Łobojką, przeprowadził tajne co do towarzystwa tego dochodzenie. Do tego śledztwa (którego aktów zażądałem teraz od kuratora) byli i wówczas, z powodu pewnych podejrzeń, zawezwani: rzeczony założyciel wszystkich tutejszych towarzystw, Zan, wspomniany powyżej Filaret Łoziński, i były nauczyciel szkoły kowieńskiej, Adam Mickiewicz. Ten ostatni nie przyznał się do należenia do tego towarzystwa i oświadczył tylko, że słyszał o niem, jako o nie tajemnym, i że założycielem był Zan. On i Łoziński zeznali co do tego towarzystwa zgodnie z tem, co powiedziano o niem powyżej, to jest, że istniało ono za zezwoleniem byłego rektora Malewskiego, pod nazwą przyjaciół pożytecznej za-

bawy, a potem nazwane było towarzystwem Promienistych, że co się tyczy zachowania się uczniów na tych zabawach, Zan ułożył wyżej przytoczonych 15 prawideł, które rektor Malewski zatwierdził, że po trzech za miastem w polu zebraniach, czyli przechadzkach, rektor zabronił ich i odebrał wspomniane prawidła i t. d. Przy tem badaniu Zan wyparł się, że był założycielem i prezydentem tego towarzystwa, i nie wskazał początków i powodów jego założenia, oraz przetworzenia w towarzystwo Filaretów.

Członek wspomnianego śledczego komitetu, profesor Łobojko, przedstawił mu drukowane arkuszyki, które otrzymał między innymi książkami od ucznia wileńskiego uniwersytetu, Malinowskiego, pod tytułem: Geograficzny opis, (który teraz ze śledztwa okazał się utworem Filaretów). Opis ten wydał się profesorowi Łobojce podejrzanym dla tego, że nie miał aprobaty cenzury, z czego wnosił, że mógł on tyczyć się Promienistych, ponieważ chodziły wieści, że Promieniści zajmują się naukowością w rozmaitych jej gałęziach.

Komitet egzemplarz wspomniany przedstawił zawezwanym do tego śledztwa: Zanowi, Łozińskiemu i Mickiewiczowi, z których pierwszy oświadczył, iż chociaż miał taki

egzemplarz od Czeczota, w celu czynienia notatek statystycznych, lecz nie wie kto był autorem owego opisu i gdzie on drukowany. Łoziński zaś i Mickiewicz odpowiedzieli, że po raz pierwszy go widzą. Poczem ów komitet (jak obecnie członkowie jego wyjaśniają), nie widząc w tym opisie nic, oprócz szczegółowego wymienienia statystycznych zapytań, zawartych w instrukcji głównego szkół rządu, wydanej dla szkół powiatowych i gimnazjów, oddał wspomniane drukowane arkusze byłemu rektorowi uniwersytetu, Malewskiemu, dla rozpoznania, w której drukarni były drukowane, a następnie wykrycia autora, lecz rektor, pomimo przedsięwzięcia różnych środków, nic odkryć nie zdołał.

Oprócz tego, między zabranymi przy tem śledztwie papierami, znaleziono u Łozińskiego: a) spis nazwisk 655 uczniów wileńskiego uniwersytetu; b) rozprawę o soligorach¹⁾ z uwagą u góry pierwszej stronnicy: czytano na 9-em posiedzeniu 6 lutego 1821 r.; c) zeszyt z porubrykowanemi stronicami, w którym wiele napisów nad rubrykami oderwano a pozostałe w rubrykach pierwszej stronnicy zawierają następujące zapytania: imię, nazwi-

¹⁾ Roślina Solicornia.

sko, wiek, gdzie się urodził? z zamożnych czy ubogich rodziców? jaki ma sposób utrzymania siebie i czy nie jest pod czym dozorem? gdzie uczył się i kończył nauki? czego w szczególności się uczył, do jakich przedmiotów najczęściej okazuje zdolności i jakie postępy czyni z lekcji uniwersyteckich? czy dawno jest na uniwersytecie i czy ma jaki tytuł naukowy? jakie posiada talenty, czyli dary przyrodzone i czy posiada języki?

Co do tych papierów, Łoziński tłumaczy się, że spis nazwisk ułożony był dla kandydata filozofii Jeżowskiego, wykładającego hermeneutykę, że porubrykowany zeszyt z zapytaniami sporządzony był jako projekt do ułożenia spisu uczniów, z oznaczeniem ich stanu i przymiotów, dla otrzymania wsparcia od towarzystwa, założonego celem wspomagania biednych uczniów, o którym wyżej wspomniałem, a wreszcie rozprawa o soligorach napisana była przez niego, Łozińskiego, a ponieważ czytana była kolegom dla wymiany ogólnych o niej sądów, z żartu nazwane było to posiedzenie, naukowem.

Rzeczony komitet po otrzymaniu takich zeznań, cały ten swój proces przedstawił byłemu kuratowi wileńskiego uniwersytetu, księciu

Czartoryskiemu, który w rozporządzeniu, udzielonem byłemu rektorowi Malewskiemu z dnia 11 maja 18821 r., dawszy mu nagane za to, że pierwszy związek uczniów pod nazwą towarzystwa pożytecznej zabawy, czyli Promienistych, wziął początek za jego, Malewskiego, zezwoleniem, surowo zalecił, ażeby w przyszłości żadnych podobnych zezwoleń sam od siebie nie dawał ażeby wszyscy uczniowie, tak w uniwersytecie jak i w szkołach, zajmowali się jedynie naukami, nie wchodząc w żadne niedozwolone towarzystwa, ażeby dyrektorowie i zwierzchnicy szkół, a na uniwersytetach dziekani, nie spuszczała z oka tego przedmiotu, utworzone zaś niedozwolone towarzystwa, daną im władzą, niszczyli, zapobiegając tworzeniu się nowych, i ażeby sam rektor zwracał w szczególności uwagę na wszelkie schadzki i postępowanie rzeczonych uczniów uniwersytetu, Tomasza Zana i Teodora Łozińskiego, oraz nauczyciela kowieńskiej szkoły Mickiewicza, który chociaż nie przyznał się do należenia do jakiegokolwiek towarzystwa, lecz ponieważ i o nim raport komitetu wspomina, to i on winien być do pewnego czasu pod szczególnym nadzorem. Na tem zakończyło się wówczas przeprowadzone co do Promienistych śledztwo.

Zestawiając odpowiedzi Zana, Łozińskiego i Mickiewicza, złożone przed wspomnianym komitetem, z zeznaniami teraz od nich otrzymanymi, okazuje się że Zan zeznał kłamliwie przy pierwszym co do Promienistych śledztwie, mówiąc, że nie wie, kto ułożył wspomniany Geograficzny opis, gdyż teraz przyznał się, że sam go napisał przy pomocy Malewskiego, a Łoziński nieprawdziwie zeznał, że rozprawę o soligorach czytał swoim kolegom, gdyż właściwie czytał ją na filareckim posiedzeniu, co sam teraz przyznał.—Zeznania zaś Mickiewicza okazują się zgodnymi z tem, co i w następstwie odkryto. Usiłowanie Zana, aby ukryć wszystkie utworzone przez niego tutaj towarzystwa, okazuje się również z listu jego z 4 lipca 1822 r., pisanego do Malewskiego, do Berlina. W liście tym Zan, donosząc mu między innemi o różnych rzeczach, odnoszących się do wspomnianego komitetu, złożonego przez księcia Czartoryskiego w sprawie towarzystwa Promienistych, wyznał, że on z tej okazji spalił wszystkie drobnostki, prace, wiersze, pakiety i wiązanki, Łoziński zaś natomiast oddał komitetowi same tylko głupstwa; że przy śledztwie on Zan, musiał na dwóch arkuszach spisać, odpowiednio do okoliczności, historję towarzystwa Promienistych, ich ducha, czynności

i t. d.—Dalej, mówi on, że wówczas oczekiwano w Wilnie Najwyższego przybycia Cesarza, że Jego Cesarska Mość miał uprzedzenia do uniwersytetu, że ksiązę Czartoryski i uniwersytecka zwierzchność starali się zniweczyć złe do nich uprzedzenie i dlatego zalecali i nakazywali studentom, ażeby w stosunku z wojskowymi zachowywali się uprzejmie i przyzwoicie, przed wyższymi zdejmowali czapki i nosili mundury; w przekonaniu zaś, że to, wedle własnych słów Zana, osiągnąć mogą przez niego, jako posiadającego miłość i zaufanie młodzieży, żądali jego w tem współdziałania, lecz on nie spodziewając się, aby jego starania miały należyte powodzenie, wyjechał wówczas z Wilna z wizytatorem szkół, Chodźką.

Co się tyczy wypierania się Zana, jak przed rzeczonym komitem, tak też z początku przed utworzoną przezemnie komisją śledczą, w sprawie przeobrażenia przez niego Promienistych w towarzystwo Filaretów i całkowitego utajenia tego towarzystwa,—to on przyznając się w tem do winy, przedstawia między innemi następujące powody, które go do tego skłoniły. Złożony przez kuratora, księcia Czartoryskiego, komitet, przeprowadzał badania tylko co do Promienistych, a nie co do Filaretów, on zaś, Zan nie przypusz-

czał nawet wtedy, żeby o nich stało się wiadomem, dlatego też i nie znajdował sposobności o nich wspominać, tem bardziej, że po spaleniu archiwum tego towarzystwa, nie miał dowodów, aby wyjaśnić cel jego. Nadto, ponieważ kłótnia uczniów uniwersyteckich z oficerem gwardji Pelskim, swawola uczniów wileńskiego gimnazjum, którzy wypisali na desce w klasie nieprzystojne wyrażenia, wreszcie zuchwały postępek Massalskiego, wedle pogłosek, chociaż niesprawiedliwie, przypisywane były następstwom, wynikłym z towarzystwa Promienistych, to pogłoski te, napędzając go trwogą, odwodziły od odkrycia istnienia Filaretów, tem bardziej, że po spaleniu papierów nie było rzeczą możebną, po upływie tak długiego czasu, opisać szczegółowo wszystkie okoliczności i tok czynności tego towarzystwa. Przytem wyobrażał on sobie, że bez jego wiedzy mogły zajść ze strony członków naruszenia ustaw i błędy, które to wykroczenia byłyby odnoszone do całego towarzystwa; wszelkie zaś wątpliwe, w znalezionych papierach lub złożonych zeznaniach, słowo, zniewalałoby śledzących do upatrywania wszędzie winy i zwracania większej uwagi na dowody, któreby służyły do ujawnienia tej winy, niżeli na wszelkie, choćby i najsprawiedliwsze wyjaśnienia podejrzanym

i obwinianych osób. Nakoniec, ponieważ towarzystwo Filaretów zdawało mu się nie zasługującym na potępienie, a po zwinięciu swojem nie pozostawiło żadnych następstw, przeto mniemał on, że odkrywając minione jego istnienie, byłby powodem cierpień swoich kolegów i ich rodziców, dopókiby Najwyższa decyzja, natchniona miłosierdziem i sprawiedliwością Najmiłościwszego Monarchy, nie udzieliła przebaczenia każdemu jego winy. Przytem dodał Zan jeszcze i to, że gdyby on, przy pierwszym badaniu, otrzymał był pozwolenie złożenia wyjaśnień prywatnie, a nie w formalnem śledztwie, i że gdyby danem mu było poręczenie, że za wszystkie błędy i przewinienia członków w towarzystwie on jeden odpowiadać będzie, jako założyciel, głowa i dusza związku, to byłby z pewnością nie okazał nieszczerości w ujawnieniu jego istnienia.

Wspomniany Zan, jak z procesu się okazuje, jest synem ubogich rodziców szlacheckiego pochodzenia. Ukończył on kurs nauk szkolnych w Mołodecznie, w Mińskiej gubernii, i przybył w 1815 r. na uniwersytet wileński. Na uniwersytecie tym przebywając, aż do zaareztowania w teraźniejszym śledztwie, zyskał wielkie zaufanie tak na uniwersytecie, jak i wśród uczniów. Sam były

rektor Malewski, zezwalając w 1820 r. na majowe za miasto wycieczki, znane pod nazwą zebrań Promienistych, porucił mu czuwanie nad porządkiem. Liczni obywatele powierzali jego opiece swoje dzieci; w Wilnie w pensjonacie żeńskim, utrzymywanym przez Dejbela, dawał lekcje historii i innych nauk. Filareci wybierali go zawsze swoim prezydentem, jakkolwiek, wedle ich ustaw, należało wybierać co pół roku innego prezydenta. Oprócz tego dowodem szczególnego zaufania i poważania uczniów jest jeszcze i następująca okoliczność: po odkryciu towarzystwa Filaretów i po zaareztowaniu Zana, on przyznawszy się, że był jego założycielem, w pierwotnem zeznaniu swojem oświadczył, że Filareci, podpisawszy przy rozwiązaniu towarzystwa przyrzeczenie, iż nie wyjawiają jego istnienia, a przeto pragnąc dotrzymać danego jemu, Zanowi, słowa, będą wahać się w wyjawieniu prawdy, chociaż z drugiej strony przemagać ich będzie sumienie i należące się władzy posłuszeństwo: wśród takiego wahania, brak dowodów może skłonić ich do zapierania się; dlatego to on Zan, dla lepszego wykrycia wszystkiego, prosił, aby badanym okazywano napisaną przez niego w tym celu kartkę, zwalniającą Filaretów od danego przez nich przyrzeczenia, a to w przekonaniu,

że przez przywiązanie do niego i zaufanie każdy zezna szczerze, co myśli i czuje. To oświadczenie Zana, gdy niektórzy wypierali się należenia do towarzystwa Filaretów, było im zakomunikowane i rzeczywiście posłużyło do przekonania opornych.

Przedstawiając wszystkie szczegóły o członkach towarzystwa Filaretów, mam sobie za obowiązek wspomnieć jeszcze o następującej okoliczności: w toku śledztwa okazało się, że z liczby Filaretów Ignacy i Bruno Szemiotowie, Dominik Orlicki, Józef Szetkiewicz ¹⁾ i Wincenty Bobiński są w S. Petersburgu na różnych posadach i urzędach. Dla otrzymania od nich wyjaśnień, odniosłem się, dołączając pytania śledcze, do tamtejszego wojennego generał-gubernatora, hr. Miłoradowicza, który w tym przedmiocie złożył najuniżeńsze sprawozdanie Waszej Ces. Wys. i za najwyższem zezwoleniem dostawił mi do Wilna wszystkich wyżej wspomnianych przez umyślnych kurjerów (feldjegrów).

Zajmowali oni w S. Petersburgu następujące stanowiska: dwaj rodzeni bracia Ignacy i Bruno Szemiotowie, podoficerów (jun-

¹⁾ Stale błędnie w raporcie pisane nazwisko Szestkiewicz, zam. Szetkiewicz.

krów) lejbgwardji w konno-artyleryzycznej rocie, Orlicki podoficera (junkra) w konno-artyleryzycznej rocie, Szetkiewicz, wniósłszy podanie do Ministerstwa Finansów, w departamencie zagranicznego handlu, o przyjęcie go na służbę, zajmował się tam do czasu przeznaczenia, przepisywaniem papierów. Bobiński był czas jakiś w kancelarji s. petersburskiego generał-gubernatora.

Przywiezieni do Wilna, przy śledztwie, wszyscy przyznali się, iż należeli do towarzystwa Filaretów; zresztą co do działania ich w towarzystwie niema nic godnego uwagi. Jeden tylko Orlicki, witając nowoprzyjętego do towarzystwa członka, Chodźkę, mówił w duchu polskiej narodowości, co wyżej szczegółowo przedstawiono. Także w papierach ich nie znaleziono nic ważnego i odnoszącego się do obecnej sprawy.

Gdy zabierano w S. Petersburgu u wyżej rzeczzonego Filareta Szetkiewicza papiery (jak widać z odezwy hr. Miłoradowicza i raportów do niego s. petersburskiego oberpolicmajstra), syn rosińskiego podkomorzego Zaleskiego, Konstanty Zaleski, mieszkający razem z rzeczonym Szetkiewiczem, nie był jeszcze przeziemnie pociągany, gdyż dopiero później ujawniło się, że należał do towarzystwa Filaretów i ściągnął na siebie podejrzenie.

Na najuniżeńszy wniosek w tej sprawie hr. Miłoradowicza, Jego Cesarska Mość najwyżej raczył rozkazać wysłać i Zaleskiego do mnie z umyślnym feldjegrem. Dlatego też do czasu załatwienia sprawy osadzony on został w twierdzy.

Gdy go tam odwożono, wśród innych rozmów, powiedział on towarzyszącemu mu komisarzowi okręgowemu (*czastnyj pristaw*), że wypadek ten, który spotkał jego i jego kolegę Szetkiewicza, jest następstwem żartu, gdy któryś z uczniów wileńskiego uniwersytetu (powinno być gimnazjum) napisał w klasie na desce *Konstytucja*, że ztąd wynikło śledztwo, i że chociaż Zaleski w czasie tego wypadku nie był w Wilnie, lecz w Warszawie, przy księciu Czartoryskim, ale miesiąc był pod nadzorem, poczem oswobodzony został, jako uniewinniony. S.-petersburski zaś oberpolicmajster w doniesieniu swem dodał nadto, że Zaleski w rozmowie z p. oberpolicmajstrem dał się poznać jako człowiek bardzo wolnomyślny (*wolnawo ducha*); oprócz tego, gdy wyżej wspomniany komisarz okręgowy oznajmił mu w twierdzy, że ma odbyć niewielką podróż, i że dlatego potrzeba wiedzieć, czy posiada ciepłą odzież? — odpowiedział Zaleski, że wszystko ma w swoim mieszkaniu i gotów jechać, dodając, iż on

obojętnie znosi swoje obecne położenie, gdyż ojczyzna jego cierpiała i cierpi, znaczna zaś liczba jego kolegów była także więziona, a niektórych już uwolniono.

Gdy owego Zaleskiego dostawiono do mnie, on zaraz przyznał się, iż należał do towarzystwa Filaretów, a co się tyczy wyżej przytoczonych rozmów, zaprzeczył, twierdząc, że gdy okręgowy komisarz dobrze nie zna polskiego języka, on zaś, Zaleski, rosyjskiego, mogło ztąd wynikać nieporozumienie, że o wypadku, zaszłym w wileńskim gimnazjum, mówił komisarzowi dlatego, że tenże zapytywał, z jakiego powodu ustanowiono w Wilnie komisję śledczą, że wspominał mu, iż był przy księciu Czartoryskim w Warszawie, lecz nie mówił, jakoby znajdował się pod nadzorem i był uniewinniony, albowiem tego nigdy nie było, dlaczegoż więc miałby zmyślać i ściągać na siebie podejrzenie. Gdy go przedstawiono p. oberpolicmajstrowi, prosił tylko o polecenie, aby nie był trzymany w areszcie policyjnym, gdzie odsyłają ludzi za hańbiące przestępstwa, wskutek czego oberpolicmajster, do czasu odwiezienia do fortecy, pozwolił mu zostać u siebie, a przeto on, Zaleski, nie wie, z czego można było zauważyć, iż jest wolnomyślnym. O cierpieniach zaś ojczyzny, o aresztowaniach i uwol-

nieniu kilku jego kolegów nic nie mówił komisarzowi okręgowemu, a tylko na upomnienie jego, aby on, Zaleski, wszystko mężnie znosił, powiedział mu, że nie ma powodu rozpaczać, albowiem sumienie ma spokojne, przyczem wspomniął także o rzeczonym Szetkiewicz, wraz z nim aresztowanym, jak również o znajomych swoich jeszcze z wileńskiego uniwersytetu, dwóch braciach Szemiotach, Orlickim i Bobińskim, ponieważ wiedział o ich aresztowaniu, tego bowiem policja nie tała, o uwolnionych zaś swoich kolegach nic nie wiedział, więc też i nie mówił.

Z powodu tego zaprzeczenia, odniosłem się do s. petersburskiego p. oberpolicmajstra, a także komisarza okręgowego, czy nie mają czegokolwiek do powiedzenia ku przekonaniu Zaleskiego. Wskutek tego otrzymałem od nich odpowiedzi w tym przedmiocie; p. oberpolicmajster w odezwie swej wyjaśnił, że chociaż po upływie długiego czasu nie pamięta, co mu dało powód do wniosku, że Zaleski jest człowiekiem wolnomyslnym, lecz doniesienie jego polegało na rzeczywistej obserwacji; komisarz okręgowy zaś raportował, że doniesienie jego o rozmowie z Zaleskim jest prawdziwe, że Zaleski wyjaśniał jemu swoje myśli bardzo dobrze w rossyjskim

języku, a chociaż wymawiał niektóre słowa niezupełnie poprawnie, jednakże w zrozumieniu ich nie miał on, komisarz, żadnej trudności, gdyż sam po polsku rozumie.

Z dochodzeń, co się tyczy Zaleskiego, okazało się, że on, skończywszy w wileńskim uniwersytecie kurs nauk w lipcu 1822 r., zostawał przy byłym kuratorze księciu Czartoryskim, zajmując się prywatnie wypełnianiem różnych jego poleceń, najbardziej w zakresie naukowym. W październiku 1823 r. wraz ze wspomnianym Szetkiewiczem, udał się do S. Petersburga w zamiarze umieszczenia się w kolegium spraw zagranicznych, i na rekomendację księcia Czartoryskiego, oraz innych osób, p. zarządzający Ministerstwem spraw zagranicznych, hr. Nesselrode, obiecał dać mu posadę, lecz wyżej opisane zajście przeszkodziło temu. W zabranych u Zaleskiego papierach nie znaleziono nic podejrzanego, ani też odnoszącego się do niniejszej sprawy.

Przedstawiwszy w ten sposób Waszej Ces. Wysokości szczegółowo stopniowe odkrycie tajnych związków, istniejących wśród uczącej się na wileńskim uniwersytecie młodzieży, i tok tego obszernego śledztwa, zwracam się ku wyłożeniu pokrótce jego podstawy, aby w ogólnym poglądzie z większą jasno-

ścią uzasadnić mój ostateczny w tej sprawie wniosek.

Z całej sprawy okazuje się, że od 1817 lub 1818 r. duch reformy albo przeobrażenia umysłów, który rozwielił się w większej części niemieckich uniwersytetów, a także w warszawskim i krakowskim, wniknął i do wileńskiego uniwersytetu. Kilku studentów, w zrozumiałych mrzonkach, założyli, jak już wyżej przedstawiono, towarzystwo Filomatów. Pod tą skromną nazwą, oznaczającą tylko poprostu miłośników nauki, ukrywał się, jak widać z zeznań Franciszka Malewskiego, zamiar kształcenia nauczycieli młodzieży w jednym wiadomym kierunku, odłania ich jakby z jednej formy, a tem samem działania w skuteczniejszy sposób na wychowanie całego przyszłego pokolenia, wpajając w młode umysły i serca, myśli i uczucia, odpowiednie zamiarom towarzystwa. Widocznem jest podobieństwo tego towarzystwa z towarzystwem, niedawno odkrytem w Niemczech, a o którym donosił poseł, tajny radca, baron Ansztet, w tajnej depeszy, zakomunikowanej mi przy rozkazie Waszej Ces. Wysokości z 11 lutego nr. 20. Jak tam, tak i tu, tajnym celem związku jest rewolucja w umysłach, a narzędziami profesorem i pedagogi. Oczywiście, towarzystwo

Filomatów nie miało z początku organizacji, odpowiedniej ważności przedsięwzięcia, nie miało ono jeszcze tej systematycznej łączności, która była potrzebna dla rozszerzenia jego działania na szkoły, sama liczba członków była do tego zgoła niewystarczająca, to też ono, o ile sądzić można z okoliczności i zeznań niektórych członków, zajmowało się zdaje się jeszcze tylko samemi przygotowaniami, wszakże nie pozostało bez następstw, gdyż z niego powstał Promieniści i Filareci.

W 1820 r. Tomasz Zan, jeden z członków tego towarzystwa, pozostający w ściślejszej przyjaźni z Franciszkiem Malewskim, utworzył nowe towarzystwo, znowu pod skromną nazwą miłośników pożytecznej zabawy, które później nazwano Promienistymi. Zdołał on nawet otrzymać na to zgodę i potwierdzenie ówczesnego rektora Malewskiego, albowiem, będąc od 1815 r. na uniwersytecie, pilnością swą w naukach i niezwykłymi zdolnościami zwrócił na siebie szczególną uwagę uniwersyteckiej zwierzchności; zarazem umiał zdobyć największe zaufanie uczącej się młodzieży a nawet wielu rodziców, którzy przedewszystkiem poruczali jemu samemu, lub przynajmniej wedle jego orzeczenia, opiekę nad swemi dziećmi. Następstwa wykazały, że Zanem kierowały zapalna wyobraźnia,

obrotny umysł i niespokojny duch. Wszystko to objawiało się w nim jeszcze w 1813 r., kiedy ucząc się w mołodeczeńskiej szkole, podzielił uczniów, jak to powyżej przedstawiono, na dwa wojska Apollinowe i Marso-we, nagradzając odznaczających się w walce i innych ćwiczeniach, krzyżykami ze złotego papieru, z wymyślonym przez niego napisem, mającym pobudzać ich do miłości ojczyzny, pod którą to nazwą rozumie się nie ogólna ich wszystkich ojczyzna Rossja, lecz jedynie polski kraj. Z dojrzałszymi latami rozszerzał się i zakres jego planów i działań. Dla spełnienia przedsięwzięć Filomatów potrzeba było naczelnika. Z charakterystyki Tomasza Zana widać już, że oni nie mogli wybrać innego, który byłby od niego do tego celu odpowiedniejszym. Dlatego też Promieniści na pierwszym swoim zebraniu w początkach maja 1820 r. wybrali go swoim naczelnikiem, z tytułem Arcy. Objąwszy to stanowisko, podzielił on zebranie na sześć związków, które nazwały się województwami, poczem utworzono także dawne polskie dostojęstwa, jako to: podczaszy, podskarbi, wielki łowczy i t. p., które przybrane były przez niektórych członków towarzystwa Promienistych. Ponadto nakreślił Tomasz Zan, jako zasady dla członków towarzystwa, 15 prawideł, które

poprzednio były przez niego przedstawione byłemu rektorowi Malewskiemu i otrzymały jego zatwierdzenie. Miejsce zebrania Promienistych było na Pohulance, znanym spacerze, w pobliżu Wilna położonym, i w innych częściach miasta. Tam członkowie towarzystwa gromadzili się przed wschodem słońca, na-przód miesza- li się z sobą, a potem dzielili się na województwa, do których należeli, poczem czytane były ich utwory. Następnie gromadzili się znów razem i szli na przygotowane dla nich śniadanie. Pierwsze zebranie składało się nie więcej, jak z 60, a drugie i wreszcie ostatnie trzecie, liczyło wedle doniesienia wileńskiej policji do 300, pomiędzy temi zaś było wiele i postronnych osób, to jest nie należących do uniwersytetu.

Taka tłumna schadzka w porze tak niezwykłej i różne gadania, które się rozeszły z tego powodu po mieście, skłoniły byłego rektora Malewskiego, że zakazał tych zebrań i odebrał od Zana zatwierdzonych przez siebie 15 prawideł, a zarazem wydał rozporządzenie, ażeby uczniom uniwersyteckim przy zapisywaniu ich do ogólnego spisu (Albumu) zapowiadano, iż żadnych tajnych towarzystw między sobą tworzyć nie powinni, oni zaś podpisem stwierdzali, że to im powiedziano.

Z liczby wspomnianych prawideł, siódme i ósme jasno dowodzą, że nie samo tylko doskonalenie się w naukach, wzajemna pomoc i zabawy były przedmiotem towarzystwa Promienistych, jak to członkowie zrazu twierdzili, lecz że, ponadto, ono miało na celu moralne i polityczne kształcenie swoich członków, co niemal stanowiło jeden z najgłówniejszych przedmiotów. Gdyby nie to, nie byłoby przyczyny wspominać w tych prawidłach o przywiązaniu do swego kraju (prawidło VIII) i stawić je w rzędzie najpierwszych cnót lub wyprowadzać z tej cnoty wyłączne zobowiązania dla członków tego towarzystwa, jak to uczyniono w rzeczonym prawidle. Przeprowadzone zaś śledztwo i zeznania niektórych założycieli tego towarzystwa jasno wykazały, że pod wyrazem przywiązanie do swego kraju rozumiało się nie przywiązanie do Cesarstwa Rosyjskiego wogóle, lecz tylko do gubernii, składających wileński uniwersytecki okrąg, to jest tylko do polskich prowincji. Z tego już niezaprzeczenie wynika, że same podwaliny tego towarzystwa uchylające przywiązanie do ogólnej ojczyzny, opierały się na szkodliwych i z duchem rządu zupełnie sprzecznych prawidłach. Jeżeli w dobrze urządzonym państwie, zdrowa polityka nie pozwala rozwijać się *statui in*

statu, to o ileż więcej nie może być cierpiana *patria in patria*. Według słów Zbawiciela naszego Jezusa Chrystusa: „żaden niewolnik (*rab*) nie może dla dwóch panów pracować: gdyż albo jednego znienawidzi, a drugiego umiłuje, lub jednego trzyma się, a o drugiego niedbać zacznie“. A tak, jeżeli dotychczas w przedsięwzięciu Filomatów nic innego nie okazało się, oprócz zamiaru, aby skrytym i niezawisłym od szkolnego rządu sposobem, lub, lepiej powiedziawszy, przez bezpośredni wpływ na kształcących młodzież nauczycieli i domowych guwernerów, zmienić sposób uczenia, cel jego i kierunek umysłów (co zgadza się ze znanym duchem większej części uniwersytetów), to już w tem przedsięwzięciu towarzystwo Promienistych okazało w sposób jawny inny zupełnie, szczególny charakter, który odpowiada odkrytemu w Berlinie towarzystwu, znanemu pod nazwą *Polonia*, i nie może z niczem innym być porównany, tylko z odkrytem tamże towarzystwem *Armenia* (*sic*)¹⁾, mającem zadanie połączyć wszystkie niemieckiego pochodzenia narody w jedno państwo.

1) Zapewne Nowosilcow chciał powiedzieć *Armenia*.

Zresztą, towarzystwo Promienistych było tylko wstępem do utworzonego wkrótce potem tajnego towarzystwa Filaretów. Skoro Filomaci poczynili już wszelkie potrzebne zarządzenia do utworzenia tego filareckiego towarzystwa, to nie pozostawało im nic innego, jak tylko zgromadzić w niem odpowiadających ich zamiarom członków, to jest wybranych z pomiędzy uczniów, celujących postępami w naukach i najbardziej do nich zbliżonych właściwościami swemi i sposobem myślenia. W tym celu, tak dla wypróbowania ich wiadomości, jak też dla poznania usposobień, trzeba było znaleźć pozorny powód do połączenia ich w jednym miejscu. Będąca w zwyczaju wśród uczniów polskich szkół majówka, podała Tomaszowi Zanowi sposób do połączenia, wywód zaś na temat wymyślnego przezeń niedorzecznego systemu o działaniu słonecznych promieni, od czego towarzystwo to wzięło swą nazwę, był pretekstem do zaprowadzenia tych spacerów, czyli zebrań. Czytane na tych schadzkach wierszem i prozą różne utwory, dawały najlepszy sposób osądzenia zdolności każdego, podobnie jak i objawione uczucia w rozprawach, w podziale całego towarzystwa na dawne polskie województwa, przy wznowieniu byłych polskich godności, a nakoniec w rozmowach o podsta-

wach, zawartych w siódmym i ósmym prawie, nie mogły nie ujawnić, wobec założycieli tego towarzystwa, ducha każdego z badanych przez nich kandydatów. W ten sposób Tomasz Zan, jak o tem z własnego jego zeznania przekonać się można, jeszcze przed rozwiązaniem tego towarzystwa Promienistych, co nastąpiło z powodu zakazu rektora, zobowiązał podpisem około czterdziestu Promienistych, że będą zachowywać w największej tajemnicy wszystko to, co działo się w ich towarzystwie i czem się oni zajmowali. Od tego czasu i z tem równocześnie zawiązało się między Promienistymi towarzystwo Filaretów. Jawnym tego dowodem jest to, że w niedługim potem czasie, to jest zaraz po powrocie studentów, którzy wyjeżdżali na wakacje, towarzystwo Filaretów rozpoczęło swoją działalność, złożone i utworzone z tych samych osób, o których wyżej wspomniano, iż dali Zanowi podpisane przyrzeczenie zachowywać tajemnicę, i że oprócz wzmiankowanych powyżej 15 prawideł, które były ogólnymi jak dla Promienistych, tak i dla Filaretów, Tomasz Zan miał już przygotowane ustawy dla Filaretów, które przedstawił towarzystwu zaraz na pierwszym posiedzeniu. Ustawy te, składające się z 72 artykułów i mające zadziwiające podobieństwo ze wszyst-

kiemi nowymi organizacjami łóż masonskich i innych tajnych towarzystw, nie były tworem jednego Tomasza Zana, lecz, jak ze sprawy widać, całego filomackiego towarzystwa. Z tego jasno okazuje się, że Filomaci, Promieniści i Filareci składali jedno towarzystwo, lub, właściwiej mówiąc, jedno ciało, które ożywiali i którem zarządzili Filomaci. Pomiedzy nimi ta tylko różnica, że Promieniści, nie przyjęci do związku Filaretów, mogli nie wiedzieć tak o nich, jak tem bardziej o Filomatach, i w majówkach nie innego nie widzieć, prócz tylko zabawy; toż samo i Filareci, którzy wstąpili do towarzystwa już po jego zawarciu, mogli także bardzo mało, a być może i nie wiedzieć o Filaretach (miało być zapewne: Filomatach) i o celu, który oni mieli na widoku, zakładając to towarzystwo. Wielu z nich mogło rzeczywiście myśleć, że ono nie miało innego zamiaru, prócz doskonalenia członków swoich w naukach i wprowadzenia wśród nich wzajemnej pomocy, tak w tym przedmiocie, jak i pod wszelkimi innymi względami. Co się zaś tyczy Filomatów i tych Filaretów, którzy złożyli Zanowi przyrzeczenie zachowywać w tajemnicy wszystko, co działo się wśród Promienistych, a tem samem jeszcze przed zawarciem towarzystwa Filaretów, objawili

już zgodę przystąpienia do niego, tych zdaniem mojem, niepodobna nie odróżnić od innych. Pierwsi (Filomaci) jako założyciele towarzystwa, jako inicjatorowie całej sprawy i twórcy całego planu, nie mogli nie mieć zupełnej wiadomości o wszystkim tem, co wchodziło w zakres ich szkodliwych zamiarów; również niepodobna pogodzić ze zdrowym rozsądkiem, ażeby i ci, którzy z liczby Promienistych byli przez Zana wybrani, z których utworzyło się początkowe towarzystwo Filaretów i którzy zaraz przy otwarciu towarzystwa zajmowali stanowiska naczelników gromad (przewodników), radców, sekretarzy, itp. urzędy, żeby oni, mówię, nie byli przynajmniej w większej części uświadomieni o rzeczywistym celu tego towarzystwa. Wszystkie tajne związki szkodliwe są i niebezpieczne dla państwa, już dla tego samego, że tajne, a złożone są mniej lub więcej wedle jednego wzoru, wziętego z łóż masonskich; nie mogą też znaleźć lepszego porównania Filomatów i pierwotnych członków Filaretów, w stosunku do całego towarzystwa tych ostatnich, jak kapituły i mistrzostw masonskich do łóż zwykłych. Z tego wynika, że chociaż niektórzy z Filomatów, jak: Mickiewicz, Jeżowski i Pietraszkiewicz, zeznali w odpowiedziach swoich, że nie należą do Filaretów,

to zeznanie to nie zasługuje na najmniejszą uwagę, albowiem zarówno jak członkowie masonskich kapituł, dla zasiadania w zwykłych lożach, nie potrzebowali koniecznie być przyjętymi do nich, tak i Filomaci nie potrzebowali być przyjętymi do Filaretów, aby brać udział w ich posiedzeniach, co potwierdza się jeszcze bardziej tym dowodem, że Jeżowski i Mickiewicz nie zaprzeczają, iż bywali na posiedzeniach Filaretów.

Na tej podstawie i odpowiednio do uczonego przezemnie powyżej podziału, przystępuję do rozróżnienia i określenia stopni winy członków tego towarzystwa, lecz przedewszystkiem uważam za potrzebne wyłożyć pokrótce, w czym polega ta wina.

Pierwsza wina mieści się już w samem utworzeniu tajnych towarzystw. Nastąpiło ono wbrew surowemu zakazowi uniwersyteckiej zwierzchności zaprowadzania jakichkolwiek tajnych towarzystw i wbrew uroczystemu przyrzeczeniu, złożonemu przez wszystkich studentów, przy zapisywaniu nazwisk do uniwersyteckiego spisu, czyli tak zwanego *Albumu*.

Druga wina polega na bezprawnem przywłaszczeniu sobie, bez woli i wiedzy swojej zwierzchności, a chytrymi i ukrytymi środkami, samowolnego wpływu na kształ-

cenie młodzieży, w zamiarze zmienienia sposobu nauczania, jego celu i kierunku umysłów. Nadto na jawnem objawieniu zamiarów, sprzecznych z widokami i zamiarami Rządu.

Trzecia wina—to czytanie na zebraniach Filaretów wierszy zuchwałych i pełnych, przeciw Rossjanom skierowanych, szkalowań, oraz wygłaszanie powitań i mów, sprzeciwiających się wierności Rosyjskiemu Tronowi.

Pierwszą winę popełnili wszyscy bez wyjątku rzeczywiści Filareci, w spisie pod lit. A., B. wymienieni, albowiem każdy z nich dawszy swojej zwierzchności przyrzeczenie, iż nie będzie wchodził w żadne tajne towarzystwa, okazał się tej zwierzchności nieposłusznym i wykroczył przeciw dobrej wierze.

Druga wina rozciąga się wogóle na Filomatów, którzy byli założycielami towarzystwa Filaretów, a których poczytać można było za komitet zarządzający. Co do stopnia winy należy zaliczyć do nich tych Filaretów, którzy wedle znalezionych u nich papierów, byli czynniejszymi członkami towarzystwa.

Trzecia wina mianowicie na członków towarzystwa: Jana Czeczota, Adama Suzina i Jana Jankowskiego.

Ustawy tak rosyjskie, jak i litewskie, oznaczają kary za wyżej wspomniane przestępstwa, tak jasno, że oddawszy sądowi tych, którzy w śledztwie okazali się tych przestępstw winnymi, niepodobna nieprzewidzieć wszystkich zgubnych następstw, które musiałyby ich osiągnąć. Znaczna część młodych ludzi, którzy okazali bardzo piękne postępy w naukach, musiałyby paść ofiarą surowości ustaw. Nieugiętość prawa, czyli ustaw, oznaczających karę za przestępstwa bez uwzględnienia ich źródła, mogłaby dla wielu z tych młodych ludzi postawić wieczną zaporę, aby mogli zgładzić kiedykolwiek swoją winę i stać się pożytecznymi państwu, gdy oszołomienie umysłu i fałszywe mrzonki, wynikiłe ze zbiegu współdziałających okoliczności, zaczęły ustępować doświadczeniu i uzasadnionej rozwadze. Nadto niepodobna także nie położyć na wagę sprawiedliwości tej boleści, któraby dotknęła, i tego jęku, któryby napęłnił domy licznych rodzin, gdyby one ujrzały już w swym kwiecie straconą nadzieję, pokładaną w swych dzieciach: zwłaszcza, że nadzieja ta, oparta na całkowitem zaufaniu do zwierczności uniwersyteckiej, co do ukształcenia i umysłu i serca tych młodzieńców, zdawała się dostatecznie usprawiedliwioną.

Z drugiej strony, wchodząc w duch łagodnego i humanitarnego Rządu Najmiłosćniejszego Monarchy naszego, którego błogosławia wszystkie uszczęśliwione pod jego berłem narody, i widząc, jak ściśle związane jest z sercem Waszej Cesarskiej Wysokości poczucie surowej sprawiedliwości z uczuciami miłosierdzia, które nie ofiary wymaga, lecz poprawy, nie lękam się paść do stóp Waszych i ze łzami prosić, ażeby za wysokim przedstawieniem Waszej Ces. Wysokości u tronu, zamiast surowego sądu nad winowajcami, zastosowane były ku poprawie i odwróceniu obecnego i przyszłego złego, ojcowskie środki, które, jako należące do rządowego naukowego zawiadowstwa, zaszczepiają się po większej części na rozporządzeniach samego Ministerstwa Oświecenia i Spraw duchownych.

Nie ośmieliłbym się zwracać ku samej uczuciowości Waszej Ces. Wysokości dla skłonienia Go do miłosierdzia, o które proszę, gdybym nie był przekonany w sumieniu swoim, przez długotrwałe i pilne badanie, że jeżeli wina przestępców wzrosła do tego stopnia, jaki śledztwo wykazuje, i jeżeli tak zwany duch czasu rozszerzał się tak bardzo w zakładach naukowych wileńskiego okręgu, to jedynie dzięki niedbalstwu i pobłażliwości

wyższej zwierzchności uniwersyteckiej i uchylaniu się miejscowych władz policyjnych od śledzenia niedozwolonych czynności i przedsięwzięć ze strony uczniów, zarówno jak i od użycia ze swej strony potrzebnych środków, aby zatamować pierwsze ku temu pokuszenia, o czem, jeżeli to odpowie życzeniom Waszej Ces. Wysokości, będę miał szczęście przedstawić osobne doniesienie.

Z tych względów, skupiwszy całą uwagę moją na środki, które, wedle miejscowych wiadomości, okazują się być koniecznymi, a przytem i dostatecznie budzącymi nadzieję, że zdołają zatamować zle, które się rozprzestrzeniło, oraz określając stopień winy każdego, wedle odpowiedzialności, nie zaś wedle surowości ustaw, wedle uczuć miłosierdzia i ojcowskiej chęci poprawienia, ośmielam się przedstawić ku łaskawej rozwadze Waszej Cesarskiej Wysokości następujący wniosek:

Jakkolwiek pierwsza wina spada na wszystkich w ogóle Filaretów, biorąc wszakże na uwagę, że byli oni wciągnięci w to przestępstwo silnie działającym przykładem swoich starszych kolegów i, iż tak rzekę, wpływem panującego ducha czasu, jak to wyżej przedstawiłem, a także ze względu na to, że większa ich część pozostawała w surowym areszcie w ciągu prawie siedmiu miesięcy,

a wszyscy będą musieli ponieść niemałe koszta obszernego śledztwa, — z tych tedy względów wnoszę, aby, uwolniwszy ich z wyjątkiem niektórych niżej wymienionych, od dalszej odpowiedzialności, policzyć im jako dostateczną karę siedzenie w areszcie i pokrycie wydatków, poniesionych na śledztwo.

Dziesięciu z filomackiego towarzystwa, którzy poświęcili się nauczycielskiemu zawodowi i już rozpoczęli go lub gotowali się w przyszłości go rozpocząć, a także tych z liczby Filaretów, którzy wedle znalezionych papierów, okazali się bardziej czynnymi w niegodziwych widokach tego ostatniego towarzystwa, nie należy, zdaniem mojem, pozostawić w polskich guberniach, jako w okręgu ich skrytych zamiarów, aby rozszerzać niedorzeczny polski nacjonalizm za pośrednictwem nauczania; dlatego też sądzę, że dla osądzenia ich, należy znieść się z P. Ministrem spraw duchownych i oświaty, dla wyśzukania w oddalonych od Polski guberniach, aż do zezwolenia kiedyś powrotu do rodzinnego kraju, odpowiednio do nabytych przez nich wiadomości, posad i urzędów, do czego oni prawie wszyscy doskonale są uzdolnieni. Nazwiska tak tych Filomatów, jak i Filaretów, są oznaczone w spisie, dołączonym do tego pod I. II. Do ich liczby należą wy-

chowańcy skarbu państwa, Józef Kowalewski, Feliks Kułakowski i Jan Wiernikowski, którzy, zanim zaczęto przeprowadzać śledztwo co do tajnych towarzystw, objawili życzenie uczyć się wschodnich języków, z zamiarem wstąpienia do służby w cudzoziemskim kolegium azjatyckiego departamentu. Co do nich, sądzę w szczególności, że będzie można porozumieć się z P. Ministrem spraw duchownych i oświaty, celem wyprawienia ich na kazański uniwersytet, gdzie będą mogli udoskonalić się wedle zamierzonego przez nich celu. Znajduje się w liczbie Filomatów dwóch byłych uczniów uniwersytetu, a mianowicie Kazimierz Piasecki i Ignacy Domejko, którzy nie obrali sobie nauczycielskiego zawodu, i co do których, sądzę, że można ich zostawić w poprzednim ich miejscu zamieszkania, oddając ich pod surowy nadzór miejscowej policji, i z tem, ażeby ich do żadnej państwowej służby nie przeznaczać, bez zezwolenia Waszej Cesarskiej Wysokości. Takiemu też czuwaniu i śledzeniu poddać Stanisława Makowieckiego, który w ułożonej przez siebie mowie objawił niegodny sposób myślenia. Pomiędzy wymienionymi w tymże spisie, znajdują się także nauczyciele połockiej pijarskiej szkoły, księża Maciej Brodowicz i Kalasanty Lwowicz, których należy na zawsze

usunąć z nauczycielskich posad, poruczywszy szczególnie nadzór nad nimi prowincjałowi pijarskiego zakonu i rektorom klasztorów, w których mieszkać będą.

Dalej pozostaje jeszcze oznaczyć karę dla tych z liczby Filaretów, którzy w wierszach lub mowach, przez nich wygłoszonych, ujawnili albo niegodne zamiary, lub wypowiedzieli sprzeczne z wiernopoddaną powinnością wyrazy, lub usiłowali, jak mianowicie Suzin, utaić istnienie towarzystwa. Ci są: Jan Czeczot, Adam Suzin i Jan Jankowski, z których dwaj pierwsi trzymani są w surowym areszcie od października, a ostatni od sierpnia ubiegłego roku. Opierając się, jak i poprzednio, nie na surowości ustaw, lecz na ufności w miłosierdziu Waszej Cesarskiej Wysokości i Najj. Pana, sądzę, że byłoby odpowiedniem ukarać dwóch pierwszych osadzeniem w twierdzy na sześć miesięcy, a następnie, uwalniając od dalszej odpowiedzialności, wysłać z polskich gubernii dla wyszukania sobie posad i miejsca zamieszkania w guberniach rosyjskich, aż do czasu, w którym nastąpi kiedyś co do nich Najmiłosiwsze zezwolenie powrotu do kraju rodzinnego. Taką karę należy zastosować i do założyciela towarzystwa, Tomasza Zana, z podwyższeniem czasu osadzenia w twierdzy do całego

roku. Co się tyczy Jana Jankowskiego, to oczywiście należałoby poddać go karze równej z Janem Czeczotem i Adamem Suzinem, lecz biorąc na uwagę, że on pierwszy wyjawiał istnienie filareckiego towarzystwa i podał Rządowi sposób ukrócenia rozpusty, jaka się wkradła wśród młodzieży, a także przy dalszych przesłuchaniach okazał nieobludną szczerotę i skrucę i tem starał się zgładzić zuchwałe swoje postęпки, wnoszę, aby poczytać mu jako karę dziesięciomiesięczne trzymanie w areszcie i uwolniwszy od osadzenia w twierdzy, wysłać, zarówno z Filomatami, z polskich gubernji, dla wyszukania sobie służby w guberniach wielkorosyjskich.

Co się tyczy sześciu byłych uczniów wileńskiego uniwersytetu, braci Ignacego i Brunona Szemiotów, Dominika Orlickiego, Józefa Szetkiewicza, Wincentego Bobińskiego i Konstantego Zaleskiego, przysłanych z S.-Petersburga, wskutek najuniżeńszego sprawozdania s.-petersburskiego wojennego p. generał-gubernatora i za wydanem z tego powodu Najwyższem zezwoleniem, mniemam, że ponieważ wszyscy oni należą do pierwszej kategorii osób, które znajdowały się pod śledztwem, nie zachodzi przeto przeszkoda, aby im dozwolono powrócić na dawne miejsca, tem bardziej, że to samo oddala ich od

polskich prowincji, z tem wszakże, ażeby z ich liczby, Konstanty Zaleski, którego wolnomyślność zaświadczył s.-petersburski p. oberpolicmajster, pozostawał pod surowym nadzorem policji.

W sprawie odkrytych w Swisłoczy dwóch towarzystw, trzymani są jeszcze w areszcie: założyciel jednego, Dyonizy Szłajewski, i założyciel drugiego, Jakób Abramowicz, wypuszczony niedawno za poręką. Co do nich sądzę, że ponieważ pierwszy z nich siedzi w areszcie już 10 miesięcy, a drugi siedział 8 miesięcy, policzyć im należy ten areszt jako karę i uwolnić od dalszej odpowiedzialności, poruczając gubernialnej władzy dać im przy wypuszczeniu surową nagane, a uniwersyteckiej zwierzchności polecić, ażeby ich w swoim zakresie nie przeznaczała na żadną posadę. W osądzeniu innych członków wspomnianych dwóch towarzystw, to, wedle mego zdania, można z nimi postąpić, jak z Filaretami pierwszej kategorii, poczytując im odcierpiany areszt i poniesienie kosztów za dostateczną karę, tembardziej że oni okazali szczerą skrucę.

Kończąc na tem moje doniesienie, ośmielim się zwrócić Najmiłościwszą uwagę Waszej Cesarskiej Wysokości na urzędników, którzy pod moim kierunkiem przeprowadzali

to tak obszerne śledztwo, które trwało bez mała jedenaście miesięcy. Dzięki ich gorliwości, niezłomnej stanowczości i niestrudżonym staraniom, ujawniła się cała prawda, pomimo zapierania się w zbłąkaniu trwających młodych ludzi. Uważam sobie za obowiązek prosić Waszą Cesarską Wysokość o zezwolenie przedstawienia ich do odpowiednich nagród.

Nowosilcow.

Nr. 839.

13 Maja 1824. Wilno.

II.

Ogólny spis imienny.

należących do towarzystwa Filaretów, istniejącego wśród uczniów wileńskiego Uniwersytetu, oraz obwinionych i nieodszukanych, zestawiony w komisji śledczej 13 maja 1824 r.¹⁾

1. Tomasz Zan, kandydat filozofji, 27 lat, z Mińskiej gubernji, Wilejskiego powiatu; ani on, ani ojciec jego nie posiadają żadnego majątku; prezydent towarzystwa Filaretów.

¹⁾ P. Wierzbowski w przypisku tak opisuje ten dokument: Spis ten składa się z trzech części, wskazanych w samym raporcie (patrz wyżej). Pierwsza od n-ru 1—108 zawiera poczet rzeczywi-

2. Jan Czeczot, służy w kancelarji prokuratorji Radziwiłłowskiej, lat 27, z Grodzieńskiej gubernji, Nowogrodzkiego powiatu; nie ma żadnego majątku; przewodnik błękitnego grona.

Obaj oni byli także w towarzystwie Filomatów.

3. Adam Suzin, kandydat filozofji, lat 23, z Grodzieńskiej gub., Brzeskiego powiatu; ojciec jego posiada majątek Zaleszany; sekretarz zielonego grona.

4. Aleksander Chodźko, kandydat filozofji, lat 18, z Mińskiej gub., Wilejskiego pow., gdzie położony jest majątek ojca jego, byłego prezesa Mińskiego Głównego Sądu; sekretarz błękitnego grona.

stych członków filareckiego towarzystwa; druga od n-ru 109—135, poczet osób, które są wspomniane w raporcie, lecz nie brały udziału w towarzystwie; w trzeciej od n-ru 136—166 wymienione są te osoby, których miejsca pobytu nie odzুকано. Spis osób 1-ej i 2-ej kategorii ułożony w kształcie tabeli, zawierającej następujące rubryki: 1) Imiona i nazwiska, 2) ile ma lat, 3) skąd pochodzi, 4) gdzie się urodził i czy ma majątek, 5) jakie zajmował stanowisko w towarzystwie, 6) uwaga. Trzecia część spisu ma tylko trzy rubryki: 1) imiona i nazwiska, 2) gdzie się urodzili, 3) uwaga. W trzeciej rubryce dwóch pierwszych części spisu dopisano u dołu słowa: „zdają się być szlacheckiego pochodzenia.

5. Feliks Kułakowski, kandydat filozofji, lat 25, z Mińskiej gub., Mozyrskiego pow.; nie ma żadnego majątku; radca błękitnego grona.

6. Kazimierz Piasecki, kandydat praw, adwokat wileńskich izb sądowych; lat 25, urodzony w Wilnie, gdzie posiada dom; przewodnik białego grona. Był także w towarzystwie Filomatów.

7. Jan Wiernikowski, kandydat filozofji, lat 23, z Mińskiej gub. Mozyrskiego pow., nie ma żadnego majątku; radca błękitnego grona.

8. Tadeusz Zieliński ¹⁾, lat 26 rodem z Królestwa Polskiego; nie ma żadnego majątku. On także należał do towarzystwa Moralnego, które istniało wśród guwernerów, znajdujących się w Świsłockiem gimnazjum po ukończeniu kursów nauk.

9. Tomasz Kraskowski, lat 21, z Białostockiego obwodu, bialskiego pow., syn księdza unickiego. Należał także do towarzystwa Naukowego, które istniało wśród uczniów VI klasy świsłockiego gimnazjum.

¹⁾ Dr. Szeliga nazywa go Żylińskim. „O Filom. i Filar.” Przew. nauk. i lit. 1889 str. 727—729.

10. Tomasz Pawłowicz ¹⁾, kandydat praw, lat 27, z Grodzieńskiej gub., Brzeskiego pow., syn unickiego księdza.

11. Aleksander Mickiewicz, kandydat praw, lat 21, z Grodzieńskiej gub. miasta Nowogródka, gdzie ma swój dom; radca lilowego grona.

12. Józef Jeżowski, lat 19, z Mińskiej gub., Mozyrskiego pow., niema żadnego majątku.

13. Jan Heydatel, kandydat filozofji, lat 23, z Białostockiego okręgu, Drohickiego pow., nie ma żadnego majątku; przewodnik zielonego grona.

14. Michał Kulesza, lat 23, z Grodzieńskiej gub., Lidzkiego pow., nie posiada żadnego majątku.

15. Otton Ślizień, lat 17, z Grodzieńskiej gub., Nowogrodzkiego pow., gdzie rodzice jego posiadają majątek Bortniki.

16. Józef Zarzecki, kandydat filozofji, lat 23, z Grodzieńskiej gub. i pow., niema żadnego majątku; sekretarz zielonego grona.

17. Jan Krynicki, kandydat filozofji, lat 25, z Kijowskiej gub., Zwinogrodzkiego pow., nie posiada żadnego majątku.

¹⁾ Dr. Szeliga wymienia Tomasza Pawłowskiego, l. c.

18. Antoni Kamiński, kandydat filozofji, lat 26, z Wileńskiej gub., Oszmiańskiego pow., gdzie rodzice jego posiadają majątek Raczu-ny; przewodnik amarantowego grona.

19. Antoni Dudin, kandydat filozofji, lat 22, syn horodniczego Bobrujskiego, z Mińskiej gub., nie posiada żadnego majątku.

20. Hilary Łukaszewski, kandydat praw, z Wołyńskiej gub., Żytomierskiego pow., nie ma żadnego majątku; przewodnik białego grona.

21. Aleksander Domejko, lat 20, z Grodzieńskiej gub., Nowogrodzkiego pow., gdzie rodzice jego posiadają majątek, zwany Niedźwiadki.

22. Michał Danejko, kandydat filozofji, la 23, z Grodzieńskiej gub., Nowogrodzkiego pow., nie ma żadnego majątku.

23. Stefan Zan, student na wydziale prawa, z Mińskiej gub., Wilejskiego pow., nie posiada żadnego majątku; sekretarz białego grona.

24. Jan Jankowski, student filozofji, lat 20, z Grodzieńskiej gub., Brzeskiego pow., syn księdza prałata unickiego wyznania. Należał także do towarzystwa Naukowego, które istniało wśród uczniów VI klasy świsłockiego gimnazjum.

25. Józef Kowalewski ¹⁾, kandydat (?), lat 24 z Grodzieńskiej gub. i pow., syn księdza unickiego; przewodnik błękitnego grona. Należał także do towarzystwa Filomatów.

26. Edward Odyniec, student na wydziale prawa, lat 20, z Wileńskiej gub., Oszmiańskiego pow., gdzie ojciec jego posiada majątek; sekretarz błękitnego grona.

27. Ignacy Zan, student filozofii, lat 25, z Mińskiej gub., Wilejskiego pow., nie posiada żadnego majątku.

28. Mikołaj Malinowski, lat 24, z Kijowskiej gub.; Machnowieckiego pow., nie ma żadnego majątku; przewodnik błękitnego grona.

29. Tomasz Massalski, kandydat praw, lat 24, z Mińskiej gub., Ihumeńskiego pow., nie ma żadnego majątku.

30. Leopold Sosnowski ²⁾, kandydat praw, lat 22, z Białostockiego obw., z miasta Bielska, nie ma żadnego majątku.

31. Adolf Gedroyć, lat 21, książę; rodzice jego mają majątek w Królestwie Polskiem,

¹⁾ E. Ostaszewski, l. c., str. 292 nazywa go mylnie Franciszkiem.

²⁾ E. Ostaszewski wymienia Sosnowskiego Leonarda, l. c.

województwie Płockiem, w Pułtuskim pow.; przewodnik zielonego grona.

32. Antoni Frejend ¹⁾, student filozofii, lat 26, z Wileńskiej gub., Telszewskiego pow., nie ma żadnego majątku; radca amarantowego grona.

33. Stefan Dąbrowski, kandydat filozofii, zatrudniony przy piśmiennych sprawach opieki zmarłego księcia Zubowa, lat 25, z Wileńskiej gub., nie ma żadnego majątku.

34. Jan Michajłowicz ²⁾ kandydat praw i filozofii, służy w kancelarji wileńskiego uniwersytetu, lat 28, z duchownego powołania z Wołyńskiej gub., Kowelskiego pow., syn unickiego księdza; sekretarz białego grona.

35. Jan Klukowski, kandydat filozofii, lat 22, z m. Wilna, gdzie posiada murowany dom: sekretarz różowego grona.

36. Ignacy Korbanowicz ³⁾, kandydat praw lat 27. z Mińskiej gub., Ihumeńskiego pow.,

¹⁾ Freyend. Tak podaje to nazwisko dr. Szeliga, l. c.

²⁾ Michalewicz. Patrz dr. Szeliga, l. c.

³⁾ Nazwisko zdaje się przekręcone. W spisie uczniów uniwersytetu w Wilnie z r. 1820/21 wymieniony jest Karabanowicz Ignacy. Z. Wasilewski: Promieniści, Filareci i Zorzanie. Arch. do dziej. lit. i ośw., tom IX str. 202. O Karabanowiczu Wincentym jako

nie posiada żadnego majątku; sekretarz lilowego grona.

37. Antoni Heydatel, kandydat filozofii i lekarz I klasy, z Białostockiego obwodu, Drohickiego pow., nie ma żadnego majątku; przewodnik granatowego grona.

38. Józef Kraskowski, kandydat praw, lat 24, z Białostockiego obw., Bialskiego pow., syn księdza unickiego wyznania.

39. Lucjan Eysymont, lat 20, z Grodzieńskiej gub., gdzie posiada własny majątek Jabłonowo.

40. Jan Kaszuba, student filozofii, lat 22, z Grodzieńskiej gub., gdzie ma własny majątek Repelki.

41. Jan Sobolewski, kandydat filozofii, nauczyciel Krońskiej szkoły, lat 23, z Królestwa Polskiego, gdzie rodzice jego mają majątek w Łomżyńskim obw., Tykocińskiego pow., zwane Grochy; przewodnik zielonego grona. Należał także do towarzystwa Filomatów.

o Filarecie wspomina E. Ostaszewski. Wspomnienia polskich czasów E. Heleniusza, tom II str. 209. Karabanowicza bez imienia wymienił Jankowski w zeznaniach swych. Z. Wasilewski: Promieniści, Filareci i Zorzanie. Archiwum do dziej. lit. i ośw., tom IX, str. 186.

42. Wincenty Zawadzki, kandydat prawa, lat 20, z Grodzieńskiej gub., Wołkowyskiego pow., gdzie też posiada swój folwark, zwany Repla; przewodnik liliowego grona.

43. Ignacy Domejko, kandydat filozofii, lat 21, z Grodzieńskiej gub., Nowogrodzkiego pow., gdzie też posiada majątek Niedźwiadki; sekretarz różowego grona. Należał także do towarzystwa Filomatów.

44. Jan Jundził, kandydat prawa, lat 21, z Grodzieńskiej gub., Słonimskiego pow., gdzie posiada majątek Dobromyśl.

45. Michał Szyrma, kandydat prawa, lat 22, z Wileńskiej gub. i pow., gdzie posiada majątek Sporów.

46. Jakób Jagiełło, kandydat filozofii, lat 28, z Wileńskiej gub., i pow.; nie ma żadnego majątku; radca błękitnego grona.

47. Ksiądz Kalasanty Lwowicz, magister filozofii, prefekt szkoły księży Pijarów w Połocku, 30 lat, z Wołyńskiej gub., dubieńskiego pow., nie posiada żadnego majątku; przewodnik różowego grona.

48. Ksiądz Maciej Brodowicz, kandydat prawa, nauczyciel szkoły księży Pijarów w Połocku, z Wołyńskiej gub., Żytomierskiego powiatu; nie ma żadnego majątku; przewodnik liliowego grona.

49. Seweryn Korsak¹⁾, kandydat prawa, lat 24, z Mińskiej gub., Pińskiego pow., gdzie ojciec jego posiada majątek Hoszany.

50. Emeryk Staniewicz, lat 21, z Wileńskiej gub.; Upickiego pow., nie posiada żadnego majątku, oprócz 3000 rubli z zapisu ojca; sekretarz amarantowego grona.

51. Rufin Jundził, student prawa, lat 22, z Grodzieńskiej gub., Słonimskiego powiatu, gdzie rodzice jego posiadają majątek.

52. Hrabia Józef Tyszkiewicz, student filozofii, lat 21, z Mińskiej gub., Borysowskiego pow., gdzie posiada własny majątek Pleszczenice.

53. Franciszek Morze, kandydat prawa, lat 22, urodzony w Królestwie Polskiem, wychowywał się od dzieciństwa w Wileńskiej gub., Rosieńskim pow., u wuja swego, już zmarłego, księdza plebana wileńskiego, Jasińskiego, majątku żadnego nie posiada.

54. Konstanty Wierzbicki, kandydat prawa, lat 22, z Mińskiej gub. i pow., gdzie rodzice jego mają majątek Wiażynka.

¹⁾ Dr. Szeliga, l. c. wymienia Korsaka Juliana. Natomiast E. Ostaszewski, l. c., mówi o Sewerynie Korsaku.

55. Ksawery Turski, lat 22, z Grodzieńskiej gub., Lidzkiego pow., gdzie też posiada majątek.

56. Jan Zahorski, student filozofji, lat 21, z Grodzieńskiej gub., Nowogrodzkiego pow., gdzie posiada majątek Rusocin.

57. Adam Kurowski, lat 21, z Mińskiej gub., Wilejskiego pow., gdzie rodzice jego posiadają majątek.

58. Stanisław Marczewski ¹⁾, archiwarzusz rządowej komisji Królestwa Polskiego w oddziale religji i oświecenia, lat 22, z Wileńskiej gub., Telszewskiego pow., nie posiada żadnego majątku; sekretarz błękitnego grona.

59. Stanisław Kozakiewicz ²⁾, kandydat prawa, lat 22, z Mińskiej gub., Dziśnieńskiego pow., nie posiada żadnego majątku; przewodnik liliowego grona.

¹⁾ Niewątpliwie omyłka w imieniu i nazwisku. Wedle zeznań Jankowskiego sekretarzem błękitnego grona był Maciejewski, a dr. Szeliga przydaje mu imię Stefan. Obacz Z. Wasilewski: Promieniści, Filareci i Zorzanie. Arch. do dziejów lit. i ośw., tom IX, str. 181. Dr. Szeliga: Archiwum, t. VI, str. 244.

²⁾ Dr. Szeliga, l. c., wymienia dwóch Kozakiewiczów: Aleksandra i Karola. E. Ostaszewski l. c., wymienia Stanisława.

60. Stanisław Makowiecki, lat 21, z Mohylewskiej gub., gdzie rodzice jego mają majątek.

61. Stefan Makowiecki, lat 17, z Mohylewskiej gub., gdzie rodzice jego posiadają majątek.

62. Napoleon Nowicki, student filozofji, 23 lat, z Mińskiej gub., nie posiada żadnego majątku; radca różowego grona.

63. Aleksander Kruszczyński, kandydat prawa, lat 21, z Wołyńskiej gub., Ostrowskiego pow., gdzie rodzice jego mają majątek Walkie.

64. Teodor Łoziński, kandydat filozofji, lat 28, z Wołyńskiej gub., Żytomierskiego pow., nie posiada żadnego majątku; przewodnik różowego grona. Należał także do towarzystwa Filomatów.

65. Eliasż Ostaszewski, student na wydziale prawa, 23 lat, z Wołyńskiej gub., Nowogród-Wołyńskiego ¹⁾ pow., gdzie rodzice jego mają majątek.

66. Franciszek Malewski, magister prawa, z Wileńskiej gub., syn b. rektora wileńskiego uniwersytetu, radcy stanu Malewskiego; wiceprezydent towarzystwa Filaretów. Należał także do towarzystwa Filomatów.

¹⁾ Zwiahelskiego.

67. Marjan Piasecki, kandydat prawa, lat 28, rodem z Galicji, nie ma żadnego majątku; przewodnik białego grona.

68. Jakób Grodkowski, kandydat filozofji, lat, 17, z Wileńskiej gub., Wilkomierskiego pow., gdzie rodzice jego posiadają majątek.

69. Józef Hromowicz ¹⁾, lat 19, z Kijowskiej gub., Taraszczańskiego pow., nie posiada żadnego majątku.

70. Karol Mujschel, magister medycyny, lat 24, z Wileńskiej gub., Trockiego pow., gdzie rodzice jego mają majątek.

71. Fortunat Juriewicz, kandydat filozofji, lat 22, z Kijowskiej gub., Taraszczańskiego pow., gdzie rodzice jego posiadają majątek.

72. Damazy Koczan, lat 21, z Wileńskiej gub., Kowieńskiego pow., nie posiada żadnego majątku.

73. Urban Grudziński, lat 22, z Grodzieńskiej gub., Prużańskiego pow., syn księdza unickiego wyznania.

74. Wincenty Budrewicz, lat 29, z Wileńskiej gub., Kowieńskiego pow., nie ma żadnego majątku; radca amarantowego grona. Należał także do towarzystwa Filomatów.

¹⁾ Litera ross. Г brzmieć może jak G i jak H; zatem Gromowicz lub Hromowicz.

75. Justyn Romuald Pol, kandydat prawa, lat 23, z Wileńskiej gub., ma niewielki kapitał w gotówce.

76. Kazimierz Chrzczonowicz, kandydat filozofji, lat 26, z Mińskiej gub., nie posiada żadnego majątku.

77. Franciszek Piotrowski, lat 23, z gub. Wileńskiej, Telszewskiego pow., nie posiada żadnego majątku.

78. Cyprian Daszkiewicz, kandydat prawa, lat 21, z Białostockiego obwodu, nie ma żadnego majątku; sekretarz białego grona.

79. Ksawery Tarasiewicz, kandydat filozofji, lat 20, z Mińskiej gub. i pow., nie ma żadnego majątku.

80. Piotr Derszkow ¹⁾, kandydat filozofji, lat 22, z Mińskiej gub. i pow., gdzie posiada majątki Malawki i inne.

81. Władysław Heydatel, lat 18 z Białostockiego obw., Drohickiego pow., gdzie rodzice jego mają majątek Krupica.

82. Jan Miszkiel, lat 24, z Królestwa Polskiego, województwa Augustowskiego; nie posiada żadnego majątku.

¹⁾ Derszkoffa wymienił Jankowski w zeznaniach. Z Wasilewski, l. c., str. 186.

83. Mikołaj Jabłoński, student filozofji, lat 29, z Białostockiego obw., Bialskiego pow., gdzie posiada folwark Zawody.

84. Cyprian Kazimirski, lat 21, z Mińskiej gub., Borysowskiego pow., gdzie posiada majątek.

85. Hipolit Drzewicki, kandydat filozofji.

86. Wiktor Drzewicki, student na wydziale prawa. Obaj z Wileńskiej gub. i pow., gdzie rodzice ich mają majątek Ciechanowiszki.

87. Konstanty Gnoiński, lat 22, z Grodzieńskiej gub., Nowogrodzkiego pow., nie posiada żadnego majątku.

88. Paweł Woelk, magister filozofji i lekarz I. klasy, lat 24, z miasta Wilna, gdzie rodzice jego mają kamienicę i aptekę; radca granatowego grona.

89. Jan Cwikmocz²⁾, kandydat filozofji, lat 25, z Wileńskiej gub., Upickiego pow.; nie posiada żadnego majątku.

90. Stanisław Morawski, doktor medycyny, lat 23, z Wileńskiej gub., Kowieńskiego pow., gdzie rodzice jego posiadają ma-

¹⁾ Dr. Szeliga wymienia Cwiklicza bez imienia l. c.

jątek, zwany Ustronie; przewodnik granatowego grona.

91. Jerzy Frackiewicz, lat 27, z Wileńskiej gub., Zawilejskiego pow., nie posiada żadnego majątku.

92. Serafin Zahorowski¹⁾, kandydat filozofji, lat 26, z Wileńskiej gub. i pow., nie ma żadnego majątku.

93. Adrian Ejtmin, student filozofji, lat 24, Wileńskiej gub., Trockiego pow., nie posiada żadnego majątku.

94. Aleksander Pimiar, lat 23, rodem z Wilna, rodzice jego posiadają w powiecie Wileńskim majątek, zwany Mickuny.

95. Franciszek Szemioth, lat 22, z Wileńskiej gub. Szawelskiego pow., gdzie rodzice jego mają majątek.

96. Józef Staniszewski²⁾, kandydat filozofji, lat 20, z Mohilewskiej gub., Seńskiego pow., gdzie posiada majątek Howary.

97. Mikołaj Rodkiewicz, lat 27, z Grodzieńskiej gub., Lidzkiego pow., nie posiada żadnego majątku.

¹⁾ E. Ostaszewski, l. c., wymienia Zahorowskiego Franciszka, autora śpiewki: „Świszcze z gradem wiatr zmieszany“, str. 293, 294.

²⁾ E. Ostaszewski, l. c., str. 291, wymienia Staniszewskiego Wincentego.

98. Dominik Chodźko, student filozofji, lat 24, z Wileńskiej gub. i pow., nie posiada żadnego majątku.

99. Herkulian Abramowicz¹⁾, junkier lejbgwardji Podolskiego kirasjerskiego pułku, lat 18, z Wileńskiej gub. i pow., gdzie ojciec jego posiada majątek Ryndziuny. Służy i obecnie w tymże pułku.

100. Mikołaj Kozłowski, nauczyciel w Żytomierskiej szkole, w Wołyńskiej gub.

101. Józef Chodźko, chorąży (*praporszczyk*) w świcie Jego Cesarskiej Mości, w oddziale kwatermistrzowskim, 23 lat, z Mińskiej gub., Wilejskiego pow., gdzie ojciec jego b. prezes Mińskiego głównego sądu, posiada majątek; przewodnik błękitnego grona. Służy i obecnie w tejże świcie.

102. Henryk Romer²⁾, student filozofji, lat 21, z Wileńskiej gub., Trockiego pow., gdzie ojciec jego, rzeczywisty radca stanu, posiada majątek.

103. Konstanty Zaleski, student filozofji, lat 23, z Wileńskiej gub., Rosieńskiego pow., gdzie rodzice jego mają majątek Welionę.

¹⁾ Tenże, str. 293, wymienia Abramowicza A u r e l j a n a.

²⁾ Tenże, str. 293, wymienia dwóch Romerów.

104. Wincenty Bobiński, kandydat prawa, lat 26, z Grodzieńskiej gub., Kobryńskiego pow., gdzie rodzice jego posiadają majątek.

105. Józef Szestkiewicz¹⁾, student prawa, lat 29, z Wileńskiej gub., Rosieńskiego pow., gdzie rodzice jego mają majątek.

106. Bruno Szemioth, kandydat filozofji, junkier lejbgwardji konnej artylerzyckiej rot, lat 22.

107. Ignacy Szemioth, kandydat filozofji, junkier lejbgwardji konnej artylerzyckiej rot, lat 20. Obaj z Grodzieńskiej gub., Kobryńskiego pow., gdzie rodzice mają majątek Ilosk.

108. Dominik Orlicki, junkier 1 konnej artylerzyckiej rot, lat 21, z Mińskiej gub., Rzeczyckiego pow., gdzie rodzice jego mają majątek.

Wszyscy od n-ru 103 — 108 przebywali w S. Petersburgu. Dla odebrania od nich odpowiedzi, zakomunikowano punkty zapytań S. Petersburskiemu p. wojennemu generał-gubernatorowi Miłoradowiczowi, lecz za Najwyższym rozkazem, wydanym wskutek najuniżeńszego o nich sprawozdania hr. Miło-

¹⁾ recte Szetkiewicz.

radowicza, wszyscy wysłani dla badań do Wilna.

Obwinieni, lecz którzy nie wstąpili do towarzystwa:

109. Adam Mickiewicz, kandydat filozofji, b. nauczyciel Kowieńskiej szkoły, lat 24, z Grodzieńskiej gub., miasta Nowogródka, gdzie posiada dom z gruntem. Przyznał się, że był członkiem Filaretów, bywał czasem na ich posiedzeniach.

110. Wincenty Ignatowicz, kandydat prawa, lat 25, z Mohylowskiej gub., Siebiezkiego pow., nie ma żadnego majątku.

111. Justyn Ciecierski, lat 18, z Białostockiego obw., gdzie ojciec jego posiada majątek.

112. Józef Jeżowski, kandydat filozofji, lat 30, z Kijowskiej gub., Wasilkowskiego pow., nie posiada żadnego majątku. Przyznał się, że był członkiem towarzystwa Filomatów, a nie będąc wrzekomo członkiem Filaretów, bywał niekiedy na ich posiedzeniach.

113. Adam Kociewicz, lat 23, z Grodzieńskiej gub., Prużańskiego pow., syn księdza unickiego wyznania.

114. Rafał Ślizień, lat 19, z Grodzieńskiej gub., Nowogrodzkiego pow., gdzie rodzice jego mają majątek Bortniki.

115. Edward Połjanowski¹⁾, lat 18, z Mińskiej gub., Słuckiego pow., nie ma żadnego majątku.

116. Ignacy Januszewski, kandydat filozofji, 20 lat, z m. Wilna, nie ma żadnego majątku.

117. Teodor Miłakowski, lat 23, z Wołyńskiej gub., syn unickiego księdza.

118. Michał Rukiewicz, kandydat prawa, lat 28, z Białostockiego obwodu, nie ma żadnego majątku.

119. Bolesław Kontrym, kandydat prawa, z Wołyńskiej²⁾ gub. i pow., syn radcy kolegjalnego Kontryma, posiadacza Inturskiego starostwa.

120. Konstanty Kelner, kandydat prawa, lat 21, z Białostockiego obwodu, syn radcy tamtejszego obwodowego Rządu, nie ma żadnego majątku.

121. Napoleon Szyryn, lat 20, z Mińskiej gub., Dzieśnieńskiego pow., gdzie rodzice jego mają majątek.

122. Karol Mikulski, kandydat filozofji, z Wołyńskiej gub., nie ma żadnego majątku.

123. Jan Grodkowski, lat 15, z Wileńskiej gub., Wilkomierskiego pow., gdzie rodzice jego mają majątek.

¹⁾ Dr. Szeliga, l. c., nazywa go Pułjanowski.

²⁾ Niewątpliwie omyłka druku; ma być wileńskiej gub. i pow.

124. Adam Łyszczynski, lat 18, z Białostockiego obw., gdzie rodzice jego mają majątek Markowszczyzna.

125. Marcin Żyliński, lat 26, z Mińskiej gub. i pow., gdzie rodzice jego mają grunt własny.

126. Jan Haciski, lat 21, z Grodzieńskiej gub., Nowogrodzkiego pow., rodzice jego mają w Wilnie kamienicę.

127. Ignacy Terlecki ¹⁾, kandydat prawa, lat 25, z Mińskiej gub., Pińskiego pow., gdzie posiada majątek.

128. Karol Kamiński, lat 23, z Mińskiej gub. i pow., nie ma żadnego majątku.

129. Antoni Zenowicz, lat 25, z Wileńskiej gub. mieszka w Wilnie, nie ma żadnego majątku.

130. Onufry Pietraszkiewicz, kandydat filozofji, lat 30, z Mińskiej gub., nie ma żadnego majątku. Przyznał się, że był tylko członkiem towarzystwa Filomatów.

131. Karol Jentz ²⁾, kandydat filozofji, nauczyciel Krzemienieckiego liceum, lat 25, z Wołyńskiej gub., z miasta Krzemieńca, gdzie posiada dom.

¹⁾ E. Ostaszewski, l. c. str. 290, mówi o dwóch Terleckich.

²⁾ Dr. Szeliga, l. c., pisze to nazwisko J e n c.

132. Adam Ferdynand Adamowicz, doktor medycyny, lat 22, z m. Wilna, nie ma żadnego majątku.

133. Jerzy Mickiewicz, z Grodzieńskiej gub., Nowogrodzkiego pow., posiada dom w Nowogrodku.

134. Antoni Ptaszyński, lat 20, z Podolskiej gub., gdzie rodzice jego mają majątek.

135. Hrabia Józef Plater, lat 23, z Wileńskiej gub., Rosieńskiego pow., gdzie posiada majątek.

Nieodszukani:

136. Choderowicz.

137. Dziekoński ¹⁾.

138. Porębski Wincenty.

139. Lewal.

140. Wańkowicz.

141. Wierzbólowicz.

142. Żyliński.

Z powodu wydalenia się z Wilna i ponieważ obwiniający ich o należenie do towarzystwa Filaretów nie podali imion tych ucz-

¹⁾ E. Ostaszewski, l. c., wymienia Michała Dziekońskiego, którego w Lubaczowie w r. 1824 z Wilna wracając, widział w habicie pijarskim. Zginął zamordowany w lesie. Str. 291.

niów, policja nie zdołała jeszcze przedsięwziętymi środkami odnaleźć miejsc ich pobytu; założyciel zaś towarzystwa Zan utrzymuje, że Wańkowicz, Wierzbolowicz i Żyliński nie należeli do tego towarzystwa.

- 143. Nowicki Tadeusz.
- 144. Hamlikiewicz Mikołaj.
- 145. Grigorowicz August.
- 146. Grigorowicz Tadeusz.

Z wiadomości, teraz właśnie zebranych przez policję, okazuje się, że oni są rodem z Mińskiej gubernji. O Grigorowiczach ¹⁾ twierdzi Zan, założyciel towarzystwa, że jeden z nich, nie pamięta który, nie przyjęty został do towarzystwa.

- 147. Slezanowski, z gub. Mohilewskiej.
- 148. Horain Jan.
- 149. Sławiński Ksawery.
- 150. Pietkiewicz Dominik.
- 151. Zamacki Michał.

Z Wileńskiej gubernji Horain, jak donosi policja, znajduje się w S. Petersburgu w korpusie kadetów.

¹⁾ Nazwisko podane mylnie: Hrehorowiczów Augusta i Michała wymienia Ostaszewski Elias. E. Heleniusz: „Wspomn. polskich czasów”. tom 2, str. 233, 291.

- 152. Paprocki Ludwik } z Grodzieńskiej
- 153. Jarmołowicz Jan } gub.
- 154. Krekowiecki Jan ¹⁾
- 155. Krasicki.

Obaj z Kijowskiej gubernji; o Krasickim twierdzi założyciel towarzystwa Zan, że był przyjęty, lecz nie wprowadzony do towarzystwa.

- 156. Dolner Franciszek, z Wołyńskiej gubernji.
- 157. Żebrowski Tadeusz, z Podolskiej gubernii ²⁾.
- 158. Borysiewicz, z gub. Witebskiej.

¹⁾ Oczywista omyłka druku, spowodowana podobieństwem liter ross. *x* (*ch*) i *k*. Winno być Krechowicki Jan, Kijowskiej gub., humanistycznego pow., którego do Filaretów wprowadził Ostaszewski Elias. (E. Heleniusz: „Wspomnienia polskich czasów”, tom 2 str. 238, 289, 295, 297). Wymienia go również dr. Szeliga: „Kilka słów o Filom. i Filar. Przew. nauk. i liter. 1889 str. 728. Jankowski w zeznaniach swych wydał go, lecz nazwisko zapisano mylnie: Krekowiecki; temu zapewne zawdzięczał on, iż mógł opuścić Wilno i przenieść się na Uniwersytet warszawski. Z. Wasilewski: Prom., Fil. i Zorzanie. Arch. dla dz. lit. tom IX. str. 171.

²⁾ E. Ostaszewski l. c. str. 293 powiada o nim że pochodził z Wołynia i napisał „Sąd Minosa”.

159. Książę Ogiński Ksawery, przebywa w Królestwie Polskiem, lecz niewiadomo w jakim mianowicie miejscu: założyciel towarzystwa Zan, twierdzi, że on do niego nie należał.

160. Ginet Wiktor, rodem z Królestwa Polskiego, województwa Augustowskiego.

161. Popejko, przebywa w Gruzji jako pułkowy lekarz, lecz nie wiadomo w jakim pułku.

162. Stankiewicz, wstąpił jako lekarz do służby wojskowej, lecz niewiadomo do jakiego pułku.

163. Szydłowski Wincenty,

164. Zamajski Henryk,

165. Butkiewicz Tomasz,

166. Przeciszewski Kajetan,
z woli Bożej pomarł; ostatni z nich, Przeciszewski, jeszcze 26 października 1823 roku, w majątku ojca swego Gruzdziškach w gub. Wileńskiej, Rosieńskim powiecie, zamknawszy się w swoim pokoju, zastrzelił się, zostawiwszy do brata swego list, w którym żegnając się, napisał, że im zostawia boleść, lecz sobie czyni największe zadowolenie.

Do tej listy ułożonej przez Nowosilcowa, dodać możemy jeszcze kilkanaście nazwisk, przez niego pominiętych a wymienionych w cytowanych po wielokroć pracach dr. Szeligi i w *Silva rerum* Eliasza Ostaszewskiego.

W obszerniejszej liście dr. Szeligi mieszczącej 113 nazwisk, a ogłoszonej w *Przewodniku naukowym i literackim*,¹⁾ czytamy nazwiska pominięte przez Nowosilcowa.

1. Abramowicz Jakób²⁾.
2. Abrusznikow Aleksy (zapewne Rosjanin).
3. Bartoszewicz Józef.
4. Berens Adolf.
5. Biergiel Władysław.
6. Budrewicz Jerzy.
7. Chlewiński ksiądz.
8. Chadasewicz Michał.
9. Chomiński.
10. Florentini Jan³⁾.
11. Głowacki Franciszek.

¹⁾ Rocznik 1889. „Kilka słów o Filomatach i Filaretach.

²⁾ Nowosilcow wymienia go jako prezydenta towarzystwa Moralnego w Świsłoczy.

³⁾ W liście podanej w pracy dr. Szeligi, p. t. „Proces Filaretów“. Arch. do dziej. lit. i ośw., tom VI str. 244 wydrukowano; Florentini,

12. Groński Justyn.
13. Gutt Ferdynand.
14. Januszewski Adolf.
15. Januskiewicz Eustachy.
16. Kaczkowski Adam,
17. Kaczkowski Karol.
18. Kałkowski Michał.
19. Konarski Szymon.
20. Korsak Juljan.
21. Kozakiewicz Aleksander.
22. Kozakiewicz Karol.
23. Kublicki.
24. Kublicki Adolf.
25. Massalski Józef.
26. Parczewski.
27. Petrulewicz ksiądz.
28. Przecławski.
29. Rogalski Adam.
30. Rogalski Adam.
31. Spitznagiel Ludwik.
32. Szolajewski Djonizy.¹⁾
33. Wołowicz Michał.
34. Zabiello.

Nadto Eliasż Ostaszewski w swoim *Silva Rerum* tylko, niestety, w wyjątkach ogło-

¹⁾ Nowosilcow zwie go Szolajewskim i wymienia nie w spisie Filaretów, lecz w sprawie świsłockiej.

szonem przez E...go Heleniusza we „Wspomnieniach z dawnych czasów“¹⁾ wymienia jeszcze następujących, gdzieindziej nie wspomnianych Filaretów:

1. 2. Terleckich dwóch.
3. Karabanowicz Wincenty.
4. Strawiński Adam.
5. Sosnowski Leonard.
6. Łuszczyński Feliks.
7. Roszkowski Arkady.
8. 9. Jacynów dwóch.
10. Staniszewski Wincenty.
11. Dmochowski Aurelian²⁾
12. Gałęzowski Seweryn.
13. Murawski, lekarz.
14. 15. Dwaj Giecołdowie.
16. Burnejko, Żmudzin,
17. Szymkajło, medyk.
18. 19. Wołodkowiczów dwóch.

¹⁾ str. 293.

²⁾ E. Ostaszewski (str. 292) pisze o nim: „Sekretarz komisji sądowej eduk. wileńskiej, człowiek bogaty, kasjer Towarzystwa, wspierającego biednych uczniów. W r. 1825 znikł bez śladu, znaleziono potem jego ciało zrąbane w kawałki, rzucone w kloak. Odkrył się zabójca, lokaj jego, chłop podlaski, który ciągle dawał na msze św. za duszę Aureliana. To wzbudziło podejrzenia,

20. Romer¹⁾
21. Slizień Edward.
22. Smokowski.
23. Rener, farmaceuta.
24. Homolicki, lekarz.
25. Pierożyński, lekarz.
26. Orlicki ²⁾.
27. Szelking.
28. Snarski Józef.
29. Zahorowski Franciszek.

Mamy tedy nazwisk 63, które dodane do 166 wymienionych w raporcie Nowosilcowa, kompletują listę Filaretów do wysokości 229. Nie wliczam tu wątpliwych nazwisk, które mogą oznaczać jedną i tą samą osobę, jak np. Cwikmocz (Nowosilcow) i Cwiklicz (Dr. Szeliga) lub Herkulian Abramowicz (Nowosilcow, dr. Szeliga) i Aurelian Abramowski (E. Ostaszewski), Marcewski i Maciejewski i t. p.

Biorąc na uwagę dwie pierwsze kategorie spisu Nowosilcowa, t. j. od nr. 1 do 135, jako podające bliższe szczegóły

¹⁾ Nowosilcow i dr. Szeliga wymieniają Henryka Romera, Ostaszewski pisze: Romerów dwóch.

²⁾ Nowosilcow i dr. Szeliga wymieniają Domika Orlickiego; Ostaszewski pisze: Orlickich dwóch.

o pochodzeniu, obrządku i majątku obwinionych Filaretów, możnaby, o ile starczy tych szczegółów, zrobić następujące jeszcze, zapewne nie bez interesu i znaczenia, zestawienie:

A) *Pod względem obrządku*, Nowosilcow wymienia w liście Filaretów dziewięciu unitów, synów księży ruskich. Są to: 1. Krasowski Tomasz, 2. Pawłowicz Tomasz (Pawłowski), 3. Kowalewski Józef, 4. Kraskowski Józef, 5. Grudziński Urban. 6. Kocewicz Adam, 7. Miłakowski Teodor, 8. Michajłowicz (Michalewicz) Jan i 9. smutnej pamięci Jankowski Jan.

B) *Pod względem pochodzenia:*

- a) z Królestwa Polskiego 5.
- b) z Wołynia 12.
- c) z Ukrainy 5.
- d) z Podola 1.
- e) z Galicji 1.

Reszta pochodziła z Litwy.

C) *Pod względem stosunków majątkowych:* Filaretów, posiadających majątki ziemskie, lub mających rodziców właścicieli ziemskich, wylicza Nowosilcow w pierwszych dwóch kategoriach 56; właścicieli domów 8; posiadaczy mniejszych kapitałów w gotówce 2.

Na ogólną liczbę 135 liczba 67 zamożniejszych byłaby dość znaczna.

C) *Co do wieku.* Bardzo to wymowne zestawienie, uwidoczniające, że większość z tych niebezpiecznych, zdaniem Nowosilcowa, przestępców, liczyła od lat 15 do 23! Ale niech mówią cyfry:

1 lat 15	11 lat 24
3 „ 17	10 „ 25
6 „ 18	7 „ 26
3 „ 19	6 „ 27
11 „ 20	5 „ 28
18 „ 21	3 „ 29
18 „ 22	3 „ 30
79 „ 23	

Co do jedenastu Filaretów Nowosilcow nie podaje wieku w swym spisie; wątpliwości jednak ulegać nie może, że nie zmieniłoby to w niczem stosunku cyfr powyżej podanych, które wzmagając się od 15 do 23 roku, odtąd zaczynają się stale obniżać.

Najmłodszymi byli Jan Grodkowski (15 lat), Otton Ślizień, Stefan Makowiecki, Jakób Grodkowski (17 lat), Władysław Heydatel, Herkulian Abramowicz, Justyn Ciecierski, Edward Półjanowski, Adam Łyszczyński, Aleksander Chodźko (18 lat), Hromowicz,

Józef Jeżowski (Litwin nr. 12), Rafał Ślizien (lat 19). Adam Mickiewicz, liczący lat 24, miał dziesięciu najbliższych sobie wiekiem, w tej liczbie Mikołaj Malinowski, Tomasz Massalski, Jan Miskiej, Józef Kowalewski, Dominik Chodźko.—Najstarszymi byli ksiądz Lwowicz, Józef Jeżowski (Ukrainiec, nr. spisu 112) i Onufry Pietraszkiewicz (lat 30). Ten, który całą sprawę zdradził i stał się przyczyną tylu cierpień i prześladowań, Jan Jankowski, liczył zaledwie lat dwadzieścia... Wiek młodociany, oraz groźby i udręczenia, których mu nie szczędzono, będą mu poczytane niewątpliwie za okoliczności łagodzące przed trybunałem narodu.

Ze wspomnień 1809 roku.

Rok 1909 przyniósł wiele cennych prac, odnoszących się do pamiętnej przedstuletniej daty, które dorzuciły niemało szczegółów do historii okresu, pełnego obietnic, mających niebawiem obrócić się w niwecz. Żadne jednak, chociażby najskrzętniejsze opracowanie tych dziejów nie może dać tak dokładnego o nich pojęcia, tak nas wtajemniczyć we wrażenia tej chwili, jak współczesne listy i pamiętniki.

Szczegółnej uprzejmości hr. Ignacego Krasickiego z Bachórzca zawdzięczamy urywek z dziennika stryjecznego dziada jego, Ignacego hr. Krasickiego, obejmujący okres czasu od 28 maja do 28 czerwca 1809, to jest właśnie ten miesiąc, który dla Galicji a zwłaszcza dla Lwowa ma szczególniejsze znaczenie. Dziennik ten w prostych, niewyszukanych słowach maluje wybornie głębokie, patryotyczne uczucia, jakimi piszący i ogół miesz-

kańców Galicji był podówczas przejęty. — Dzień po dniu widzimy, z jaką niecierpliwością gorączkową autor dziennika, przebywający w Malejowcach na Podolu, wygląda wieści z Galicji, z jaką radością spieszy do Lwowa, dowiedziawszy się o wkroczeniu wojsk polskich, z jaką skwapliwością chwyta po drodze nowiny, jak przybywszy już do Lwowa, oświadcza natychmiast generałowi Rożnieckiemu, iż gotów jest dwie wsie sprzedać na uformowanie pułku. Podaje też ten dziennik mnóstwo drobnych a charakterystycznych szczegółów o organizacji krótkotrwałego rządu polskiego we Lwowie. Jest to niewątpliwie ciekawy dokument chwili, za możność ogłoszenia którego wyrażamy na tem miejscu najszczerzejsze podziękowanie hr. Ignacemu Krasickiemu.

Podajemy dziennik ten bez zmiany, objaśniając go tylko i uzupełniając w niektórych miejscach datami, zaczerpniętymi ze współczesnego „schematyzmu“ urzędowego i innych wiarogodnych źródeł.

Autor dziennika Ignacy hr. Krasicki (ur. 1767, zm. 1844 r.), właściciel dóbr Stratyna w Brzeżańskim, Trybuchowiec, Bobuliniec itd. w Czortkowskim. wielki łowczy, potem podkomorzy król. Galicji i Lodomerji, deputat stanów galicyjskich, znany w swoim cza-

sie numizmatyk, był synem Antoniego hr. Krasickiego (ur. 1736, † 1800), kasztelanica chełmskieg i Róży z Charczewskich kasztelaniki słońskiej, damy Krzyża gwiazdzistego. Poślubił Magdalenę z Olbrachcie Bielską, kasztelanę halicką i z niej miał dwóch synów, zmarłych w młodym wieku: Antoniego i Zygmunta, oraz córki: Różę, żonę Adama Orłowskiego z Jarmoliniec i Malejowiec oraz Konstancję, żonę Michała hr. Brzostowskiego.

Dziennik swój rozpoczął pisać hr. Ignacy w Malejowcach, u zięcia swego Adama Orłowskiego, który później, w r. 1820, był marszałkiem szlachty powiatu płoskirowskiego. — Malejowce, piękna wieś podolska, leży w powiecie uszyckim nad rzeką Uszką. Posiada piękny pałac, zbudowany cały z miejscowego ciosowego kamienia a wznoszący się nad skalistym jarem, zamienionym w jeden z najwspanialszych w tej okolicy ogrodów. W pałacu mieściła się kaplica, filia kościoła parafialnego w Mukarowie, (później przez rząd rossyjski zamknięta), biblioteka i bogaty gabinet numizmatyczny.

W tej oto pięknej rezydencji, goszczony przez zięcia i córkę, oczekiwał hr. Ignacy Krasicki wieści z Galicji. A była to istotnie chwila niezmiernej wagi.

Po bitwie pod Raszynem i szczęśliwej roz-

prawie pod Górą wkroczyło wojsko polskie do Galicji. Książę Józef Poniatowski z głównym sztabem swoim stanął d. 14 maja pod murami Lublina, a ztąd 20 maja posunął się do Ulanowa, zkąd wydał odezwę, wzywającą Polaków galicyjskich do łączenia się z wojskiem polskim. D. 18 maja stoczono bitwę pod Sandomierzem, którego załoga zmuszona była do kapitulacji; następnie zdobyto szturmem Zamość. Książę Józef staje główną kwaterą w Trześni i ztąd wydaje rozkaz dzienny w którym zawiadamiając o tych dwu zdobyczach, zapowiada wkroczenie wojska polskiego do Lwowa, ku któremu dążył generał Roźniecki po wzięciu Jarosławia.

W tym czasie hr. Ignacy Krasicki przebywa jeszcze w Malejowcach i rozpoczyna pisać swój dziennik, w którym czytamy:

28 *maja*. Dziś spodziewam się listu z Galicji i na niego z niecierpliwością oczekuję, wszyscy prawie zajęci są nowinami tak ważnemi.

Panowie Czarneccy przyjechali także do wiedzic się czegoś pewnego, ale cały dzień dziś przeszedł i nie mieliśmy wiadomości. Różia ¹⁾ biedna znowu cierpiała, ale mniej;

¹⁾ Córka piszącego, żona Adama Orłowskiego.

jeździliśmy po obiedzie do Pasiaki, która dawniej do pani Komarowej należała; w bardzo pięknej jest pozycji; tam piliśmy kawę i przechadzaliśmy się po skałach pomiędzy źródłami. Prawdziwie Malejowce admiracji warte; prześliczną z tego miejsca natura rzecz zrobiła, bo to widoki najpiękniejsze, wody wszędzie bez końca, i wieczór przepędziliśmy w oczekiwaniu.

29 maja. Bardzo rano przecież doczekaliśmy się listów ze Lwowa; piszą pewnie, że już Polacy w Żółkwi i że pewnie przyjdą do Lwowa. Nowina ta nieskończenie nas wszystkich ucieszyła, mnie zaś zupełnie zdeterminowała, że porzuciwszy wszystkie projekta wojażów, zaraz wracam do domu i do Lwowa; nie trzeba opuścić takiego momentu, gdzie ojczyźnie można być użytecznym i jej służyć; co bądź to bądź niech nastąpi, na to, i ekspensa zważać nie trzeba. Udeterminowałem się jechać we wtorek, prosiłem p. Adama, ¹⁾ aby wszystko rozdysonował i konie rozstawił do Białozórki, ²⁾ zkąd i lepiej

¹⁾ Zięć, Adam Stefan Orłowski, ur. 1780 † 1848, marszałek szlachty pow. płoskirowskiego (1820). — (Przyp. wyd.).

²⁾ Miasteczko w pow. krzemienieckim na Wołyniu, od Zbaraskich przeszło do Wiśniowieckich,

przejechać suchą granicą można, i kasztelan Brzostowski go¹⁾ zobaczyć i przędzej we Lwowie stanąć można. Cały dzień przeszedł na formowaniu koniunktur w nadziejach pomyślnych.

30 Maja. Cały dzień jeszcze w Malejowcach bawiłem. Oddałem panu Adamowi interes mój Berdyczowski, prosząc go bardzo żeby te pieniądze w prędkości przysłał. Z niecierpliwością oczekiwałem momentu wyjazdu, nie mogłem się tak dłużej bawić, trzeba jechać, gdzie koniecznie obowiązek woła. Różia znowu febrę miała, nie mogłem się z nią długo bawić i nawet nie żegnałem się. W nocy, po kolacji, wyjechałem; bardzo pogodna noc była i miesięczna. Zajechałem do Jar-

potem własność Ogińskich, a wreszcie Brzostowskich. Jest tu piękny kościół parafialny i pałac. --- (P. W.).

¹⁾ Aleksander Brzostowski, starosta wołkowski, poseł ziemi wieluńskiej, starosta sokołowski, kawaler orderu Orła Białego i św. Stanisława, wreszcie kasztelan mazowiecki (1791), ożeniony z Anną Wodzińską, podstolanką liwską. Wraz z bratem Ksawerym otrzymał w r. 1798 pruski tytuł hrabiowski. Syn jego, Michał, ożenił się (1808 r.) z drugą córką autora dziennika, Konstancją hr. Krasińską — (P. W.).

molinieć ¹⁾ koło północy, odmieniwszy prędko konie, przyjechałem do Mszany, gdzie znowu na mnie konie czekały. Ztamtąd zajechałem do Białozórki o 10-tej zrana; dzień był pogodny.

31 Maja. Pan kasztelan jak najczulej mnie przyjął, uwiadomiony już był o moim przyjeździe; zastałem tam także córkę ²⁾ jego z panem Raciborowskim Ludwikiem; wzajemnie opowiadaliśmy sobie wiadomości, najprzód nagadawszy się i naturbowawszy o dzieci nasze, od których dawno już wiadomości nie mając.

Od dawna już nie czytałem gazet, kontent bardzo byłem znalazłszy tu *Kurjera Litewskiego*, gdzie przeczytałem najprzód relacje naj-

1) Miasteczko w pow. płoskirowskim, niegdyś własność Korczaków Jarmolińskich, przeszło drogą sprzedaży do Marchockich, a od nich do Orłowskich. Jan Onufry Orłowski, łowczy koronny, wykończył i ozdobił klasztor OO. Bernardynów, skasowany następnie przez rząd rossyjski i zabrany na cerkiew. — Jest tu kościół katolicki, fundowany przez Adama Orłowskiego (1793). — (P. W.).

2) Aleksandra Brzostowska. 1^o voto za Swiękowskim, 2^o voto za Ludwikiem Raciborowskim.

dokładniejsze o zdarzeniach wojennych Francuzów z Niemcami, raport całkowity o batalii pod Ratisbonne; co zaś najciekawszego, to deklarację wojny, uczynioną przez Moskwę Austrii; nie tylko zaś deklaruje im wojnę, ale jeszcze posyła kilkadziesiąt tysięcy wojska, które się łączą z Polakami i mają służyć pod księciem Józefem, bardzo kontent byłem z przeczytania tych nowin.

Przebrawszy się, chodziliśmy z panem kasztelanem po ogrodzie, który duży, w gradusy wielkie, i dawne drzewa ozdabiają go; jest zupełnie regularny i na model dawnych francuskich zrobiony; nie można go odmieniać, chyba z wielką pracą. Domy dwa, czyli oficyny, murowane, jedną facyjatą ozdobione. Apartamenta bardzo duże i piękne, osobiwie salon; przy domu kościół, wszystko razem wielką formuje rezydencję; widać także z zabudowania murowanego i gospodarskich budynków, że kasztelan porządnie wszystko utrzymuje. Obiad zjadłem bardzo smaczny, po którym znowu bawiliśmy się.

Dowiedzieliśmy się także, że jeden korpus moskiewski tędy ma przechodzić jutro. Wieczór obchodziliśmy i miasteczko i folwark; wszystko porządne. Nagadawszy się wieczór i różne projekta porobiwszy, widać w nich było bojaźń odmian w kasztelanie; doświad-

czywszy już rewolucji, boi się nowych. Obiecawszy mu, że jutro jeszcze ranny obiadek zjem w Białozórce, poszedłem wcześniej spać niespawszy nic przeszłej nocy i zmordowany będąc prędką podróżą.

1 czerwca. Najczulej pożegnawszy się z p. kasztelanem i Raciborowskim, wyjechałem z Białozórki. Przejeżdżałem przez komorę w Szczęsnowie, gdzie trochę zatrzymałem się, człowiek bowiem ugadzający kozaków, klócił się z nimi. Ułatwiwszy jednak tę przeszkodę pieniędzmi, dalej moją podróż kontynuowałem.

W Zbarażu dowiedziałem się, że już tę część Galicyi zajęli Polacy i że dziś w Tarnopolu zgromadzeni obywatele zatrudniają się wyborem urzędników cyrkularnych; jak najspieszniej tedy do Tarnopola jechałem. Przyjechawszy tam koło jedynastej w nocy, zastałem miasto illuminowane, ludzi wiele na rynku i wojsko Polskie, część regimentu Turny, idącego do Zaleszczyk.

Nie mogę wyrazić, jakie ukontentowanie czułem z widzenia Polskiego wojska i nadziei odradzającej się ojczyzny. Poszedłem zaraz do pana Krosnowskiego,¹⁾ który w Zagrobeli mie-

¹⁾ Wincenty Krosnowski, ożeniony z hr. Antoniną Komorowską h. Korczak,

szka i od którego najwięcej nowin i najpewniejszych dowiedzieć się mogłem. Zastałem go jeszcze nie śpiącego, powiedział mi, że korpus Polskiego wojska pod księciem Józefem wszedł najprzód do nowej Galicyi, tam zwyciężywszy Austryaków, wzięto Zamość, potem Sandomierz,¹⁾ a oddział pod Roźnieckim zajmując Jarosław, Przemyśl, do Lwowa wszedł 27 maja. Tam Roźniecki tymczasowy Rząd formuje, rozesławszy po cyrkulach oficerów, aby obywateli do urzędów wzywali i zaraz władze cyrkularne i regimenta formowali. To się już w Tarnopolu stało, obrali prezesem Konopkę, wiceprezesem Zabielskiego, deklarowali wystawić regiment i prócz tego Gwardyi cyrkularnej czterysta głów. Dowiedziałem się także od Krosnowskiego, że Wiedeń przez Napoleona 13 maja wzięty po szturmowaniu, że znaczna część Czech przez Francuzów zajęta, że Zamość wzięty szturmem, Hilary Krasiński pierwszy na mury wskoczył; pod Sandomierzem Marcei Lubomirski zginął, tysiąc innych nowin.

Podług rady Krosnowskiego nie pojedę jutro na Brzeżany, dokąd jechać myślałem, tylko prosto do Lwowa, gdzie mnie zapew-

¹⁾ Myli się tu autor, przed Zamościem wzięty był Sandomierz.

nia, że będę miał w Rządzie miejsce. Bardzo późno poszedłem spać, zajęty wszystkimi nowinami i ukontentowaniem nadzwyczajnych a pomyślnych tych nowin.

2 Czerwca. Koło godziny ósmej pożegnałem się z Krosnowskim, a posławszy moje konie do Stratyna, pojechałem prosto do Lwowa, gdzie szczęśliwie o jedenastej w nocy zjechałem prosto do oberży Żorża, zastałem tam moich siostrzeńców Stadnickich,¹⁾ którzy mnie o wojennych zdarzeniach w Polsce najlepiej poinformowali. Arcyksiążę Ferdynand wszedłszy do Księstwa Warszawskiego, chciał aby Polacy broń złożyli; ci chociaż w małej sile, bronić się postanowili; zaszła batalia pod Raszynem, gdzie ośm tysięcy Polaków potrafiło się oprzeć pięćdziesiąt tysiącom Austryaków ale bojąc się przypadków nieszczęśliwych, usunęli się pod Pragę. Austriacy zaś przez kapitulację Warszawę wzięli. Arcyksiążę pełen projektów rozdzielił swoje wojsko na trzy części: z jedną poszedł pod Toruń, w myśli złączenia się z Prusakami; drugą część posłał ku Poznaniowi, sukursować zbuntowanych Szlązaków pod Szylem komendantem, trzecia część ks. Józefowi opierała się, ale ta

¹⁾ Aleksander i Jan Stadniccy, synowie Józefa, starosty ostrskiego i Katarzyny z Krasickich,

w kilku zderzeniach, osobliwie pod Kockiem zawsze pobita, nie wstrzymała księcia Józefa w marszu, który jak wczoraj pisałem, Zamość, Sandomierz wzięwszy, Lwów zajęła, wszędzie cyrkulę organizując i gwardyę cyrkularną i regimienta formując. Sam książę pod Sandomierzem zostawszy, tu Roźnieckiego przysłał, który pobiwszy Niemców pod Jarosławiem, postąpił do Lwowa. Ks. Hohenlohe mając zé cztery tysiące wojska, najwięcej z rekrutów złożonego, najprzód do Stanisławowa, potem do Zaleszczyk retyrował się. Tu Roźniecki uformował Rząd następującym sposobem, że dodał do każdej magistratury dozorców, zostawił Niemców na swoim miejscu, do pracy i do kontynuowania interesów, nie ci jednak bez dozorców i ich aprobaty działać nie mogą.

I tak do Stanów dodał za prezesa wojewodę bełzkiego Potockiego¹⁾ i innych sześciu; do Gubernium za prezesa Miączyńskiego²⁾ i konsyliarzy dwunastu; do administracji dóbr narodowych Lewic-

¹⁾ Teodor Potocki, woj. bełzki, † 1812, starosta smotrycki i olsztyński, ożen. z Karoliną z XX Sapiechów, córką ks. Aleksandra Michała, hetmana polnego i kanclerza W. Lit.

²⁾ Ignacy hr. Miączyński, pan na Zawieprzycach w Lubelskiem i Pieniakach w Galicji, staro-

kiego¹⁾ i dziesięciu radców; do administracji cel, fabryk, Tarnowskiego i innych; do apelacji Orzechowskiego; do forum Krosnowskiego; do fiskusa Bieńkowskiego; do sądów kryminalnych Hulewicza; do poczt Rozwadowskiego i innych itd. Za prezesów, jak dotąd wiem, do Zamościa Rulikowskiego,²⁾ do Żółkwi Niezabitowskiego,³⁾ do Lwowa Uruskiego,⁴⁾ do Przemyśla Baworow-

sta śnidziński i rotmistrz kawalerji narodowej, c. k. tajny radca, kaw. ord. Orła Białego i św. Stanisława, ożeniony z Anielą hr. Bielską, starośc. rabsztyńską. Był synem Józefa hr. Miączyńskiego, generał-majora wojsk koronnych, rotmistrza chorągwi husarskiej i Katarzyny Potockiej, kasztelan-ki słońskiej.

1) Józef hr. Lewicki z Chorostkowa, wielki strażnik sreber kor. galic. koniuszy w. kor. galic. Ożeniony z Katarzyną Kaczkowską herbu Świnka, cześnikówną owrucką.

2) Wincenty Rulikowski z Homiatycz, senator kasztelan Królestwa Polskiego 1818—1831, ożeniony z Eleonorą Leszczyńską.

3) Zapewne Jan Jakób Niezabitowski, wł. dóbr Butyny i Przystanie w pow. żółkiewskim. — Ożen. z Ludwiką hr. Dunin Borkowską.

4) Kajetan Uruski, wł. Bilki, Bukaczowiec, Kłodna ect., † 1827. miecznik kor. galic., syn Macieja i Antoniny Benoe. Ożeniony był z Wandą hr. Potocką.

skiego,¹⁾ do Złoczowa Kownackiego, do Rzeszowa Straszewskiego, do Sanoka Parysa,²⁾ do Brzeżan Seweryna Kalinowskiego,³⁾ do Tarnopola Konopkę, do Stanisławowa Ludwika Kalinowskiego, do Zaleszczyk Jędrzeja Szumlańskiego; reszta przez Niemców trzymane.

Zmordowany spałem wysmienicie. Dzień był pogodny.

3 Czerwca. Wstawszy o szóstej godzinie, poszedłem do generała Roźnieckiego, którego dawniej jak najlepiej znałem, przyjął mnie jak dawny przyjaciel i zaraz zapytał, jakbym chciał Ojczyźnie służyć. Odpowiedziałem mu, że jakim bądź sposobem, zawsze będę czynił moje obowiązki z największem ukontentowaniem. Zrobił mnie tedy konsyliarzem dozorcą gubernii do wydziału nauk i na to patent dał, z czego mocno byłem kontent.

1) Wiktor hr. Baworowski, ożen. z Julją Anną ze Ścibor Marchockich.

2) Ignacy Józef hr. Parys z Zgrozy, syn Stanisława, który pierwszy otrzymał w Austrii tytuł hrabiowski i Sóltykównej, córki miecznika pilźnieńskiego.

3) Seweryn hr. Kalinowski, st. dobrohostawski, kaw. ord., św. Stanisława, wł. Husiatyna, Petlikowiec etc., ożen. z Elżbietą Bielską, siostrą Ignacewej Krasickiej.

Zastąłem tamże generała Kamińskiego, z którym się poznałem. Rozgadawszy się z nim,¹⁾ potem powiedziałem moją myśl i ochotę w tych okolicznościach formowania pułku; a na to chcę sprzedać dwie wsie Bobulińce i Kujdanów, za które mogłem dostać do ośmiukroćstotysięcy i te ofiarować na formowanie tegoż. Ale mi na to odpowiedział, że szlachetny jest ten zapał dla Ojczyzny, ale go nie znajduje potrzebnym, najprzód dla tego, że nie jest jeszcze pewnem, czy te wszystkie czynności ks. Józefa będą aprobowane przez Wielkiego Napoleona, powtóre, że bez tych ofiar każdy cyrkuł będzie musiał wystawić do dwóch regimentów, na co ekspens już na obywatelów będzie znaczny.

Zabawiwszy się z godzinę, powiedział, mi że o jedenastej będzie wprowadził wszystkie magistratury, ażebym się tedy znajdował także w gubernium, gdy nas wprowadzować będzie. O wspomnianej godzinie zeszły się prawie wszystkie magistratury, nowo kreowane, które kolejno generał Rożniecki wprowadził najprzód Stany, potem nas. Przyszedłszy do izby, znaleźliśmy wszystkich konsyliarzy; na

¹⁾ Z Rożnieckim.

miejscu zaś Wurmsera,¹⁾ który przy armii arcyks. Ferdynanda znajduje się, konsyliarz nadworny Miczaj²⁾ prezydował.

Miał najprzód mowę, generał, w której wyraził, że okoliczności wojenne wkładają na niego obowiązki dla dobra publicznego dodać dozorców konsyliarzy, którzyby wglądali we wszystkie ich czynności i te, jeżeliby z dobrem nowej sprawy zgadzały się, żeby aprobowali, jeżeliby przeciwnie były, żeby ich (*sic!*) odrzucili; żądał oraz ich słowa honoru, aby temu byli posłuszni, inaczej miejsca swoje utracą. Na co wszyscy jednomyślnie zawolili. Generał wyszedł, my zaś sesją kontynuowali od zapisania protokołu tej sesji, którzy tak dawni konsyliarze jako i my podpisaliśmy.

Z nas przytomni byli: Międzyński prezes, książę Maciej Jabłonowski,³⁾ Kicki

¹⁾ Wiceprezydent gubernialny Krystyan hr. Wurmser, rzeczywisty tajny radca, komandor orderu św. Stefana, podkomorzy (mieszkał w Śródmieściu nr. 290). Stanowisko gubernatora podówczas wakoowało. (Schematismus des Königreiches Galizien und Lodomerien, für das Jahr 1809).

²⁾ Mitscha Franciszek Adam, rzeczyw. radca Dworu, mieszkał w Śródmieściu nr. 79 (l. c.).

³⁾ Ur. 1757, † 1844, rotmistrz kawalerji nar., starosta kowelski, ożeniony z Dominiką Szeptycką, kasztelanką przemyską.

starosta, Ignacy Morski, łowczy Chołojewski, Siemianowski, Bąkowski i ja. Do medycyny konsyliarz Massoch.¹⁾ Na tem ta pierwsza skończyła się sesja, solwowana do poniedziałku. Poszedłem potem na obiad do Baworowskiego Józefa,²⁾ gdzie kilku z młodzieży znajdowało się, opowiadał mi o radości nadzwyczajnej wszystkich, gdy do Lwowa Polacy wchodzili, o illuminacjach; jak potem orły cesarskie zrzucano, z jakim wstydem Niemcy przed siedemnastu Polakami ze Lwowa ustępowali, ale prawda, że wszędzie, gdzie tylko jaka utarczka zachodzi Austriaków z Polakami, rekruci galicyjscy przechodzą na stronę Polaków; i w Zamościu i Sandomierzu dopomagali do wzięcia tych miejsc. Po obiedzie byłem w różnych miejscach z wizytami; u pani Komarowej,³⁾ potem także u generała Roźnieckiego, który nam wiele o Napoleonie powiadał. Ma wyjechać jutro do armii ks. Józefa, który

¹⁾ W schematyzmie 1809 r. na str. 277 zapisany w liczbie praktykujących we Lwowie lekarzy Franz Massoch, professor emeritus“.

²⁾ Członek Stanów galic. Ożeniony z Felicją hr. Starzeńską, umarł 1841 r.

³⁾ Z Orłowskich Komarowa, siostra Adama Orłowskiego.

teraz w Trześni niedaleko Sandomierza stoi. Ma mieć komendę na miejscu jego generał Kamiński.

Do niedouwierzenia, jaką znalazłem odmianę we Lwowie, wszystkich znalazłem garnących się albo do służby wojskowej albo do cywilnej. Adam Potocki¹⁾ już dostał patent na regiment formować się mający we Lwowie, do którego wiele młodzieży tutejszej poszło. Oleś Stadnicki jest w nim umieszczony jako porucznik, Wieczór przepędziłem w ogrodzie Jezuickim i na Wałach.

4 czerwca. Dziś niedziela, sesji nie było miałem tedy czas bawić się i różnych dowiedzieć się rzeczy. Najprzód kontent byłem, dowiedziawszy się, że wszyscy w Dubiecku zdrowi, że pan Ksawery²⁾ obrany został komendantem kawalerji w Sanoku, pan Maciej³⁾ także koniecznie pójść chciał, ale mu to odradzili i dobrze zrobił, że się przy najmniej choć jeden został przy domu i go-

¹⁾ Syn Teodora, woj. bełzkiego, ur. 1776, † 1812, pułkownik 11 pułku jazdy wojsk Ks. warszawskiego, starosta olsztyński i jarucki, ożeniony z Maryanną Roztworowską, starościanką liwską.

²⁾ Ksawery Krasicki z Liska, brat piszącego, ur. 1774, † 1844.

³⁾ Maciej Krasicki z Dubiecka, brat autora dziennika. Ożeniony z Teofilą hr. Stadnicką, starościanką ostrską.

spodarstwie. Józio¹⁾ bardzo dobrze zrobił, został umieszczony jako porucznik w regimencie hułanów Tyszkiewiczza; Jaś Stadnicki także chce być w wojsku, ale jeszcze nie ma miejsca.

Dziś także zatrudniony byłem pisanem do Malejowiec wszystkich nowin, których tak bardzo ciekawi. Obiad dawałem u siebie dla młodzieży, gdzie długo i wesoło bawiłem się. Wieczór dziś przyjechał pan Zamojski²⁾. Z panem Matuszowiczem mają nową magistraturę formować, o tem jeszcze dziś dokładnie nie dowiedziałem się.

Wieczór znowu w ogrodzie i na wałach przepędziłem, gdzie najwięcej ludzi i gdzie najwięcej dowiedzieć się można. Wojska polskiego stoi jeden regiment Przebendowskiego we Lwowie. Dzień znowu był piękny.

5 czerwca. Z rana wstawszy, zeszliśmy się konsyljarze dozorczy do starosty Kickiego, gdzieśmy się dowiedzieli od prezesa Miączyńskiego, że ks. Józef obrał Radę centralną, która zwierzchnią magistraturą ma być nad

¹⁾ Józef Krasiecki, najmłodszy brat, zmarł wskutek ran odniesionych pod Sandomierzem.

²⁾ Ordynat Stanisław Kostka hr. Zamojski, w r. 1810 senator-wojewoda Ks. Warszawskiego, ożeniony z Zofią ks. Czartoryską, córką generała ziem podolskich. Ur. 1775, † 1856.

wszystkie inne, tej członków ma być siedem. Zamojski prezes, konsyljarze: Matuszewicz, Miączyński, RembIELIŃSKI, Dzierzkowski, Lewicki, siódmy nie mianowany; sekretarzem centralności Maksymilian Lewicki. W dekrete na tę radę jest wyrażone, że wszystko w imieniu Wielkiego Napoleona ma się dziać, wszystkie magistratury mają jej być posłuszne i ta miejsca wakuujące w innych ma nominować. Władza tedy nas dozorców zmniejszona. Ale na to nie zważaliśmy, bo jak bądź, zawsze miło służyć ojczyźnie¹⁾

¹⁾ Krótką wzmianką zaznaczona ta zmiana była większej doniosłości. Książę Józef zamianował zrazu intendentem generalnym armii na Galicję Rajmunda RembIELIŃskiego, nadając mu obszerną władzę. Po zajęciu Lwowa, gen. Roźniecki zorganizował natychmiast tak zw. „dozór“ i ustanowił „rząd galicyjski“, powołując na prezesa Stanów krajowych Teodora Potockiego, woj. bełzkiego — a przewodnictwo w rządzie gubernialnym oddając Ignacemu Potockiemu. Wkrótce jednak spostrzegł książę Józef, że tak wybór zbyt krewkiego RembIELIŃskiego jak i dokonana organizacja rządu galicyjskiego nie były zupełnie odpowiednie. To też rozkazem dziennym, datowanym z Trześni w pierwszych dniach czerwca, zniósł zupełnie „gubernium lwowskie“, a natomiast ustanowił „Rząd wojskowy tymczasowy centralny“ pod protekcją Napoleona, złożony z sześciu członków pod przewodnictwem

Radziliśmy potem, jak sobie postąpić z Niemcami, którzy zapewne nie zechcą służyć pod imieniem Napoleona; dowiedzieliśmy się, że ich usługi mniej potrzebne będą, gdy między nas rozebrane będą departamentu materje, któremi się teraz gubernium zatrudnia i wszystko po polsku będzie się reformować. Z tem tedy na sesję poszliśmy, gdzie już zgromadzonych konsyljarzy Niemców znaleźliśmy. Po przeczytaniu aktu, który centralną komisję stanowił, zagaił nasz prezes Miączyński, aby do najważniejszych przystąpić materji, które są: utrzymanie kredytu bankocetli, ustanowienie papieru stemplowego, który zabrany był przez dawny rząd, narreszcie oddanie depozytów Lubelskiego Forum. Nim do traktowania tych interesów przyszło, zabrał głos pan konsyljarz Exner,¹⁾ nadworny, mówiąc: że do żadnej pracy nie chce przystępować, gdy słyszy, że rząd terazniejszy pod imieniem Napoleona odbywać się ma, że jego przysięga i sumienie na to

siódmego Stanisława Zamoyskiego. (Patrz Kajetana Koźmiana „Pisma prozą“, Szymona Askenazego „Książę Józef Poniatowski“, Stanisława Schnür-Pepłowskiego „Z przeszłości Galicji“. — Przyp. wyd.).

¹⁾ Georg Oechsner, rzeczyw. radca Dworu, mieszkał na Krakowskim Przedmieściu „im Kasaschen Hause“ (Schematismus str. 34).

nie pozwala. Konsyljarze Kolmanhuber,¹⁾ Rose²⁾ Pinkas,³⁾ Weinroter,⁴⁾ Bernard,⁵⁾ Zincler⁶⁾ i inni tegoż byli zdania. Inni mniej skrupulatni, osobliwie Miczay,⁷⁾ Delevaux,⁸⁾ Binder,⁹⁾ Riteym,¹⁰⁾ Schmuttermayer,¹¹⁾ zwłaszcza, gdyśmy im wystawiali, że dali już słowo honoru ge-

¹⁾ Ignac Kolmanhuber, „gubernialrath“, mieszkał „am Stadtwall 321“ (Schematismus l. c.).

²⁾ Franz de Paulo Roger, sekretarz gubernialny, mieszkał przy ul. Dominikańskiej 170 (l. c.).

³⁾ Johann Baptist Pinkas, „gubernialrath“, mieszkał „in der Stadt“ 23 (l. c.).

⁴⁾ Franz Edler von Weyhrother, radca gub., mieszkał in der neuen Gasse 193 (l. c.).

⁵⁾ Joseph Franz Bernhard, radca gub., mieszkał „am Baarsüsserthor 195“ l. c.

⁶⁾ Zeisel Andrzej „Lemb. Domdechant, geistlicher Referent“ mieszkał „in der Stadt 22“ (l. c.).

⁷⁾ Mitscha Franz Adam, c. k. rzeczyw. radca Dworu, mieszkał „in der Stadt 79“ (l. c.).

⁸⁾ D'Elle Vaux de Limon, rzeczyw. radca Dworu, mieszkał „in der Broder Vorstadt 95“ (l. c.).

⁹⁾ Karl Frey- und Pannerherr Binder von Kriegelstein, radca gubernialny, Direktor des Lemberger Gymnasium, mieszkał „auf der Zielona 632 (l. c.).

¹⁰⁾ Joseph Freyherr von Riedheim, radca gubernialny k. k. Kämmerer, mieszkał „in der Krakauer Vorstadt 136“ (l. c.).

¹¹⁾ Schmuttermayer Anton, radca gubern., mieszkał „in der Stadt 53“ (l. c.).

nerałow i Roźnieckiemu, że służyć będą, że Roźniecki przyszedł tu jako komenderujący wojskiem pod protekcją Napoleona będącem, a zatem samem i Napoleonowi podległymi uznali się. Długo trwały dysputy, zakończyły się tem, że prezes Miączyński dał im czas do jutra do zupełnego naradzenia się w tej okoliczności i do dania na jutrzejszej sesji finalnej odpowiedzi. Rozeszliśmy się z izby, ja poszedłem na obiad do siebie, na który miałem kilka osób.

Nowiny dzisiejsze były pomyślne. Stanisławów Polacy odebrali i tam rząd organizują. Pod Sandomierzem atak Austryaków nie udał się. Delegowani do ks. Józefa pojechali podziękować mu za uwolnienie nas z niewoli austriackiej; między nimi byli Adam Potocki, ks. Ludwik Jabłonowski,¹⁾ Cetner Ignacy, Uruski. Jaś Stadnicki pojechał także kurjerem do obozu, przez którego pisałem do ks. Józefa, przypominając mu Brzostowskięgo.

Zwyczajnie wieczór trawię na wałach i w ogrodzie Jezuickim, gdzie najwięcej ludzi bywa.

¹⁾ Ks. Ludwik Jabłonowski, syn ks. Macieja, ur. 1784, † 1868, później tajny radca, minister pełnomocny w Neapolu, kuchmistrz w. kor. galic.

6 czerwca. Znowuśmy się zeszli na sesję, nic nie zdecydowawszy, niemieccy bowiem konsyliarze czyli przez upór, czyli też przez fałszywe rozsiane wieści o pomyślnościach dla Austryaków, nie chcieli się zejść na sesję i tylko kilku mniej zapamiętałych przyszło; przepędziliśmy tedy ze dwie godziny nic nie czyniąc, czekając na nich; nakoniec napisał nasz prezes wezwanie do nich wszystkich, aby się koniecznie znajdowali jutro na godzinę dziesiątą w Izbie; myśmy do domów rozjechali się.

Dowiedziałem się dzisiaj, że brzeżańscy obywatele chcieli mnie koniecznie prezesem swoim obrać i gdybym był na Brzeżanyjechał, pewnie nim byłbym. Bardzo mi miłe było to przychylne życzenie obywateli, contentniejszy jednak jestem, żem tu konsyljarzem został, bo i mniej mam okazji do narażania się choć niechcący obywatelom i równie użytecznie mogę Ojczyźnie służyć. Dowiedziałem się także, że 1.800 ludzi obiecał wystawić swoim kosztem cyrkuł brzeżański; wypada na Stratyn i Bobulińce dać 38 ludzi swoim kosztem umundurowanych i dobrowolnie zarekrutowanych. Napisałem Trześniowskiemu, aby od dworu także rekrutował i na to pieniądze dałem.

Jadłem obiad u kolegi Chołoniewskiego, gdzie dużo wojskowych znajdowało się. Generał Kamiński, Przebendowski, Dziekoński, Gorski, etc. Gdy się wszyscy rozjechali, ponieważ wszyscy prawie konsyljarze znajdowaliśmy się, znowu radę zrobiliśmy względem naszego działania; powiedział nam Miączyński, że Rada centralna zatrudnia się ułożeniem nowych departamentów, które między nas z przyłączeniem jeszcze kilku osób porozdaje; że tymczasem sesję z Niemcami trzeba odbyć, aby wiedzieć, co potem należy czynić. Każdy z nas swoją ochotę do jakiego departamentu chciał należeć, oświadczył, co Miączyński Centralności przedstawi. Podobnie jak innych dni przepędziłem na wałach i w ogrodzie.

7 czerwca. Dzisiejsza sesja była ciekawa. Znaleźliśmy już Niemców zebranych. Miączyński po zapytaniu onych, czyli chcą do robót pilniejszych przystąpić, odebrał od nich prośbę, żeby każdy mógł swoje zdanie obszernie powiedzieć. Pozwolono. Miczaj¹⁾ wynurzywszy swoją przychylność ku monarsze, powiedział, że dla utrzymania dobrego porządku chce służyć, ale miejsca prezesa nie odstępuję. Delevaux²⁾ to samo mówił.

1) 2) Patrz wyżej.

Exner¹⁾ nie tylko protestował się przeciw danemu słowu generałowi Różnieckiemu, ale mówił, że żadnym sposobem nie może służyć, tylko swemu monarsze; za zdaniem Miczaja poszli Konsyljarze Rytajm,²⁾ Binder,³⁾ Sehmuttermejer,⁴⁾ i Neuhauser,⁵⁾ inni wszyscy za zdaniem Exnera; większa tedy połowa nie chcieli służyć. Sekretarze jak i konsyljarze postąpili. Konsyljarz Kolmanhuber⁶⁾ z najzuchwalszym tonem gadał, Rose⁷⁾ pocziwy człowiek z prawdziwym uczuciem swego obowiązku. Te mowy trwały przeszło trzy godziny. Po skończeniu onych protokół sesji tej był zrobiony i odesłany Centralności, konsyljarzom zaś nakazano być jutro o 10-tej godzinie każdemu w swoim biurze. Na tem sesja zakończona.

Na obiad byłem zaproszony do pani Komarowej, gdzie teraz mniej bywam, nie mając czasu. Nowiny dzisiaj dość pomyślne. Warszawa całkiem już od Austryaków uwolniona, ale oni dla zabezpieczenia tam zostawionych niewolników wzięli ze sobą Niemcewicza, Molskiego i jeszcze kogoś. Dąbrow-

1) 2) 3) 4) Patrz wyżej.

5) Franz de Paulo Neuhauser, Landes-Protomedicus und Direktor der medizinisch-chirurgischen Studiums, wohnt in der Stadt 288. Schematism. str. 35

6) 7) Patrz wyżej.

ski z Zajączkiem wszelkimi sposobami z milicją i regularnym wojskiem starają się wypędzić z księstwa Niemców.

Dziś dawali bal województwo Belzcy dla pana Zamoyskiego i dla wojska. Wszystka tedy młodzież i damy tam znajdowały się. Bal był dość animowany i długo trwał, młodzież tańcowała; ogródek przy pałacu bardzo był przyjemny, okna otwarte chłodu dodawały. Od przyjazdu tu mego staram się dowiedzieć, gdzie pani krajczyna¹⁾ z córką i wnukami znajduje się? Najpewniej się zdaje, że się musi znajdować w Baden. Strachu tam bez końca musiała się nabrać. Pan Jan²⁾ w Baranowie siedzi, gdzie ustawny przechód wojsk polskich, to niemieckich, dobra zapewne wiele uciierpią, przynajmniej on swoją przytomnością od ostatecznej ruiny ochroni.

Dużo z panem Zamoyskim gadałem i dowiedziałem się finalnie o ułożeniu nowej Rady zastępczej, do której my konsyljarze gubernium wezwani.

8 czerwca. Dłużej trochę spałem po balu, na czas jednak przyszedłem na sesję, gdzie

¹⁾ Teresa z hr. Ossolińskich, żona Józefa Potockiego, krajczego w. k., z córką Anną, żoną Jana hr. Krasickiego, brata piszącego.

²⁾ Jan hr. Krasicki † 1831, właściciel Baranowa, tajny radca aust. (1817).

czekaliśmy na przybycie konsyljarzów, którzy w swoich biurach będąc, mieli każdemu z nas oddać papiery swoich departamentów. Czekaliśmy długo, ale nie wszyscy przychodzili, dlatego tylko ci konsyljarze z naszych oddali klucze, którzy byli z Niemców przytomni. Ci, którzy chcieli służyć z pokorą prosili o względy, przeczuwając, że ich jakieś niemiłe spotka zdarzenie. Między innymi Delevaux¹⁾ prosił mnie, abym mu pozwolił przyjechać do Stratyna; strasznie ambarasująca prośba; szczęściem ktoś przeszkodził rozmowie i nie dałem mu odpowiedzi. Schmutenmayer²⁾ Binder³⁾ zebrali z pokorą łaski, Miczaj⁴⁾ otoczony dziećmi prawdziwie wzbuźdzał litość. Ja mego biura nie odebrałem. Jadłem obiad u Uruskiego, ztamtąd pojechałem do Miączyńskiego prezesa, prosząc go, aby mi pozwolił pojutrze pojechać do Stratyna, mając do tego powód, że muszę się starać, żeby prędko rekrutów oddano z moich dóbr, a tego nie potrafią, jeżeli nie dam pieniędzy, które mam w Stratynie; powtóre ułożenie nowej rady zastępczej, zebranie papierów itd., wszystko kilka dni czasu zabierze, które ja w Stratynie pożytecznie przepędzę; z chęcią na to zezwolił.

¹⁾ ²⁾ ³⁾ ⁴⁾ Patrz wyżej.

Dzisiaj odebraliśmy nowiny, że Dykie,) starosta zaleszczycki, ufortyfikował się w Zaleszczykach i tam Strzyżewskiego z nowymi urzędnikami wstrzymuje. Potem, że armia arcyks. Jana zupełnie we Włoszech zniszczona i złączyła się z armią wielką Napoleona pod Ebersdorf. Proklamacja Napoleona do Węgrów także już doszła, która niewiedzieć jaki skutek weźmie. Nareszcie nowina o batalji pod Ebersdorf niedaleko Wiednia między Napoleonem a arcyks. Karolem zaszła 23 maja; już był Napoleon zupełnie zwycięstwo odniósł, gdy niespodziewanie mosty na Dunaju przez wielką powódź zerwane zostały i pół wojska od drugiej połowy oddzieliły; w tym przypadku bez amunicji umiał jeszcze utrzymać zwycięstwo. Straciwszy jednak dużo ludzi, między innymi marszałka Lannes, który w udo ciężko ranny, zapewne żyć nie będzie. Niemcy nieskończenie także utracili, ale za największe zwycięstwo rachować powinni, że zupełnie zostali zbici. Te wiadomości rozmaicie były tłumaczone, Niemcy montować się i szemrać zaczęli, Polacy trochę w patryjotyzmie stygnąć.

9 czerwca. Dzień dzisiejszy był znakomity przez odmianę gubernium. Przyszedszy

⁵⁾ Beguslaus Baron Dyke, radca gubernialny, starosta obwodowy zaleszczycki (Schematism, str. 82)

na sesję, dowiedzieliśmy się, że wszyscy konsyliarze Niemcy w swoich biurach, czyli przy swoich biurach znajdują się. Zapieczutowano bowiem jeszcze wczoraj biura, żeby papierów potrzebniejszych nie wybrali. Ja tedy do departamentu mego poszedłem, a nie mając jeszcze substytutów, uprosiłem księdza kanonika Juchnowskiego, ¹⁾ aby za mnie też papiery od konsyliarza religijnego Zeclera ²⁾ i od religijno-ekonomicznego Pinkasa ³⁾ odebrał. Dowiedziałem się także o ułożeniu Rady zastępczej przez centralną, która następującym sposobem czternaście departamentów, któremi się dawne gubernium zatrudniło, między dwunastu konsyliarzy Rady zastępczej rozdzieliła: Za prezesa Rady nominowany Ignacy Miączyński, do którego protokół exhibitów, registratura i expedytura należą; wiceprezesem obrony książę Maciej Jabłonowski, który niebytność prezesa zastąpić powinien. Pierwszy departament systematu i drugi wojskowy należą do pierwszego konsyliarza Augusta

¹⁾ X. Ignacy Juchnowski, kanonik kapituły łacińskiej, proboszcz w Olesku, radca i egzaminator konsystoryalny (Schematismus, str. 272, 446).

²⁾ ³⁾ Patrz wyżej.

Kickiego. ¹⁾ Drugi departament religijny i czwarty duchowny ekonomiczny należą do drugiego konsyliarza Ignacego Krasickiego, któremu dodani do pomocy cum voto consultativo do obrządku łacińskiego ksiądz Józef Koźmian, ²⁾ do, obrządku greckiego ksiądz Michalski, Bazylianin. Departament piąty nauk. tego referentem naznaczony Jan Uruski. ³⁾ Szóstego departamentu przedmiotem jest policja krajowa, tą zatrudnia się Walerjan Dzieduszycki. ⁴⁾ Siódmym departamentem pod imieniem policja lekarska, do tego departamentu naznaczony Franciszek Massoch, ⁵⁾ sybstitut jego Szymon

¹⁾ Zapewne August Kicki, syn Antoniego, generała-majora artylerji kor. i Maryanny Przanowskiej szambelan Stanisława Augusta, starosta krasnostawski, w. r. 1818 senator-kasztelan Królestwa kongresowego. Ożeniony z Maryanną Kowalkowską.

²⁾ Zapewne Józef Szczepan Koźmian, ur. 1772, † 1831, proboszcz w Markuszowie, kanonik lubelski, w r. 1822 biskup kujawski, wreszcie senator Królestwa kongresowego.

³⁾ Zapewne nie Jan, lecz syn Jana, Kajetan Uruski, później miecznik kor. galic., ożeniony z Wandą hr. Potocką.

⁴⁾ Waleryan hr. Dzieduszycki, starosta serebryński, ur. 1754, † 1832, ożeniony z Józefą Ponińską.

⁵⁾ W schematyzmie z r. 1809 jest zapisany: „Franz Massoch, Professor emeritus“, str. 277.

Słyszewski. ¹⁾ Ósmy departament Opieka miast krajowych, do tego departamentu naznaczony Hilary Siemianowski. Dziewiąty departament pod imieniem Żydzi krajowi, tym zatrudnia się konsyliarz Jan Tarnowski. Dziesiąty departament pod imieniem Sądownictwo, którego konsyliarzem jest Franciszek Grabowski. Jedynasty departament Opieka włościan i ich rozrządzenie, tym departamentem zarządza konsyliarz Ignacy Morski. Dwunasty departament pod imieniem Indusjja i Handel, konsyliarzem tego departamentu jest Ksawery Chołonewski. Trzynasty departament pod imieniem Dobra narodowe, tego departamentu referentem jest Jan Bąkowski. Czternasty i ostatni departament jest pod imieniem Podatkowanie, którego referentem jest uczyniony Tomasz Dąbski.

Ponieważ odebranie porządne papierów, dobranie nowych sekretarzy translatorów, rozpatrzenie się w pilniejszych interesach jakiegoś czasu potrzebuje, przeto prezes solwował sesję do czwartku następującego. Ja zaś zostawiwszy ułożenie papierów księdzu Juchnowskiemu, mam pozwolenie jechania

¹⁾ W schematyzmie z r. 1809 zapisany: „Simon Sliszewski“ w szeregu lekarzy praktykujących we Lwowie str. 277.

na dni kilka do domu. Obiad jadłem u siebie, Jan Stadnicki powrócił z obozu, ale żadnej nie przywiózł od księcia rezolucji. Delegowani także z obozu powrócili.

Najdziwniej było widzieć pułkownikiem gwardji miejskiej lwowskiej Cetnera, który nigdy w wojsku nie służył i nawet jeździć na koniu nie umie, może chęć służenia Ojczyźnie militarnym go robi. Jak dawniej, tak i w tych okolicznościach widać u wielu chęć komenderowania i wyższych szarży, lepiej jest stopniami onych dochodzić i zasłużyć na nie, niżeli z łaski dostać.

Pożyzyłem dziś także od pana Ludwika Raciborowskiego trzydzieści tysięcy zł., które zdadzą mi się bardzo do rekrutowania i ubrania ludzi.

10 czerwca. Rano bardzo wyjechawszy, a przemieniwszy konie w Świerzu, wcześniej w domu stanąłem na obiad. Bardzo byłem kontent, jadąc koło gorzelni, widząc mury wznoszące się, zdaje się, że wkrótce będzie dokończona, w domu także wszystko dobrze znalazłem; na pierwszy wydział naznaczono dać z Bobuliniec i Stratyna trzech konnych, trzech pieszych. Trześniowski przeznaczył z dworu pięciu ludzi do konnych, Józefa czyli Antoniego Stadnikiewicza, Senka furmana, ogrodniczka Stefana Piekarczyka i stróża

Fed'ka i jednego mularza, ci wszyscy z ochotą przystali; dałem im każdemu na rękę; nakaz zaś jest z cyrkułu, aby na jednego konnego, na mundur i konia dać dwa tysiące; na pieszego zaś ubiór i broń sześćset złotych, ponieważ zaś termin na jutro, przeto zatrudniałem się, abym ich dziś mógł z Trześniowskim wyprawić.

11 czerwca. Ponieważ niedziela była, przeto słuchałem Mszy w cerkwi. Przyjechał dziś do mnie Samiler (?), nieborak zmarłwiony nieszczęściem swoich rodaków, niedziwno, że cierpi, owszem, to oznacza jego pocziwość.

12 czerwca. Ciekawy bardzo byłem zobaczyć urodzaje w Pukowie, pojechałem tam tedy rano, na obiad powróciłem do Stratyna, gdzie zastałem przybyłego księdza proboszcza Rohatyńskiego, bardzom się ucieszył, prawdziwym patriotą go znalazłem, nie żałuje nawet pieniędzy na rekrutów, a że ja duchownym referentem zostałem, przeto tysiączne mi projekta podawał, długo z nim nagadałem się.

13 czerwca. Dowiedziałem się dziś, że we Lwowie Centralność dowiedziawszy się, iż Niemcy cichaczem ludzi fomentują i że do tego i starsi dopomagają, chcąc zapobiedz temu oraz mieć zastaw za zabranych w War-

szawie obywatelów, przyaresztować kazała konsyliarzy nadwornych Miczaja,¹⁾ Delevaux,²⁾ Exnera,³⁾ prócz tego Kalmanhubera,⁴⁾ Bernarda,⁵⁾ Rosego,⁶⁾ dwóch konsyliarzy apelacji, dwóch Forum i jeszcze kilku inszych; czynność to dość się zdaje sprawiedliwą w tych okolicznościach, zdziwiłem się tylko, że aresztowano dwóch pierwszych, którzy najbardziej byli za służeniem krajowi, chociaż w zmianie rządu; wzięto ich tedy i mają być zawiezieni albo do Zamościa, lub do innej jakiej fortecy. Niemniej także doniesiono mi, że metropolita ruski⁷⁾ uciekł ze Lwowa, źle on był od nowego rządu widziany i nadto był do Niemców przywiązany, ale ucieczka ta może na niego ściągnąć karę. Przyjechał dziś do mnie p. Leon Krasicki,⁸⁾ z którego bardzo kontent

1) 2) 3) 4) 5) 6) Patrz wyżej.

7) Ks. Antoni Angełowicz, dr. Teologii, gr.-kat metropolita, tajny radca, gr.-kat. Biskup Przemyśki Samborski i Sanocki, Administrator biskupstwa Chełmskiego, Bełzkiego i Brzeskiego, były zwyczajny profesor Teologii, b. rektor Magnificus (Schematismus 271).

8) Leon hr. Krasicki, syn Józefa i Szujskiej ożen. z Kołłatajówną, bratanką ks. Hugona Kołłataja. (Taka jest informacja hr. Ignacego Krasickiego. W „Herbarzu Polskim“ Ad. Bonieckiego w obszernej monografii rodu Krasickich znajdujemy hr. An-

byłem, nagadaliśmy się bez miary, zawsze poczciwy człowiek i dobry patriota, dał co mógł dla Ojczyzny. Trześniowski także powrócił z Brzeżan, zaspokoiwszy się tam z rekrutami, oba mi mówili, że obywatele tutejsi żałują, że nie jestem za prezesa obrany; z Kalinowskiego nie kontenci.

14 czerwca. Bawiłem się z rana z panem Leonem, na obiad także przyjechał pan Pasqua, gadałem z nimi o teraźniejszych zdarzeniach. Po obiedzie niedługo bawili, bo wiedzieli, że mam jutro bardzo rano wyjechać. Jakoż, gdy odjechali, całkiem oddałem się domowym interesom, Trześniowskiemu i Sokołowskiemu oddałem kilkadziesiąt tysięcy na werbowanie i ubranie ludzi na mnie przypadających, gdyż kto szczerze sobie nie postępuje w takich okazjach, które całość nadziei zapewnijają, nie godzien szacunku.

15 czerwca. O trzeciej wyjechałem a mając rozstawione konie, stanąłem we Lwowie o pół do jedenastej i jeszcze dość wcześnie przybyłem na sesję, którą pan Zamojski mową do nas otworzył, w której zwyczajne w ta-

toniego Krasickiego, nie Józefa, chorążego nadwornego litewskiego, ożenionego z Anną Szujską, starością zahalską. Syn jego Leon vel Leonard Aleksander, miał zejść bezpotomnie, Herbarz nie wymienia, z kim był ten Leon ożeniony.—Przyp.wd.).

kich razach komplementa wyraziwszy, kazał sekretarzowi przeczytać formę zamykającą nasze obowiązki. Nikt jeszcze nie miał nie gotowego do referowania, niektóre tylko kwestje w tej formie nie dość wyłuszczone, były explikowane, porządek zrobiony, że dwie sesje w poniedziałek i we środę będą odbywane; w pierwszej siedem pierwszych departamentów, w drugiej drugie siedem swoje interesa będą expedjować; nakazy od rządu centralnego najpierwej mają być brane, dalej cyrkularne expedycje i z innemi subselliami, wszystko w języku polskim ma być expedjowane; interesa tyżące się nowego rządu przed dawnymi także będą robione. Na tych i tym podobnych rzeczach sesja zakończyła się.

Jam poszedł jeść obiad u pani Komarowej. Nie najlepsze znalazłem wiadomości: najprzód, że arcyks. Ferdynand zebrał resztę swego wojska i pod Sandomierz podchodzi i ten kilka razy już atakował; że Moskale wszedłszy pod księciem Golicynem nie tylko się nie łączą z Polakami, ale unikają zaczepki z Austriakami i dają im czas albo do uniknięcia, albo nawet atakowania Polaków. Nareszcie, że Hohenlohe Stanisławów znowu objął; że w Zaleszczykach Dykie¹⁾ jeszcze się

¹⁾ Patrz wyżej.

bronii; że Niemcy Sanok pomimo oporu obywateli, na których czele mój brat Ksawery wybrany komendantem kawalerji, a Prek infanterji, wzięli. Pan Ksawery¹⁾ tam najśmielej opierał się i już przymuszony większą siłą Niemców, retyrował się ku Przemyślowi. Pocziwy ten brat nie zważając na żonę i dzieci i majątek, najchętniej poszedł służyć Ojczyźnie; taki zapał w wielu jest obywatelach, coby za nieszczęście było, żeby tak wielkie nadzieje nie doszły swoich zamiarów.

Falszywe postępowanie Moskali najbardziej nas martwi i zastanawia.

Po obiedzie poszedłem do mojego biura i tam porządek robiłem, nie mając dosyć osób do dwóch moich departamentów potrzebnych, od Lewickiego, sekretarza Centralności i od Siemianowskiego, który egzaminowaniem zdatnych ludzi zatrudnia się, poszedłem i o tych starałem się. Przyrzekli mi jutro onych dać. Tymczasem z panem Raczyńskim²⁾ dawniej jeszcze w biurze Du-

¹⁾ Franciszek Ksawery Krasicki ur. 1774, †1844, major huzarów w. p., członek Stanów galic., zaślubił Julię Teresę hr. Mniszchównę, chorążankę w. kor. — (P. wyd.),

²⁾ W schematyzmie z r. 1909 jest wymieniony w rządzie gubernialnych „Bureaux - Akzessisten“ Stefan Raczyński. — (Przyp. wyd.).

chownej Ekonomiki będącym, rozkładaliśmy papiery i do porządku przyprowadzali. Zabrało mi to całe poobiedzie, wieczór byłem u pana Zamoyskiego, gdzie wiele osób znalazłem, nowiny, które tam znalazłem, nie były zaspakajające, bardziej jeszcze wrażenie, które sprawiały osoby rządem kierujące; nie mając do tego wpływu wielkiego, nie mogłem ich zgłębiać, zdając się na ich rozsądek, że przedsięwzema takie zabiegi, że nie dadzą złemu rozszerzać się.

Wieczór przepędziłem na wałach, gdzie było wiele kobiet i mężczyzn i gdzie się można było dobrze zabawić.

16 czerwca. Przed ósmą poszedłem do mego biura, gdzie wkrótce osoby mnie potrzebne i od pana Lewickiego i od Siemianowskiego poprzychodziły. Po egzaminie ich, rozdzieliłem moje dwa departamenty, a religijnemu dodawszy za sekretarza pana Teodorskiego,¹⁾ dawno już w tym departamencie pracującego i pana Pawłowskiego zrobiwszy protokulistą, kazałem im w jedno miejsce papiery tego departamentu złożyć. Restancji w tym departamencie nie było jak

¹⁾ W schematyzmie z r. 1809 wymieniony jest na str. 39 jako „registrant”: Jerzy Teodorski. — (Przyd. wyd.).

dziesięć exhibitów, więc to przetłumaczyć kazałem, aby na najpierwszej sesji były expeditowane, co łatwo uskutecznić; ale w departamencie Ekonomii duchownej znalazłem trzysta ośmdziesiąt restancji, to praca okrutna, prócz jeszcze exhibitów nowo przycho-dzących; zatem do tego departamentu przynajmniej sześć osób potrzebowałem. Gdyby ksiądz Koźmian był tu przytomny, mógłby mi dopomóc, na księdza Michalskiego nie wiele mogę kalkulować, bo ten i stary i słaby. Żeby przynajmniej dowiedzieć się pilniejszych interesów, kazałem ich treści przetłumaczyć, abym widział od czego zacząć. Na sekretarza do tego departamentu obrałem dawnego protokolistę, za pierwszego protokolistę pana Szejpe,¹⁾ który dobrze po polsku umie, za drugiego pana Jakubowskiego, za translatora zaś miałem pana Kumanowicza. Najprzód starałem się, aby porządek numerów zachowany był i zapisywana treść, potem wszystkim explikować oną nakazałem. To mnie cały ranek zabawiło. Na obiedzie by-

¹⁾ W schematyzmie z r. 1809 wymienionych jest dwóch Steipów, jeden radca gubernialny „Florentin Steipee (str. 34), drugi oficjał rachunkowy Ignacy Steipee (str. 48). Zapewne o tym drugim jest mowa.

łem u księżny Lotaringskiej,¹⁾ gdzie był także książę Aleksander Sapieha.²⁾ Dawno go znałem, od kilkunastu już jednak lat nie widząc, byłem ciekawy go widzieć. Znalazłem go wielce światłym, do nauk bardzo aplikującym się, wiele widział, Grecję całą objechał. Podczas wojny pierwszej Bonapartego, w Warszawie umiał mu się podobać, dość się dystygował i przez wymowę i męstwo; tyle awantazów traci przez nieuważne czasem mówienie i nienajroztropniejsze postępowanie. Bardzo ładnie mówi i widać, że wiele ma wiadomości. Obiad ten był dość dla

³⁾ Anna z Cetnerów, jedyna córka Ignacego, wojew. bełzkiego i Ludwiki Potockiej, wojewodzianki poznańskiej, zamężna 1^o v. za Józefem Sanguszką, marsz. W. X. Lit., 2^o za Kazimierzem Nestorem Sapiehą, generałem artylerji W. X. L., 3^o za Kajetanem Potockim star., urzędowskim, 4^o za Karolem ks. Lotaryńskim d'Elboeuf et de Lambesc, właścicielka dóbr Krakowiec, Bakończyce i inne.

⁴⁾ Aleksander książę Sapieha ur. 1773 um. 1812 syn Józefa hr. Sapiehy, który otrzymał polski tytuł książęcy, 1776 r. krajczego w. lit. i Teofili z ks. Jabłonowskich, wojewodzianki nowogrodzkiej. Książę Aleksander, autor podróży po krajach słowiańskich, miecznik Księstwa Warszawskiego, adjutant ces. Napoleona I., ożeniony z Anną hr. Zamoyską, kasztelaną w. kor., — był ojcem księcia Leona, marszałka krajowego galic.

mnie przyjemny, potem poszedłem do biura, gdzie rozpoczęte prace, dane przezemnie, uskutecznił; zachęcałem ich do pilnego zakończenia, osobliwie w departamencie duchowno-ekonomicznym, najbardziej dlatego, abyśmy mogli mieć co zreferowanego na sesję. Co się tyczy departamentu religijnego, tego restancje już pewnie będą na jutro skończone. Dzień był pogodny.

17 czerwca. Całkiem usługą krajową zajęty, chciałem jak najbardziej być użytecznym i czynnym w moich departamentach pokazać się; pomimo wszelkiego starania, osoby do departamentu ekonomicznego, jeszcze treści interesów dzisiaj nie przetłumaczają, a zatem tych zachęcałem tylko do uskutecznienia tego dzieła. Religijne referaty zrobione były, te przejrzawszy, zaaprobowane. Najważniejszy był względem misji w Lubelskiem odprawić się teraz mającej, którą kazałem wstrzymać, aby w tym czasie tumultu jakiego nie była przyczyną. Drugi interes o naznaczeniu funduszu na wystawienie w Przemyśle Seminarjum łacińskiego; ta expens w tym momencie nie tak pilna. Kilka nominacji na beneficia wakujące, wstrzymane będą, aby rok interkalarny na skarb idący upłynął, naznaczeni tylko administratorowie z przyzwoitą pensją. Inne interesa tyczyły się albo naznaczenia kar dla wykraczających duchow-

nych, albo od nich uwolnienia. Raporta także względem odmiany wiary lub nawrócenia się na nią z wielu cyrkułów. Kontent byłem, żem miał już te restancje ukończone.

Jadłem dziś obiad u pani Komarowej, gdzie nienajdłużej po obiedzie bawiąc, poszedłem znowu do biura, gdzie już znalazłem większą część treści departamentu ekonomicznego przetłumaczoną. Do tego departamentu wszystkie rachunki duchowne należą; likwidacje sum, prowizje od nich, dobra wszystkich duchownych, expensa wszystkie, rachunki komorników, architektów, lata interkalarne, znowu interesa intabulacji na dobrach świeckich, pretensje fiskusa etc. etc. robią ten departament okrutnie wielkim, liczbę exhibitów pomnażają i pracę w referowaniu czynią wielką. Dzień zresztą zwyčajnym sposobem przepędziłem. Był on gorący i pogodny.

18 czerwca. Zrana dziś poszedłem do biura, gdzie pomimo święta znalazłem moich substytutów przy pracy, pochwaliłem ich pilność i zachęcałem do pracy, widąc w nich dobrą ochotę i chęć usłużenia Ojczyźnie, bo chociaż nie płatni, z ochotą pracują. Zabawiłem tam do południa, oddałem kilka wizyt, gdzie nieprzyjemnych dowiedziałem się no-

win. Najprzód ksiązę Józef za San udał się, nie mogąc utrzymać się w pozycji Sandomierza, który po walecznym oporze musiał kapitulować z honorami. Moskale zamiast dopomagania Polakom, nie są czynni i nawet im drogę zapewniają do uchodzenia. Nie wiedzieć, co ta ich czynność znaczy, może są to skutki intryg sekretnych, może także znajdują stratę Napoleona wielką pod Ebersdorf; prawda, że po tej batalji zawsze Napoleon jest w jednej pozycji za Dunajem. Największe z tego nieszczęście, że retyrada księcia Józefa całkiem odkrywa Lwów Niemcom, że generał Kamiński słabe siły mając, myśli się ztąd retyrować, a nie chciał dawniej uarmować obywatelami miasta, teraz tedy nie mając bezpieczeństwa, wszystkich przymusza do wyjazdu, albo do bojaźni.

Jadłem obiad u pani Komarowej, która już wszystkie czyni przygotowania do wyjazdu. Dobrze robi, że z dziećmi się wydała wcześniej, bo możeby koni później nie dostała. Widać już było wszędzie zamieszanie. Ja po obiedzie pojechałem jeszcze do biura, gdzie kilka referatów departamentu ekonomicznego przygotowaliśmy na jutrzejszą sesję.

Wieczór trochę chodziłem po wałach, potem byłem na teatrze, gdzie dają „Don Jua-

na“ po polsku. Nieźle grali. Dzień jeszcze był pogodny.

19 *czerwca*. Jeden z najprzykrzejszych dni w mojem życiu. Bardzo rano wstałem i pożegnałem się z panią Komarową, która dziś dopiero wyjechała; widziałem także, jak dziś wyszła reszta wojska polskiego. I cała komenda ma wychodzić; od rana widać było w całym Lwowie zatoczone pojazdy; wszędzie się pakują i w drogę wybierają. Koło 10-tej poszedłem na sesję, gdzie wkrótce zebrali się koledzy, wszyscy smutni, przewidywaliśmy bowiem nadchodzące nasze rozstanie się. Rozpoczęła się sesja od zapytania prezesa, czy nie ma co który od Centralności sobie przysłałego; gdy nic nikt nie odebrał, zaczął referować pan Massoch, zawsze bowiem najpierwszy ma prawo referowania i dla tego, że jego obiekt najbardziej ludzkości się tyczy, i dla tego, że zatrudnieni innemi pracami, nie mogą długo na sesji bawić. Czytnił nam raport swej pracy, że zrewidował wszystkie apteki lwowskie, znalazł, że wszystkie medykamenta najpotrzebniejsze, jako to: china, opium, piżmo etc. na kilka miesięcy wystarczyć jeszcze dla mieszkańców mogą. Dał swoje rady, aby innych mniej kosztownych medykamentów używali lekarze, żeby na dłużej kosztowne zachować, explikował

się, że nie może tak prędko dać sprawy z opisania aptek po kraju będących, już dla tego, że raportów z cyrkulów jeszcze nie odebrał, już że jeszcze niektóre przez nieprzyjaciela zajęte, niektóre w zamieszaniu zostają. Gdy ten referat był zakończony, pierwszy konsyliarz Kicki zaczął z departamentu wojennego referować i opisał nieregularne dystrybucje, nakazane na posiadaczów domów we Lwowie, którzy wojsko wiktować muszą. Podał projekta, porządek w tym lepszy wprowadzić mogące, na co cała izba zezwoliła. Drugi referat był zawierający w sobie oskarżenie pana Rzewuskiego, któremu dawny rząd za niedostawienie nakazanych rekrutów, kazał z dóbr jego Opola¹⁾ wziąć 4.000 duk. kary, co cyrkul Józefowski uskutecznił. Przekonała się cała Izba, że niesprawiedliwie ta kara była naznaczona, udecydowaliśmy, że przy pokoju może być ta pretensja podana, gdy likwidować się wza-

1) Mowa tu zapewne o Sewerynie Rzewuskim lub synu jego Wacławie. Opole bowiem w powiecie nowoaleksandryjskim (puławskim) wniosła w dom Rzewuskich żona Seweryna a matka Wacława, Rozalia z ks. Lubomirskich Rzewuska. Podówczas Opole służyło z bogatej biblioteki i zbioru dzieł sztuki. Był tam również piękny pałac, potem przerobiony na koszary.

jemnie będą dwory, Kolej do referowania przypadła na mnie, jako drugiego z kolei konsyliarza, ale gdy zacząłem pierwszy referat czytać, dano znać, że pan Zamojski do naszej Izby przychodzi. Zatrzymane tedy zostały nasze czynności. A pan Zamojski zajmawszy miejsce Matuszewicza, mówić zaczął, że ponieważ nieszczęśliwe operacje wojenne odsłoniły Lwów nieprzyjacielowi i żadna nie zostaje sposobność bronięcia go, przeto wszystkie jurysdykcje w nowym rządzie uformowane rozpuszcza, w Centralności władzę najwyższą zostawiając, pozwalając wszystkim osobom dla ich bezpieczeństwa udać się, gdzie im się podoba, chwalać wszystkich z dobrych ich chęci i zapewniając, że gdy spokojność i bezpieczeństwo wróca, znowu wszyscy do prac dalszych i usługi Ojczyzny powołani zostaną.

Przeczytał nam potem list pisany imieniem generała Kamińskiego do generała austriackiego Jegiermana, w którym mu wystawia, że jako objawszy Lwów, z ludzkością postępował z Niemcami, tak spodziewa się wzajemnie, że zostającym się we Lwowie Polakom wzajemnie krzywda czynioną nie będzie. Udecydowano potem, aby papiery i biura w tym zostawić porządku, w jakim były, zostawiwszy klucze sekretarzom, nie-

mniej taki ułożono porządek, aby bezpieczeństwo i prędkość na przejeździe przez rogatki zrobiono.

Nareszcie, aby wyjazd osób rządowych z ostrożnością porządkiem i bez zrobienia trwogi był zrobiony. Po tych smutnych ułożeniach wzajemnie wszyscy pożegnali się, życząc sobie prędkiego i szczęśliwego dla Ojczyzny zobaczenia się.

Zjadłem potem u siebie obiad; właśnie przyszły ze Stratyna fury z pszenicą, którą kupcom sprzedałem. Kazawszy tedy dwie podwozy zostawić, na których miałem wyjechać, jedną wysłałem, żeby jak najprędzej wychodziły przeciw mnie konie, które byłem do domu odesłał.

Po-obiedzie nie widać było tylko żegnających się i pakujących; ja odjechać nie chciałem pierw, aż Centralność i komendant placu Bleszyński odjadą. Z Józefem Humnickim¹⁾ ułożyliśmy razem do Stratyna jechać. Tak wszystko przygotowawszy, czekaliśmy wyjazdu Centralności; kolację zjedliśmy u Żorża, gdzie jeszcze z kilką osobami

¹⁾ Józef Humnicki, zapewne syn Józefa Stanisława, stolnika bielskiego, łowczego przemyskiego i Salomei Morskiej, chorążanki dobrzyńskiej. — (Przyp. wyd.).

także wyjeżdżającymi widzieliśmy się. Centralność koło 11-ej wyjechała ze Lwowa, my zaś po 12-tej w nocy.

20 *czerwca*. Zajechaliśmy do dnia do Czyżek, a zmordowani będąc i nie zastawszy koni, poszliśmy spać i o ósmej obudziwszy się, dalej podróż kontynuowaliśmy, w Świrzu zjadłszy trochę i u Orłowskiego wzięwszy konie, jechaliśmy do Stratyna. Konie wysłane przeciw nam z pijanym furmanem w Janczynie spotkaliśmy. Te wszystkie kontradycje mocno mnie zgniewały, zajechaliśmy jednak szczęśliwie do domu a zfatygowaliśmy się niewygodną podróżą i ambasami wczorajszymi.

21 *czerwca*. Dowiedzieliśmy się od Trześniowskiego z cyrkułu z Brzeżan powracającego, że tam rozkaz przyszedł rozjechania się, jeżeliby nieprzyjaciel postępował, to w zamieszanie obywatelów prowadziło, rekrutów branie zostało wstrzymane, ja tylko sześciu dałem ze Stratyna i Bobuliniec, którzy mnie do siedmiu tysięcy kosztowali, reszta do dalszego czasu wstrzymana. Zdrowiśmy byli po podróży, nie słysząc nic o zbliżającym się nieprzyjacielu, umyśleliśmy kilka dni tu zabawić, póki jakiej pewnej nie dowiemy się wiadomości, jutro zaś poszlę do Lwowa z ostrożnością, aby się dowiedzieć,

kiedy tam nieprzyjaciel przyszedł i co tam robi.

22 *czerwca*. Zrana dziś wstawszy, pojechaliśmy z Humnickim do Pukowa, nazad wracając wstąpiliśmy do dziekana, gdzie zastaliśmy jego brata proboszcza z Koropca, który nam nienajmilszą powiedział nowinę, że korpus ks. Hohenblohe wróciwszy z Wołoszczyzny cyrkuł stanisławowski zajął, że wojsko austrjackie dobra pana Koziebrodzkiego zrabowało, tudzież pana Czechowicza, że dziedziców zastawszy, biorą z sobą; nie zastawszy ich, zabierają bydło, to sprzedają i inne kosztowniejsze rzeczy; że sam proboszcz przestrzeżony ucieka z domu, szukając swego bezpieczeństwa. Te wszystkie nienajprzyjemniejsze nowiny nie bardzo nas pocieszyły. Powróciwszy do domu, czekaliśmy z niecierpliwością nowin ze Lwowa, tymczasem wszystko do podróży przygotowaliśmy, aby za lada okazją można wyjechać. Jak w takich razach bywa, gądano wszędzie, że metropolita namawia księży ruskich, aby chłopów przeciw panom buntowali, za Austrjakami, chociaż te wiadomości fałszywe były, postrach jednak powiększały.

23 *czerwca*. Nie doczekaliśmy się jeszcze posłańca ze Lwowa, a tymczasem pocztyljon Strzeliski przyjechawszy tu, powiadał nam,

że austriackich huzarów przyszło pięćset do Strzelisk, że pana Kalinowskiego, prezesa, wzięto w areszt w jego domu, że pan Winkler¹⁾ posyła do cyrkułu dowiadując się czy może do Brzeżan powracać. Te nowiny nieprzyjemne zdecydowały nas, abyśmy pojechali dziś jeszcze do Brykuli, a ztamtąd do Krasnorossji; przynagliliśmy zaś nasz wyjazd, żebyśmy Niemców w Brzeżanach jeszcze nie zastali. Po obiedzie tedy trzema końmi, bryczką i hamerlingiem, kazawszy pochować kosztowniejsze rzeczy w domu, pojechaliśmy, zostawiwszy dyspozycję oficyalistom, aby najgrzeczniej ze wszystkimi obchodzili się, a strzegli mego majątku ile możliwości. Przejechaliśmy Brzeżany, gdzie jeszcze Polacy byli i na noc zajechaliśmy do wsi Krzywe w okrutną ulewę jadąc i przemoczeni będąc do nitki.

24 czerwca. Przed południem zajechaliśmy do Leona Krasieckiego do Brykuli, który już o złych wiadomościach wiedział: Szumlańscy bowiem i inni ztamtąd u niego byli. Nagadaliśmy się o nieszczęśliwych zdarzeniach, nie wiedząc jednak pewnych

¹⁾ W schematyzmie z r. 1809, na str. 81 zapisany jest Antoni Winkler „Vize-Kreishauptmann“ obwodu Brzeżańskiego.

przyczyn, domyślaliśmy się tylko onych. Gdyśmy obiad zjedli, przyjechał umysłny ze Lwowa, który nam przywiózł pewną wiadomość, że Austriacy weszli do Lwowa we środę zrana, że orły cesarskie znowu po przybijali, że ich komenda nie jest większa pod generałem Jegiermanem jak 2.500 ludzi, między którymi niema regularnych jak kilkakset koni, reszta insurrekcja morawska. Że Lwowa nie rabują i nikogo jeszcze nie wzięli. Strasznie nam przykro było dowiedzieć się, że przed tak mało ludźmi uciekaliśmy, osobiwie wojsko, ale to wszystko czas odkryje.

Po obiedzie przyjechali tam Michałowie Dwerniccy, który był komisarzem w zaleszczyckim cyrkule i tam także kazali się cyrkulowi rozjechać, ale Strzyżewski podpułkownik, który pod Zaleszczykami komenderował, wstrzymuje postępowanie Niemców, którzy już do Czortkowa dochodzą; wszystkie inne drobniejsze komendki cyrkularne łączą się ze Strzyżewskim i ku Brodom ciągną. Przykro patrzeć na tak opuszczających domy obywateli, do tego zaś najbardziej pobudza złe postępowanie wojska austriackiego po domach. Pomimo tych wszystkich nieszczęść, dość wesoło bawiliśmy się u Leona.

25 czerwca. Pożegnawszy się z Leonem

rano bardzo wyjechaliśmy, a jadąc na Janów, dobra pani Skarbkowej wdowy, gdzie piękny bardzo jest młyn, zajechaliśmy do Chorostkowa przed południem. Są to dobra pana hrabiego Lewickiego,¹⁾ którego bratem ciotecznym jest Humnicki. Przyjęli nas tedy tam jaknajlepiej z tych powodów. P. Wierciński, komisarz, kazał nam obiad zrobić, a gdyśmy mu powiedzieli naszą chęć przejechania za kordon, jedna bowiem wieś od Chorostkowa, Postołówka, jest nad samym Zbruczem, wszelkie nam do tego ofiarował usługi. Obejrzelśmy budynki nowo postawione przez Lewickiego, które są ładne. Na obiad także przyjechał pan Kaczkowski, brat samej pani Lewickiej, który później od nas ze Lwowa wyjechał. Powiadał, że widział z panem Ksawerym, który tej samej nocy z swoją komendką przyszedł, jak wyjeżdżaliśmy. Nieskończeniem tedy żałował, że nie z nim nie widział. Zjadłszy obiad w Chorostkowie, wstąpiwszy jeszcze do p. Kaczkowskiego, bo po drodze mieszka, przyjechaliśmy do Postołówki, gdzie wszystko pierw-

¹⁾ Józef hr. Lewicki, wielki strażnik sreber kor. galic., później koniuszy w. kor. Ożeniony z Katarzyną Swinka Kaczkowską, cześnikówną owrucką—Matką jego była Katarzyna z Humnickich Samuela Lewicka, córka Józefa Stanisława Humnickiego.

z kozakami na granicy ułożono, abyśmy łatwo, nie mając paszportów, przejechali; jakoż bez najmniejszej trudności, owszem z pomocą kozaków, którzy bryczkę przenieśli, stanęliśmy w Krasnorossji, podziękowawszy Wiercińskiemu za wszystkie grzeczności. Jeszcze ujechawszy milę, nocowaliśmy dość źle u popa.

26 czerwca. Obróciliśmy nasz trakt ku Malejowcom a popasłszy w Smotryczu, zajechaliśmy wieczorem do Malejowiec, kontenci żeśmy i fatygującą drogę ukończyli i w bezpiecznem stanęli miejscu. Nikogo nie zastaliśmy. Różia bowiem z panem łowczym do Sawiniec do państwa województwa Potockich pojechała, którzy tak jak i inni ze Lwowa uciekali, a pan Adam pojechał do Berdyczowa na jarmark. Później jednak wszyscy, prócz p. Adama, przyjechali. Różia nieskończenie była kontenta z mego przyjazdu, wiedząc bowiem te nieszczęśliwe zdarzenia w Galicji, turbowwała się o mnie, nie wiedząc co się ze mną stało. Pan łowczy także najczulej ze mną się przywitał.

27 czerwca. Wypawwszy się wyśmienicie, z Rózią dużo chodziłem po ogrodzie, pokazywała mi wiele porobionych rzeczy, już od mego ztąd wyjazdu. Przed i po obiedzie opowiadaliśmy p. łowczemu wszystko,

co się działo we Lwowie i szczęśliwego i nie-szczęśliwego; jest tu także sędzia Rokicki, wielki patryjota, który ze szczęśliwych zdarzeń się cieszył, na nieszczęśliwe narzekał. Pan łowczy nam powiadał, że pomimo deklaracji uczynionej wojny Austrii, do czego najwięcej cesarz Aleksander dopomógł, Moskale wszyscy Francuzom jak najbardziej są przeciwni i jeżeli nie mogą otwarcie, przynajmniej pokryjomu Austryakom będą pomagać.

28 *czerwca*. Jeszcze dziś p. Adam nie przyjechał, nikt naszej kompanji nie przyczynił, ale to wszystko nie przeszkodziło, żeśmy czas mile spędziliśmy, to po ogrodzie chodząc, to jeżdżąc na spacer. Urodzaje tu najgorsze, ponieważ deszczów już od kilku niedziel niema, co i oziminom i jarzynom nieskończenie szkodzi.

Na tem się kończy fragment dziennika hr. Ignacego Krasickiego.

I.

Henryk Sienkiewicz. — Mireo Parrasio.

Co kto woli. Są tacy, dla których dobra książka jest najmilszym towarzyszem. Są znowu inni, którzy przenoszą godzinę rozmowy w towarzystwie ludzi, nad najciekawszą książkę. Niektórzy mówią — i nie bez pewnej podstawy, — że z rozmowy z każdym człowiekiem więcej nieraz nauczyć się można, niż z najmądrzejszej książki. Tak, pod warunkiem, że rozmawiać, a przede-wszystkiem, że słuchać się umie, że rozmowa będzie szczerą, nie zaprawioną konwensanowym sosem, nie rozwodnioną banalnością codziennej szarzyzny. Ale też i książka, pisana szczerze, podająca ostatnie wyniki wiedzy w jakimkolwiek kierunku, lub dająca wierny obraz życia, jego walk, trosk i zno-jów — taka książka umiejętnie czytana, jest i pokarmem i rozkoszą.

Z człowiekiem trzeba umieć rozmawiać, trzeba umieć go słuchać; książkę trzeba umieć czytać, umieć odczuć w niej także myśli i tętno życia człowieka-autora.

Nie każdy czytelnik tak czytać umie, ale bo też i nie każdy autor tak pisać potrafi, aby być pojętym i odczutym nie tylko przez grono pewne czytelników, ale przez ogół.

Być tak odczutym, zrozumianym, słyszanim, jeśli nie wielbionym przez wszystkich, to chyba najwyższa rozkosz myśliciela-twórcy, chociażby Bóg wie co innego twierdzili, pomiatający popularnością wśród „młotochu“, zwolennicy zasady „sztuki dla sztuki“.

Największą sztuką pozostanie zawsze ta przedziwna zdolność przemawiania do wszystkich i pociągania za sobą tłumów.

A tę zdolność posiadał u nas w najwyższym stopniu jedyny Henryk Sienkiewicz. Głos jego potężnem echem rozległ się po całej polskiej ziemi, dotarł tam wszędzie, gdzie tylko brzmi polska mowa, przekroczył granice ojczyste i w tryumfie obwieścił zdumionemu światu, iż żyje, rozwija się potężnie, promienieje genialnem światłem duch polski.

I świat uznał to życie, wieńcząc genialnego herolda w niebywałym tryumfie.

Po zdobyciu nagrody Nobla otrzymał Sienkiewicz nominację na członka Akademii rzymskiej Arkadów. — *Accademia dell' Arcadia*, albo *degli Arcadi*, założona w Rzymie w r. 1656, pod opieką królowej szwedzkiej Krystyny, gromadziła w swem łonie artystów, poetów i miłośników sztuk pięknych, a stała się siedliskiem i przystanią poezji pasterkiej, pragnącej ożywić przebrzmiałe echa idylli. Była to niejako reakcja przeciw wpływowi przesadnej, napuszonej, gryzącej satyrą, a nieraz rozwiązej muzy poety Mariniego, którego poemat bohaterski „Adone“ wydany w Paryżu 1623 r. i „Rime amorose“ nie tylko zyskały rozgłos olbrzymi, lecz wywołały liczne naśladownictwa i stworzyły niejako szkołę, fatalną manierę napuszonego stylu i schlebienia zmysłowym żądzom. — Arkadowie mieli tedy przeciwdziałać prostotą poezji pasterkiej temu zepsutemu smakowi w literaturze, ochrzczonego od nazwiska nieżyjącego już podówczas poety († 1625)—mianem: Marinizmu“.

Walka nie musiała być zrazu łatwa, bo wkrótce Akademia Arkadów rozprzegła się i dopiero zorganizował ją w r. 1690 i na silniejszych oparł podstawach głośny podówczas literat i poeta włoski, znawca poezji ludowej i autor jej dziejów (*Istoria della*

volgar Poesia) Jan Maria Crescimbeni. On stanął na czele tej Akademii pod imieniem Alfesibeo Cario. A odtąd stało się zwyczajem, że każdy z członków przyjmuje przy nominacji jakieś klasyczno-pasterskie nazwisko.

Sienkiewicz otrzymał nazwę: Mireo Parrasio.

Parrasia (*Parrhasia*) to, jak wiadomo, nazwa miejscowości w Arkadii. A nazwy tej używał także malarz grecki z Efezu, żyjący około 420 roku przed Chr. słynny Parrhasios, autor traktatu o symetrii ciała ludzkiego i twórca głośnego alegorycznego obrazu: „Lud Ateński“.

Crescimbeni ożywił znacznie martwiejącą już instytucję, rozpoczął świetną epokę jej rozwoju, w czasie której potworzyły się liczne filie Akademii arkadyjskiej w Bolonii, Pizie, Modenie i t. d. Ten szybki rozrost stał się jednak wkrótce potem powodem, że pierwotną myśl organizatora wypaczono. Poezja „Arkadów“ wpadła w nadmierną czułościowość, a obchody ich przybrały kształty dziwaczne. Poczęto czas liczyć na Olimpiady; urządzano co cztery lata pełne przesadnych efektów uroczystości poetyckie, w czasie których wybierano prezesa (*custode*).

W obecnych czasach Akademia Arkadów zajmuje się przeważnie pracami archeologicznymi i przybrała ściśle naukowy charakter. Zwyczajne posiedzenia odbywają się siedm razy do roku; prócz tego zaś dwa razy na miesiąc odczytywane bywają rozprawy naukowe. Organem Akademii jest pismo miesięczne p. t. *Giornale Arcadico*.

II.

Ze wspomnień o Janie Zacharjasiewiczu.

W obecnych czasach coraz rzadziej spotkać można charaktery i usposobienia pogodne, nie zaprawione goryczą, umiające i lubiące bawić siebie i innych. Zgryźliwość, podejrzliwość, pogardliwe czy sceptyczne ocenianie słów i czynów nie tylko przeciwników, ale nawet przyjaciół, stały się cechą stosunków ludzkich, wypleniając z nich pogodę. Postacie z uśmiechem na ustach, z życzliwie wyciągniętą dłonią, stały się wyjątkowymi, coraz rzadziej spotykanymi typami. Są to chyba osiwiali starcy, schodzący jeden za drugim do grobu. Młodszy i najmłodszy mają

najczęściej zamiast uśmiechu, satyryczny lub sceptyczny grymas na twarzy. Uścisk ich dłoni, pozbawiony serdecznego ciepła nie świadczy nawet o szacunku, jest czysto konwencjonalnym uściskiem, przepojonym ową cyniczną sentencją któregoś z francuskich komedjopisarzy: „Podaje ci rękę, bo inaczej uczynić nie mogę... bo zresztą, komu się dziś ręki nie podaje!”

Typową pogodą, i wesołością szczerą, nie pozbawioną czasem lekko złośliwego dowcipu, która już w początkach XX stulecia stała się prawdziwym anachronizmem, odznaczał się Jan Zacharjasiewicz.

Zasługi jego, jako powieściopisarza, niedocenione, albo lekceważone obecnie, znajdują należyte uznanie poważnego historyka literatury, który będzie musiał podnieść w Zacharjasiewiczu to przedewszystkiem, że był on pisarzem w swoim czasie bardzo aktualnym, wybornym obserwatorem swego społeczeństwa, chwytającym w lot i oświetlającym należycie najważniejsze kwestje życiowe. Ci, co w nim widzą tylko miłego „gawędziarza“, mającego na zawołanie zajmującą fabułę powieści, myślą się i wyrządzają krzywdę autorowi takich utworów jak „W Przededniu“, „Święty Jur“, „Na kresach“, „Jednodniówki“ i wielu, wielu innych, w których

on znakomicie ogarniał tętniącą współcześnie, żywotną myśl społeczną.—Kolega z ławy szkolnej Zygmunta Kaczkowskiego, Henryka Nowakowskiego, Jana d'Abancourta, był on w swych powieściach nie tylko artystą, lecz myślicielem i działaczem zarazem. To też jego powieści dają poniekąd wierny obraz dążeń i usposobień współczesnej chwili. To ich niepospolita zasługa i wartość.

Ale nie o tych zasługach zgasłego powieściopisarza chcę mówić. Z długoletnich, najmielszych z nim stosunków, pozostanie mi na zawsze w żywej pamięci wrażenie pogody, humoru, niewymuszonej wesołości, które były cechą usposobienia Zacharjasiewicza. W ostatnich czasach ogarniała go wprawdzie chwilami zaduma, wynikająca z jakiegoś jakby zapatrzenia się wstecz, w daleką przeszłość,—lecz trwało to krótką chwilę. Wnet oko rozjaśniało się żywym blaskiem, na ustach zaigrał uśmiech i tryskało z nich słowo, pełne humoru i dowcipu. Raz jeden tylko widziałem go mocno zgnębionym. Było to—roku niepomnę — ale pewnie przed laty kilkunastu, gdy rodzinny dom jego w Radymnie spłonął do szczytu. Zacharjasiewicz bawił podówczas we Lwowie, gdy otrzymał wieść o katastrofie. Zostałem go w hotelu niemal nieprzytomnego z żalu. „Zdaje mi

się — mówił, — żem niszczał sam, w najlepszej części swojego istnienia“... Usiłowałem pocieszać, radziłem dom odbudować. Machnął ręką ze zniechęceniem. „To już nie będzie to samo, — powtarzał — nie może być to samo! I śpiesznie zbierał się do drogi w ponurem milczeniu. W zamglonych jego oczach snuły się pożegnane dawno wspomnienia lat dzieciństwa, lat bez troski, — wspomnienia związane ze spalonym dworkiem, które z tych zgłiszcz zbiegały mu się tłumnie do serca... Jestem pewny, że w owej chwili on, już podówczas starzec sędziwy, myślał o śmierci, któraby go z niemi łączyła na zawsze.

Przeznaczonem mu było żyć jeszcze potem długo, ale, o ile wiem, do Radymna nie wyjeżdżał już odtąd... W lecie najmilszym pobytem była mu Krynica, gdzie się spotykał z dawnymi przyjaciółmi jak poeta Felicjan Faleński, K. Kaszewski, Hajota (pani Szolc-Rogosińska) i wielu wielu innych. Otaczało go też zawsze liczne grono pań i młodych panienek, w których towarzystwie Zacharjasiewicz ożywiał się szczególnie i sypał brylantami dowcipu. — Objady jadał czasami w pensjonacie u pani Burzyńskiej, lecz najczęściej na pięknej werandzie kurhauzu, gdzie gromadził wokoło siebie liczne zawsze

kółko, chętne słuchania ciekawych lub dowcipnych i barwnych opowiadań czcigodnego starca.

Raz mówiono w jego obecności o dziwnym zbiegu wypadków, który zrządził, że w pewnej sprawie karnej wszystkie podejrzenia i poszlaki padły na najniewinniejszą osobę.

Zacharjasiewicz się roześmiał.

— Bywa to, bywa!... zawołał. — Jak mnie tu państwo widzicie, byłem raz poszlakowany i to na podstawie w oczy bijących dowodów, o... kradzież ciastek!...

Wszyscy wybuchnęli śmiechem a starszek mówił dalej z wielkiem ożywieniem:

— Było to, przed laty, we Lwowie. Do najmilszych domów do których uczęszczałem, należał podówczas dom pp. mecenasówstwa Marcelich Madeyskich. On, człowiek powszechnie poważany, ona najmilsza i serdecznie uprzejma gospodyni, pociągali ku sobie ogólne sympatje. Mnie, prócz tego, pociągały do tego domu piękne oczy kuzynki i wychowawicy pp. Madeyskich panny Korytowskiej obecnie owdowiałej już pani Biesiadeckiej. Jednego dnia napróżno oczekiwałem od nich zaproszenia na herbatę. Zdenerwowany daremnem oczekiwaniem, wyszedłem przed wieczorem na przechadzkę i wracając smutny

do kawalerskiego mieszkania, wstąpiłem do cukierni, aby kupić sobie ciastek do herbaty, którą sam sobie sporządzić zamierzałem. Wybrałem na pociechę te ciastka które najlepiej lubiłem, a które zwykle podawano u pp. Madejskich. Pakiecik włożyłem do kieszeni paltota i podążyłem do domu. Wszedłszy, zastałem na stoliku, ku wielkiej mojej radości, spóźniony bilecik od p. p. Madeyskich, zapraszający, abym koniecznie dziś przybył do nich na herbatę. Uradowany tą niespodzianką, przebrałem się śpiesznie i podążyłem na ów wieczór. Zastałem już całe towarzystwo przy stole. Czemprędzej zrzuciłem paltot w przedpokoju i za chwilę, witany uprzejmie, zająłem miejsce przy uroczej panie Korytowskiej. Czy to jednak poprzednia irytacja, czy pośpiech, z jakim na tę herbatę biegłem, spowodował, że nagle dostałem kataru i zacząłem kichać. I w tej chwili spostrzegłem, z przerażeniem, że w roztargnieniu chustkę do nosa zapomniałem w kieszeni paltota! Nie było innej rady, tylko przeprosić towarzystwo, wstać od stołu i udać się do przedpokoju po chustkę, co też uczyniłem. Wśród ożywionej rozmowy zapomniałem wkrótce o niemiłej dywersji, katar szczęśliwie ustał, a ja pijąc wyborną herbatę, zjadałem ulubione ciastka, które mi z czarującym

uśmiechem podawała panna Korytowska. Po skończonej herbacie, straciłem na chwilę z oczu pannę Korytowską, która wnet jednak wróciła do salonu z szalonym śmiechem.

— Tego nie spodziewałam się po panu! — rzekła do mnie. Wyobraźcie sobie państwo, dodała, zwracając się do towarzystwa, że pan Jan po to tylko zmyślił nagły katar i po to chodził niby po chustkę do przedpokoju, aby zabrać z sobą ze stołu cały pakiet ulubionych ciastek... Patrzcie państwo!

To mówiąc pokazała pakiecik z ciastkami, takimi samemi, jakie były przy herbacie; pakiecik kupiony przezemnie w cukierni, który, wydostając chustkę z kieszeni paltota, niebacznie wyrzuciłem na posadzkę... Wszystkie pozory były przeciwko mnie! Na daremnie usiłowałem wyjaśnić ten zbieg okoliczności, piękna panna powtarzała przekorliwie:

— Łakomstwo doprawdy nie do darowania... Gdybyś był pan powiedział otwarcie, że chcesz więcej ciastek zabrać do domu, nie byłabym panu z pewnością odmówiła... ale tak brać samemu... to nieładnie!...

I odtąd, ile razy wracałem wieczorem od pp. Madejskich, znajdowałem, przyszedłszy do domu, w kieszeni paltota mnóstwo najrozmaitszych ciastek i łakoci... — To, abyś pan

nie potrzebował sam zabierać — tłumaczyła uroczą figlarka. — Tak padłem ofiarą pozorów kradzieży...

Innym razem, wracając z konsultacji od dra Kopfa, przybył Zacharjasiewicz na weraundę restauracyjną i rozglądając się uważnie z pod ciemnych okularów po licznie towarzystwie, zbliżył się do stolika, przy którym siedziało grono młodych pań, a wśród nich bardzo ożywiona osóbką w kapeluszu, ozdobionym zielenią. Przy niej lubił siadywać Zacharjasiewicz, bawiąc się żywym dowcipem młodej dziewczyny; zwykle ona wybierała mu ze spisu potrawy, a wśród tych najczęściej pojawiało się higieniczne — rizotto z szynką. Tego dnia Zacharjasiewicz był w wybornym humorze. Spoglądał ciągle na kapelusz z zielenią, z pod którego śmiały się ku niemu figlarne oczki. I nagle zaimprovizował:

Wzięłaś na głowę gałązkę mirtu —
I pytasz, kiedy wesele?...
Lecz doktor srogo wzbronił mi flirtu!
Cóż tedy pocznem, aniele?...

Może tymczasem, ze skromną minką
Sentyment zwiesim na kołku...
A ja zamówię rizotto z szynką...
Czy będziesz jadła, aniołku?...

Takim to niewymuszonym, serdecznym humorem, taką łatwością w stosunkach, odznaczał się ten niepospolity człowiek, umiejący przytem myśleć tak poważnie i czuć tak głęboko. Dotknięty kalectwem, prawie zupełną ślepotą, znosił je z prawdziwą pogodą, żartował wesoło nawet wtedy, gdy to osłabienie wzroku naraziło go kilkakrotnie na bolesne wypadki: przejechania w Warszawie, złamania ręki w Cirkwenicy. Ostatnie swoje powieści, jak wiadomo, dyktował, — listy jednak pisał zawsze własnoręcznie. Wyborna była często wierszowana, a zawsze dowcipna korespondencja Zacharjasiewicza z dr. K. Estreicherem. Co się z nią stało?

CZEŚĆ II.

ECHO OD STEPŲ.

Wielka, śnieżna przestrzeń — jak morze.

Idzie po niej olbrzymi oddech, — tchnienie bezgraniczne, któremu czasem tylko człowiek i jego sadyba zawadza.

Ale ono na niej się spotknie i idzie dalej — niepowstrzymane, — z gwizdem, budzącym dalekie echa, z poszumem tęsknym, jak dumka ukraińska.

Wielki, biały step, z całą swoją uroczystą mową, w całym majestacie swoim, stęzał pod nawałą śniegu, — stęzał w mrozie.

Wichr stepowy osłupiał, — i chwilę zamilkł.

Na niezmierzoną przestrzeń śnieżną, dziewiczo-białą, padła cisza, jak olbrzymi ptak, otulający ją skrzydłami. Czasem te skrzydła załopoczą, bo je podźwignie siła zbuntowanego wichru, który jak dusza ukraińskie-

go ludu łatwo ujarzmić się nie da. Zda się śpi, a czuwa i myśli:

„Kozak mowczyt a wsio znaje“.

A teraz nawet nie milczy. Trzeba umieć się wsłuchać w tę ciszę stepową, a tkliwe ucho odróżni miliony dźwięków dziwnych, to jęklowych, to chychoczących, — poszumów przeraźliwie tęsknych, które po przez uroczyska i jary, od prastarych kurhanów idąc, powiadają dzisiejszym uszom niezrozumiałe, dziwolężne, na poły pogańskie dzieje zamierzchłej, bujnej przeszłości...

— Hej! hej!... idzie po stepie szerokim.

— — — — —
Ostatni błysk słońca, niby iskra ognista, przebiegł po śnieżnej przestrzeni, zapalił iskier tysiące, zamigotał barwami tęczy, olśnił oko, wpadł w duszę, jak uśmiech przed skonaniami i — zgasł...

Na pożegnanie odzew wichru, idącego z szerokim rozmachem, jak autokrata, nie przypuszczający oporu, z jakimś tryumfalnym oddźwiękiem, mówiącym: ja teraz tu pan!

I naraz nieśmiałe echo: ledwo dosłyszalne po zmarzniętym śniegu skrzypnięcie długich, bardzo długich sanek, przesuujących się

jak widmo po śnieżnej powierzchni. Lekkie, wydłużone jak narty, nie pozostawiają po sobie śladu; mkną, kolebiąc się po zaspach i wydmach. A na nich człowiek, — mała istotka, zgubiona pośród tej grozy przyrody, niezdolna z nią walczyć, jeno chroniąca się przed jej śmiertelnością siłą, otulona w wielki kożuch barani, w czapie śpiczastej, nasadzonej głęboko na uszy, w olbrzymich rękawicach, niby średniowiecznego rycerza.

Ta istota ludzka na tych lekkich, długich saniach, w tej śnieżno-białej, mrozem ściętej przestrzeni, wśród zapadającego mroku, zda się widmem nieziemskim. Tak bardzo różni się ten człowiek, odrębnym swym życiem, własną myślą i tęsknotą od bezwładności i martwoty śpiącego pod nawałą śniegu, stepu.

Chciałby zaświadczyć o swym istnieniu i z rozręsknionej piersi wrywa mu się pieśń rzewna:

„Och, ja nieszczęsnyj, szczoż maju dijaty!...”

Płynie po stepie pieśń żałosna, szerokiem rozbrzmiewa echem, aż gdzieś tam, u mogiły Pietuchowej pod Humaniem, rozbija się o skały nad rzeką Umańką i ścicha wśród gałęzi pobliskiego lasu...

Żałosny, słabiuchny protest życia ludzkiej istoty wobec grozy przyrody...

Bliższy tej przyrody, wprężony do lekkich sanek, mały, krepny koń naszczurzył okrywającą się szronem sierść na grzbiecie i parska, niemal wesoło, buchając parą. Czuje bliskość sadyb ludzkich, — ma pewność rychłego spoczynku bez troski. Nie tak, jak człowiek.

Na krańcu widnokregu ukazują się światła. Jakby z pod ziemi wyrosły. Zrazu nikłe, to wyblęsną, to znikają, aż wreszcie na równej przestrzeni zajaśniały, niby oczy tłumu.

Już widać wieś rozległą, chaty z szorokimi dziedzińcami bez drzew; gdzieniegdzie studnia z żorawiem. Chaty obszerne, pod słomianą strzechą i w słomę przed zimą otulone, z porządnymi zabudowaniami gospodarskimi wokoło. Znać zamożność, — nie widać chęci upiększenia własnego siedliska. Bo i na cóż? Ażali piękności aż do zbytku nie dostarcza sama przyroda? Ten step majestatyczny teraz w zimowym całunie, czyż nie jest dość piękny w wiośnianej krasie, lub w sile płodnej lata, albo w różnobarwnej szacie jesiennej? Kto raz go takim widział, ten go już nigdy nie zapomni: będzie tęsknił do jego szerokiego tchnienia, będzie

wypatrywał oczy, by ujrzeć na wiosnę jego kwieciste łąki i zielone jary; będzie słuchał wyteżał, by usłyszeć poszum jego zbóż dojrzających lub bujnych burzanów na ściernisku złotem... Będzie za nim tęsknił—do końca...

— — — — —

Widoczna zamożność jest jedyną ozdobą tych chat obszernych, oddzielonych od siebie wielkimi dziedzińcami i ogrodem warzywnym. Teraz ze wszystkich okien tych chat wзира w mrok ciekawe, jasne, migoczące światło.

Pośrodku wsi widać na ściemnionem tle nieba rysujące się czarno trzy kopułki drewnianej cerkiewki na wzgórku; przy niej kilka nędznych drzewek, wyciągających rozpaczliwie w górę. огоłocone z liści, skrzępie w mrozie gałęzie.

A dalej, znacznie dalej, na pustkowiu prawie, szare mury dużego dworu. Cofnął się w głąb wielkiego, owocowego sadu, oblepionego w tej porze szronem. Przed nim obszerny dziedziniec, po którego stronie lewej stajnie, wozownie, dalej spichrze, stoły, budynki folwarczne, a dalej stęp bezkresny...

Na folwarku ruch, krzątania, gwar.

Wszak to dziś wielkie święto: wigilia Narodzenia Bożego. Wkrótce, gdy pierwsza

gwiazda zabłyśnie, cała czeladź zasiądzie do uczty.

Powrócił z Humania stary kredencierz Mikołaj. Pojechał był rano krytymi saniami po pana doktora. Ale doktora nie zastał; że zaś tymczasem spadł śnieg wielki, więc sanie ciężkie, którymi po niego jechał, trzeba było zostawić w zajeździe a powrócić prostymi, które po zaspach, mkną jak po lodzie. I powrócił na czas, przed wieczerzą, lecz bez pana doktora, który jednak przybędzie rychło z pobliskiej Popówki, gdzie przedtem wezwany został.

Na folwarku ruch, krzątania, gwar. Ale wzbierającą wesołość tłumi żal...

Żal tego małego Zygmunta, który tam, we dworze leży ciężko chory. Taki miły chłopczyński! Gdyby był zdrow, byłby już tu przybiegł dawno na folwark i śpiewał kolendy, które nadzwyczaj lubił i chłopaków wiejskich śpiewać uczył, i przysłuchiwał się opowieściom starego Mykoły, jak to dawniej bywało...

Zwłaszcza o tym kruku, którego od małości wychował w swej celi O. Bazylianin Skibowski w Humanii. Wychował i dał mu wolę. Kruk wylatywał do lasu, wędrował, gdzie chciał po stepie, widywano go w Leszczynówce i w Popówce i w Pieniąż-

kowej,—a nawłóczywszy się po okolicy, wracał do humańskiej celi zakonnej. — Gdy zaś X. Skibowski w głąb Rossji wyjeżdżał, ostatniego dnia wypuścił kruka, łkając niemal, że go z sobą zabrać nie może. Kruk z głośnym krzykiem poleciał za Humań, w las. Zdawało się, że zginął, bo go odtąd nikt w okolicy nie widział... Aliści, gdy po latach kilkunastu X. Skibowski powracał z wygnania i przejeżdżał pod ów lasek, czarne skrzydła załopotwały nad nim i z radośnym krzykiem wierny kruk usiadł mu na ramieniu. I odtąd nie opuścił swego opiekuna. Żył z nim potem w Tryhurach pod Żytomierzem i przeżył... Wiadomo bowiem, że kruk żyje długo—sto lat i więcej...

Zygmuś słuchał takich opowieści z utkwionemi szafirowemi oczami w pomarszczoną twarz Mykoły. Na jego jasnym czole osiadała zaduma:

— Czy to być może? Taki ptak, ptak, taki kruk—a tak przywiązany i wierny. Dlaczego zaś człowiek?...

Stary Mykoła miał wzgardliwy ruch ręką. Ustami prychnął sceptycznie:

— Ba, człowiek... Kruk był wdzięczny za wychowanie i daną mu wolę.... A człowiek, paniczku, to—bydle!

*

*

*

Nie patrzył się dzisiaj mały Zygmus szafirowemi oczyma w zmarszczoną twarz Mykoły i nie słuchał jego opowieści.

W przyciemnionym pokoju, we dworze cichym i smutnym jak grób, leżał na szerokim łożu, obezwładniony, nieprzytomny. Małe jego ciało niknęło prawie wśród białej pościeli i poduszek. Widać tylko było wynędzniałą, bladą twarzyczkę, wciśniętą w poduszki, okoloną ciemnymi włosami. Oczy miał zamknięte, dyszał ciężko. Wychudłe paluszki rąk, wyciągniętych na kołdrze, poruszały się czasem gorączkowo.

Po nad nim, pochylona, z całą duszą w niespokojnym wyteżonym wzroku, stała matka.

Wyniosła, śliczna postać, o rysach twarzy regularnych, przepięknych, tą dziwną, uduchowioną pięknnością madon Botticellego. Włosy niezmiernie bujne, kasztanowate o złotawym połysku, rozplotły się i całym ciężarem na ramiona opadły.

Stała tak, nieruchoma, wpatrzona w obumierającą twarz dziecka.

Ojciec oparł się o poręcz łóżka i patrzył na nią i na syna z dwojaką boleścią. Ale cierpiał więcej nad nią, nad tą swoją ukochaną, wierną towarzyszką doli, a raczej niedoli. Co się z nią stanie, gdy to młodziut-

kie życie zgaśnie? Po tylu ciosach, jak zniesie ten, — najboleśniej?

On znał wartość rzeczywistą życia. Wiedział, że istota ludzka, gasnąca w zaraniu, chroni się tą śmiercią od wielu walk i cierpień od śmierci gorszych. Czuł, że serce jego krwawi się boleśnie na myśl, że Zygmus, ten ukochany jego Zygmus, umrzeć może,—lecz czuł także, że boleść ta jest po części samolubna. Gdy natomiast widok cierpienia tej matki poruszył w nim i burzył wszystkie uczucia duszy.

Za co ta śliczna, szlachetna, pełna poświęcenia istota tak cierpi? tak strasznie cierpi od lat wielu? I wtedy, kiedy on, mąż, poślubiony niedawno, szedł na pole walki i wtedy, kiedy śmiertelnie ranny, leżał w Daszowie w dworku szewcowej na poddaszu, i wtedy, gdy siedział w kazamatach kijowskich, czekając wyroku śmierci, wreszcie w ciągu długoletniego wygnania wśród syberyjskich lodów...

A teraz znowu, w tem napowrót odzyskanem gnieździe, u łóżka konającego dziecka!

* * *

Oddech coraz cięższy, — wśród ciszy nie słychać tylko ten straszny oddech...

Wokół pustka, mrok, milczenie na przyjęcie zbliżającego się gościa—Śmierci...

Naraz przez osłonięte firankami okna przebłyły jaskrawe światła... I głosy chłopięce, młode, dźwięczne, zabrzmiały:

„Bóg się rodzi, moc truchleje“...

Ojciec i matka drgnęli równocześnie. Ojciec rzucił się, by nakazać milczenie wiejskim chłopakom, towarzyszom zabaw Zygmuś, którzy przez niego tej kolędy nauczeni, przyszli mu ją zaśpiewać, niosąc sporządzoną przez organistę humańskiego szopkę.

Rzucił się ojciec ku drzwiom i nagle przystanął.

Z odrętwienia martwego obudził się Zygmus. Otworzył szeroko oczęta zamglone i wyciągnął ku matce wychudzone ręce:

— O jakie to piękne! mamie... niech śpiewają!..

Matka upadła na kolana, tłumiąc łkanie. A Zygmus słuchał, poruszając ustami, jakby sam śpiewał:

„Bóg się rodzi, moc truchleje“...

* * *

Struchlała moc śmierci i odeszła...

Gdy doktor nadjechał, orzekł: choroba się przesiliła, — ocalony!...

A ojciec patrząc na wybladłego Zygmun-
sia, myślał:

Ocaliła go pieśń... Będzie poetą. To zna-
czy, będzie go bolało to, co dla innych jest
obojętne; będzie chciał szukać głębi, a znaj-
dzie mieliznę, albo skały, o które rozkrwawi
serce...

Czy dla niego nie byłoby lepiej, gdy-
by był...

Wzdrygnął się i — nie dokończył myśli.

Gniazdo sokole.

Tam gdzie rzeczka Koneła rozlewa się
w staw szeroki, opodal od rozległej wsi
ukraińskiej, stała wśród stepowej równiny,
okolona wiankiem drzew wysokich, chata
starego Charytona.

Sadybę tę, darowaną mu ongi na wła-
sność za zasługi dworskie, zwano „Gniazdem
sokolem“.

Charyton czynił sam na mnie wrażenie
starego sokoła, gdy siedząc na przyźbie cha-
ty, opowiadał o czasach dawnych i swoje
bystre, ogniste oczy, z pod powiek zaczer-
wienionych, jakby krwawych, utkwiał w prze-
strzeń, wymachując od czasu do czasu mia-
rowo ramionami, jak skrzydłami, gotującemi
się do lotu. Wiatr targał mu i rozwiewał
skudłaczoną czuprynę, gęstą a siwą, okala-
jącą twarz wychudłą o rysach ostrych, spa-
lonych od stepowego wichru i słońca. Opo-
wiadać lubił, a wychowany od młodu we

dworze, wyrażał się poprawnie i pięknie choć po prostu, a nieraz z pewnym poetyckim nastrojem, właściwym romantycznemu czasom.

Gdy był dzieckiem małym, Charyton na rękach mnie niańczył i dumek ukraińskich uczył. Wiedziałem, że złał na mnie to uczucie wiernego przywiązania, które mu kazało niegdyś towarzyszyć ojcu memu na bój, uratować rannego i omdlałego z pola bitwy pod Daszowem, a potem iść z nim razem na dalekie wygnanie.

Od pewnego jednak czasu począł on na mnie patrzeć podejrzliwie. A mnie, młodzieńca, pociągało coraz częściej do „Sokołego gniazda“; ciągnęły mnie tam oczy urodziwej Hanki, wnuczki Charytona. Całemi godzinami chciałem patrzeć w te oczy, mieniące się barwą i wyrazem to pustym i figlarnym, to tęsknym i rzewnym, to ogniste namiętnym. I nieraz, wzajemnie, czułem jej spojrzenie na sobie; czułem, że lgnęło do mnie, że paliło żarem, a gdy cofało się, spłoszone wołaniem podejrzliwego dziadka, odchodziło zwolna, niechętnie, pozostawiając we mnie płomienisty ślad: dziwną po sobie tęsknotę...

— — — — —

Raz rzekł mi Charyton;

— A wiecie wy, paniczu, dla czego ten futór nazywa się „Gniazdem sokolem?“

Wpatrzył się krwawemi oczami w przestrzeń, i nie czekając na odpowiedź, mówił

— Bo tu, paniczu, były sokoły... o, były! Hodowali je Kalinowscy, a potem Potoccy i w Tulczynie i w Humanu i tu bliżej w Sokołówce. Były to sokoły orłom podobne, wielkie a silne, srogie a drapieżne, w locie niedoścignione, mądre a mściwe...

— Mściwe, powtórzył z naciskiem, przenosząc nagle z dalekiej przestrzeni wzrok swój na mnie, — niedopuszczające do gniazd swoich żadnego brudu, żadnej hańby... Jak tylko co niedobrego stało się w gnieździe, — sokół ojciec, albo dziad, najstarszy tam wiekiem, wylatywał w górę wysoko i w chmurach tkwił — aż do świtu.

— A gdy kur zapiał...

— A wiecie wy, paniczu, dlaczego kur pieje?...

* * *

— Kiedy przed świtaniem Piotr Apostoł miał zaprzeć się Chrystusa, — stał się wielki popłoch między Aniołami. Pierzchnęły z ziemi przerażone. A w tej ucieczce jeden z nich zgubił piórko ze skrzydła, którem za-

wstydzone oczy zastaniał. — Kogut zaś podówczas nie umiał pisać jeszcze, ale był ptak czujny, najwcześniej się budził i dla tego miał szczęście. Rozprostowywał ze snu swe skrzydła, gdy owo zgubione piórko anielskie nań spadło i wśród piór jego zastrzegło...

— odtąd kur na świtanie pieje, pisać musi w tej chwili, gdy chóry anielskie śpiewają pieśń ranną. On im odpowiada, jako innym ptakom, że pora się budzić.

* * *

— Więc gdy kur zapiał, ów stary sokół, który był wzleciał w górę i ztamtąd wzrok swój bystry wpijał w złe gniazdo, przerażliwym krzykiem zwoływał inne starsze sokoły na radęni sąd. Zlatywały się wszystkie ku niemu — tam, w górze, — i krążyły zwolna, korowodem nad gniazdem. Naradzały się, a gdy wydały wyrok, odlatywały precz w milczeniu. Jenó ów ojciec, albo dziad zostawał sam, tkwiący w chmurach, ponury straszny, surowy mściciel!...

— I zlatywał nagle na gniazdo plugawe, jak piorun...

— — — — —

— Nie wierzycie paniczu? — A ja wam powiadam, że to prawda święta.

— Długo tu u nas gniazda sokoły były czyste... dopóki trzymały się obyczaju starego. Ale wichry złe nawiały tu z czasem chmurę obcego ptactwa, któremu podobały się zasobne, wielkie, schludne nasze gniazda sokoły. Mówiono, że to były także sokoły, ale jakieś inne; niklejsze a bardzo podstępne, chociaż opierzone pięknie. Barwy ich mieściły się w słońcu i pociągały oko. Te obce sokoły zaczęły tedy opanowywać gniazda nasze i niszczyć je. Kto jeno mógł z naszych sokołów walczyć, to walczył na śmierć z przemocą; kto mógł odlecieć, odleciał... Gniazda przepadały.

— Aż zostało jedno jedyne, tu w tym futorze, na tym dębie starym. Żył tam sokół wielki, siwy, miał dziób potężny, hakowaty, u samej nasady zgięty, z krawędziami szczęki górnej, wykrojonymi w dwa jakby zęby. Na ciemnej głowie jeżyły mu się w gniewie pióra w czub, jakby hełm, z pod którego patrzyły ślepie ogniste a dzikie. Pa-lił się w nich smutek, jak światło gro-mniczne.

— Sokolichy już w gnieździe nie było — przepadła.

— Żył jeno sokolátko młode, opierzone zaledwie, zwinne a wesołe, wciąż wyskakujące na krawędź gniazda i codziennie pró-

bujące siły swych lotów. Patrzyło w słońce śmiało, bo było niewinne. Stary sokół wylaatywał zawsze z rana i przynosił sokolątku żer... dużo żeru. Sam nie jadł, patrząc jeno jak żywiła się jego sierotka.

— — — — —

— Od Humania przyleciał obcy, młody ptak, niby sokół. Był krasnapióry i pysznił się swoją urodą, a gdy stary, siwy sokół po żer wyleciał, on krążył po nad gniazdem i krążył, to zniżał się po nad niem, to w górę mknął, nawołując a chełpiąc się w słońcu swem barwnem upierzeniem. A sokolątko siedząc na krawędzi gniazda, patrzyło w niego, jak w tęczę...

Charyton zamilkł ponuro.

— I cóż się stało? — spytałem.

Nie zaraz dał odpowiedź. Długo siwą głową w zadumie chwiał.

— Co się stać miało? — rzekł w końcu. To co musiało się stać... Raz gdy o świtanu byłem na tem podwórku, zapiał kur. Podniosłem oczy w górę: Po nad gniazdem, wysoko, jak wielka plama tkwił stary sokół z rozpostartemi skrzydłami. Nie kołysał się w powietrzu, lecz nieruchomo tkwił i krzyczał. Nie przyleciały na to wołanie żadne inne sokoły, bo ich już w okolicy nie było. Więc ten ostatni sam krzyczał, rozpaczliwie

krzyczał, sądził i wyrok wydał... Uleciał jeszcze wyżej, że był jak mała kulka czarna na rozjaśniającem się niebie. A w gnieździe stał się popłoch. — Krasnapióry jak strzała, jak iskra wyleciał i — zniknął, a na krawędź gniazda wyskoczyło zaleknione sokolątko... Skarżyło się, nawoływało, błagało litości. Trzepotało słabemi skrzydłami i drżało niemocne, w przerażeniu.

— A zaś stary sokół siwy stulił się nagle, wydłużył jak strzała i już nie leciał, lecz spadał z wysoka. Spadł jak grom... Nad samem gniazdem skrzydła znów rozpostarł, nakrył je niemi wraz z sokolątkiem, a dziobem bił, rwał szponami targał...

— Zszarpane, krwawe, martwe sokołę wyrzucił precz, i całe gniazdo cisnął na ziemię...

— A sam zerwał się i leciał...

— Widziałem go długo jak leciał chyżo, coraz chyżej, jak gdyby przed pogonią uciekał... Leciał — leciał — leciał, coraz mniej-szy, aż zniknął...

— — — — —

— Bo tak to jest, mój paniczku... Sokoły strzedz powinny czystości gniazd swoich. W tem ich siła.

* * *

Przyszło mi wkrótce potem żegnać strony rodzinne na zawsze. Późnym wieczorem żegnałem i „Gniazdo sokołe“.

— Bywajcie zdrowi, paniczu, mówił Charyton,—bywajcie zdrowi! A niech wam lepiej się szczęści niż waszemu ojcu... Z nim, bywało, leciał ja niegdyś, oj, leciał... Ano, teraz, starym już—*„nie zduszam“*.

Głos mu drżał i coś zaszklilo się pod krwawą powieką. Nagłym ruchem pochylił się do mojej ręki. A gdym go ujął w objęcia, posłyszałem wyraźnie głuchy chrzęst, jak stłumione łkanie w jego piersi.

— Bywajcie zdrowi, powtórzył, prostując się i wyprowadzając mnie za furtkę obejścia.

Obejrzałem się w około, ociągając. A stary ruch mój zrozumiał i rzekł niemal szorstko:

— Hanka nie wyjdzie... Chora, leży od wczoraj,—nie wyjdzie!...

Po chwili dodał:

— Świat przed wami... bądźcie szczęśliwi! A pomnijcie, paniczu, żeście wy także z rodu sokołów... I strzeżcie czystości gniazda,—bu plugawe marnieją!...

Na wzgórku, pod krzyżem, przystanąłem i zwróciłem się raz jeszcze ku Charytonowej sadybie.

Wiatr kołysał zwolna drzew konarami, które wyciągały się ku ciemnemu niebu, jak w ruchu błagalnym ramiona. Wśród drzew majaczyły ściany chaty, cichej, uśpionej, jakby pustej. Po za nią i przed nią step równy, smutny, aż do rzeczki Koneły, szmerzącej z cicha, żałośnie...

Głucha, ponura noc stepowa otaczała mnie w okół swym dziwnie uroczystym, stłumionym szmerem, mową tajemniczą wichru, który od uroczysk i kurhanów, przez przestrzenie pustynne, szedł niekrępowany a woniejący dościgłem zbożem pól i kwieciami łąk. W górze gwiazdzisty przestwór nieba, otulającego tę cichą krainą w miłośnym objęciu,—tuż nademną wyciągnięte ramiona na poły spróchniałego krzyża—a w dali, w ciemnej, ponurej dali inny świat, obcy ludzie, inne życie...

Lęk mnie ogarnął,—lęk i żal.

Oprócz starego Charytona nikt mnie tu już nie żegnał, odjeżdżającego z ukochanej, rodzinnej ziemi, odjeżdżającego na zawsze w daleki, nieznany świat...

Na krzyk mego żalu nie zlatywały się inne sokoły, bo już ich w tej okolicy nie było...

I wśród tej nocy głuchej ogarnęło mnie potężne pragnienie jednego serdecznego uści-

sku, jednego gorącego objęcia w tej chwili rozstania...

Chciałem się rzucić na wilgotną ziemię, przywrzeć do niej ustami, ramieniem objąć i domagać się od niej — tej matki żywicieli, — jakiegokolwiek objawu żalu za mną, za tym odrywającym się od pnia ojczystego liściem, który wichura porywała i niosła — Bóg wie gdzie, — w świat szeroki!

Ogarnąłem raz jeszcze spojrzeniem cały widnokrąg. Brałem w oczy daleki step rozległy i wstęgę Koneli, w staw się opodał rozlewającą i bliższe „Gniazdo sokole“, przyczepione ze swą grupą drzew starych na niezmierniej równinie pustynnej. Brałem w oczy, w pamięć wszystko i wszystkich...

Biała, wiotka, uroczą postać dziewczęcia zamajaczyła mi w myśli:

— Hanko! Hanko!

Silniejszy podmuch wietru, szelest stóp bosych, biegnących po trawie — i nagle dwa dorodne ramiona oplotły mi szyję...

— Panicz! paniczu mój! — szeptały rozchylone usta Hanki, — ja już was nie zobaczę nigdy! nigdy!

Ramiona coraz silniej zaciskały się w około mej szyi, czułem przy sobie, blisko, dy-

szącą pierś dziewczyny... Usta jej z głuchym łkaniem wpijały się w moje usta...

— Sokole ty mój jasny! sokole!...

Zapiał kur...

U krawędzi stepu wytrysły blade promienie świtu i rozlały się po niebie szeroko.

Zapiał kur, — ten ptak, któremu pióro anielskie każe wieścić uspięnej ziemi hymn ranny zastępów niebieskich.

Zapiał kur...

W mojem objęciu białe sokolátko drżało niemocne.

— Hanko!... zagrzmiął nagle donośny, surowy, jakby lękiem drżący głos Charytona.

Jęk głuchy z piersi Hanki był mu odpowiedzią.

Rozplotły się ramiona nasze. Nadmiarem uczucia znieczuleni, zbiegliśmy ze wzgórką bezwiednie i szliśmy każde w swoją stronę bez oporu, czując, że tego rozstania żadne zakłęcie oddalić nie mogło...

— Och! och! pobiegło westchnienie Hanki po szerokim stepie — i ścichło...

* * *

Po wielu, wielu latach przybiegłem w tę stronę. I stanąłem na wzgórku. Krzyża już

na nim nie było. A z „Gniazda sokolego“ ni śladu. Chata Charytona znikła; z drzew zaś, które ją otaczały, sterczał jeden tylko pień dębu, z kory odarty, spróchniały, czarny, jakby piorunem spalony.

Pustka...

A nad tą pustką zdawał się unosić nieubłagany, surowy głos Charytona:

— Sokoły winny strzedz czystości gniazd swoich,—bo inaczej marnieją...

P a x.

Wiatr dał mroźny z północy i zerwała się zawierucha tak straszna, jaka tylko na stepach szaleć może. Tumany śniegu niósł wichher Bóg wie skąd, z niedoścignionych przestworów, wzbijał wysoko, rozpraszał w powietrzu, smagał nimi, jak miotłą olbrzymią, zasypywał drogi i przejścia wszelkie, a gdzie-niegdzie, jakby na igraszkę, wznosił z nich na równej, niezmierzonej przestrzeni gmachy potworne, lub całe góry łańcuchy o poszarpanych szczytach, zmieniających co chwila swe kształty.

Słońce, które z rana wyjrzało na chwilę, cofnęło zaraz swe blade promienie i znikło poza białą, mroźną kurzawą. A o godzinie trzeciej z południa, wśród jęku wichru, przeraźliwego szumu i huku zamieci, stała się ciemność.

Powoli, z trudem, krok za krokiem, przebiły się przez zaspy duże sanie, czterema

końmi zaprzężone. Z koni zdyszanych, zmęczonych, buchała para gorąca, a w niej tały nieco tumany śniegu, że wśród tej pustyni, zasypanej zamiecią, to jedno miejsce, w którym poruszały się istoty żyjące, było chwilami widoczne, bardziej przejrzyste; tworzyło światek odrębny — maluczki, marny i słaby wobec potęgi szalejącego orkanu.

Światek ten żył i walczył... Życiem i tą walką świadczył o swem prawie istnienia wobec brutalnej siły burzy, która go zniścić chciała.

Kiedy niekiedy odzywały się stłumione głosy.

— Nie daleko już karczemka... dojedziemy!—mówił stangret, ponagłając konie.

— Nie zimno ci, synku? — rzekł starzec do siedzącego obok czternastoletniego chłopczyka.

— Nie, tatku, nie zimno...

Malec, zakutany w futro, otulony baranią, przygarnął się do starego ojca. Pomimo futra było mu bardzo zimno; kostniał cały, wicher przenikał go do szpiku. Ale nie skarżył się i za nic w świecie nie byłby się przyznał, że małe nóżki łamie mu mróz, a senność klei powieki.

O sobie nie myślał w tej chwili; gryzła go troska o ojca. Ojciec już chory wyjechał

z domu, który rozpadł się w gruzy. Wyjechał, aby nigdy do stron rodzinnych nie powrócić. Chłopak bardzo odczuwał boleść starca, chociaż w całej pełni zrozumieć jej i podzielić jeszcze nie mógł. Do niego uśmiechało się życie, uśmiechało się nawet to miasto, do którego jechali, a którego nie znał, wyobrażał zaś je sobie wspaniałem. Tam zresztą miał kuzynków i kuzynki, z którymi tak mu było dobrze bawić się w czasie wakacji na wsi! Tę przyjemność będzie mógł mieć teraz codziennie. Uczyć się będzie pilnie — tak sobie postanawiał — ale po szkole, wieczorem, rozkoszna zabawa w gronie kuzynków i kuzynek, z których jedna zwłaszcza, Minia, takie cudowne miała oczy szafirowe i taka dobra była dla niego...

Ale biedny ojciec!... On tak się zmienił ostatnimi czasy, taki był zgnębiony, taki bardzo nieszczęśliwy! Nie mówił nic, nie skarżył się, ale w oczach zapadłych, ponuro przed siebie patrzących, w ustach zaciśniętych wyrażała się nieukoiona rozpacz.

— A tatkowi nie zimno?—zapytał z kolei mały Zygmus.

Gwałtowniejszy podmuch wichru zatamował mu głos w piersi i zmusił do kaszlu.

Ojciec nie odpowiedział nic, tylko gwałtownym ruchem objął syna ramieniem i przytulił do siebie.

I tak milcząc już, zwarci w uścisku, posuwali się zwolna, z trudem, otoczeni ze wsząd nawałą śnieżną, połączeni miłością, z pełną duszą leż palących, wśród mroźnej wichury, grożącej lodowatym uściskiem śmierci.

— Tatusi! mój tatuś kochany!—powtarzał Zygmus...

II.

Mała karczemka przydrożna, napoły rozwalona, z dachem zapadłym, miała tylko jedną dużą izbę szynkową i alkierzyk, w którym mieścił się arendarz z rodziną.

W izbie o kilku oknach, na wszystkie strony świata zwróconych, lecz powybijanych i pozatykanych brudnymi szmatami, lub zaklejonych grubym, „cukrowym“ papierem—odsunięto z jednej strony ławę od ściany i na ziemi rozesłano kilka wiązek słomy i siana. Przykryto je derkami i przygotowano tak posłanie dla podróżnych; zapędzonych tu zawieją.

Szczęście, że ocaleli! Albo może nie-szczęście. W języku ludzkim zowie się to jednak i szczęściem i ocaleniem.

Zygmus napoły skostniały, ułożony wnet przez ojca na posłaniu, odczuwał teraz całą rozkosz ciepła, które zwolna przenikało jego wątły organizm. Czuł się spokojnym, bezpiecznym i po przebytem udręczeniu—szczęśliwym. Brudne wnętrze karczemki wydało mu się wybornem schronieniem; nie raziła go nawet woń wódki, przepełniająca powietrze.

— Tu nam będzie bardzo dobrze — prawda, tatku?—mówił i dużemi oczyma, uśmiechnięty, patrzył na ojca, który krzątał się jeszcze, przykrywając go ciągle i pytając: czy mu ciepło?

— Ależ ciepło, doskonale!.. Niech się tatko zaraz także położy...

— Położę się — odparł ojciec — tylko się pomodłę... Ty także zmów pacierz, synku...

Zygmus walczył już ze snem, nie chciał bowiem tak rychło stracić miłego wrażenia tej chwili.

Zaczął mówić „Ojcze nasz“, i sen go zmógł nagle.

Śniło mu się, że jest na wsi, u rodziców. Na wsi, pełnej zieleni i światła, które z wypogodzonego nieba spadało zdrojami ciepła i promieni na błogosławioną ziemię. Wokoło tyle zbóż dojrzałych, tyle kwiatów polnych, tyle woni, takie życie w powietrzu, taki ruch pracujących w polu, i w chatach—

że serce rośnie i rozszerza się tą pełnią istnienia... O, jakże piękny świat! jak rozkoszne życie! Świat taki — to wielki obraz o nienaśladowanych barwach, pełny różnaitości i niepospolitego uroku; a życie w tym wyśnionym świecie — to poemat rozkoszny. Oto kuzynka Minia uśmiecha się zdala i uciekając zalotnie, woła Zygmunta po imieniu, czule patrząc na niego szafirowemi oczyma.

I Zygmunt biegnie bez pamięci; traci z oczu wszystko; leci wśród zbóż i kwiatów ku tej uśmiechniętej a ślicznej...

Aż nagle pociemniało wszystko... Przepaść otworzyła się przed nim. Dziwnie przykre poczucie pogrążania się w otchłań bezdenną wstrząsnęło nim od stóp do głowy, otoczył go szum i huk, jakby fal morskich. Zabrakło mu tchu i obudził się, otwierając szeroko oczy, przerażone łoskotem, który i teraz słyszał na jawie.

Wicher szalał z coraz większą gwałtownością, i zdawało się, że za chwilę obali nędzną karczemkę. Przez szpary w oknach wciskał się do izby, miotając garściami drobnego śniegu, który w słabym oświetleniu świeczki łojowej, stojącej na stole, migotał chwilę i spadał na podłogę białym pyłem. Dziwne odgłosy wycia, jęku, trzasku belek i krokwi napełniały powietrze.

Zygmunt chciał zawołać: „Ojczel“ — gdy wtem ujrzał jego postać, siedzącą przy brudnym stole szynkowym. Przygarbiony, skulony w starym futerku, jedną ręką osłaniał płomień świeczki, aby nie zgasł od powiewu wichru. Świeczka ta mała, źle oprawiona i przekrzywiona w mosiężnym lichtarzu, na który ściekały pełne krople łoju, już się dopalała. Wielki knot wyrósł na kształt grzyba, wśród płomienia brudno-czerwonego, który chwiał się i migotał, rzucając pelzające blaski na okopcone ściany.

Starzec siedział naprzeciw Zygmuntowi. Rysy jego twarzy, niezmiernie piękne, miały wyraz ponury. Czaszka kształtna, obnażona z włosów, które tylko ponad skroniami spadały siwe, była pochylona nad książką do nabożeństwa, lecz oczy w nią nie patrzyły; posępne, utkwily spojrzenie w dal, w przeszłość szczęśliwą a niepowrotną, z uporem rozpaczy. Drugą ręką szarpała kiedy niekiedy brodę białą, długą, rozstrzępioną w nieładzie.

Wpółseny jeszcze, a przerażony Zygmunt patrzył sztywnie na ojca, nie mogąc się poruszyć, niezdolny przemówić słowa.

A wicher szalał z coraz większą wściekłością, targając wiązaniem ducha. Za każdym gwałtownym podmuchem, starzec rzu-

cał wzrok w stronę Zygmunta i porywał się, jakby chciał biec na ratunek i własnym ciałem osłonić syna, aby go nie zasypały gruzy walącej się karczemki.

Knot świeczki skrzywionej rósł coraz bardziej i coraz ciemniej było w izbie. Starzec złożył książkę i odsunął ją od siebie, lecz po chwili wyjął z niej mały obrazek, nędznie malowany, stary, zużyty. Oparł go o lich-tarz i wpatrzył się.

Obrazek przedstawiał Chrystusa ukrzyżowanego: mały wzgórek zielony, a na nim krzyż wielki, podparty u spodu dwoma wysterczającymi kołkami. Na krzyżu rozpięte ciało Zbawiciela z ciemną przepaską u bioder; rana w boku zaznaczoną plamą czerwoną; także plamy, niby krew, ściekająca od korony cierniowej, pokrywały twarz, pochyloną na piersi, niewyraźną, zamazaną.

Ale starzec musiał dopatrzyć się w niej cudu. Nie odrywał od niej wzroku, a w miarę jak patrzył, ponurość rysów znikła...

Przed chwilą szarpał się w sobie, nie-mocny a pełen gorczy.

— Za co Ty mnie karzesz, Boże! — myślał. — Bez winy straciłem wszystko: strzechę własną, dobytek, znaczenie... Siły ste-rałem w pracy dla Ojczyzny, a teraz iść mu-

szę na poniewierkę tułaczą, bezdomny i zła-many...

W migocącym świetle gasnącej świeczki cała postać Ukrzyżowanego zdawała się poruszać i mówić:

— Cierpieć za innych i dla innych, cierpieć bez winy i wytrwać *usque ad finem*, to szczyt Golgoty... A ty skarżysz się czło-wiekul!

W oczach starca stały dwie duże łzy. Wstrzymały się pod powieką, dławione prze-mocą... Gorycz walczyła jeszcze z rzewno-scią, z uczuciem rezygnacji chrześcijańskiej...

— *Usque ad finem* szepnęły usta starca. Poświęceniem jednostki żyją pokolenia...

Drżące ręce złożyły się do modlitwy. A wicher miotał ciągle garściami suchego śniegu w okna zaklejone grubym papierem, który wydawał głuchy chrzęst. Starcowi zaś zdało się w tej chwili, iż w tym chrzęście słyszy jakby szępt:

Pax! pax!

I spokój wnikał w rozrzuconą duszę, z której teraz strumieniem potoczyły się łzy gorące, spływając po twarzy bez łkania i wy-siłku.

Ten cichy płacz ojca poruszył Zygmunta do głębi. Po raz pierwszy w życiu widział przed sobą ogrom cichego cierpienia. Nie

śmiał ani się poruszyć, ani zawołać, tyle w tych łzach bez łkania było uroczystej powagi.

Po chwili jednak porwał się i przypadł do stóp ojca, nie mówiąc nic.

Starzec w drżące ramiona ujął syna i podniósł.

— Zygmunś — rzekł — ilekroć będzie ci ciężko w życiu, wpatrz się w ten obrazek... Z Krzyża tylko spływa ukojenie...

III.

Nazajutrz, gdy Zygmunt otworzył oczy, budząc się ze snu twardego, zadziwił się blaskiem słonecznym, które się wdzierały przez zaśnieżone okna do brudnego wnętrza karczmy. Rozjaśniło mu się w duszy.

Świat znowu był uroczy po wczorajszej zamieci, zasypany nawalą śniegu, który brylantowo lśnił się w promieniach, tając zwolna.

— Wstawaj, chłopcze! — rzekł ojciec, niemal wesoło. Śliczna pogoda, Bóg łaskaw! Pojedziemy zaraz dalej.

I pojechali na dolę i niedolę.

Odąd było Zygmuntowi nieraz ciężko. Ale ilekroć chciał skarżyć się i słabnął, wnet stawała mu w pamięci postać, ojca płaczą-

cego bez łkania przed obrazkiem Ukrzyżowanego, w owej karczemce przydrożnej, w noc burzy zimowej.

I w takich to chwilach, jak niegdyś ojciec, wpatruje się w stary, zużyty obrazek. A z Krzyża przychodzi zawsze ukojenie...

W zmierzchu dnia, gdy wichur jesieni jęczy, lub zamieć śnieżna szaleje, widzi on zawsze przed sobą ojca-tulacza, a w brzmieniu wieczornego dzwonu, wzywającego na modlitwę za zmarłych, dosłuchuje się głosu:

Pax! Pax! Pax!

ROZSTALIŚMY SIĘ.

Brusin, 15, grudnia 19...

Rozstaliśmy się... Dopiero teraz, po upływie pół roku, mam siłę napisać ten wyraz. Napisałem i przypatruję mu się. Dziwny wyraz: każda głoska płomienieje ogniem, rzuca skry mieniające się żółtawo-czerwone. Naraz, całość wgrąża się w dym czarny, w chmurę dymu i oddala się, idzie w przestrzeń, staje się kryształowo-przezroczystą, połyskuje rosą, jak — łzami. I znowu przybliża się szybko, nagle, jak nieszczęście; znowu jarzy się ogniem, rzuca skry czerwone, które przenikają w głąb serca i palą... palą...

Sam wywołałem rozstanie. — Wisiało ono oddawna nademną, jak fatum nieubłagane; wyzywałem je i nadeszło... Zdaje mi się teraz, że od samego początku krótkiej naszej miłości, wyrok rozstania był już podpi-

sany przez nią i przezemnie. Nawet w chwilach upojenia, gdy ona, w moje słowa wsłuchana, z rozchyłonymi rozkosznie ustami, patrzyła na mnie oczyma barwy wody morskiej, mieniaćmi się, jak morze i jak morze otchłannie głębokimi; nawet wówczas, gdy przymknąwszy powieki, drżące, jakby porażone nadmiarem światła, chyliła małą swą, ciemną główkę na pierś moją i garnęła się ku mnie, jakby tym ruchem wdzięku, oniesmielenia i słabości pełnym, mówić chciała: „Jam twoja!“ — nawet wówczas, jakiś głos zimny, szyderczy a stanowczy krzyczał mi w duszy: „Nieprawda! nieprawda!...“

Raz, po takim upojeniu, spojrzałem na nią bystro. Stała przedemną, jakby zawstydzona swą słabością, z głową pochyloną na pierś dyszącą i falującą gwałtownie... Pod siłą mego spojrzenia podniosła nieco czoło i rzuciła na mnie wzrok dziwny, który z pod brwi ściągniętych, promieniejący z po za mgły lekkiej, skojarzył się z moim spojrzeniem i na ów krzyk, piętnujący kłamstwem nasze porywy miłosne, odpowiedział: — „Tak!“

Odczuła moje zwątpienie, czy też je we własnej odnalazła duszy?... Nie wiem. To pewna, że od tej chwili był między nami jakby pakt tajemny, niewypowiedziany nigdy,

a jednak ciągle nas wiążący, wzbraniający nam analizy uczucia, które nas łączyło.

Wkrótce potem, gdyśmy mówili o planach na przyszłość i budowali zamki na lodzie, ona nagle umilkła i zapatrzyła się w przestrzeń, ściągając nieco brwi nad oczami, co jej twarzyczce, zwykle pełnej ożywienia i wesołości, nadawało wyraz posepny. — Nagle wzdygnęła się i, zwracając ku mnie oczy bardzo smutne, rzekła:

— Najlepiej nie słuchać echa własnego głosu...

Spojrzałem na nią zdumiony. Uwaga jej, nagle rzucona, niemal brutalnie, na zwierciadlaną taflę, na której rojenia mojej wyobraźni rozsnuwały tęczowe barwy przyszłego, wspólnego nam szczęścia, wydała zgrzyt. Zwierciadło prysło... Uczyniła się póśrodku jakby gwiazda, której promienie rozdarły i zniszczyły moją malowaną...

Uczułem przenikliwy ból i zapytałem zimno:

— Dlaczego? czyżby to echo co innego mówiło?

— Ach, nie! nie! — przerwała żywo. — Powtarza to samo, ale inaczej. Zmatowany, głuchy głos jego zdaje mi się zawsze odbiciem tej fatalnej różnicy, jaka istnieje między marzeniem, a zimną, prozaiczną rzeczywistością..

Tego dnia nie mówiliśmy już wcale o przyszłości i w ogóle nie mówiliśmy o niej od tej pory nigdy; uważałem bowiem, że ilekroć uczyniłem o tem wzmiankę, smutniała. Czuła się nawet w obowiązku wyjaśnić mi to, w sposób zresztą dla mnie pochlebny:

— Tak mi teraz dobrze... tak dobrze... że się po prostu boję zaglądać ciekawie w jutro. Dzisiaj jest moje... nasze, i zupełnie mi wystarcza...

Przy tych słowach, które wymówiła, siedząc koło mnie i patrząc mi w oczy, zerwała się z miejsca i poczęła skakać po pokoju, w dłoń klaskać, wołając.

— Wystarcza! wystarcza!

Śmiała się przytem rozkosznie, jak dziecko.

Patrzałem na nią milczący, z podziwem i smutkiem.

Z podziwem, była bowiem zachwycająca w tem jakim rozbawieniu dziecięcym, w tem upojeniu rozkoszą dzisiejszego dnia. Oczy jej iskrzyły się z pod rzęs długich, usta się rozchylały czarującym uśmiechem, nozdrza bardzo delikatne, drżały. — A napawała mnie zarazem smutkiem ta dziwna w niej mieszanina żywości i nieogłędności dziecięcej, z zimną, nadto dojrzałą refleksją.

Gdy śmiała się, jak dziecko i jak dziecko szczebiotała, pytałem siebie w duchu:

— Czy ona, ta śliczna laleczka, kochać potrafi?

Gdy nie chciała słuchać echa własnego głosu i płoszyć wrażenia chwili, gdy jakby świadoma życia, jego zawodów, pełna refleksyjnej zadumy, wołała na swój sposób: „Carpe diem!“—zapytywałem wówczas: jakie to już myśli przejść mogły przez tę małą główkę, jakie uczucia wstrząsnąć musiały tem młodziutkiem serduszkim, że już znało nicość marzeń o przyszłości i tłumilo je w zarodzie?

Gdy wreszcie pozwalała mi otoczyć się ramieniem, całować czoło, oczy, włosy, i garnęła się ku mnie z przymkniętymi powiekami, milcząca, zbladła poruszana dreszczem, który całe jej ciało przebiegał, — myślałem: to tylko zmysły w niej grają... Lecz dlaczego nie odda mi nigdy pocałunku? dlaczego moje znosi z przymkniętymi powiekami?... O czem, czy o kim myśli w tej chwili?

Poprosiłem raz cichutko:

— Otwórz oczęta, najmiłsza.... Spójrzyj na mnie!

Na brzmienie mego głosu wzdrygnęła się cała i zerwała z miejsca.

— Zbudziłeś mnie pan! — rzekła. — I zaczęła nerwowo chodzić po pokoju,

A potem nagle wpadła w dziecinną wesołość.

— Cha, cha, cha!... — pan byś chciał... pan byś chciał?... W przepaść leci się z zamkniętymi oczami....

— W przepaść tak, ale nie w szczęście....

— O, la, la!... Banałny wyraz!... Zresztą, tak zwane szczęście równie zawrotne, jak przepaść....

— Dziwna rzecz, kto panią natchnął taką niewiarą w szczęście?...

Schwyciłem w lot jej spojrzenie, rzucone na mnie szybko, iskrzące się, niemal gniewne.

— Kto? — powtórzyła syczącym szepetem, — przezorność mamy...

Och, ta „mama!...“ Wiedziała, mówiąc to, do jakiej wściekłości doprowadzić mnie może, wiedziała dobrze, czem była ta mama i dla niej i dla mnie. Uosobienie umysłowej nicości i wybujałego na tym gruncie samolubstwa, pełna próżności parafiańskiej, mówiąca nieustannie o „swoim salonie“ jako wzorze wytworności, o swoich uczuciach wzniosłych, skierowanych ku ideałom dobra i piękna, a w gruncie nie kochająca nikogo, prócz siebie i nic po za sobą nie widząca,— matka jej była dla mnie zawsze wstrętnym typem przewrotności kobiecej. W początkach znajomości naszej, — zawartej w Medjola-

nie, przy table d'hôte, — obsypywała mnie grzecznościami nad miarę. Przy wymienieniu mego nazwiska, gdy się jej przedstawił, krzyknęła głośno i podała mi obie ręce:

— Tak pragnęłam poznać pana... tyle o nim słyszałam! A to prawdziwa niespodzianka z rzędu najmilszych... Zachwycam się panem, a raczej... (tu uśmiech dyskretny) jego dziełami.... Nikt głębiej, nikt subtelniej nie pojął natury kobiety.... Moja córka po prostu uwielbia pana....

Zwróciła się ku niej:

— Wyobraź sobie, jakiego mamy sąsiada!... Pan Roman....

Córka, zajęta dotychczas rozmową z sąsiadką z prawej strony, skierowała ku mnie swe głębokie oczy, które jednak w tej chwili nie wyrażały nic. Uwielbienia ani śladu, obojętność zupełna. Banalny uśmiech na ustach, lekkie skinienie głowy, jeszcze łżejszy wykrzyknik: — A! — i dalsza rozmowa z sąsiadką z prawej. Za to mama nie wypuściła mnie już ani dnia tego, ani dni następnych ze swej opieki. W życiu mojem nie nasłuchałem się tylu komplementów, które — czułem to — miały jedynie na celu usposobić mnie przychylnie do wysłuchania mnóstwa rzeczy zgoła mi obojętnych o samej pani. Dowiedziałem się przedewszystkiem, że jest

najnieszcześniejszą na świecie kobietą, a mąż jej najniegodziwszym z mężczyzn, którzy wszyscy wogóle są niegodziwi. Na punkcie mężczyzn „mama“ okazywała się nieubłagana. Zdaniem jej, wszystko złe na świecie od nich pochodziło i w nich czerpało swą moc. A już przedewszystkiem ci, którzy mają się za coś wyższego duchowo, w których sercu, czy głowie ma płonąć tak zwana „iskra boża“, a właściwie piekielna. Oni to po prostu zatrują świat....

Mówiła to z taką nienawiścią, że wreszcie podrażniony, chcąc raz na zawsze tamę położyć tym wybuchom, przerwałem złośliwie:

— Czy może mąż pani ma także w sobie tę tak zwaną „iskrę bożą?“

Żachnęła i zaśmiała nieszczerze.

— O! nie!.. Mais le diable n'y perd rien... croyez moi!

Zamilkła, lecz za chwilę, jakby spostrzegłszy teraz dopiero, że wymyślaniem na „artystyczne“ natury i mnie osobiście urazić mogła, rzekła z uprzejmym uśmiechem:

— Obudza pan we mnie takie zaufanie, że przed nim wypowiadam najszczerzej, co myślę i czuję. I nawet zapominam, że pan także....

— Jestem mężczyzną....

— I artysta! — zawołała, szczerząc ku mnie ładne zęby. — I to jakim artysta!... Pan pod każdym względem jesteś wyjątkiem... Ja mówię o miernotach...

Od tej jednak chwili stała się nieco powściągliwszą w swoich wynurzeniach, czyli w tych, jak je zwała, „spowiedziach zbolełego serca,” a natomiast zaczęła baczniejszą na mnie zwracać uwagę. Czułem nieraz jej wzrok przenikliwy, ostry, jakim ściagała mnie przez lornetkę, zwłaszcza wówczas, gdy rozmawiał z jej córką. Dotychczas „mama” zajmowała się mną tak gorliwie, że do córki prawie zbliżyć się nie mogłem. Zdaleka tylko, z roztargnieniem słuchając „spowiedzi zbolełego serca,” obserwowałem córkę, w której postaci, niezwykle drobnej, wyrazie twarzy, spojrzeniu prześlicznych, dużych oczu, dostrzegałem dziwnie pociągającą melancholię, jakieś zadumanie, tęsknotę po czemś, co minęło, czy do czegoś, oczekiwanego w przyszłości. Drażniła mnie, a zarazem pociągała ku niej jakaś zagadka.

I od pierwszej mojej, dłuższej z nią rozmowy, począłem usilnie starać się o rozstrzygnięcie tej dręczącej zagadki. Nie powiodło mi się wcale. Nigdy nie otrzymałem na to odpowiedzi, dlaczego oczy jej, przed chwilą pełne ognia, zapału lub dziecięcej wesołości,

zasnuwały się nagle mgłą smutku, rzucając tęskne spojrzenia w dal, zupełnie oderwane od rzeczywistości; dlaczego, wśród najbardziej ożywionej rozmowy, milkła nagle, zdając się w roztargnieniu nie słuchać tego, co mówiłem; dlaczego po trzymiesięcznej włościwie po świetle, z obojętnej przychylności, przeszła także nagle w stan rozmarzenia i czułych, niemal namiętnych wybuchów?...

Sama wyzwalała moje zwierzenie.

Dotychczas jechaliśmy niemal bez wytchnienia, z miejsca na miejsce. Wreszcie ona, która odbywała tę podróż po przybyciu długiej choroby, uczuła się znużoną tą nieustającą niemal wędrówką po Włoszech. Dziwiło mnie to nawet, że te panie nie chciały nigdzie dłużej nad dni kilka zabawić. Przebiegaliśmy zwykle główne ulice jakiegoś miasta, popatrzyliśmy na najwspanialsze gmachy, oglądnęliśmy pobieżnie najslawniejsze galerie obrazów i muzea i dążyliśmy dalej, jak ścigani.

Gdy zapytałem o przyczynę tego systemu, zaśmiała się:

— Dlaczego? dlaczego?... Nieznośny pan jesteś ze swoim wiecznem: dlaczego?... Tak lubię... Tak mi się podoba... tak mi jest najlepiej!... Potrzebuję zmiany wrażeń, aby łatwiej...

— Zapomnieć?...—podchwyciłem,—o czym?...

Potrząsnęła główką nerwowo i podniosła ją żywo.

Spojrzenia nasze spotkały się i zwały: moje pytające, niespokojne, żądające odpowiedzi, — jej, jakby strwożone i bardzo smutne... Trwało to jedno mgnienie oka.

Ona znowu zaczęła śmiać się.

— Pan jesteś chodzącym znakiem pytania! Przecież ja ani razu nie spytałam pana, dlaczego mogąc spędzić czas jak najdłuższy w ukochanych swoich galerjach, odbywać wolisz nużącą wędrówkę z nami?...

Stała w przedsionku hotelu, w podróznym ubraniu, czekając na matkę, która przenikliwym głosem rachowała pakunki i komendowała ich transportem...

Ująłem ją za rączkę, której mi nie broniła.

— Odpowiedź na to zbyt jasna — odrzekłem zeicha, — abyś pani pytać potrzebowała... Zasłoniłaś mi świat... Jadę za tobą...

Wzdrygnęła się gwałtownie, wyrwała dłoń swą z mego uścisku i, nie spojrzawszy nawet na mnie, zwróciła się ku schodom. Wybiegła na nie, wołając:

— Mais, au nom du ciel, maman, dépêchons nous! Nous allons manquer le train!

W pół godziny potem byliśmy już w wa-

gonie, a ona wpadła w szalony humor, pieściła się i śmiała, jak dziecko.

— Irma jedzie! już jedzie!... — wołała — klaszcząc w dłonie.

— Mais voyons... voyons donc!... uspokajała mama.

Ja siedziałem mileżący i chmurny.

Podbiegła do mnie i, przechylając zalotnie główkę, aby roziskrzonem spojrzeniem zagłędnąć mi w oczy, rzekła:

— Gniewamy się?... Tak?... To Irma—przeprasza, bardzo przeprasza...

— Ależ pani...

— O... o... zaczynamy być etykietalni!... A pytania już się wyczerpały?... co?... Mógłby „ktoś“, zamiast się chmurzyć, zapytać na przykład: dlaczego pewna mała a już dorosła istotka mówi o sobie, jak dziecko, w osobie trzeciej?... albo, dlaczego nazywa się Irmą a nie Marynią... A, prawda, ten „ktoś“ już się mnie o to pytał...

— I, jak zwykle, nie otrzymał odpowiedzi....

Usiadła przy mnie blisko i, kołyszając się na poduszkach, mówiła tym samym, ciągle żartobliwym tonem:

— No, to teraz powie... Irma nazywa siebie Irmą, bo takie brzmienie tego imienia nie znosi spieszceń, a Irma pieścizotliwych

imion nie cierpi... To jedna racja. A druga?... Gdyby „ktoś“ zamiast się dąsać, chciał spojrzeć na Irnę, toby się przekonał, że ona inaczej nazywać się nie może... bo nie wygląda na żadną Marynię, począwszy od Połanieckiej, a skończywszy na tej, która gęsi pasie... Nie mam racji? co? Niech „ktoś“ popatrzy! Choćby miał pioruny w oku, niech popatrzy!... Z jego oczu i pioruny zniosę...

Stała przedemą uśmiechnięta, promienna. Mimowolnie podniosłem oczy i zapatrzyłem się w nią, jak w tęczę.

— Nie dokuczaj-że panu! — zimno przemówiła matka.

Jechaliśmy tak dalej, jechaliśmy ciągle przez wiele tygodni, aż wreszcie zdyszani, stanęliśmy już w drodze powrotnej, w Locarno, nad Lago Maggiore. Tu Irma oświadczyła, że czas dłuższy odpoczywać będzie.

Nieopisany urok wywarła na mnie ta miejscowość. Najmniejsze przecucie nie targnęło mem sercem, gdy po raz pierwszy stanąłem w zachwycie po nad cudnem jeziorem, uśmiechniętem w blasku słońca, pośród przeczystych błękitów nieba. Upajałem się powietrzem czystem, wonnem a dziwnie łagodnem, bo go nigdy nie przepała skwar słonecznych promieni i nie oziębia nigdy wiatr mroźny. Tu każdy powiew staje się piesz-

czotą, każdy promień słońca uśmiechem, każda chmurka przejrzysta lecącym z pogodną wieścią białym gołębiem.

Pierwszego poranku po przybyciu, spotkałem ją w parku hotelowym, utrzymanym z ogromną starannością, pełnym rzadkich krzewów i drzew wspaniałych, z których zwłaszcza olbrzymie magnolie zachwycają swym rozrostem i barwą. Zauważyłem od razu, że była smutna. Przywitała mnie jednak niezwykle serdecznie.

— Jako dobrze, że pan przyszedł... Co za cudowny ranek!... Słucham szumu tych drzew... Zupełnie inny, niż gdzieindziej... brzmi jak oddalona, cicha muzyka... Niech pan mówi do mnie... Pan tak ładnie mówić umie. A ja będę słuchała tej muzyki i słów pana. Niech się tylko dostroją do tonu...

— Locarno, widzę, rozmarzyło panią...

— O, tak! dziwnie rozmarzyło... Mów pan!... Dobrze?

Patrząc na nią taką uroczą, młodziuchną, pełną poetycznego wdzięku, szepnąłem:

— Wśród gwiazd ja niewiem, czyś ty ranną zorzą....

Wiem, że być możesz duszy iskrą bożą....

Zarumieniła się. Spojrzała serdecznie.

— To mi pan zapisze... — rzekła. — Ale teraz niech pan nie mówi o mnie... Ja nie

chcę! Niech pan o mnie zapomni... Proszę mówić o tem, co jest ponad nami, co tylko w nas wnika wraz z urokiem tej cudnej przyrody, ale jest dotąd bezwiedne, nie nazwane, bezimienne.

— Dla mnie bezimiennem już nie jest....

— O, nie! nie! — przerwała żywo, — nie wymieniaj pan nazwy... nie mów lepiej nie!... Idźmy obok siebie, cichutko... samotni we dwoje. I słuchajmy... słuchajmy!

Wsunęła mi rączkę pod ramię i szła obok mnie, lekka, cicha, zadumana, tak mi bliska, a myślą, — czułem to, — daleka.

Mnie zaś ogarniało coraz większe upojenie. Jej ciemna, kształtna główka dotykała mego ramienia, ciepło jej ręki i każde jej poruszenie przenikało mnie elektrycznym prądem. Widziałem z boku jej twarzyczkę z podniesionemi w górę oczami, smutną jak nigdy, wzruszoną. — Rozchylonemi ustami piła powietrze, czy też może wymawiała niedosłyszalne wyrazy.... Delikatne, różowe nozdrza rozdymały się i drżały. Czułem, że za chwilę stracę moc panowania nad sobą, że porwę ją w objęcia, uniosę w ramionach i zawrę te rozkoszne usta pocałunkiem, a w oczach zadumanych zapalę iskry miłości....

Mimowolnie zbliżyliśmy się do hotelu. Dochodziły już do nas ożywione głosy rozmawiających na werandzie gości. Irma żywym ruchem skrzyła z głównej alei w boczną drożynę. A w tej chwili zabrzmiał w oddali przenikliwy, dobrze nam znany głos mamy:

— Irma! Irma! où es tu donc!

Wysunęła rękę z pod ramienia i poczęła szybko iść naprzód w głąb cienistej ścieżyny.

— O, nie! nie! — szeptała z przestraszeniem, — teraz nie pójde... za nic w świecie nie pójde!

Wyszliśmy, wybiegliśmy raczej po za hotel, na drogę dość szeroką, okoloną z jednej strony murem, na którym widniały co kilka kroków napisy: „Alla Madonna del Sasso!“ Obok, dość niezgrabnie czarno namalowana ręka, wskazywała wyciągniętym palcem kierunek.

— Pójdźmy tam! pójdźmy!... — zawołała i szła szybko, jakby uciekała od przywołującego ją głosu matki.

W milczeniu dążyliśmy drogą, wijącą się zakrętami w górę, ku klasztorowi Minorytów. Mijaliśmy stacje Męki Pańskiej z freskami Luiniego. Zwróciłem uwagę na przedziwną piękność tych fresków.

— Tylko w takim klimacie — rzekłem — mogły się przez tyle wieków zachować te malowidła, tak mało tracąc ze swej pierwotnej barwy. U nas zginęłyby oddawna, zżarte słotną mgłą.

Lecz ona rzucała przelotne tylko spojrzenia na stacje. Szła ciągle w górę, nie zatrzymując się ani chwili. Chciałem podać jej ramię; odmówiła stanowczym ruchem głowy.

W połowie drogi stanęła zdyszana i osunęła się na ławkę kamienną.

— Nie mogę dalej... nie mogę! — szepnęła.

Była bardzo blada i oddychała ciężko. Usiadłem przy niej i patrzyłem ze współczuciem, milcząc.

Spróbowałem wreszcie odezwać się:

— Coś się dzisiaj stać musiało, że pani... taka inna, niż zwykle. Nie śmiem pytać o przyczynę, a jednak...

— A jednak się pytam...

Wstrząsnęła ramionami.

— Och, przyczyna!... Ta sama, co wczoraj, co przed rokiem, co zawsze!... Ta sama, która nas z Paryża gna do Berlina, z Berlina do Wiednia, do Warszawy i znowu do Paryża, czy Medjolanu! Nigdzie spokoju, nigdzie domu, zawsze hotel!...

Mówiła szybko, gwałtownie, tonem urywanym, uderzając ręką o kolano.

— Wspominał pan przed chwilą o naszym klimacie, który wyżera barwy fresków... Biedne freski wśród słotnej mgły!... A niechże pan pomyśli, czym jest dla barw młodości i uczuć atmosfera domowa, bez zmiany mroczna, zasnuta jak gdyby oparem ciągłych nieporozumień, niezadowoleń, ciągłej niechęci...

Zamilkła.

— Na co ja to panu mówię? — zawołała po chwili. — Co to pana obchodzić może?

Ująłem ją za rączkę.

— Więcej, niż pani wyobrazić sobie możesz... więcej, niż wszystko na świecie...

— To uciekaj pan odemnie!... uciekaj, jak od nieszczęścia...

Powstała, chcąc iść dalej. Zatrzymałem ją.

— Pozwól mi pani pozostać przy sobie... Pozwól mi otoczyć się opieką na dziś i na życie całe... Pani wie... przeczuwa, że...

Żachnęła się gwałtownie.

— Nie, nie, nie mów pan nic... ani słowa więcej!

Poszła żywo w górę. Nie spojrzała już na mnie, nie pozwalała zrównać się, szła naprzód.

Nareszcie wyszliśmy na szczyt skały, na

której wznosi się klasztor. Irma wbiegła do kościoła; chwilę modliła się żarliwie przed wielkim ołtarzem, spojrzała przelotnie na piękny obraz Ciseriego: „Chrystus niesiony do Grobu,“ który jej wskazywałem, i gorączkowo niespokojna, wyszła szybko.

— Co mama pomyśli?... trzeba wracać!...— mówiła.

Ale wyszedłszy z kościoła, stanęła jak wryta wobec wspaniałego widoku, jaki się przed nami roztaczał. Przez wielkie arkady kamiennego krużganku, okalającego z jednej strony kościół, widać było u stóp naszych jezioro, jasne, przejrzyste, całe w blaskach, jak roztopiony w złocie błękit nieba. Po lewej stronie połyskiwały w słonecznych promieniach, wieczystym lodem i śniegiem okryte olbrzymie szczyty gór bliższych, u samego brzegu jeziora, jakby czarodziejską ręką rozsiane miasteczka: Magadino, Locarno, pałacyki i wille wśród zieleni drzew, rozmaitych kształtów i rodzajów, rozrosłych bujnie u tej granicy pomiędzy roślinnością Północy i Południa. Cała wspaniałość przyrody, wszystkie jej cuda, od tajemniczego świata lodowców, aż do rozkosznych hesperydskich ogrodów, przedstawiły się nam tutaj w jednym skupione punkcie, w jednym momencie oka...

Na jeziorze zupełna cisza, żadnego ruchu. Tylko w oddali jak punkcik czarny, posuwa się zwolna łódka rybacka z rozwiniętym żaglem; tylko po za nami stłumiony szmer wody, spadającej ze skał po za klasztorem.

Staliśmy blisko siebie; czułem jej ramię obok mego ramienia, słyszałem jej przyspieszony oddech i widziałem twarz, pełną zachwyty, uniesioną nieco w górę.

Chciałem przemówić. Ale ona zwróciła ku mnie spojrzenie błyszczące i uśmiechnęła się radośnie, szepcząc zwykłym sobie, żartobliwym tonem:

— Cicho... cicho... Teraz Irma naprawdę szczęśliwa... Teraz Irma „wyocza się“ i... zapomina o wszystkim...

Cała jej dusza była istotnie w oczach, które wybiegały chciwie spojrzeniem w promienistą dal.

Złożyła ręce na piersiach i stała tak długo chwilę, oderwana od rzeczywistości, w upojeniu...

Nigdy nie widziałem jej taką ani przedtem, ani potem. Taką jednak widzieć ją będą do ostatniej chwili życia, do takiej tęsknić, taką wielbić...

Nagle poczułem, że jej ramię silnie opiera się na mej piersi. Wypreżyła rękę w dal i zawołała:

— Patrz pan... patrz!... tam w górze! co za cud!

W przeczystem powietrzu, jakby zawieszony u błękitu, kołysał się wolno olbrzymi ptak. Rozwarł szeroko skrzydła i raz się zniżał po nad jeziorem, to znów silnem rzutem wznosił wysoko, a chwilami nieruchomo tkwił szarą, wielką plamą na lazurze.

Objąłem ją ramieniem; nie broniła się. Pochyliłem się nad nią i usiłowałem spojrzeć w jej oczy, utkwione w przestrzeń. Po chwil siła mego wzroku zdawała się przyciągać jej spojrzenie. Zwróciła ku mnie główkę i uśmiechnęła się.

— Proszę tak nie patrzeć...—szepnęła.

Ale ten szept uczułem na moich ustach... Zamęt mnie ogarnął... Wpiłem się w jej usta długim pocałunkiem... Nie oddała mi go, ale się nie broniła i nie wyrывała z mych objęć. Drżąc, przytulona do mnie, zamknęła oczy... A po chwili, nie mówiąc ani słowa, wysunęła się łagodnie i patrzyła dalej w górę, na szybującego w powietrzu ptaka.

Łódź rybacka podpływała tymczasem coraz bliżej. Dostrzegałem już w niej postać ludzką, stojącą, jakby na czatach. Z drugiej strony ukazała się łódka druga i podpływała tak samo ostrożnie.

A ptak, czy ufny w siłę swego lotu, czy

lekceważący niebezpieczeństwo, czy też nie przeczuwając zasadzki, kołysał się ciągle i kąpał w blaskach, chwilami zniżając się tak, że zdawało mi się, iż widzę jego kształtną głowę i dostrzegam wzrok srogi, piorunujący, wymierzony w czyhających wrogów.

Naraz Irma wyprężyła się sztywnie i krzyknęła:

— Nie, nie! oni chcą go zabić!... Na miłość boską, nie!

I poczęła klaskać w dłonie, jakby chciała przestrzedz nieogłędnego ptaka...

Wtem padł strzał — jeden, drugi, trzeci... raz po raz, nagle, budząc grzmiające echo.

Irma blada, zdyszana, osunęła mi się w ramiona. Lecz znowu wyprostowała się radośnie:

— Nie udało się!... dzielny ptak! patrz pan jak leci!

— Po nad chmurą dymu, ujrzałem ptaka; mknął w górę, jak strzała. Lecz wtem zawisnął... Chwilę tkwił nieruchomo, a potem szybko, coraz szybciej zniżał lot. Zrazu szeroko rozpiął skrzydła, lecz wnet bić niemi począł powietrze, jeszcze raz je wyprężył, kilkakrotnie okręcił się cały, stulił skrzydła i już spadał, jak olbrzymia kula, głową w dół.

Z łodzi ozwały się okrzyki tryumfu, zmieszane z odgłosem i szumem wody, silnie uderzanej wiosłami.

Irma ukryła twarz w dłonie i tuląc się do mnie, szepnęła:

— Odejdźmy ztąd... to okropne!

Podprowadziłem ją do kamiennej ławki, na której usiadła, plecami odwrócona od jeziora. Nie chciała już patrzeć, nie mogła „wyoczać się,“—rozkoszne wrażenie pierzchło, spłoszone.

— Jacyż ci ludzie niegodziwi!—rzekła po chwili,—jacy samolubni.... Świat byłby tak piękny, gdyby nie oni!

Schodziliśmy z góry w milczeniu. Czułem, że ten orzeł nieszczęsny popsuł mi jedną z najrozkoszniejszych chwil w życiu i było mi smutno. Nie śmiałem przerwać ciszy, by wypowiedzieć to, co mi przepełniało duszę; nie śmiałem, bo patrząc z ukosa na jej twarz zbladła, dostrzegłem, że miała wyraz posępny, niemal gniewny.

W połowie drogi zatrzymała się i, nagłym ruchem zwracając ku mnie, spojrzała mi bystro w oczy.

— To bardzo dziwne, co się stało...—rzekła.

— Nic się nie stało takiego, za co bym odpowiedzialności...

— Odpowiedzialności! — przerwała z odcieniem szyderstwa w głosie. — Stosowny

wyraz! To znaczy: uczyniłem źle, gotów jestem spełnić pokutę...

Ująłem ją silnie za rękę, która drżała.

— Nie, panno Irmo,—rzekłem,—nie bawmy się w słowa! Ja panią kocham głęboką i wielką miłością. Pani wie dobrze o tem, bo oddawna czytasz to w moich oczach, widzisz w postępowaniu mojem. Byłbym ci dawno wyznał to szczerze, aleś zamykała mi usta żartem, lub odwracała rozmowę... Dziś wreszcie, tam, na szczycie, uniesiona urokiem otaczającej nas przyrody, pozwoliłaś mi zbliżyć się do siebie i pocałunkiem wypowiedzieć to, czego usta dotychczas wyrazić słowami nie mogły: żeś ty mi wszystkim na świecie, całym ukochaniem, całym a wielkiem szczęściem!... Szczerze i po prostu pytałem się ciebie, panno Irmo: czy chcesz życie ze mną podzielić? czy chcesz pójść ze mną na dolę i niedolę, być promieniem i ciepłem naszego wspólnego domowego ogniska?...

Stała w cieniu bujnych drzew, rosnących po za murem, okalającym drogę, lecz sięgających ku nam rozłożystymi konarami. Widziałem jednak wyraz jej twarzy, nieco teraz pochylonej; — wyraz zadumania i jakby trwogi.

Zwolna podniosła na mnie spojrzenie bardzo łagodne, niemal łzawe.

— To bardzo dziwne, co się stało...— powtórzyła. — Nie chciałam pana pociągać ku sobie, bo mi pana żal... Ja w szczęście swoje nie wierzę i nie wierzę, abym je panu przynieść mogła... A nie chciałam, abyś przemiesznie stracił wiarę w szczęście...

Chciałam przerwać. Błagalnym ruchem złożyła dłonie:

— Nie mów pan teraz nic... bo potem nie zdołałabym wypowiedzieć wszystkiego... tego przynajmniej, co powiedzieć mogę i powinienam. Otóż stało się to, czegom chciała uniknąć: pan powiadasz, że mnie kochasz, że pragniesz, abym została twoją żoną... A ja... wobec pana okazałam się tam, na górze, zbyt słabą, aby uniknąć pocałunku... i teraz, tutaj, nadto słabą jestem, aby odpowiedzieć: nie!...

— Kochasz mnie?...

Wzruszyła ramionami.

— Każdy i każda potrafi to powiedzieć... Nie wiem, czy kocham... dość silnie, aby się zmienić, przetworzyć, aby zgodzić się na myśl, która była mi dotychczas obcą i wstrętną... na myśl, że ja będę żoną czyjś, a ktoś moim mężem... Tego nie wiem, to czas pokaże... Dzisiaj wiem tylko, że ulegam wpływowi

pana, że oddziaływa pan na mnie w sposób zupełnie niezwykły, że... że... chciałam, abyś nigdy z mego powodu nie cierpiał...

Wstrzymała się na chwilę, a potem ścisnąc mocno moją rękę dodała:

— Nie odmawiam, bo na to sił mi brak... A jeśli nie przyrzekam stanowczo, to jedynie—słyszysz pan?—jedynie przez wzgląd na pana... Czekajmy... może niedługo...

Zacząłem protestować gorąco. Na nic się nie zdały ani protesty, ani zakłęcia.

— Widział pan,—rzekła wreszcie,—tego ptaka, który szybował w górze, kąpiąc się w promieniach słońca. Dopóki nie zniżał się ku ziemi, było mu dobrze, rozkosznie, swobodnie. Nieogłębny! zniżył lot i padł zraniony, czy zabity... Dobrze nam jest teraz, bardzo dobrze, w tych górnych strefach pierwszych uniesień... Więc pozostajmy tak, jak najdłużej... Czy myśli pan, że na nas strzały losu nie czyhają?...

Zbliżyliśmy się już do hotelowego parku.

Podawała mi rękę:

— Nie wchodź pan ze mną i mamie nie mów nic... Ja powiem jej sama. I muszę pana uprzedzić: mama jest o mnie zazdrosna... lubi tych tylko, którzy się do mnie nie zbliżają... Dawniej lubiła pana, teraz już nie. Cóż dopiero, gdy się dowie!... Będzie panu dokuczać...

będzie zniechęcać, przeszkadzać... To będą pierwsze strzały, zobaczymy, czy celne...

Twarz jej straciła wyraz zadumy i smutku; w oczach migotały już błyski swawolnej wesołości, gdy odchodząc, zwróciła się jeszcze ku mnie i rzekła śmiejąc się:

— Lubię pana, bardzo lubię... Ale małżeństwa... nie cierpię!.. i gdybym była swoją własną mamą, tobym panu kazała iść precz...

* * *

I miałem parę tygodni wielkiego szczęścia. Nie było ono, co prawda, zupełnie niezamącone; psuły je bowiem chwilami wątpliwości, jakie się w mojej duszy budziły; psułem je sam najczęściej wymaganiami bezwzględnego zaufania, niedyskretnem wkładaniem się w tajniki serca i myśli Irmy; psułem je wreszcie może nadmiarem uczucia, wiecznie czujnego, za sentymentalnego, skłonnego do podejrzeń. Najbardziej zaś je psuła i ostatecznie zniweczyła — Mama.

Sprawdziło się wszystko do joty, co Irma mówiła. Od pierwszej chwili, w której dowiedziała się o naszej rozmowie u Madonny del Sasso i o mojem wyznaniu, mama poczęła mi okazywać wprost nienawiść. Czułem to odrazu, chociaż w początkach starała się ona to ukryć pod płaszczykiem nieograniczonego zaufania. Jak pierwej o mężu, tak

teraz o Irmie zaczęła mówić mi jak najgorzej, żaląc się na jej upór, samowolę, zalotność, brak serca... A mówiąc to, zalewała się łzami, które skoro raz wytrysły, to płynęły niepowstrzymaną strugą, jak potok górski.

— Żal mi pana, — mówiła, — szczerze mi żal. Pan będziesz bardzo cierpiał przez nią i dla niej... To djamentowe serce!... Od niemowlęstwa, drogą nadludzkich poświęceń... — (tu skrzywienie płaczliwe i pauza) — starałam się przywiązać ją do siebie i, wszystko na próżno!... Zupełnie charakter ojca, nieugięty i zimny... Och, panie!... gdyby pan mógł wiedzieć, co ja wycierpiałam, co jeszcze ciągle cierpię... Doszłam do tego, że prosiłam Pana Boga, aby mi odebrał serce dla tej córki... I wysłuchał. Teraz już mniej cierpię, bo już jej nie kocham!... (Tu nowe skrzywienie i na dobre płacz).

— To tylko zdaje się pani... — wtrąciłem.

— Ależ nie! nie! nie! — wołała w paroksyzmie gniewu i wśród ulewy łez.

Czuła, że mnie nie przekonywa, że w jej słowach, w jej łzach i skargach widzę tylko nieubłagane samolubstwo, któreby pragnęło tę córkę zachować wyłącznie dla siebie, jako swoją niepodzielną własność. Więc wkrótce nastąpiła zmiana taktyki. Nie opuszczając żadnej sposobności, aby każde najdrobniej-

sze uchybienie Irmy, każdy jej dziecinny wybuch wesołości przedstawić mi w najczarniejszych barwach, jako dowód jej z gruntu popsutego charakteru, zaczęła mnie traktować z widocznym lekceważeniem i pogardą, wydrwiwając, nieraz bardzo zręcznie i bardzo uszczypliwie, owe natury „niby artystyczne“, żadne hołdów, pełne pychy i samolubstwa, które wszystko dla zadowolenia tej pychy poświęcić były gotowe. Nie odpowiadałem na to, przyjmowałem aluzje z pokorą, chcąc uniknąć dyskusji, co ją do rozpacz doprowadzało.

— Stałeś się pan teraz dziwnie milczący, rzekła mi raz z ironią,—dawniej byłeś znacznie przyjemniejszy... Jeżeli to tak pójdzie crescendo, to powinszować Irmie... będzie szczęśliwa!

Mimowolnie oburzyłem się.

— Staranie o szczęście panny Irmy, gdy będzie moją żoną, raczy pani pozostawić mnie wyłącznie...

— O, co za ton!... — wykrzyknęła cała drżąc z gniewu.—Owszem, owszem... usunę się wówczas zupełnie!... A tymczasem pozostawiam pana z jego tonem i uprzejmością...

Szarpnęła gwałtownie szalik, który jej spadał z pleców, ukłoniła się szyderczo i po-

pan tak ślicznie mówi... ja tak lubię słuchać, kiedy pan mówi...

Pochwała ta mojej wymowy była w tej chwili zimną wodą na upojenie rozkoszne. Więc temu tylko, pięknemu brzmieniu słów, nie ich treści, miałem do zawdzięczenia tę chwilę, po tylu dniach udręczeń! A z jej strony żadnego zaprzeczenia, gdy mówiłem o jej zobojętnieniu dla mnie, żadnego słowa, któreby uspokoiło obawy, jakie wyrażałem;—nie, tylko potwierdzające milczenie i zasłuchanie się w brzmienie wymownych frazesów...

Wybuchnąłem potokiem wyrzutów... Uczyniono ze mnie po prostu igraszkę... Przydałem się na dobrego towarzysza podróży, z którym przyjemnie było poflirtować na wycieczkach, przyjemnie słuchać jego „wymownych“ wywodów, z którego potem szadzono może i śmiano się po cichu z łaskawą na mnie mamą! Wszystkie przytem zarzuty, czynione Irmie przez matkę, wyrecytowałem teraz na dowód, że jej serca i szlachetnych uczuć brakuje...

Zaraz przy pierwszych słowach, wymówionych w tym tonie, rączka jej wysunęła się z pod mego ramienia. Z ukosa spoglądałem na nią i spostrzegłem, że teraz jej cała postać stawała się wyższą, sztywniała pod

patru o 2 kartki
dalej!

wrażeniem czynionych wyrzutów. Przyspieszyła kroku i szła coraz szybciej, nie mówiąc ani słowa.

Milczenie to uparte, zacięte, doprowadzało mnie do rozpacz, odbierało wszelką moc panowania nad sobą. Sam już nie wiem, nie pamiętam, co mówiłem, — mam świadomość, że gryzłem... gryzłem do krwi.

— I nic mi pani nie odpowie?... nic?— zapytałem już u samego wejścia do hotelu.

Zatrzymała się i odwróciła ku mnie całą postacią. W świetle, padającym z ukosa z okien sali jadalnej, ujrzałem jej twarz. Wydała mi się bardzo bladą; usta jej drgały...

— Odpowiem!... rzekła stanowczo—Odpowiem, że mama zupełną ma słuszość w ocenieniu usposobienia pana... I ja miałem słuszość, gdy u Madonny del Sasso powiedziałam: czekajmy!... Doczekałam się rychlej, niż się spodziewałam i... oto koniec tych różnych flirtów, o których pan tyle uprzejmych powiedział mi rzeczy... Żegnam!...

Odeszła...

Widzę ją wstępującą z wolna na schody i ciągle mam to wrażenie, że to nie ona, tak odmienne ma ruchy, chód i postawę; — z małej, filigranowej laleczki, nagle urosła...

A wraz z tem wzrokiem wrażeniem, mam uczucie wewnętrzne, jakby jakaś we

mnie struna, długo naprężona, pękła, drga gwałtownie i rani tak boleśnie, że oddech zapiera w piersiach, wszystkie tętna porusza, które biją silnie i sprawiają w mózgu nieznośny szum.

A jednak lękam się tej chwili, gdy ta pęknięta struna przestanie drgać... lękam się pustki, która mnie wtedy otoczy i pochłonie...

Stoję nieruchomy, wsłuchany w echo ostatnich jej słów. I patrzę ciągle na nią. Idzie z podniesioną głową, dumna. Matka wyszła na werandę i mówi coś do niej. Ona się pochyla i patrzy przed siebie.

Nagle wydaje okrzyk zdziwienia, czy radości:

— Ach!

Jakiś wysoki, barczysty jegomość stoi teraz przed nią, poufale ujmując ją za obie ręce i przemawia do niej bardzo czule...

Kto to może być? Dotychczas nie widziałem go nigdy; śnać dopiero przyjechał: zapewne jakiś dobry, dawny znajomy z kraju... Jak ona z nim rozmawia! stoi bardzo blisko, patrzy mu w oczy... kto to może być?

Pytanie to tak mnie pochłania, że w tej chwili nie myślę o niczem, tylko o tem: jak się dowiedzieć? — Cóż łatwiejszego?

Pójdę za nią, zbliżę się i dowiem... Lecz wnet rozbijam się, jak o mur, o tę przeszko-
dę, która przed pół godziną jeszcze nie istniała, a którą sam wytworzyłem! Nie mogę pójść za nią, nie mogę się zbliżyć!.. A on, ten gruby jegomość ciągle z nią rozmawia... Dochodzi do mnie dźwięk jej głosu, taki miękki, rzewny, taki odmienny od tego, którego echo brzmi mi jeszcze w uszach... Okrągła fizyonomia tego pana zda się promienieć zadowoleniem... Jakaż to nieznośna, pospolita, antypatyczna kreatura! Nie znam go, a nie cierpię... Jak on śmie tak z nią rozmawiać, tak się pieścić dźwiękiem jej głosu? Okrada mnie poprostu z mojej własności... Doprawdy, nie wytrzymam... Ujmuje ją poufale pod ramię i wprowadza do sali... Impertynent!

Znikli. A ja uciekłem w głąb parku.

Nie mogę skupić myśli; rozpędzam je sam, bo strasznie dręczą. Ale one wracają i osiadają na mózgu, jak trapiące muchy. Czynię sobie krwawe wyrzuty. Wszystkiemu jam winien! Byłem wprost nieznośny, kapryśny brutal... tak. Nie!... to winna słodka „mama“ i jej podstępne, samolubne rady. A głównie ona, Irma winna!... Ona, ta o dżamentowem sercu, w wagonie wychowana, nie znająca domowego ogniska, szczebioczą-

szła. Gniew nią miotał, bo idąc, podskakiwała, jak na sprężynach.

W pierwszej fazie gdy mama nieustannie wyciągała mnie na poufne rozmowy i płacząc, oskarżała córkę, dziwiło mnie to, że Irma nie starała się zbliżyć, ani przerwać tych rozmów, chociaż musiała doskonale wiedzieć o ich treści. Uważałem tylko, że po każdej takiej konferencji patrzyła na mnie badawczo i jakby z obawą, a raz spytała:

— Wydaję się panu bardzo czarną... nieprawdaż?

Za całą odpowiedź ująłem ją za obie ręce i długo tonałem w jej jasnym spojrzeniu.

— Ty, ukochanie moje!...—szepnąłem.

Chciałem ją przyciągnąć do siebie, ująć w ramiona. Ale ona wyrwała mi się zrećźnie.

— O, za pozwoleniem!—zawołała z uśmiechem zalotnym.— To, co mama rozpowiada o mnie, nie upoważnia pana do poufałości... „Ty?“ proszę!... co za „ty?...“ mój panie!

I odbiegła, śmiejąc się wesoło.

W tym pierwszym okresie były jednak chwile niezmiernie promienne, w których ona sama przybiegała do mnie i napawała czarem, jakby chcąc zapobiedz ujemnym, na mnie wierzanym wpływom i sparaliżować je.

W drugiej fazie mama, nie szczędząc mi głośnych docinków, zwróciła się całym im-

petem do córki. Zaczęły się spacerować, do których przypuszczany nie byłem, zaczęły się szepty i jakieś narady po kątach. Zaledwie mogłem zbliżyć się do Irmy, która z dniem każdym stawiała się bardziej zamyśloną, wahającą się, smutną. Nieraz widziałem, że rozszerzonymi oczami wpatrywała się we mnie, jakby przerażona, pragnąca mnie przyniknąć i stwierdzić, czy to, co jej matka o mnie mówiła, było rzeczywistą prawdą... Co ona jej mówiła, zbadać nie mogłem, bo Irma zawieriała się w milczeniu, a raz, gdy żaliłem się, że daje na siebie wpływać i, że dzięki tym wpływom widzę w niej niekorzystną dla siebie zmianę, — odparła niemal ostro:

— Chyba nie zechcesz pan wymagać, abym z matką zerwała! Ona była, jest i będzie moją najlepszą przyjaciółką... Jej uczucie dla mnie niepodobna nie wierzyć...

Zaczęło się to od widocznego chłodu, który z każdym dniem się wzmagał; zaczęło się od podejrzeń i podstępnych pytań, mających na celu zbadanie moich przyzwyczajęń, sposobu życia, osobistych stosunków, — wprowadzało mnie w stan ciągłego rozdrażnienia, jakiemu uległ musi człowiek, czujący że jest przedmiotem podejrzliwych obserwacji, — a skończyło się... zerwaniem!

Nie zapomnę tej sceny.

Nic nie zapowiadało katastrofy dnia tego. Irma była owszem od rana weselsza i łaskawie rozmawiała ze mną, wracając do dawnego tonu żartobliwej poufałości. Nad wieczorem sama zaproponowała przechadzkę. Zeszliśmy nad brzeg jeziora chodziliśmy tam długo, zrazu rozmawiając swobodnie o wszystkim i o niczym, przeskakując z przedmiotu na przedmiot. Zmuszałem się, aby pozostać na tym biernym terenie, czułem bowiem, że najmniejsza wzmianka o moich uczuciach i udręczeniu, jakiego doznawałem, wywoła natychmiast zmianę tonu, spłoszy swobodę i położy koniec rozmowie, do której od dni wielu tęskniłem.

Słońce zniżało się ku zachodowi, wyjątkowo tego wieczoru bezpromienne, wśród lekkich chmur. Po nad jeziorem rozsnuła się przejrzysta mgła. Była cisza, wśród której oddalone głosy ludzkie z miasteczka, ujadanie psów, tony muzyki, melancholijne śpiewy rybaków i ich nawoływania, tworzyły dziwny chór, drażniący nerwy.

Umilkliśmy oboje. Idąc blisko, zdawało mi się, że nią wstrząsa dreszcz.

— Zimno pani?... spytałem szeptem.

— Nie... ale wracajmy już...

Niewiem, dlaczego to słowo: wracajmy!

wymówione miękkim, smutnym tonem, przeniknęło mnie do głębi, zabrzmiało, jak wyrok.

U wejścia do parku, zatrzymałem ją:

— Nie wchodźmy jeszcze... obejdźmy wo-koło... Pragnę z panią pomówić otwarcie...

— A!... — zawołała — dobrze!

W tym wykrzykniku nie tyle było żdziwienia, co niechęci i smutnego poddania się konieczności.

Pod tem wrażeniem mówić mi zrazu było trudno. Zacząłem zwolna, z pewną goryczą przedstawiać, że od niejakiemu czasu postępowanie jej napawa mnie bólem i wątpieniem. Czuję, że każdy mój krok, każde wypowiedziane słowo jest badane ściśle, tłumaczone opacznie; obawiam się wpływów mi nieprzyjaznych, które być może mają źródło w najczystszej a raczej najgorętszej miłości, nie mniej jednak krzywdzą mnie bardzo, krzywdzą moje uczucie, takie ufne i silne...

W miarę, jak mówiłem, opanowywało mnie uniesienie; czułem, że staję się wymownym, że jestem słuchany, a zdawało się, że i odczuty...

Była chwila, że dawnym zwyczajem wsu-nęła mi rękę pod ramię i oparła się na niem mocno. Czułem jej główkę przy sobie, blisko.

Ogarnęła mnie taka rozkosz, że zamilkłem.

— Mów pan jeszcze...—szepnęła—mów!...

dostreżonych szczegółów i odbijania ich na zawsze w pamięci. Zachowują one swą barwę, jak freski Luiniego, nawet wśród słotnej mgły...

I wówczas schwyciłem taki obraz, który mi pozostanie na zawsze pamiątką tej chwili.

Po raz pierwszy ujrzałem przedewszystkiem „mamę“ w całej prawdzie. Z poza łez, lśniących jeszcze na jej rzęsach, spostrzegłem palące się w oczach błyski zadowolenia; usta bardzo różowe traciły co chwila płaczące skrzywienie, aby się uśmiechnąć bardzo szczerze i bardzo promiennie. Teraz dopiero widziałem, że mama jest jeszcze zupełnie ładna i młoda...

Kurlandzki baron, gdy podawaliśmy sobie ręce, miał na grubych, wydatnych ustach uśmiech przymuszony, złośliwy. Patrzył na mnie okrągłemi oczyma z poza szkieł lśniących, patrzył sztywnie, jakby tym migotliwym blaskiem okularów zahypnotyzować mnie chciał. Ale najbardziej mi wpadła w oko, więcej niż okulary połyskująca, wielka jego, gładka, stożkowata łysina.

A Irma? — Stała nieporuszona, patrząc w stronę przeciwną, z takim wyrazem na twarzy, który głośno mówił: żebyż się ta scena co rychlej skończyła! Była zgnębio-

na, lecz i niecierpliwa. Nerwowym ruchem poprawiała sobie włosy nad czołem, zawsze nieco zwichrzone.

Musiałem wyglądać dziwnie w pomieszaniu mojem. Zaledwie wyjąkać zdołałem parę słów współczucia, kierując je do mamy: Może Bóg da, że niebezpieczeństwo minie. Nieraz przecie zdarza się, że...

— O, nie! nie! — żywo przerwała mama. — Ja już żadnej nie mam nadziei... żadnej. I dla niego — dla tego biednego męczennika — to doprawdy lepiej... Tyle lat cierpiał! Ja nie mogłam tak, jakbym była pragnęła, czuwać nad nim... oddana cała wychowaniu Irmy...

W tem miejscu zauważyłem — a może mi się to tylko wydało — ruch niecierpliwy Irmy. Szarpnęła koronkę u stanika sukni i odwróciła się...

— No, ale nam już pora... — dodała mama. — Żegnaj więc nam, kochany panie Romanie... dziękujemy panu za wszystkie uprzejmości w ciągu podróży, dziękujemy serdecznie... A nie zapominaj pan o nas, wśród nowych wrażeń... (Nowe wrażenia podkreśliła z naciskiem). My teraz życzliwego wspomnienia bardzo potrzebować będziemy!

Tu miał nastąpić nowy potok łez. Ale ja przerwałem:

— Jakto? — a obiad? panie przecież jeszcze nie jadły?

— Och, czyż my potrafimy jeść teraz?! Zresztą, kochany baron kazał nam zanieść jedzenie na górę... Tu niepodobna w tym zgiełku... Może Irma się posili, bo ja, Boże mój, nie przełknę!

W tej chwili spostrzegłem, jak dwóch garsonów wynosiło z sali trzy nakrycia, wazę, półmiski i butelkę szampańskiego wina.

Kochany baron nie zapomniał o niczem w tej tragicznej chwili...

Wychodziłem za nimi, jak automat, bezwiednie. Musiałem przecież coś powiedzieć Irmie, musiałem!... I korzystając z chwili, gdy mama z baronem wysunęła się nieco naprzód i weszła na schody, szepnąłem:

— Panno Irmo!...

Zatrzymała się, nie odwracając ku mnie głowy. Serce biło mi gwałtownie... Mam sekundę czasu... Cóż jej powiem, aby ją przebłagać?

I milczałem...

— Słucham pana... — rzekła zimno.

— Czy w ten sposób mamy się rozstać? Czy mnie pani zostawi tak, bez jednego dobrego słowa?...

Tchu mi brakło.... wyrazy więzły w gardle.

— Owszem, — odparła. — Na zawsze zachowam wspomnienie chwil dobrych... O złych będę starała się zapomnieć...

— Już zapomniałaś... Irmo! Już zapomnialaś — powiedz!...

— *Viens donc, ma chère enfant!*... zabrzmiął z góry dyszkantem głos mamy.

— Nic nadto w tej chwili do powiedzenia nie mam... — rzuciła Irma, wbiegając już na schody. — Życzę panu spokoju i „tak zwanego szczęścia“ jak najwięcej...

Szelest sukni, szybkich kroków echo, odgłos zamykanych drzwi i — cisza.

Stało się!

Obok mnie przebiegli szybko garsoni po dalszy transport obiadowych potraw. Wygalonowany szwajcar, stojący u drzwi wchodowych, patrzył na mnie zdumiony.

Uciekłem z hotelu.

* * *

Jaka noc! jaka noc!

Są ludzie, którzy uciekają od wszystkiego, co może wywoływać wspomnienia. Mnie zaś, jak zbrodniarza, który fatalnie powraca na miejsce występu, pociąga nieprzepartym

ca wszystkimi językami, ta zupełnie „moderne“ kosmopolityczna panna! Warjat ze mnie, że mogłem kiedykolwiek przypuszczać... Co zaś! Ona, jeśli wyjdzie za mąż, to tylko za kogoś takiego, jak ten przybyły podtatusiały jegomość. To musi być spekulant jakiś... bankier milioner... a może prosty „rycerz przemysłu...“ Cha! cha!

Rozległo się donośne echo „tam-tamu“, wzywającego mieszkańców hotelu na obiad.

Pierwszą myślą moją było: nie iść. Poczóż pójdę?... Muszę wyglądać strasznie... Jeść przecież nie będę, a mówić nie zdołam. Zresztą, gdzież usiądę? Miejsce moje zajął pewnie ten... bankier. Wolę tego nie widzieć, bo łatwo mogłoby przyjść do niepotrzebnej awantury; jestem bardzo wzburzony. Nie pójdę!

Z tem postanowieniem wszedłem na schody i zbliżyłem się do okien jadalnej sali, wychodzących na werandę. Iść—nie pójdę, ale popatrzeć mogę, jak się umieścili przy naszym wspólnym stoliku, stojącym tuż przy oknie, opodal od głównego stołu?

Zaglądam przez szczeliny źle zamkniętych żaluzji. Czuję cały komizm tego podglądania, ale patrzę... I jestem zdumiony.

Stolik pusty, a ci państwo stojąc, rozmawiają, jakby na kogoś czekali. Widzę—nie-

dokładnie, bo żaluzje przeszkadzają — całą twarzyczkę Irmy, kawałek postaci mamy, poruszającej się nerwowo i oczy grubego pana; oczy okrągłe, jak u kota, otoczone także okrągłemi, z grubego szkła, okularami — oczy szkaradne, patrzące sztywnie, połyskujące nie swoim blaskiem, lecz blaskiem migotliwym szkieł...

Co to znaczyć może, że nie siadają? czyżby na mnie czekali?... W takim razie wejść muszę — prosta grzeczność tak każe.

Wszedłem... Czuję, że czynię to nadto szybko i że bardzo niezgrabnie się kłaniam.

— A otóż i pan Roman! — woła mama i żywo zbliża się do mnie.

Więc rzeczywiście na mnie czekali!... Doznaję na chwilę uczucia ulgi; to jednak wnet przechodzi w osłupienie.

Mama, która już od dłuższego czasu wcale nie zwracała na mnie uwagi, podaje mi obie ręce... Widzę, że ma powieki czerwone i oczy pełne łez.

— Panie Romanie! — mówi do mnie głosem złamanym — pan, który byłeś dla nas tak przyjazny, odczujeś, jestem pewna, nasze nieszczęście...

Tu zaczynają płynąć strumienie łez.

— Co się stało? pytam przerażony.

Mama ociera powieki i ciągnie dalej, zachłystując się co chwila łzami, które płyną niepowstrzymanie.

— Wyobraź pan sobie... otrzymaliśmy właśnie wiadomość, że mąż mój... — ten biedny męczennik — śmiertelnie chory...

— Ach!... czy był telegram?...

— O, nie!... Mąż mój w swej anielskiej dobroci nie chciał nas trwożyć... przeszkadzać w podróży... On zawsze taki!... Ale sąsiad nasz, zacny, pocziwy baron Wecker... z rodziny kurlandzkiej, oddawna w naszych stronach osiadłej — właśnie przybył, aby...

— To ten pan? — spytałem, wskazując na grubego jegomości, który w najlepsze rozmawiał z Irmą.

— Tak... właśnie przybył, aby nas przygotować na nieuchronną katastrofę... Jutro rano musimy jechać... Może zdążymy jeszcze dość wcześnie, aby przyjąć choć ostatnie tchnienie tego biednego męczennika!... Czekałyśmy, aby się z panem pożegnać i podziękować...

Nie słyszałem już nic. Brzmiały mi w uszach słowa, przerywane szlochaniem, ale nie chwytalem ich treści. Rozumiałem tylko to, że jutro rano jadą, że wyjeżdża Irma i że w obecności tego kurlandzkiego sąsiada niepodobna mi już będzie naprawić

tego, co się stało. Rozumiałem i to także, że mama wśród potoku łez i słów, bardzo dyplomatycznie zlekceważyła wiadome sobie moje zamiary i warunkowe wprawdzie, lecz zawsze zobowiązujące przyrzeczenie Irmy.

— Pan pojmuje, że teraz, w takich warunkach... w takim smutku... niepodobna myśleć o... Pan to rozumie i nie będzie miał do nas żalu...

Nie odpowiedziałem nic. Ogarnął mnie zamęt, a ocucił dopiero zmieniony nagle ton mamy. Po wypowiedzeniu wszystkiego, co wypowiedzieć należało, stał się swobodnym, towarzyskim... Jeszcze raz wykrzyknik: Biedny męczennik!... a w ślad za tem uprzejme wyrazy, wymówione już niemal z uśmiechem.

— Ale zapominam, że panowie się nie znają...—Panie Edwardzie, oto łaskawy i cierpliwy nasz towarzysz podróży... pan Roman... Pan baron Wecker, nasz sąsiad i przyjaciel. Och, jaki przyjaciel!

Podąła mu obie ręce. Machinalnie zbliżyłem się.

Są chwile, w których wzrok ludzki ma szczególną moc chwytania w jednym mgnieniu nie tylko całości obrazu, lecz wszystkich jego najdrobniejszych, dotychczas nie

urokiem każde miejsce, związane jakimś wspomnieniem z moją istotą. Jest to rozkosz okrutnie dręcząca.

Tej nocy użyłem jej do syta. Nie było miejsca, uświęconego wspomnieniem Irmy, którego bym nie odwiedził tej nocy. Ostatnią pielgrzymkę odbyłem do Madonny del Sasso. Stanałem na galerji, okrążającej kościół i przez arkady patrzałem długo w dal, — na groźne kolosy skał, wyolbrzymione jeszcze wśród cieniów, na niebo, iskrzące się gwiazdami i wgłębione, jak kopuła bezkresnej świątyni, — a w dole na ciche jezioro, odbijające migotliwe, gwiazdziste blaski, i drgające jakimś tajemniczym życiem swych cicho szemrzących fal, niezgłębionej swej toni....

Przejęła mnie potężna wspaniałość tego widoku... Cisza tej bezksiężycowej nocy, cisza, pełna tajemniczych szmerów, szelestów, szeptów dziwnych, pełna niekrępowanego oddechu uspionej przyrody, wnikała w moją duszę, jak balsam, który nie koi, lecz znieczula.

Tam zostać — i zmartwieć...

Nie! nie! nie! — Chcę czuć, myśleć, wspominać; nie chcę o niczem zapomnieć!

Przemocą oderwałem się od tego widoku i biegłem w dół, szybko, mijając kapliczki

stacyjne, które mi się zdawały skamieniałymi postaciami mnichów w kapturach.

Gdy szedłem z góry, poczynął już być brzask. Od zachodu zerwał się nagle wichur, i na czyste niebo, z po za skalistych szczytów wymiatał strzepy chmur... Szły szybko, pędziły, stykały się z sobą, łączyły i kładły się jedno na drugie, tworząc wały, twierdze, szczyty poszarpane i dzikie, nakształt olbrzymów skalistych, które zasnuwały.

Gdym stanął u brzegu jeziora, już ani jedna nie odbijała się w niem gwiazda. Tylko u wschodu, w dole rozciągał się długi pas światła i z każdą chwilą stawał się jaskrawszym, krwawiac zwisające strzepy chmur i ciskając smugę światła na środek jeziora.

Zdyszany, zmęczony fizycznie, przystanąłem u jeziora, na środku pomostu, do którego przybijają statki. Usiadłem na wielkim odłamie nieociosanego kamienia, przygotowanego do naprawy pomostu.

Tak byłem znużony, że na chwilę przestałem myśleć, a raczej myślałem tylko o rozkoszy odpoczynku. Przypomniła mi się żona Tomasza Carlyle, która, dręczona przez męża, w zmęczeniu fizycznym szukała ulgi i znajdowała ją zawsze... Niestety, niektórzy nowsi badacze niweczą już aureolę, jaka otaczała

nieszczęśliwą małżonkę genialnego dziwaka, i twierdzą, że, jeżeli nawet całymi godzinami, aż do upadku sił biegła, to poruszał nią nie żal wewnętrzny, lecz złość...

I nagle, w myśli mojej przedzierzgnęła się ona w—„mame!“ — Wobec tej metamorfozy cały tragiczny urok chwili prysnął... Powstałem, chcąc wrócić do hotelu.

Był już zupełny świt. U wschodu zawsze jeszcze jaskrawy pas światła nie pozwalał się pokryć nawałą chmur, które przewalały się ponad jeziorem, coraz bardziej zmacconem, coraz silniej falującym. Z łoskotem uderzały te fale o wiązadła pomostu, z szumem rozlewały się u brzegów.

Oparty o balustradę, patrzałem w dół. I zdało mi się, że widzę jakieś żywe stworzenie, które, niesione prądem, podpływało do pomostu, tam odbijało się silnie o słup podwodny, brutalnie odrzucone odpływało i powracało znowu, miotane falą... Powtarzało się to ciągle, miarowo; stworzenie to okręcało się czasem w około siebie: niknęło pod wodą i znów ukazywało się na powierzchni. Zdawało się, jakby fala chciała koniecznie roztrzaskać, zmiążdżyć je o słup kamienny. Wpatrzyłem się i rozeznałem po chwili... Biedna, mała psina, zabrana zapewne przypliwem wody u przeciwnego brzegu i za-

niesiona aż tutaj, dawno musiała przestać walczyć o życie. Skostniały trupek objął się teraz o głazy, nieczuły na ciosy. Widziałem wyraźnie ładną, małą mordeczkę, okoloną krętymi włosami, długie kędzierzawe uszka i wyciągnięte sztywnie łapki... Każde uderzenie tej martwej psiny o słup podwodny zadawało mi ból fizyczny...

Wzdrygnąłem się i odszedłem śpiesznie.

Byłem złamany; drżałem z zimna. To jednak dziwne; metamorfoza pani Jane Welsch-Carlyle w „mame” i widok tej biednej utopionej psiny, nadały inny bieg moim myślom. Romantyczny nastrój pierzchnął. Zdało mi się, że jestem Rostandem i Percinetem zarazem; Rostandem, który drwi z siebie samego, to jest z Percineta... Nie wiele brakowało, a byłbym już szydził z mojej pielgrzymki nocnej do miejsc, „uświęconych wspomnieniem...” To wprost komiczne!

Wróciwszy do pokoju, usiadłem wygodnie w fotelu, otuliłem się w szal ciepły i postanowiłem myśleć rozsądnie.

Może to i dobrze, że się tak stało. Niezawodnie dobrze... Ta mama, nasiąknięta łzami, nadziana samolubstwem, kanonizująca męża, gdy kona, szkalująca go za życia, wszak ona bezpośredni i widoczny wpływ wywiera na córkę. Jakążby była dla mnie Irma w po-

życiu?... A w dodatku ten kurlandzki baron z okragłemi oczyma ślepeca, o stożkowej, lśniącej łysinie,—jakaż on w tem wszystkim odgrywał rolę?... Był zwiastunem bliskiej żałoby wdowiej, ten zacny sąsiad i przyjaciel.

Kto wie, czy to wszystko nie byłoby dla mnie ową falą zażartą i owym słupem podwodnym, o który rozbijałyby się martwe szczątki moich myśli, pragnień i uczuć.

Dobrze mi jest... ciepło, zacisznie... Na dworze wyje wicher, zrywa się burza, leje deszcz... A tu dobrze mi jest...

Powieki zaciężyły ołowiem.

Gdym się obudził, splukane deszczem słońce świeciło znów promiennie na wypogodzone niebie. Było już wysoko...

Zerwałem się na równe nogi i zadzwoniłem gwałtownie...

— Panie wyjechały o siódmej rano...— oświadczył mi garson.

Tegoż dnia byłem już w Gersau nad jeziorem Czterech Kantonów. Nieznośna miejscowość. Próbowiałem Luzerny... Bardzo nudno... Jesień spędziłem w Paryżu... Nie lepiej...

I jestem w Brusinie, wśród słotnej mgły, która wyžera barwy z fresków moich wspomnień...

Minęło całe pół roku. Teraz mogę już napisać:

— „Rozstaliśmy się“.

Dziwny wyraz! Przynosi mi z sobą wrażenie Madonny del Sasso o południowej godzinie i groźnej wspaniałości nocnego ztamtąd widoku i szumu zwichrzonych fal jeziora i odgłosu uderzeń martwego ciała o słup podwodny... Jest w nim wszystko: martwiejąca tęsknota i czar wspomnień, i — matka głupich — jakaś nieokreślona nadzieja...

* * *

Brusin, 25, czerwca 190... rano.

Do tych kartek, napisanych przed pół rokiem, wcielam list, przed chwilą otrzymany. Nie dodaję żadnego komentarza, bo sam jeszcze nie wiem, jak to wszystko sobie wytłumaczyć i co uczynić?...

Gdy mi przyniesiono list ten, gdym rozpoznał z ogromnem zdziwieniem pismo na kopercie i wyczytał znak pocztowy z napisem: Locarno, nie wiem, czy zbladłem, ale to wiem, że uczułem nagłe gorąco, a potem dreszcz.

Położyłem list przed sobą, na biurku i długo chwilę patrzyłem na niego, jak na zagad-

kę mojego życia. Bo ona mogła się w nim mieścić, niezawodnie!

A może to tylko grzeczne, w intencji złośliwe oznajmienie, że Irma poślubia człowieka „o silnym charakterze i silnej dłoni“, o jakim zawsze, aby mi dokuczyć, mówiła „mama“?

Rozdarłem kopertę i oto, co wyczytałem:

Locarno, 21 czerwca 19..

Niewiem, czy skończę ten list, ale go zaczynam w nadziei... Nie, bez żadnej nadziei. Piszę, bo muszę... Śmieję się pan ze mnie, ale tak jest, jak mówię. Nie wierzy pan? — Przysięgać nie będę, ale to święta prawda, że od roku, od kiedyśmy się rozstali, nie było dnia, abym o panu nie myślała... Czary jakieś, czy co? Od kiedy zaś tu przyjechałyśmy, do tego Locarna... (właściwie „przyjechaliśmy“... No, nie chmurz się pan, bo ta gramatyczna poprawka wcale nie z mego powodu i do mnie się nie odnosi, a dlaczego tu jesteśmy, to panu chyba ustnie powiem...) — otóż, od kiedy tu przyjechaliśmy, wstydzę się, ale — tęsknię... tęsknię i wstydzę się...

No, proszę nie patrzeć tak na mnie, bo listu nie skończę. Albo proszę patrzeć... Ja ogromnie lubię pana oczy, (świadkiem: Ma-

donna del Sasso!) i lubię słuchać, jak pan mówi... Tylko proszę nie gniewać się za tę pochwałę, jak wówczas — niedobry!...

Słowem, źle z dawną, swawolną Irma... Donoszę przytem panu, że Irma zmieniła się bardzo... bardzo... Gotowa odpowiadać na wszystkie pana nieznosne pytania i gotowa nawet pozwolić nazywać się — Marynią!... Ale na to potrzeba, aby pan tu przyjechał i to koniecznie zaraz, koniecznie! Proszę nie odpisywać, lecz zatelegrafować, bez wielkiego kosztu, dwa słowa: „J'arrive“. Może pan dla oszczędności napisać bez apostrofu... Zrozumiem, a urząd telegraficzny może puścić płazem to oszustwo. — Ani wątpię, że pan przyjedzie, ani chcę przypuszczać, abyś pan się wahał i jestem bardzo, bardzo... chciałam napisać: szczęśliwa, ale to nie byłoby prawdą. Będę nią może, gdy pan przyjedzie...

Irma-Marynia.

Na marginesie bardzo drobnymi literami:

P.S. „A propos!“ byłabym zapomniała: za dwa tygodnie ślub mamy! Wychodzi za barona Weckera... I co pan na to?... Mama łączy piękne ukłony i popiera moją... prośbę. („Prośbę“ — wszak to dość pokornie — co?...)

Piszę za jej wolą i wiedzą.

* * *

Odczytałem list już trzy razy.

Aha, rzecz jasna! Mama, pochowawszy „biednego mecenika“, wydaje się za „kochanego sąsiada“... Więc teraz córeczka tęskni, choć się wstydzi... wstydzi się i tęskni..

Nie, nie pojedę... Stanowczo nie.

Wysłałem telegram.

Wyjeżdżam 25 czerwca 19 wieczorem dziś... Boże, jaka to daleka podróż do tego Lorna! — Ale jaki ja haniebnie słaby jestem... To szczęście, że nikt o tem nie wie i wiedzieć nie będzie. Kocham i wstydzę się... Wstydzę się i kocham...

E l l a.

Wszyscy powstali, gdy weszła do rzęsiście oświetlonego salonu, wsparta na ramieniu gospodarza, uśmiechnięta, promienna, trzymając w małej dłoni olbrzymi bukiet z białych kamelii. Była olśniewająco piękna, nie wzorową klasycznością rysów, ale tym wdziękiem nieopisanym, który przebiegał się w każdym jej ruchu, przemawiał do serca uśmiechem jej ust koralowych, upajał głosem o dźwięku srebrzystym, wnikał w duszę spojrzeniem oczu ciemnych a głębokich, co się czasem fosforycznym zapalały blaskiem,

Zaczęła śpiewać... Piosenka nie nowa a w każdym razie starsza jak to wspomnienie, mające lat blisko trzydzieści; może też ona i nie była piękna, ale na mnie dziwne wywarła wrażenie. Zapamiętałem tylko jej pierwsze wyrazy:

Celui que j'aime, il n'est pas là!..

Nuta i postać śpiewającej zostały mi we wspomnieniu na zawsze. Akompaniował jej

na fortepianie młody artysta, poczuwający się do obowiązku noszenia długich bardzo włosów i zaniedbanej toalety i do wydania raz do roku walca albo polki, w których wszystkie reminiscencje utworów karnawałowych klóciły się o pierwszeństwo. Miał przy tem oczy błękitne, bardzo romansowe, które od czasu do czasu z wyrazem bezdennej uczucia podnosił na śpiewaczkę.

Śpiewała, uśmiechając się... Nie byłem nigdy sprawozdawcą muzycznym, to też pomimo chęci nie umiem technicznymi opisać wyrazami, czy wykonanie było mniej lub więcej doskonałe. To wiem jedno, że oczarowała mnie tym śpiewem i uśmiechem, który wszakże zupełnie skierowany do mnie nie był.

Zdawało mi się, że uśmiech i spojrzenia panny Elli — tak się nazywała śpiewaczka — szły w stronę, kędy oparty o framugę okna stał młody jeszcze człowiek o twarzy nie pięknej ale bardzo wyrazistej.

Był to trochę artysta, trochę poeta, a z musu hreczkosiej, — w ogóle zaś dobry, jak to mówią, chłopiec, tylko niepoprawny marzyciel. W każdym wróble chciał widzieć słowika, każdego wieczora szukał swojej gwiazdy, w każdej kobiecie uwielbiał anioła.

Ztąd napadały go często smutki ogromne, gdy wróbel nie chciał śpiewać jak słowik,

gdy chmury na niebie zakrywały mu gwiazdy lub gdy ubóstwiany anioł okazał się zwykłym bardzo, domowym djabełkiem.

Smutki te i rozczarowania nie poprawiały go wcale i nie leczyły z chronicznego optymizmu. Po każdym doznany zawodzie wpadał w recydywę, obwiniając raczej siebie, że przedtem nie umiał stosować się do sytuacji, nie umiał jej pojąć lub odczuć.

Czy mu z tem dobrze było?... przypuścić trudno. To pewna, że pomimo minionych lat trzydziestu utyć nie mógł w żaden sposób, a szczęście, że nie wylysiał, bo często widziałem, jak niecierpliwą ręką szarpał ciemne swe włosy, które bujnym zarostem ocieniały piękne, myślące jego czoło.

Celui que j'aime, il n'est pas là!... śpiewała Ella, ale wzrok jej i uśmiech zdawały się przeczyć tym słowom i wyraźnie mówić, że ten, którego kochała, był tuż, blisko.

— Perswadowałem mu, mości dobrodzieju!—przemówił nagle jakiś gruby głos za mną — zaklinałem go na pamięć matki, na wszystko co ma najdroższego... ano, nie pomogło nic!.. Powiada, że się z nią już nigdy nie rozłączy, że wrażenie, jakie na nim uczyniła wiecznie trwać będzie, że, w końcu, żyć bez niej nie może...

— A ona?—zapytał głos drugi.

— Ona! ot, jak zwykle awanturnica. Śmiała się ze mnie, gdym jej powiedział, że gubi człowieka. A jej matka mnie z domu wypędziła. To dopiero numer ta mamunia!.. Małe to, nędzne, nikczemne, że zda się dmuchnąć a zginie,—złe zaś, mości dobrodzieju, jak szatan. Ciągłe powtarza cichym głosikiem: „moja Ella to taka czysta, taka zdrowa natura!“ nieustannie ją psuje swoim ubóstwianiem i wymaganiem holdów od całego świata dla córki i dla siebie, że takie cudo urodziła.

— Biedny Karol!

— Pewnie, że biedny. Ano, szalenciec jest. Trudno na to poradzić... Majątek już sprzedał, zrywa wszystko i idzie w świat za nią...

Rozmowa ta zainteresowała mnie mocno. Znałem Ellę i jej matkę oddawna. Słyszałem o córce to i owo, ale nie przykładałem wagi do ludzkich gadań; o matce zaś miałem wcale dobre wyobrażenie. Zdawała mi się wprowadzić pełną pretensji parafiańskich i konwenansowych formulek, ale nie przypuszczałem nigdy, aby złą była.

Ella kończyła śpiewanie i z pełnej piersi wyrzuciła ostatnią nutę:

Celui que j'aime, il n'est pas là!...

Spojrzałem na Karola. Stał jak przedtem oparty o framugę okna. Wyiskrzonym, pałającym wzrokiem wpił się w twarz śpiewaczki i mimowolnie się pochylał, jakby ku niej chciał lecieć. Ona uśmiechała się ciągle, białymi, równymi zębami świecąc z poza usteczek koralowych, które się rozchyłały rozkosznie. Skończyła śpiewać i uprzejmym ukłonem odpowiadała na oklaski i zachwyty słuchaczy. Piers jej biała, marmurowa, przeglądająca z poza batystów i koronek nieco dekolowanej sukni, wznosiła się przyspieszonym oddechem, a oczy, barwy zielonawej, mieniające się jak gwiazdy, przechodziły z wolna po całym salonie, nie zatrzymując się dłużej na nikim i zwracały się zawsze ku bladej, wymownej twarzy Karola.

On zbliżył się do niej z wolna i podaną sobie dłoń malutką, miękką, białą, uściskał... Nie mówili do siebie nic, — ale schwyciłem w przelocie spojrzenia ich oczu, ogniste, namiętne. I nie wiem dla czego żal mi się zrobiło Karola...

* * *

Minęło lat wiele. Po nad głową moją przeszły wichry i burze. Od dawnego już czasu byłem samotny, wśród obcych. Otaczał mnie wir wielkiego miasta i przywykłem już

patrzeć na przesuujące się przed memi oczyma tłumy ludzi. Zdawały mi się one czasem groźną falą oceanu, idącą ku mnie, aby mię pochłonać, a czasem zastępem obojętnych mi zapaśników, walczących o byt, jak gladyatorowie w obec widzów. Spokój mię nieraz ogarniał martwy wśród tego wiru, to znów nieopisana tęsknota za przeszłością, która minęła, za porywami młodzieńczego serca, za złudzeniami, których serce zgorzkniałe doznać już nie mogło, za tem wszystkim, słowem, co w duszy zostało wspomnieniem, a było niegdyś rzeczywistością promienną...

Było to wieczorem. Snułem się po ulicach prawie pustych, starając się stłumić w sobie myśli, które upornie zwracały się ku czasom, kiedy nad moją strzechą świeciły jasno gwiazdy wieczorne, a do wieczery wspólnej zasiadała liczna gromadka kochającej się rodziny... Jedni pomarli a drudzy rozsypali się po szerokim świecie i chodzą może tak samo jak ja samotni, patrząc ze łzą w oku na niebo roziskrzone gwiazdami, które świecą tak samo jasno, jak wprzód...

„Szczęśliwy, kto jak liść jesienny padł u stóp tego drzewa, na którym wyrósł!“ powtarzałem słowa poety z tęsknotą.

Nagle zadrżałem. Przechodziłem w tej chwili wąską uliczką przedmieścia, obok zaskopconych okien małej kawiarni, z kąd doleciał uszu moich śpiew... Głos był słaby, stłumiony, ale nuta piosenki obudziła echo dawnego wspomnienia i przypomniła niegdyś zasłyszane słowa:

Celui que j'aime, il n'est pas là!...

Ulegając pierwszemu wrażeniu, wszedłem do wnętrza. Zrazu wśród dymu cygar i papierosów nic dojrzeć nie mogłem; poza mgłą tego dymu dostrzegłem tylko cienie postaci siedzących przy stolikach gości i przesuwających się garsonów, którzy roznosili kufle piwa i filiżanki kawy. Na środku małej sali, na długim drucie o dwóch poprzecznych ramionach, wisiały dwie lampy, rzucające słabe światło na całe otoczenie. W głębi, jedną całą ścianę zajmowała estrada, okryta brudnym, podartym dywanem, a na niej stał fortepian wąski i długi, wydający od czasu do czasu jęklive i chrapiące dźwięki, pod palcami artysty czy artystki, której dojrzeć nie mogłem, bo ją zakrywały nuty, oparte na podniesionym pulpicie.

Obok fortepianu i nad estradą wisiały jeszcze dwie lampy, oświetlające nieco więcej tę część sali. U wejścia kazano mi złożyć bardzo skromną opłatę, którą uiściwszy,

zbliżyłem się ku estradzie i zająłem miejsce przy małym, okrągłym stoliku, okrytym ceratą, naśladującą marmur, po której ściekały zwolna strugi piwa i kawy, rozlane snąc przed chwilą przez jakiegoś marnotrawnego czy niezgrabnego konsumenta.

Powietrze było parne, duszne, przesiąknięte wyziewami alkoholu i świeżo palonej kawy; dym ostry, gryzący, chwytł za gardło, a z oczu lży wyciskał.

Usiadłem i wyteżonym wzrokiem usiłowałem przebić mgłę tego dymu, która oddzielała mnie od postaci śpiewaczki, stojącej przy fortepianie.

Była ubrana w suknię różową, z bardzo mocno pąsowemi wstążkami. O świeżości tej dziwnej toalety sądzić nie mogłem, ale z oddalenia i w tej mgłę dymu wydawała mi się brudną i zmiętą. Suknia była mocno dekoltowana, a żadne batysty ani koronki nie ukrywały przed okiem kształtów bujnych, ale rozplyniętych i za każdym poruszeniem drżących... Na szyi zwisał duży medaljon z monogramem, na pąsowej aksamitce, która źle ukrywała fałdujące się zmarszczki i sama prawie tonęła w podbródku...

Pomimo usiłowań, rysów twarzy dobrze dostrzedz nie mogłem; zdawały mi się duże, pospolite i zupełnie obce. Chciałem już wy-

chodzić, gdy wtem z piersi śpiewaczki wydobyła się ostatnia nuta znanej piosenki; wydobyła się z trudnością, zgłuszona, — szła w górę... w górę... i nagle się urwała, przecięta krztuszeniem...

— Bravo! bravo! — zawołało kilka głosów szyderczo i zerwała się burza oklasków.

A w tejże chwili śpiewaczka oddaliła się od fortepianu i schodząc na sam kraniec estrady kłaniała się swemu audytorjum z uśmiechem.

Drgnąłem, jak gdyby tknięty iskrą elektryczną.

To była *ona*! To była ta sama Ella, która temu lat jaki dziesięć, otoczona szeregiem wielbicieli, w wykwintnej toalecie, uśmiechnięta i promienna, śpiewała we wspańiałym salonie, patrząc namiętnym wzrokiem na Karola.

Teraz rozpoznawałem te same rysy, tylko zgrubiałe, zwiędłe, rozplynięte; te same oczy, pozbawione dawnego, fosforycznego blasku, ale świecące się jeszcze gorączkowo z pod nabrzmiałych powiek, ten sam uśmiech, ale skarykaturowany jakimś wyuzdaniem cynicznym...

Chciałem uciec, lecz ciekawość co się stało z Karolem, wstrzymała mię na miej-

scu. W tejże chwili ujrzałem zbliżającą się ku mnie od fortepianu postać staruszki, która tym razem zastępowała w akompaniamencie miejsce jasnowłosego artysty. — Poznałem ją odrazu, bo się nic przez te lata nie zmieniła. Sunęła się po ziemi cicho, jak cień, krokiem chwiejnym, zgrzybiałymi palcami naciągając na ramiona starą, popielatą chustkę.

Patrzyła na mnie chwilę mętnemi, przogasłemi oczyma, ruszając nieustannie ustami, jakby coś przeżuwała.

Nagle zatrzepała obu rękami w powietrzu w zadziwieniu i śpiesznie, a zawsze cicho przysunęła się do mnie.

— Wszak to pan?... jeśli się nie mylę! — zawołała. — Boże, co za spotkanie!.. Widzisz pan, co się z nami stało!... Moja biedna Ella, ta czysta, piękna natura... do czego ją doprowadził ten niegodziwy dziwak i fantasta...

— Więc Karol? — spytałem.

— Umarł, panie, umarł, rok temu... — prze-rwała mi staruszka, gniewnie poruszając rękami. — Nie zostawił nic prócz długów i gorzkiej po sobie pamięci. Moja biedna córka wyszedłszy za niego, mogła tylko rok jeden wytrzymać, musiała się z nim rozstać, bo to było, panie, nie do wytrzymania. Nie szanował nic... mnie, matkę Elli, poniewierał formalnie! Dziwak, zazdrośnik, gwałtownik

a charakter słaby. Ella potrzebowała ręki silnej a delikatnej, na którejby się oprzeć mogła; to, panie, taka śliczna natura!..

Mówiąc to, rzuciła ciągle niespokojnie kośćciami rękami, a na wystające, chude jej policzki wystąpił rumieniec gniewu.

„Śliczna natura“, rozmawiała tymczasem z siedzącymi przy najbliższym stoliku gośćmi. Rozmawiając śmiała się głośno i bardzo rozkosznie — i popijała ofiarowany sobie trunek.

— No! — zawolał głos jakiś — zaśpiewaj „*L'Oiseau bleu*“... tylko bez końcowego kiksa!...

„Śliczna natura“ zaśmiała się i skierowała ku fortepianowi, a w tejże chwili z poza parawanu rozstawionego w przeciwnym kącie i ukrywającego zapewne garderobę artystki, ozwał się dzwonek zwiastujący następny numer koncertowego programu.

Matka podała mi kościstą rękę.

— Muszę iść akompaniować Elli. Widzisz pan... to nasze życie!... Ale pan przyjdiesz do nas, nieprawdaż?... Mieszkamy w tej samej kamienicy, w oficynie na prawo... Ella bardzo się ucieszy... Za godzinę będziemy w domu.

Odeszła cichym krokiem, jakby się sunęła po ziemi.

Kto wie, pomyślałem, czy ten szkielet chodzący, który w tej chwili zdawał się tylko siłą gniewu poruszać, nie stał się powodem nieszczęścia Karola, niedoli i upadku własnego dziecka.

„Unikaj tych, którzy cicho mówią i cicho stąpają“... radził mi jeden znawca ludzi. I może miał słuszość, chociaż posądzałem go zawsze, że mówił tak dlatego, iż sam miał głos tubalny a nogi jak słoń ogromne, pod którymi ugięła się posadzka.

Spojrzałem na Ellę. Zaczynała śpiewać stłumionym głosem, który co chwila chrypką zachodził. Ozwały się szydercze śmiechy, a mnie żal się biednej zrobiło... Uciekłem.

SAMOBÓJCA

Dar obserwacji jest dla człowieka nieoceniony, lecz nieraz — jak wszystkie zresztą dary w życiu — staje się darem fatalnym, Nie pozwala nigdy w pełnej mierze używać samolubnie chwili wytchnienia, nie pozwala na *dolce farniente*, zwracając uwagę to w tę to w tamtą stronę, wśród najpiękniejszych cudów przyrody, ukazując skazy i psując najwznioślejsze wrażenia. Lecz jak wszystko na świecie, tak i ów dar spostrzegawczy uległ dzisiaj pewnej zmianie. Gdy na widnokręgu naszego życia narodowego paliło się pełnem światłem słońce romantyzmu, lubiono odkrywać wśród najsprośniejszych rzeczy, strony szlachetne; dar spostrzegawczy odznaczał się wówczas, a nawet często grzeszył optymizmem. „Miej serce i patrzaj w serce!“ — to było hasło.

Hasło to przebrzmiało oddawna. Dziś, gdy patrzą na młodzież w mundurkach i bez mun-

durków, gdy słyszę ich rozmowy, lub jestem biernym świadkiem ich zabaw, spostrzegam, że nawet tych serc młodocianych „żadna nic nie wiąże złota“, że ich młodość nad poziomą nie ulata, że stare hasło romantyzmu przeobraziło się na inne, bardziej praktyczne: „Miej pieniądze, patrz karjery!“.

I w pewnej mierze byłoby może dobre to praktyczne usposobienie, wynikłe z coraz sroższej i trudniejszej walki o byt, gdyby istotnie było szczerem, gdyby ono rodziło w życiu systematyczność pracy, trzeźwość zapamiętań, hartowność woli, wytrwałość w zwyciężaniu przeciwności. A jednak, niestety, tak nie jest. Znamienny, smutny przykład owych dwóch studentów tarnopolskich, którzy wskutek niepowodzenia w naukach, postanowili umrzeć i mierząc jeden do drugiego z rewolwerów, zamordowali się wzajemnie, — fakt ten, bardzo w stylu współczesnym, bardzo dekadenski, dowodzi niezbicie, że w sercach tych dwóch samobójców - morderców wygasł oddawna wszelki ogień zapału, a pewna „praktyczność“ podyktowała im tylko łatwiejszy rodzaj śmierci, niż samobójstwo, wymagające walki, nieraz ciężkiej, z samozachowawczym instynktem. I jeżeli u samobójcy przypuścić można, w wielu przynajmniej wypadkach, rzeczywisty obłęd, szalę rozpacz, to

w tych dwóch młodzieńcach, mierzących wzajemnie a celnie do siebie, dopatrzeć chyba można zbrodniczych instynktów w sercach wystudzonych zupełnie. Kto kiedykolwiek, składając hołd barbarzyńskiemu zwyczajowi, stawał na placu pojedynku w sprawie ważnej i mierząc do przeciwnika, patrzył w lufę pistoletu w pierś swoją wymierzona, ten wie, jak dziwne myśli w tej chwili kotłują we wzburzonym mózgu. Naturalną obawę śmierci paraliżuje wówczas uczucie — bardzo w człowieku potężne — próżności, aby wyglądać mężnie; paraliżuje je także nieodstępująca człowieka do ostatniej chwili nadzieja: przeciwnik nie trafi! Ale równocześnie doznaje się uczucia wstrętu do zbrodni, uczucia niezmiernie dojmującego: że ten człowiek, który stoi przedemną w pełni sił i zdrowia, może paść z mojej ręki za chwilę trupem... Bujna wyobraźnia tworzy w rozgorączkowanym mózgu cały obraz konającego człowieka, leżącego w kałuży krwi. To uczucie jest nieraz tak silne, że tłumi nawet najżywszą nienawiść.

Ale stało się. On także, ten przeciwnik, mierzy w pierś moją, on także może mnie zabić, więc strzelać muszę: zabiję wroga, ocaleę siebie... W tym chaosie myśli, jak przez sen, słyszę komendę... Raz... dwa... trzy! Strze-

lam... I doznaję uczucia błogości, jeżelim ocalał, a nie zabił człowieka...

Przedstawmy sobie teraz, że w wypadku, o którym jest mowa, stali wobec siebie nie wroldzy zapaśnicy, lecz koledzy—przyjaciele i spójrzmy we wnętrze ich duszy... Trudno o widok straszniejszy! „Obszar gnuśności zalany odnętą“... „Nad wody trupie — mówiąc słowami Mickiewicza — wzbil się jakiś płaz w skorupie, — sam sobie sterem, żelazem, okrętem... Nie lgnie do niego fala, ani on do fali. A wtem jak bańka prysnął o szmat głazu!“

Jest w człowieku wrodzone poszanowanie życia bliźniego. Prędzej zrozumieć można, że w wyjątkowych warunkach, w jakichś niezwykle splątanych kolizjach, można stracić poszanowanie dla własnego istnienia, można je nawet znienawidzić, ale, aby z zimną krwią mierzyć w pierś inną, to już dowód zbrodniczych instynktów niszczenia.

Dla samobójców miałem, wyznaję, zawsze uczucie głębokiego politowania. Uczucie to wzmogło się jeszcze skutkiem następującego zdarzenia, którego niemal byłem świadkiem.

Znałem przed kilku laty człowieka, wszechstronnie wykształconego, niezmiernie miłego w obejściu, posiadającego, rzec można, niezwykłą kulturę. Z zawodu lekarz, uczeń Char-

cota, oddawał się głównie naukowemu badaniu chorób nerwowych, tak w swych objawach różnorodnych. Miał przytem wybitny talent literacki. Był czas, kiedyśmy się schodzili bardzo często i mogłem wtedy bliżej poznać doktora. Oceniając jego niepospolitą wiedzę i wszechstronność umysłu, a zarazem szlachetność pojęć, czułem wszakże, iż ma on w sobie jakiegoś mola, który go gryzie, i to tak silnie, że często nie wystarczała dla uspienia i znieczulenia gryzącej troski wyężdżająca praca, jakiej się oddawał. — Nagle, straciłem doktora na czas dłuższy z oczu. Dochodziły mnie wieści, że zaplatał się w jakiś stosunek miłosny, że się zaniedbał w pracy; przebąkiwano nawet, że się rozpił... Nie bardzo temu wierzyłem, bo znając go dobrze i jego zapatrywania, nie przypuszczałem, aby człowieka tej miary opętać mogła kobieta pierwsza lepsza. A ta, o której była mowa stanowiła typ dość pospolicity.

Spotkałem ich raz nawet jadących obok siebie w powozie. Nie wyglądali na zakochanych. On dość niezręcznie unikał mego wzroku i patrzył w dal, jakby w znużeniu. Ona bardzo, a nie wytwornie strojna, rzucała spojrzeniami na prawo i lewo, widocznie zadowolona, że jedzie wynajętą remizą na gumowych kołach, co podówczas by-

ło rzadkiem jeszcze zjawiskiem. Szukała widocznie wzrokiem pieszo idących koleżanek, aby się rozradować ich zazdrością. W tem jej zadowoleniu człowiek, obok niej siedzący, nie odgrywał żadnej roli. Wszystko jedno kto taki, byle były „gumy“ i stangret w liberji...

Serdecznie żał mi się zrobiło doktora. I zastanawiałem się z goryczą nad słabością mężczyzn, którzy nieraz niepospolity swój talent i wiedzę marnują dla nieszczerego, płatnego uścisku najzwyczajniejszej kokoty. I myślałem dalej, że tego rodzaju namiętność, czy zboczenie, być nie może chorobą główną, że jest chyba objawem, jednym z symptomów innej, głębszej i oddawna już organizm moralny toczącej choroby.

W parę tygodni potem spotkałem się z doktorem na jednej z zamiejskich przejazdów. Szedł tak zamyślony, że mnie nie widział, a spostrzegłszy, chciał ominąć. To się nie udało, bo przywitałem go pierwszy, bardzo serdecznie.

— Co się z panem dzieje, kochany doktorze? — zagadnąłem.

Uśmiechnął się i ręką machnął. A odpowiedział anegdota:

— Był bogaty szlachcic ukraiński. Lubiał żyć szeroko, a była to epoka, w której

wskutek klęsk narodowych największe fortuny szlacheckie topniały. I jego stopniała w rychłe, częścią skutkiem nieogłędności własnej, częścią z powodu ofiarności na cele ogólne, jaką się odznaczał. I stało się że ów szlachcic znalazł się nagle, niemal bez środków do życia, na bruku tarnopolskim. Przyjechał raz do niego, do Tarnopola, żyd z Humania, lichwiarz, w celu odebrania od niego swej wierzytelności. I spytał mniej więcej tak, jak pan mnie przed chwilą:

— Nu, co jest? co się z jaśnie panem dzieje? co będzie?—Albo ja wiem!—brzmiała odpowiedź — trzeba czekać... — Co, jeszcze czekać? — krzyknął już rozłoszczony Herszko humański — na co czekać? ja już i tak długo czekam. — Cóż na to poradzić? — bądź cierpliwy, Herszku, ja będę tymczasem pieniędzy szukać.

Żyd zachnął się gniewnie: — Na co panu szukać? na co jaśnie pan ma się fatygować?... Niech pan powie gdzie? — już ja sam pójde szukać!... Ja coś widzę, że jaśnie pan kręci...

Po twarzy szlachcica przemknął błysk. Ten wyraz: „kręci“, wzburzył mu krew. Ale tylko na chwilę. Błysk zgasł niebawem w oczach zasnutych mgłą głębokiego smutku. I rzekł wreszcie łagodnie:

— Mój Herszku, to nie ja kręcę, — to się w koło mnie wszystko samo już kręci...

— Otóż i moja odpowiedź na pana zapytanie: co się ze mną dzieje? — Wszystko samo się kręci...

Usiłując nadać weselszy ton rozmowie, która od razu przybrała drażliwy kierunek, zacząłem żartować, że porównał mnie z lichwiarzem Herszkiem humańskim.

— Porównanie bardzo wierne — odparł żywo. — Pan i wszyscy, którzyście mnie darzyli uznaniem i życzliwością, staliście się moimi wierzycielami. I słusznie wymagać mogliście — słusznie wymagać mogło całe społeczeństwo — abym oczekiwania wasze usprawiedliwił, abym wiedzę moją i zdolności — a bez fałszywego wstydu wyznać mogę, że je miałem — spożytkował na dobro ogólne... Długi czas byłem, jak ów szlachcic nieogłędny, chociaż i ofiarny zarazem, ale z dnia dzisiejszego, zostawiałem sobie zawsze część znaczną trudu na — jutro... To „jutro“ nie dopisało. I stało się, żem oto wasz niewypłacalny dłużnik! z pozoru zdawałoby się mogło, że „kręcę“, gdy to, niestety, już wólkó mnie samo się kręci...

Tak rozpoczęta rozmowa musiała zejść na tory bardzo poważne. Odrzuciwszy już wszelkie obłonki, mówiłem szczerze, a starałem

się mówić wymownie, przedstawiając doktorowi konieczność podźwignięcia się siłą woli i zadania kłamu ludzkim gadaniom...

— Ludzkie gadania! — powtórzył. Ależ to wszystko prawda, tylko, że powierzchowna, nie dochodząca do głębi istoty rzeczy...

I zacytował słowa Mickiewicza:

„Co czuję, inni uczuć chcieliby daremnie!
„Sąd nasz, prócz Boga, nie dany nikomu;
„Chcąc sądzić nie ze mną trzeba być, lecz we mnie...”

I dokończył, podając mi rękę na pożegnanie:

„Ja płynę dalej — wy idźcie do domu“.

Nie odszedłem wszakże. Narzuciłem mu się przemocą i on wkrótce ożywiać się zdawał, począwszy mówić o swoich studjach nad chorobami nerwów, którym zawsze poświęcał wyteżoną uwagę.

— Ten, mówił, który chorób tych nie badał, nie zna człowieka i nigdy go nie pozna. Choroby dziwne, najróżnorodniejsze w objawach, a wymagające od lekarza niezmordowanej czujności i głębokiego odczucia cierpień chorego. Tu nie zawsze najtrafniejsza recepta pomoże...

I zaczął mi przytaczać najrozmaitsze wypadki ze swej praktyki, niezwykle rzeczywiście objawy chorób nerwowych.

Nagle umilkł, opuścił głowę na piersi i po chwili, z dziwnem brzmieniem głosu, rzekł:

— Mam jeden wyrzut sumienia. Ocaliłem człowieka od samobójstwa.

— To przecież zasługa...

— Tak. Ale przez to stałem się spółnikiem jego zbrodni, — morderstwa... Tak, tak... panie. Człowiek ten, dość zresztą popolity, wpadł w niezwykle rozstrój nerwowy i chciał sobie koniecznie życie odebrać. Uleczyłem go z wielkim wysiłkiem z tej manii i byłem dumny z rezultatu kuracji, nieźmiernie mozolnej, która pochłaniała mi mnóstwo czasu i wyczerpywała fizycznie. — I co pan powie? Ten z manii samobójczej uleczony pacjent, w kilka tygodni potem zastrzelił narzeczoną, którą najniesłuszniej posądzał o zdradę... Uczynił to rzeczywiście w ataku nerwowym, który przybrał inną, a zawsze krwiożerczą formę... Powiesz pan zapewne, że go trzeba było oddać pod ścisły nadzór, może do domu waryatów? Tam by go nie przyjęli, bo nie było żadnych objawów obłąkania. Zapewne powinny by być tworzone u nas osobne sanatoria dla chorych na nerwy; oddałyby one społeczeństwu większe może usługi, niż istniejące dla innych chorób, musiałyby jednak być specjalnie urzą-

dzione i mieć na czele lekarzy specjalnie do kierownictwa takich zakładów uzdolnionych. Tylko, że u nas panuje jeszcze wogóle wielkie lekceważenie chorób nerwowych; dotychczas mówi się nieraz z lekceważeniem: to tylko nerwowe! A w końcu sami chorzy nie oceniają najczęściej grozy swego stanu, nie łatwo poddają się rygorowi a już zupełnie nie zdają sobie sprawy z tego, że są z każdym dniem większem niebezpieczeństwem... nie tylko dla otoczenia swego, lecz i dla społeczeństwa... I o ciągłość lekarskiej opieki byłoby tu niezmiernie trudno...

Urwał, a na jego ustach zauważyłem dziwnie smutny, melancholijny uśmiech,

— Dlaczego? spytałem.

— Bo chorzy nerwowo wywierają przerażającą sugestję. Lekarz badający przez czas dłuższy ich chorobę sam się nią w końcu przejmuje i to zwykle w formie najostrożniejszej...

Spojrzałem na doktora. Był bardzo blady, usta mu drżały, wstrząsał się jak w ataku febry.

— Co panu jest? zawołałem.

— E, nic. Przeziębienie, influenza... Muszę się do łóżka położyć.

To mówiąc uściśnął mnie silnie za rękę i odszedł śpiesznie.

Stałem w miejscu, głęboko tą rozmową poruszony. Dziwnie mnie zaciekał i sympatycznie ku sobie pociągał ten człowiek. Patrzyłem za nim, gdy szedł krokiem rączym ale jak gdyby sprężynowym. I nagle się wstrzymał, zawrócił i za chwilę był znów przy mnie.

— Panie — rzekł głosem nieco stłumionym — będę miał do pana w tych dniach wielką prośbę... Napisałem... to jest, piszę właśnie artykuł w przedmiocie, o którym mówiliśmy. Poruszyć chcę ważną kwestję. Umieszczeniem tego artykułu sam zając się nie mogę... nie mam na to czasu. Pan ma znajomości w świecie literackim i dziennikarskim. Artykuł przesłę w tych dniach na ręce pana, niech go pan przeczyta, i umieści w jakim piśmie, byle poważnem i przez poważnych ludzi czytaniem. Liczę w tem na życzliwość pańską i dziękuję... serdecznie dziękuję...

Nie czekając odpowiedzi uściśnął mnie znów silnie za rękę. Uczułem dłoń jego suchą, rozpaloną, gdy kończyny palców, były jak lód zimne...

Artykuł zapowiedziany nadszedł wszakże nie tak rychło. Nadszedł w dzień wyjazdu mego na letni wypoczynek. Nie miałem już czasu przeczytać go uważnie. Zauważyłem

tylko tytuł „Szkodliwi“. A spostrzegłszy u spodu podpis doktora i przekonany, że to co on podpisał, musi zasługiwać na wydrukowanie, posłałem rękopis znajomemu mi redaktorowi, z prośbą, by go w piśmie swem zamieścił.

W tydzień potem otrzymałem w miejscu mego letniego pobytu telegram od doktora, z zapytaniem, co się stało z artykułem i z usilną prośbą, abym wymógł wydrukowanie go przed upływem tygodnia. Zatelegraflowałem do redaktora i w trzy dni później otrzymałem numer pisma z wydrukowanym artykułem „Szkodliwi“, a równocześnie list od redaktora, w którym przyznawał, że się mocno wahał, czy artykuł ogłosić ze względu na zuchwałą jego tezę, rozgrzeszającą z góry pewne wypadki samobójstwa, — że jednak wahanie temu położyło kres moje naleganie i bądź co bądź poważna firma autora. Redaktor czuł się jednak w obowiązku zamieścić na wstępie zastrzeżenie od redakcji

Z wielką ciekawością rzuciłem się do przeczytania artykułu. Była w nim przytoczona cała nasza rozmowa, był przytoczony fakt owego pacjenta uleczonego z manii samobójczej, który stał się potem mordercą, a dalej związły, jasny traktacik o chorobach nerwowych. Autor dochodził w nim do re-

zultatu, że choroby te przybierają nieraz charakter niebezpieczny dla ogółu, tem groźniejszy, że nie dostrzegalny prawie i nie wybijający się na zewnątrz, że chory umie tać się zręcznie ze zbrodniczymi zamiarami swymi, a często sam nie zdaje sobie z nich w pełnej mierze sprawy, uważając owe zamiary za wewnętrzne pokuszenia, które on w każdej chwili siłą woli stłumić i pokonać potrafi. Tymczasem owa siła woli z każdym dniem słabnie, wreszcie zanika i chory nagle staje się — zbrodniarzem. Są jednak wypadki — twierdził autor artykułu, — w których chory taki jest świadom swego stanu i wie, że staje się, że się stać może „szkodliwym“. Jeśli taka świadomość zakiełkuje w jego sumieniu, co ma uczynić? — Wobec tego pytania, autor tak mniej więcej kończył: „Samobójstwo jest wielkim występkiem, jeśli nie jest szaleństwem. To jest dla mnie niewątpliwą rzeczą, nie wymagającą zresztą uzasadnienia, bo sprzeciwiającą się prawom natury. W jednym, jedynym wypadku świadomości, że się jest „szkodliwym“, niebezpiecznym dla życia moralnego lub fizycznego innych, — w jedynym tym wypadku sądzę, że samobójca, niszcząc własne „szkodliwe“ istnienie, zasługuje na przebaczenie u Boga a współczucie u bliźnich“.

Artykuł przeczytałem jednym tchem: pisany był świetnie, z ogromnym rozmachem. Czynił głębokie wrażenie i piękną formą i siłą przekonania, chociaż wydał mi się paradoksalnym. Świadomość tego rodzaju u chorego nie zdała mi się być prawdopodobną, a gdyby nawet i „zakiełkowała“ w umyśle czy sumieniu pacjenta, to zkadże dowód, że nie była sama wytworem choroby, mającym wyobraźni rozstrojonych nerwów?... Czyż chory mógł być w tym wypadku własnym swoim sędzią i — katem?

Jeszcze byłem pod wrażeniem tego artykułu, gdy mi doręczono telegram:

„Wczoraj (a zatem w kilka godzin po ukazaniu się artykułu) dr. X. odebrał sobie życie wystrzałem z rewolweru w serce“.

Uczuł się „szkodliwym“ i wykonał na sobie wyrok bez wahania. Mogła go złudzić wyobraźnia, w każdym jednak razie motyw był szlachetny a nie ulegała wątpieniu choroba, która głębokie budzi współczucie. Współczucie innego zupełnie rodzaju niż to, które w wypadku owych uczniów tarnopolskich zwraca się chyba wyłącznie tylko do okrutnie dotkniętych rodziców.

ŚMIECH I ŁZA.

BAJKA.

Szedł Śmiech przez Polskę i huczał.

Roztrącał przechodniów śmiało, a nawet zuchwale, albowiem czuł, że go każdy chętnie wita. Więc pozwalał sobie żarty stroić i szydzić, a nieraz cynicznym się okazywał.

I wszystko mu uchodziło...

Aż wtem, widzi, naprzeciwko idzie — Łza. Bardzo była wielka, a jeszcze bardziej boleściwa.

Rozstępowano się przed nią i uciekano.

Lecz Śmiech zastąpił jej drogę i rzekł:

— Po co ty ciągle włóczysz się po ziemi polskiej, stara wiedźmo?! Za dawnych lat, za bardzo dawnych: bo jeszcze za saskich, — myślałem — Boże odpuść! — ożenić się z tobą i godziłem się nieraz, albowiem gdym był pijan, to mi stawałaś w oczach... Ale, teraz ciebie nie cierpię! Ty bo na tej ziemi za-

TEGOŻ AUTORA.

- „Zmarnowani“ Tom 1. Nowele („Banita“, „Lorenzo“, „Posąg“, „Wieczór wigilijny“).
- „Starosta Zygmowski“. Tomów 2, powieść historyczna.
- „Veto“ Tomów 4, powieść historyczna.
- „Szary wilk“ Tom 1, powieść historyczna.
- „O Tron“, tetralogia: I) „Ostatni Dynasta“, II) „Piaś“ III) „Sława“, IV) „Mrok“ pow. histor.
- „Fiat Lux“ Tom 1, powieść historyczna.
- „Tarlówna“. Tom 1, nowela historyczna.
- „Najmłodszy“. Tomów 2, powieść współczesna.
- „Jestem“ Tomów 2, powieść współczesna.
- „Kres“ (część druga powieści „Jestem“.) Tom 1, powieść współczesna.
- „Rdza“. Tomów 2, powieść współczesna.
- „O Cyprianie Norwidzie“ (na podstawie źródeł rękopiśmiennych) 1909. Tomów 2.
- „Amen“. Tom 1, powieść współczesna.
- „My“. Tom 1, dramat współczesny
- „Syn królewski“. Tom 1, dramat historyczny.
- „Jeden dzień“. Tom 1, komedia współczesna.
-

8093

